MIESIĘCZNIK
6(21) CZERWIEC 1984 CENA 50 ZŁ

Fantastyka



POLSKA

Kraków

W grudniu 1983 r w Klubie Międzynarodowe! Prasy i Książki w Krakowie (Mały Rynek 4) zainaugurowano serię comiesięcznych spotkań czytelników z pisarzami, krytykami, wydawcami i historykami literatury SF Gościny autorom i słuchaczom użyczyła kierowniczka Klubu - **Jolanta Ćwiżewicz**. Inicjatorem i pomysłodawcą cyklu był redaktor **Leszek Bugajski**, członek kolegium redakcyjnego „Fantastyki", „Pisma' oraz „Życia Literackiego".

Na pierwszym wieczorze autorskim dr **Piotr Krywak**, adiunkt Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor monograficznego szkicu „Stanisław Lem" (1974) omówił podstawowe założenia beletrystyki przyszłościowe] („Specyfika gatunku") Podczas kolejnego spotkania (styczeń 1984), którego tematem były tradycje fantastyki w literaturze polskiej, zabrał głos przedstawiciel naszej redakcji, kierownik działu krytyki - dr **Andrzej Niewiadowski** opracowujący „Słownik polskich autorów fantastyki"W lutym 1984 r. o najnowszych tendencjach w prozie światowej mówił kierownik działu literatury angielskiej „Czytelnika" - **Lech Jęczmyk**, jeden z bardziej znanych tłumaczy i edytorów SF Na spotkaniu marcowym gościł w Krakowie dr **Antoni Smuszkiewicz** z Instytutu Filologu Polskiej Uniwersytetu Poznańskiego, autor pierwszego, historycznego zarysu fantastyki naukowej („Zaczarowana gra", 1982), który omawiał kierunki przeobrażeń współczesnej beletrystyki przyszłościowej (1945-1984) Planowane są dalsze spotkania (an)

Świnoujście

Ogólnopolski Przegląd Filmów Fantastyk w Świnoujściu zaczął się 6 lutego 1984 r jako impreza otwarta dla mieszkańców miasta. Natomiast połączone z przeglądem spotkanie fanów z całego kraju zaczęło się 8 lutego i trwało cztery dni. Zawiedli prawie wszyscy zaproszeni pisarze i krytycy, jedynie red **Bronisław Pułaski** z „Filmu na Świecie" wspomagał organizatorów swoją wiedzą o sztuce filmowe] Na imprezie nie zabrakło przedstawicieli naszej redakcji **Maciej Parowski** występował w podwójnej roli. jako poszukiwacz młodych talentów do działu literatury polskiej w naszym piśmie i jako autor książki science fiction Przeglądy filmów w Świnoujściu planowane są jako impreza cykliczna. (ARK)

Katowice

Przedstawiciele naszej redakcji uczestniczyli w interesującym spotkaniu w Śląskim Klubie Fantastyki w Katowicach. Fanowie na początku, jak to zwykle bywa, przeprowadzili najpierw generalny atak autografowy na redaktora naczelnego naszego pisma Potem do późnych godzin szturmowali pozycje „Fantastyki" Krytykowali przede wszystkim nierówny poziom szaty graficznej. Nie podobał się dobór utworów poetyckich (dziwiło ich to, ze dajemy na prze mian współczesność i rzeczy z tradycji rodzimej). Interesowali się technicznymi zagadnieniami wydawania pisma, jak większość Czytelników utyskując na zbyt małą objętość, gatunek papieru, mały nakład w stosunku do zapotrzebowania na rynku opóźnienia w terminach wydawniczych Przy okazji dostało się nie tylko nam, lecz także niektórym oficynom wydawniczym i prezentowanym przez nie książkom (alk)

Wisła

Wisła stata się miejscem kolejnej imprezy fanowskiei Na „Bliskie spotkanie III stopnia" zorganizowane przez Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki, przy dużym współudziale **Andrzeja Trepki**, zjechali się miłośnicy fantastyki z całej Polski Na trwającei przez tydzień imprezie (2-8 kwietnia 1984 r.), oprócz spotkań autorskich z **A. Trepka, K. Boruniem** i **Z. Dworakiem** znalazło się sporo czasu na liczne konkursy zabawy. Szczególnym powodzeniem cieszyły się „Skojarzenia" w wersji SF oraz błyskawiczny konkurs literacki na zadany temat. (mak)

CZECHOSŁOWACJA

W dniach 6-8 kwietnia 1984 r, odbył się w Pardubicach konwent czeskich i słowackich miłośników fantastyki - PARCON Były to trzy dni wypełnione licznymi referatami, pokazami filmowymi oraz wieloma mniej oficjalnymi



spotkaniami Nie zabrakło także giełdy książek SF. Nie udało się wprawdzie uniknąć kilku potknięć organizacyjnych, ale wszystko rekompensowała wspaniała atmosfera, zawsze towarzysząca tego typu imprezom.

Delegacja naszej redakcji nawiązała w Pardubicach nowe interesujące kontakty m.in. ze znanym czechosłowackim popularyzatorem fantastyki, wydawca i tłumaczem z dziesięciu języków (w tym także z polskiego) - **Ivo Żelaznym**. Odnowiła tez stare przyjaźnie, zawiązane leszcze w czasie Dni Fantastyki w Dzierżoniowie, m.in. z **Pavlem Weiglem**, który okazał się szczególnie pomocnym w przedstawieniu najciekawszych postaci związanych z czechosłowacka fantastyką.

Mamy nadzieję, że owocem pobytu w Pardubicach przedstawicieli naszej reakcji polskiego ruchu miłośników SF będzie nawiązanie ciekawszej i szerszej niż dotychczas współpracy. (mak)

* * *

W czasie Parconu'84 w Pardubicach zostały przyznane następujące nagrody

NAGRODA IMIENIA KARELA ĆAPKA

• dla najlepszego twórcy amatora - **Ivana Kminka** za opowiadanie „Druhŷ vstup do têže reky"

• dla najbardziej obiecującego młodego twórcy **Dagmara Outla**.

• za najlepsze krótkie opowiadanie - dla **Pavla Buriana** za opowiadanie „Nanos" NAGRODA IMIENIA LUDVIKA SOUČKA

• dla **Wojtěcha Kantora** za antologię „Żelazo prichází z hváézd",

• dla **Ivo Żelaznego** za antologię „Experiment člocék"

FRANCJA

W wydawnictwie „Fleuve Noir" ukazała się francuskojęzyczna wersja książki „Adam jeden z nas" **Konrada Fiałkowskiego**.

RFN

W maju br. w wydawnictwie „Heyne Verlag" ukazał się niemiecki przekład książki **Adama Hollanka** „Jeszcze trochę pożyć" (PW „Iskry" 1978).

* * *

Uwe Luserke - założyciel i redaktor naczelny zachodnio-niemieckiego magazynu „Solaris" (przypominamy: nagroda Euroconu VIII we wrześniu ub. roku) rezygnuje na razie z działalności wydawniczej. Powodem jest nieopłacalność wydawnictwa.

* * *

W sierpniu br. w Erlangen odbędzie się SFCD CON 84 organizowany - jak co roku - przez Niemiecki Klub Miłośników Science Fiction. W związku z przygotowaniami do tej imprezy „Andromeda" - fanzin Science Fiction Club Deustschland - ogłosiła już pierwsza listę swoich propozycji do dorocznej nagrody. W grę wchodzą autorzy opowiadań i powieści pisanych po niemiecku. Lista obejmuje prawie trzysta krótkich opowiadań i 73 powieści. Oczywiście wszyscy głosujący mogą owe listy uzupełnić swoimi propozycjami

* * *

Zaczyna swoją egzystencję w RFN - w języku niemieckim oczywiście - znane czasopismo - amerykańskie OMNI Zawiera materiały popularnonaukowe, wywiady z uczonymi oraz utwory fantastyczne znanych na świecie pisarzy SF Publikuje także lustracje jakby żywcem przeniesione z Playboya Ten profil OMNI zdał podobno świetnie egzamin w USA. Twórcy niemieckiej wersji miesięcznika liczą na sprzedaż 160-210 tysięcy egzemplarzy

ZSRR

Odnotowujemy z Uralskiego Sledopyta, czasopisma bardzo zasłużonego dla radzieckiej SF interesujący artykuł pt. „William Szekspir w światach fantastycznych" Autor **P. Abdulin** z Kazania cytuje w nim omawia przykłady wędrówki fragmentów utworów wielkiego dramaturga brytyjskiego po światowej literaturze fantastycznej



Wizja przyszłości, a może zmodyfikowane reminiscencje z amerykańskiej historii sprzed półtora wieku w futurystycznej scenerii, czy też coś zupełnie innego. Wyobraźnia Frederika Pohla nieraz stawia czytelników wobec pytań, na które trudno znaleźć jednoznaczną odpowiedź. Oczywiście, jeśli porwani wartkim nurtem jego prozy, w ogóle znajdują czas na stawianie sobie pytań o źródła autorskiej inspiracji. Opowiadanie zamieszczone w tym numerze stanowi dobrą ilustrację pisarskiego warsztatu jednego z najwybitniejszych amerykańskich autorów SF, cieszących się popularnością od kilku już dziesiątków lat.

Frederik Pohl: „Farmer na ulicach miasta".

Opowiadania i nowele

Igor Smirnow Czarny romboedr	„Oko Tuma przygasło. Zadrżał i ucichł. Rest szybko otworzył sektor pamięci, wyjął bloki i wrzucił je do ścierającego zapis urządzenia. Czuł już zapach gazu i spieszył się...".
Frederik Pohl Farmer na ulicach miasta	„Pod koniec lekcji Lori, prostytutka o zielono umalowanych oczach, ujęła go pod ramię i powiedziała współczująco: - Uwzięła się na ciebie ta stara suka...".
Gardner Dozois i Jack Dann Gra	„..ale zawsze jakiś mały szczegół nie pasował, świadczył o tym, że ten właśnie prawdopodobny świat spośród miliona prawdopodobnych światów nie był tym, od którego Jimmy zaczął, nie był domem".

Powieść

Clifford Simak Czas jest najprostszą rzeczą (2)	Czytelnicy, którzy rozpoczęli w poprzednim numerze lekturę tej powieści, z pewnością nie potrzebują zachęty, żeby sięgnąć po jej dalszy ciąg...

Z polskiej fantastyki

Marek Baraniecki Wynajęty człowiek	„Dopiero gdy zrobił krok do środka, zamarł w bezruchu. Na środkowym fotelu, odwróconym oparciem do pulpitów sterowniczych, zwisał w bezwładzie dowódca statku Cargini. Był martwy".

Krytyka

Słownik polskich autorów fantastyki	Stefan Grabiński - pisarz, krytyk, teoretyk gatunku „weird fiction" - w sumie jedna z ciekawszych postaci w literaturze międzywojennej.
Z mojej pracowni	Interesująca próba analizy własnego warsztatu pisarskiego, ukazująca proces kompozycji opowiadania „Maszynista Grot".
Recenzje	Piszą: A. Niewiadowski o „Pluskwie" Majakowskiego, M. Parowski o „Szlakach istnienia" Andrzeja Zimniaka i K. Sokołowski o angielskim przewodniku po literaturze SF.
Spotkanie z pisarzem	Z Wiktorem Żwikiewiczem („Druga jesień") rozmawia Andrzej Krzepkowski („Kreks"). Wyniki spotkania dwóch autorów Czytelnicy niech sami ocenią.

Nauka i SF

Niepotrzebna płeć	Maciej Iłowiecki pisze o badaniach naukowców stawiających pod znakiem zapytania istnienie mężczyzn.

Parada wydawców

Czytelnik taki jak inni	Rozmowa z Danutą Tomerską, redaktorem Wydawnictw Nieperiodycznych Polskiego Związku Niewidomych.

Wszystkim albo prawie wszystkim krytykom - i to zarówno tym wysokich, jak i tym niskich lotów zdawało się jeszcze tak całkiem niedawno, że literaturę diabli biorą, że to już koniec powieści i nie tylko samej powieści, ale w ogóle wszelkich form pisanych. Postęp nauki i techniki, możliwości osobistego, przeżywania faktycznych przygód tego świata, dzięki skracaniu się odległości, dzięki rozwojowi reportażu filmowego - wszystko to miało być młotem na czarownice i czarowników beletrystyki. Któryś, nie pamiętam już który to z koryfeuszy wiedzy ścisłej oświadczył nawet uroczyście, trawestując słynne powiedzenie Aldousa Huxleya, ze szczęśliwe narody przyszłości nie będą miały historii - iż uczeni i przemądrzy współcześni oduczą się szybko przeżyć z baśni. Czy się oduczyli? Kometa romantyzmu - ta sama, którą opisywał największy z Polaków „rozumnych szałem" w swym „Panu Tadeuszu" - machnęła ogonem i nauka idzie w las, a literatura, ukazująca świat niejako do góry nogami, staje się, przynajmniej u nas, najpopularniejsza. Choć krytycy zatykają sobie uszy i oczy, aby tego przypadkiem nawet nie usłyszeć i nie dostrzec. Wraca jak gdyby z innych epok do nas żywcem przenoszona tyrania opowieści o niezwykłych przygodach, nadzwyczajnych bohaterach. Młodzi, a tuż za nimi i starsi, czerpią tzw. wzorce osobowe z pisarstwa, które ciągle jeszcze ma się wśród fachowców za marginalne zjawisko literackie, nie bacząc, że margines ten staje się jednym z głównych nurtów współczesnego czytelnictwa i nie tylko czytelnictwa. Że do „getta fantastyki" garną się tłumy. Jak za czasów wszystkich romantyzmów, nie religia, nie nauka, lecz literatura, której jednym z głównych odkrywców był zeszłowieczny maniak nauki (tak, tak - nauki) Juliusz Verne - staje się prawdziwym tyranem. I to jakim. Sam w to nie bardzo wierzyłem, że ten krąg scjentyczno-fantastycznego piekiełka jest tak zamknięty, tak ściśle ograniczony do pewnych już znanych z dawien dawna zjawisk romantycznych. Takich jak np. silne poczucie niezwykłości świata, szukanie balladowej niesamowitości, coraz to większe skłócenie z nauką, odrębność i niezwykłość postaci bohaterów, ich alienacja w stosunku do środowiska słowem „nil novi sub sole". Każde odstępstwo od tych zjawisk jest przez fanów, czyli fanatyków gatunku, źle przyjmowane. Drżą, żeby niczego w schemacie SF nie uronić. A jak się coś u kogoś zmieni, nie żałują, choćby to był sam Stanisław Lem i jak w wojskowej starej piosence „jeszcze końmi go tratują". Pisze do mnie jeden z Czytelników: *„Lubi Pan literaturę trudniejszą, kosmos wewnętrzny, Pana książki (te ostatnie) są właśnie takie, zawierają dużo prawd ogólnoludzkich, zmuszają do myślenia, ale są utrudniane (myślę, że czasami sztucznie)... Nie wiem czy chce Pan dogonić Lema, który przeszedł od rzeczy łatwych do trudnych, od literatury popularnej (dzięki której stał się sławny) do trudniejszych, mniej popularnych sposobów wyrazu. Jeśli tak, to cóż, życzę powodzenia, ale mniej mi się podoba, że we wszystkich swoich artykułach i wypowiedziach preferuje Pan właśnie ten typ literatury. Tymczasem nie tylko jest ambitne to co trudne. Używając słów trudny czy utrudniony*

...3...2...1...



zdaję sobie sprawę, że działam w imieniu niejako ogółu - mam dużo znajomych i kolegów fanatyków SF... Takie książki jak Pana są także potrzebne, chodzi mi tylko o to, żeby ich nie preferować. Literatura SF ma być kochana i pamiętana, ma być taka, do której chętnie się powraca. To co Pan pisze jest również potrzebne, lecz nie wyłącznie. O powodzeniu SF nie decyduje jedynie garstka znawców i krytyków, lecz tysiące tych, co ten gatunek bardzo kochają. Musiałem to napisać, bo mnie to gryzło. Mam nadzieję, że moją niekompetentną wypowiedź przyjmie Pan chętniej niż jakieś tam lukrowane recenzje. Czyż nie mam odrobiny racji?"

Wypowiedź wzruszająca w swej spontaniczności, szczerości i fanatyzmie pana Adama B. z Rzeszowa, reprezentuje typowe żądania fanów. Tak, pisałem już poprzednio, że oni kochają lub nienawidzą, rzadko bywają tolerancyjni. I to uważam także za bardzo charakterystyczną cechę romantyzmu. Nie tylko tego, o jakim tutaj piszę. Każdego. Miałem zresztą, mieliśmy wszyscy w redakcji, gorące dyskusje nad sprawą wprowadzenia poezji na łamy naszego miesięcznika. Większość zagorzałych zwolenników wielkiej przygody fantastycznej, przeżywanej w fotelu, była przeciwna wierszom. W zespole także istniał wyraźny podział na tych, którzy uważali, że w języku SF, swoistym i jedynym w swoim rodzaju, ukształtowanym, a więc jak gdyby zamkniętym, prawie hermetycznym - na drugi język nie powinno być miejsca. Wprowadziliśmy jednak poezję, ale nie jako formę, którą pragnęlibyśmy traktować antagonistycznie w stosunku do fantastyki. Ma ona być komplementarna, winna dopełniać obrazu, jaki co miesiąc Czytelnikom prezentujemy. Pragniemy, ukazując delikatnie nie tylko główny nurt współczesnej fantastyki, lecz i nurty pośrednie, demonstrować bogate możliwości tej literatury.

Nie chcemy nikomu narzucać swego zdania, pragniemy jedynie proponować także inne oblicze fantastyki niż to cenione i lubiane przez naszych fanów.

Ciekawe jak daleko sięga ortodoksyjność niektórych miłośników SF. Ostatnio, gdy poinformowaliśmy w „Lądowaniu" naszych Czytelników o kłopotach z uzyskaniem odpowiedniego komiksu po fali żądań przywrócenia w naszym piśmie tej obrazkowej formy przedstawiania świata i jego mieszkańców, formy bardzo zresztą popularnej nie tylko pośród dzieci i młodzieży, lecz również i wśród dorosłych - napłynęło sporo listów do redakcji wręcz ostro protestujących przeciwko jego powrotowi. *„Do redakcji «Fantastyki», a zwłaszcza do panów Parowskiego, Rodka i Polcha" zaadresowali swoją wypowiedź młodzi ludzie, reprezentowani • przez p. Wojciecha Orlińskiego z klasy la z Warszawy, z ulicy Kwitnącej. Brzmi ona tak: „Jakaż radość wybuchła wśród miłośników „Fantastyki" w mojej klasie (la mat-fiz. XXII LO), gdy dzielny detektyw kosmiczny Funky Koval został wysadzony w powietrze w willi swej ciotki... Radość nie trwała długo. Kubeł zimnej wody wylał na nasze głowy ostatni numer pisma i pan Parowski, zapowiadając, że następny komiks będzie lepszy. Na Jowisza, błagam na kolanach nie wznawiajcie komiksowej maszkary..."* I tak dalej i tak dalej. Sekunduje tu tym zaciekłym wrogom komiksu wielu innych - młodych i starszych. Chodzi im przecież o to, aby nie skazić SF. Aby był to czysty gatunek. A jednak komiks dajemy. W samym środku numeru. Żeby wrogowie mogli go od razu wyrwać. Skończyliśmy też opracowywanie naszej ankiety-sondażu i niebawem zamierzamy wydrukować wyniki. Przeglądając opinie Czytelników uzmysławiamy sobie trudności naszych redakcyjnych intencji dogodzenia wszystkim. Zdania bowiem są bardzo rozbieżne. A już teraz mogę wyznać, że w pierwszej dziesiątce najbardziej czytywanych pisarzy zagranicznych i krajowych znaleźli się zarówno ortodoksyjni fantaści, jak i tacy, którzy pragnęliby rozszerzyć problematykę tej literatury, problematykę „inner space", czyli innymi słowy tacy, co sprawy ludzkości lubią obserwować nie tylko z zewnątrz w dynamice przygód i przemian, lecz i w procesach dziejących się we wnętrzu istoty ludzkiej.

Fakt pozostanie jednak faktem: najbardziej podoba się naszym Czytelnikom romantyzm wielkiej przygody z bohaterem tej przygody czy bohaterką - jednostką jakby żywcem wyjętą z dziewiętnastowiecznych ballad i romansów. Pełną w dodatku findesieclowych weltschmerzów. A więc poszukującą odpowiedzi na wiele ostatecznych pytań. Nawet najprostsze bowiem opowiastki SF są zawsze bliskie filozoficznych refleksji. To wielka zaleta gatunku.

10 - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1 - 0

Adam Hollanek

Skan i opracowanie **GTW**

MIESIĘCZNIK literacki Fantastyka

02-784 Warszawa-Ursynów,
ul. Służby Polsce 2,
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy).

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. Działu reportażu i informacji), Maciej Makowski (kier, działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier, działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red), Anna Szubka, Darosław J. Toruń.

Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93.

Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.

Warunki prenumeraty: ● Dla zakładów pracy: instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy. ● Dla prenumeratorów indywidualnych: osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy; osoby zamieszkałe w miastach - siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora przy użyciu „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch". ● Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa P. Z. Graf. RSW Łódź

Zam. 1303/84.T-70 Nakład 140000 egz.

LĄDOWANIE XVI

Po co konkursy!

Szanowna redakcjo. Ogromnym zaskoczeniem było dla mnie odnalezienie swego nazwiska wśród wyróżnionych uczestników Waszego Konkursu. Zaskoczenie było tym większe, że wysyłając opowiadanie „ Trzecia brama” nie liczyłem się z uplasowaniem w tak ścisłej czołówce. Z podanych liczb wynika, że konkurencja była duża. Poza tym właściwie do momentu wydania pierwszego numeru „Fantastyki” (który kupiłem zupełnie przypadkowo) nie interesowałem się literaturą SF. Muszę również przyznać, że swoje opowiadanie pisałem niemal „w ciemno”, me mając pojęcia czy przypadkiem nie popełniam nie zamierzonego plagiatu... Maszynopis mego opowiadania podpisałem dwoma imionami, a w wydrukowanym werdykcie to pierwsze, właściwe, zostało pominięte... Być może oprócz mnie i inni czytelnicy, dzięki „Fantastyce”, przekroczyli próg tego fascynującego, a tajemniczego świata.

Andrzej Bogusław Boryczko
z Myślenic

Zakończyliście Wasz konkurs SF. Uff... Odetchnęliście! 670 zawiedzionych A nagrodzeni? Szczęśliwi7 Pewnie tym, ze prace skieruje się do druku. Wspomnieliście o tekstach, które odrzuciliście „z trochę ciężkim sercem”. Dlaczego części z nich me skierujecie do druku? Choćby od cza: su do czasu w naszym piśmie. Inni tez mogliby wyrobić sobie zdanie co do trafności oceny jury. Te nagrodzone me wszystkich usatysfakcjonują. Przeraża mnie brak szacunku dla wszystkich wysyłających teksty na konkursy. Poznański oddział PSMF Orbita w grudniowym numerze „Fantastyki” ogłosił konkurs literacki, żądając prac w trzech egzemplarzach. Nie wiem w ilu wysyłano na wasz konkurs. Wszyscy w zasadzie zastrzegają się, że prace konkursowe nie będą zwracane. Czy ktoś zastanowił się nad możliwościami piszących? Moi kochani, to nie na nasz kryzys w kraju. Wracając do tych 670 zawiedzionych! Mozę to i był potop tekstów. Choć kto wie? Duża liczba prac świadczy o ogromnym zainteresowaniu fantastyką. Zawsze można coś z tego wyłowić. Najważniejsze jest jednak rozbudzanie wyobraźni, zamiłowania i rozumienia zagadnień SF. Ktoś, kto sam uprawia amatorsko jakikolwiek rodzaj twórczości, łatwiej i z pas/ą pochłania jej sferę profesjonalną, ucząc się jeszcze bardziej kochać i rozumieć daną dziedzinę. Więc nie wybrzydzajcie na zalew tekstów „nijakich” jak je określiliście, lecz cieszcie się, że rośnie wyobraźnia i zainteresowanie

Eleonora z Katowic

Dla kogo piszemy

Mam lat 14, uczęszczam dopiero do VII klasy SP nr 8 w Lęborku. Zdziwiła mnie wypowiedź pana Janusza Jurka zamieszczona w 1 numerze z 1984, który „uczęszcza niestety dopiero do I klasy LO”i ubolewa, ze z powodu młodego wieku me będzie poważnie traktowany przez redakcję. Przecież nikt wyraźnie nie powiedział, że „Fantastyka” to pismo tylko dla dorosłych. „Fantastyka” była reklamowana przez program dla młodzieży - „Sobótkę”... Czasopismo dociera do Lęborka z ponad miesięcznym opóźnieniem. Mimo to bardzo je lubię.

***Andrzej Nawrot** z Lęborka*

Miła redakcjo „Fantastyki”. Otóż ja nie chcę niczego ulepszać, zmieniać czy poprawiać w „Fantastyce”. Trochę może dziwne jest aż tyle entuzjazmu na raz, ale się przyznam dlaczego tak, a nie inaczej, traktuję „Fantastykę”. Polecono mi to pismo i na urlop pojechałam obarczona numerami od 1 do 10. Cóż to był za ciekawie spędzony czas. Nie żałuję ani chwili, czytałam od dechy do dechy Na urlop wyjeżdżam zwykle z zapasem książek nie zawsze trafnie dobranych. Z niektórych publikowanych przez Was listów wynika ze brak bywa u Czytelników fantazji do czytania „Fantastyki”. Funky też powinien wrócić jako nieodłączny akcent rozrywki.

Jadwiga R.
(bibliotekarka - lat 40)

Uważam, iż powieści, jeżeli nie trzeba czytać do góry nogami, powinny mieć interesującą treść, a przy niektórych niestety oprócz przekładania samego pisma jeszcze trzeba się dobrze namęczyć, aby zrozumieć tekst. Do tej pory podobały mi się tylko „Żuk w mrowisku” Strugackich, „Świat czarownic” Norton i „Zapomnij o ziemi” Mac Appa... Mówicie, że nie możecie drukować powieści i opowiadań wydanych gdzie indziej. Nie rozumiem dlaczego. Na pewno byłoby lepiej wydrukować „Gwiezdne wojny” Lucasa i Kasdana niż jakieś miernoty lub teksty w rodzaju „Houston, Houston”, których na przykład moja młodsza siostra nie może czytać i ten numer pisma muszę przed nią chować. A pismo jest podobno dla wszystkich. Ostrzeżenia nie pomagają. Nawet gorzej, zachęcają...

Lucyna Gole
z Warszawy

Jeszcze o komiksie I nie tylko

Muszę zaznaczyć, że czytam nasze pismo od deski do deski... Opowiadania nie zawsze są wysokiej jakości, ale gorszych znacznie mniej od tych, które się czyta na jednym oddechu. Osobiście dane biograficzne autorów mnie nie interesują. Lema przestałem lubić po przeczytaniu jego nowszych książek. Inni widać także mają swoje lepsze i gorsze okresy tworzenia. Z przyjemnością nawiązałbym znajomość z ludźmi, których pasjonuje SF innych krajów. Mogę nawet iść na wymianę naszego pisma, którego numerów mam po kilka, na podobne magazyny, np. zachodnie. Znam angielski i rosyjski. Zgadzam się, jeśli chodzi o „Pożółkłe kartki”. Jeśli chodzi o wznowienia książek z lat dwudziestych i późniejszych lub także wcześniejszych, ukłon w stronę pana, Panie Hollanek - proszę dobijać się do odpowiednich drzwi, żądać wznowień tych pozycji. Opowiadania nagrodzone w waszym konkursie są naprawdę ciekawe. Zbyt skromne wydają mi się natomiast nagrody. Poezja na łamach „Fantastyki” to według mojej opinii niepotrzebne zajmowanie miejsca. Zasyłam pozdrowienia dla Pana i Całej Redakcji. Niech komiks zmartwychwstanie. Bądźcie jego pionierami w naszym kraju...

Jan Baranek,
Zarnowica 41, Wysocice, woj. miejskie krakowskie

Panie Parowski... Mozę pan i pańscy koledzy stworzycie podwaliny polskiego komiksu fantastyczno-naukowego. To byłoby piękne i wspaniałe.

***Robet Uroda** z Nowego Sącza*

Gdybym się nie bał, iż pan może uznać mnie za źle wychowanego, napisałbym w swoim młodzieżowym języku co sądzę o tych, którzy narzekali na komiks o Funkym.

***Jacek Chybiński** z Płocka*

Brawo i jeszcze raz brawo za artykuł Macieja Parowskiego „Komiks i my”. Tak trzymać! Mogę powiedzieć, że ja i cały długi szereg moich kolegów rozpoczynaliśmy czytanie każdego nowego numeru „Fantastyki” właśnie od Funky’ego Kovala. I bardzo nam go brakuje. A tamtych sprzeciwiających się wszystkich geniuszy odeślijcie do wszystkich diabłów...

Dr Krapakiewicz

Gratuluję panu, panie Parowski. Pana obrona komiksu z 16 numeru „Fantastyki” zrobiła na mnie duże wrażenie. Tego nam właśnie potrzeba Potrzeba obrony, potrzeba komiksu. Dobrego. Jest to doskonała droga do rozwijania wyobraźni. Do zdobywania umiejętności myślenia niestereotypowego. Komiks to rozrywka nie tylko przyjemna, ale pożyteczna. Bo czyż na przykład dzieci me uczą się szybciej czytać właśnie dzięki komiksom? Założę się, ze gdyby podręczniki do nauki obcych języków choć w części były komiksami to znajomość tych języków w naszym społeczeństwie znacznie by się poprawiła... A aspekt sztuki? Czyż komiks nie jest najprostszą formą popularyzacji grafiki, czy me sta/e się tez szkołą twórców?*

Daniel Flout, student z Warszawy

Miło mi zwrócić się do redakcji „Fantastyki”, a powodem wzmianka w Waszym miesięczniku na str. 60 nr 1 (16), styczeń 1984 Zaciekawił mnie szczególnie list ze Szwecji podpisany Jakub Lestman z Malmoe. Pisze on, ze „jestem członkiem klubu SF w Szwecji, wydającego 4 razy w roku magazyn zwany „Jules Verne” pod redakcją Sama Ludwalla.” Otóż ja jestem założycielem oddziału „Societe Jules Verne” przy Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L Waryńskiego ul Gdańska 100, 90 508 Łódź. .Filia Societe J. Veme została oficjalnie otwarta dnia 25 maja 1983.. Towarzystwo Vernea choć od niedawna istnieje w Lodzi, dziś dzięki aktywności cieszy się zainteresowaniem szerokiego grona miłośników twórczości tego pisarza. Zainaugurowane zostało wystawą książek Vernea w wydaniu polskim, rosyjskim i rumuńskim z lat 1861-1900, wzbogaconą dość obszerną dokumentacją w języku francuskim na temat życia i pracy pisarza. Odbyła się także projekcja filmów francuskich.. Opracowałem juz w języku polskim i francuskim „Biografię dzieł Julesa Vernea”, wydanych w Polsce. Zawiera 46 tytułów, 186 wydań od 1870 roku. Zwracam się z prośbą do Redakcji o podanie adresu p Lastmana w Szwecji... Mozę pisać po francusku, niemiecku i angielsku. Z góry w imieniu swoim i Towarzystwa Verne’a w Lodzi, dziękuję

Winicjusz Łachaciński
ul. Żukowa 94/91, 95-200 Pabianice

Zgodnie z pańską prośbą podajemy adres: Jakub Lastman, Uddeholmsgatan 36, 214 50 Maimö

Na przełomie marca i kwietnia zeszłego roku w Belgii, w miejscowości Saint Niklaas koło Antwerpii, odbyło się 12 Biennale Małej Grafiki, które obejmowało również plon Międzynarodowego Konkursu na ekslibris SF. Przesyłam więc program tej imprezy i mój ekslibris, który został nagrodzony przez jury konkursu.

***Maksymilian Snoch** z Lublina*

W sprawie komiksu doszło do wielkiej dyskusji Czytelników „Fantastyki”, której jedynie echa jesteśmy w stanie zamieścić w „Lądowaniu”. Dyskusja trwa, a ja proszę gorąco o nadsyłanie opinii o nowo drukowanym komiksie. Po nim dopiero nasi autorzy zdołają przygotować dalszy ciąg historii o Funkym Kovalu.

Redaktor

Czarny romboedr

(Czornyj romboedr)

Igor Smirnow

I Oględziny miejsca wypadku doprowadziły kapitana sentwerów Resta do wniosku, że przyczyną śmierci profesora Grena było zatrucie serencją. Czy to przypadkiem nie samobójstwo? Przecież nawet w niewielkim stężeniu ta trucizna barwi każdy płyn na kolor zwykłej lemoniady. Pierwsza dowiedziała się o śmierci profesora laborantka Rola.
- Pani tu pracuje, enni? - zapytał kapitan.
- Tak. Profesor Greń był moim szefem.
- Dlaczego dzisiaj została pani dłużej w pracy?
Okazało się, że Rola nie zdążyła ukończyć analizy. W laboratorium została tylko ona i profesor. Jedynie trochę przed szóstą ersi Ruma Greń wpadła na chwile do męża... Tak, strzał słyszała, ale strzelano już po wyjściu ersi Rumy.
Rola odpowiadała niepewnie, zerkając płochliwie na wirujące krążki magnetofonu. Sentwer podał jej szklankę wody.
- Od dawna pracowała pani z profesorem Grenem?
- Sześć lat, ert kapitan.
- Co by pani mogła o nim powiedzieć?
Rola ożywiła się. Mówiła o profesorze jako o wielkim uczonym, całkowicie oddanym nauce, o jego odkryciach, o stosunku do podwładnych. Sentwer przerwał jej ostrożnie.
- Czy nie zauważyła pani jakiejś zmiany w zachowaniu profesora, na przykład podniecenia bądź przygnębienia?
- Nie wiem - Rola nerwowo szarpała chusteczkę. - Ostatnio miał chyba jakieś nieprzyjemności.
- W pracy?
- Nie. Raczej przez żonę. Zresztą mogę się mylić.
O przyjaciołach i znajomych profesora Rola niczego nie wiedziała. Wprawdzie kilka razy widziała erta Grena na bulwarze z jakimś staruszkiem - wysokim i sprawiającym wrażenie roztargnionego. Nazywa się Ros, Rys, czy jakoś podobnie. Mówiono, że spędzili razem ostatni urlop - chyba w Delmie - ale byli tam zaledwie cztery dni. Profesor Greń wrócił do instytutu - takie przynajmniej odniosła wrażenie.
- Kiedy to było?
- Niedawno. Tydzień temu.
- Ciekawe - Rest bawił się ołówkiem. - Wygląda na to, że w ciągu tych czterech dni urlopu profesorowi przydarzyło się coś, co wprawiło go w zły nastrój. Dobrze panią zrozumiałem, enni Rola?
Rest zadał jej jeszcze kilka pytań, odprowadził do drzwi i poprosił Nolisa, który tego niefortunnego dnia także był w laboratorium. Nolis pewnie odpowiadał na pytania sentwera. Pracuje w instytucie w stolarni. Enni Rola jest jego narzeczoną. Przyszedł do niej, bo zdobył bilety na premierę filmu, który bardzo chciała zobaczyć. Strzałów nie słyszał, usłyszał tylko krzyk enni Roli i pobiegł jej na pomoc. Leżała nieprzytomna przed otwartymi drzwiami gabinetu profesora. Kiedy Nolis cucił Role pojawili się sentwerowie i zatrzymali go. Czy spotkał przed budynkiem człowieka w niebieskim ubraniu? Tak, spotkał. Wydawało mu się nawet, że ten człowiek wyszedł wprost ze ściany domu.
- Tylko bez fantazji! - powiedział sentwer. - Przedtem nigdy go pan nie widział?
- Nie.
- Jak wyglądał?
- Jak wyglądał... - Nolis zmarszczył czoło. - Miał dziwną twarz. Jak maska. Taka jakby nieżywa.
- Tak. A dokąd, poszedł?
- Odjechał „kondorem”. Chyba w stronę Assonu.
- Nie zapamiętał pan numeru samochodu?.
- Nie zwróciłem uwagi.
Sentwer wyszedł na korytarz razem z Nolisem. Rola jeszcze nie poszła do domu. Kapitan zapytał ją, kto ostatnio pobierał serencje. Laborantka wyliczyła pracowników instytutu, którzy brali truciznę dla doświadczeń i nieoczekiwanie wśród ich nazwisk Rest usłyszał nazwisko ersi Rumy Greń.&

II Przesłuchanie ersi Rumy Greń niewiele Restowi dało. Młoda trzpiotka kokietowała sentwera, plotła oczywiste głupstwa nie dlatego, że chciała utrudnić śledztwo, ale po prostu bawiło ją kłamstwo dla kłamstwa, tym bardziej że wiedziała jak kapitana peszy jej niemądra paplanina. Enni Role nazywała swoją rywalką, o sobie mówiła jako o nieszczęśliwej żonie. Nie wiedziała, dokąd pojechał jej mąż w czasie urlopu iw jakim nastroju wrócił. Przyjaciół męża nie znała, potrafiła tylko wymienić profesora Rosa i jakiegoś dowódcę pułku, którego nazwiska nie pamiętała. Kiedy zaś Rest zapytał, w jakim celu wzięła z laboratorium serencje, odpowiedziała z uśmieszkiem, że w domu - proszę wybaczyć! - zalegly się karaluchy, a ta właśnie trucizna okazała sic niezawodna.
Skończywszy przesłuchanie świadka Rest odszedł od zajmującego prawie całą ścianę ekranu i zobaczył w lustrze swoją zmęczoną, zaczerwienioną twarz.
- To nic, Tum - powiedział do swego stalowego pomocnika. - I tak w końcu dojdziemy do prawdy. A tej... tej damulce uzmysłowimy niestosowność składania fałszywych zeznań. - Kapitan przeszedł się po gabinecie. - Kto następny?
- Świadek ert Ros - odparł robot, mrugnąwszy fioletowym okiem.
Sentwer jeszcze raz przejrzał się w lustrze, poprawił krawat i wrócił do pulpitu łączności. Rosa nie było w domu. Automat poinformował, że uczony poszedł z żoną przejść się po parku. Kapitan długo szukał na sali odpowiedniego zakresu, aż wreszcie na jednej ze ścieżek parku zauważył małżeństwo Rosów.
- Dobry wieczór - powitał ich uprzejmie.
- Dobry wieczór - uczony zdjął okulary i patrzył zmrużonymi, niedowidzącymi oczami na wyrosły przed nim przestrzenny wizerunek Resta. -Jestem panu potrzebny? Czyżby władze stęskniły się za starym Rosem? No, no... Sądzę, że wygodniej nam będzie rozmawiać w cztery oczy? Prawda? - Pogładził reke żony.
- Dara, kochanie, ponudź się trochę beze mnie. A ja tu... A wiec, ert pułkownik... A może generał?
Wspierając się na lasce i nie przestając pomrukiwać z niezadowoleniem, powoli, starczym krokiem ruszył w stronę pustej rotundy. Usiadł na ławce i przygotował się do rozmowy. Rest dostroił się do rotundy.
- Wiec właściwie czego pan sobie życzy? - zapytał uczony, bębniąc palcami po gałce laski.
- Musze porozmawiać z panem o profesorze Grenie.
- Ach, Greń - Ros opuścił głowę i powoli położył laskę na ławce. Greń... Kto by przypuścił... Jeszcze wczoraj się z nim widziałem! Bezradnie wzruszył ramionami. - Pozwoli pan, mój drogi, że sam opowiem wszystko, co wiem. Widzi pan, pytania...
- Ależ oczywiście. Tylko prosiłbym o jak najwięcej szczegółów. Dłuższą chwile uczony zbierał myśli, marszcząc wysokie czoło, potem zaczął mówić, niespiesznie, cicho, patrząc w podłogę i jakby sam do siebie:
- Wie pan, odniosłem wrażenie, że to wszystko zaczęło się od naszego wyjazdu. Greń paskudnie się czuł i doktor Arzo poprosił mnie o przysługę: chciał, żebym zabrał profesora na łono przyrody, daleko od powszednich trosk i niepokojów. Najbardziej winna jest tu oczywiście ersi Ruma. Jest młoda, niewątpliwie piękna, ale to głupia egoistka i ma okropny charakter. Dla Grena życie z nią było istnym piekłem. Nie miał ani sekundy spokoju, był ciągle podenerwowany...
- Wiec ruszyliście w podróż... - przypomniał profesorowi sentwer.
- Tak, tak. - Ros podniósł głowę i jakby zaskoczony patrzył na kapitana. - Tak, ert. Zaplanowaliśmy naszą wyprawę na dwadzieścia dni, a w sumie byliśmy tylko cztery. Taak... Przecinając cypel Awa zauważyliśmy interesujące pękniecie gruntu. Greń uparł się zbadać je dokładnie - jakby coś przeczuwał... I wtedy znaleźliśmy pieczarę.
- Pieczarę?
- Zostańmy na razie przy tej nazwie, mój drogi. To, co odkryliśmy, ma na pewno swą własną, niezwykłą nazwę, ale nie jestem, jeśli można tak to ująć, wielbicielem sensacji - a szczególnie braku skromności... Poszliśmy w głąb eee... pieczary. Była wystarczająco oświetlona, takim miękkim, zielonkawym blaskiem. Wszystko tam wyglądało niezwykle. Nawet ktoś zupełnie nieotrzaskany widząc te dziwnie zaplanowane sale i korytarze zrozumiałby, że to nie ludzie je wybudowali. Wiele rzeczy obróciło sie tam w proch, zmurszało i teraz rozlatywało przy pierwszym dotknięciu.
- Chwileczkę, ert Ros. Czy nie zechciałby mi pan wyjaśnić, co to było za zielonkawe światło, które obserwowaliście w pieczarze?
- Światło? Mhm... Nie wiem, mój drogi. Nie mogliśmy ustalić jego źródła. Prawdopodobnie świeciły ściany.
- Dziękuje. Proszę, niech pan mówi dalej.
- Mmm... Na czym to ja?... Aha! Mieliśmy aparat fotograficzny i na zmianę robiliśmy z Grenem masę zdjęć. Mnie bardziej interesowało wnętrze i różne drobiazgi, Grena zaś wyłącznie - nie wiadomo

dlaczego - freski. Właściwie to nie były freski... To były ogromne kolorowe fotografie, odbite, że tak powiem, wprost na ścianie. Przykro mi, mój drogi, że należycie im się nie przyjrzałem, ale wie pan, mój wzrok...
- To znaczy, że o treści fresków niczego pan nie może mi powiedzieć. Szkoda. A ile zdjęć zrobiliście?
- Dwie kacety. Prawie dwie, mój drogi. Na czym to ja?... Aha! W jednej z sal Greń zainteresował się przedmiotem składającym sie z wielu pierścieni.
- Przepraszam, ert Ros. Jak wyglądał ten przedmiot?
- Jak wyglądał... Widzi pan, podobny był do szkolnego modelu atomu, tylko orbit, że się tak wyrażę, elektronów, miał ze trzydzieści, dokładnie nie wiem, nie liczyłem.
- Sfotografowaliście go panowie?
- Nie, nie złożyło się...
- Proszę, niech pan mówi dalej.
- Mhmm. No wiec, przeszedłem się po innych salach, zmieniłem film i, kiedy wróciłem, zrozumiałem, że z Grenem coś się stało. Był blady, zmieszany, na jego twarzy zobaczyłem bezradność, jakiej nie widziałem u niego nigdy przedtem - a może lepiej byłoby powiedzieć - rozpacz? Nie wiem. Do tej pory nie mogę znaleźć odpowiedniego słowa. Tak... Najpierw pomyślałem, że to skutek dusznego powietrza w pieczarze i pociągnąłem go do wyjścia. Nie opierał się - w tej chwili można go było zaprowadzić wszędzie - tylko konwulsyjnie porwał z postumentu wielopierścienny aparat i zgarbiwszy się jak człowiek bardzo zmęczony, poszedł za mną. Tylko raz się zatrzymał - tuż przed wyjściem z pieczary. Wpił się wzrokiem w wysoki, zakurzony fresk i patrzył nań tak długo, że aż po niego wróciłem. Wtedy Greń zaczął brutalnie popychać mnie do wyjścia. Nie upierałem się. Byłem przecież przekonany, że wrócimy tam jeszcze nieraz i wszystko uda sie porządnie obejrzeć. Ale, jak pan widzi, nie było to nam pisane.
- Co pan chce przez to powiedzieć, ert Ros?
- Mam na myśli eksplozje pieczary, mój drogi.
- Taak. Co pan o tym wie?
- Nic. Mhmm. Zdecydowanie nic. Tylko tyle, że została wysadzona. Mogę coś jeszcze dodać?
- Oczywiście, proszę bardzo.
- Szkoda, naturalnie - powiedział tonem usprawiedliwienia. Ale co można teraz zrobić? Dobrze, że zostały zdjęcia.
- Właśnie, czy pan je wywołał?
- Nie zdążyłem, mój drogi. Nie zdążyłem. Wie pan, ostatnio zwaliły mi się różne delegacje, konferencje, zasiadania w komisjach. Dziś mam pierwszy wolny wieczór. I tak żona wyciągnęła mnie z domu.
- O ile zrozumiałem, ert Ros, wielopierścienne urządzenie profesor Greń zabrał ze sobą? Nie zna pan jego dalszych losów?
- Kiedyś byłem w instytucie i widziałem aparat w sejfie Grena przechowywał go bardzo starannie. Doskonale to rozumiem, mój drogi, sedno sprawy tkwi w tej zabawce. Greń nie pozwalał aparatu nawet dotknąć, a poza tym - proszę to wziąć pod uwagę usilnie prosił, aby nikomu nie mówić o pieczarze, dopóki czegoś sie o niej nie dowiemy.
- Rozumiem. - Kapitan zamilkł na chwile. - Proszę mi powiedzieć, ert Ros, nie próbowano państwa okraść?
- Próbowano. Tylko jakoś dziwnie: nic nie zginęło, wszystkie wartościowe rzeczy zostały na miejscu.
- Jest pan przekonany, że nic nie zginęło? Gdzie pan schował te kasety z filmami?
- Kasety?... Prawdopodobnie położyłem je tam, gdzie powinny leżeć. Nie widziałem ich od powrotu z pieczary. Myśli pan, że kasety? Komu mogłyby się przydać? Przecież nikt o nich nie wiedział.
- Ert Ros, bardzo proszą, żeby pan zaraz po naszej rozmowie wrócił do domu i odszukał kasety. To ogromnie ważne. O wynikach poszukiwań proszę mnie natychmiast zawiadomić.
- Dobrze, mój drogi. Oczywiście...
- Może pan coś jeszcze powiedzieć o tej sprawie? Ros w napięciu zmarszczył czoło.
- Sądzę, że powiedziałem wszystko.
- Czy pana żona mogłaby coś do tego dorzucić?
- Nie sądzę. Widzi pan, ona i Greń prawie się nie znali - widzieli sie raz czy dwa razy.
- Tak. To by było wszystko - Rest chwile pomyślał. - A mógłby mi pan powiedzieć, ert Ros, kto, poza panem, był bliskim znajomym profesora?
- Kto? Hm... Widzi pan, Greń był człowiekiem nietowarzyskim, trochę dziwakiem. Może dlatego nie szukał przyjaźni, nie potrzebował kontaktów z ludźmi. Wszystkiemu winna ta... piękność. Nie, nie, mój drogi, nie znam innych bliskich mu ludzi.
- A dowódca pułku?
- Dowódca pułku? Chwileczkę... A tak, pułkownik Kems. Jest taki. Ale to nie był dla Grena ktoś bliski. Łączyły ich czysto służbowe stosunki.
- Rozumiem. Ert Ros, nie widział pan przypadkiem człowieka w niebieskim włochatym ubraniu?
- Mówi pan w niebieskim? Hm. Tak, widziałem przypadkiem takiego po drodze. Na ile zrozumiałem wyjaśnienia gapiów był to jakiś hochsztapler, przedstawiający się jako wędrowny mag. Nazywał się eee... Bert-Hu-Ner czy jakoś podobnie?
- Bert-Hu-Ner? Stary znajomy. Może jednak pan się z nim kiedyś spotkał?
- Ja? Nie, nigdy. Mogę pana zapewnić.
- A profesor Greń?
- O ile wiem też nie. Zresztą, co mogło ich łączyć? Niech pan sam pomyśli, mój drogi.
- Ale może coś pan o nim słyszał, ert Ros, choćby od tych właśnie gapiów?
- Proszę wybaczyć... dlaczego interesuje pana ten... typek?
- Dlatego, że był w gabinecie profesora w chwili jego śmierci.
- Nie rozumiem, nieprawdopodobne. Do instytutu można wejść tylko z przepustką, Greń nigdy nie zgodziłby się go wpuścić. Zresztą po co?
- Ale jednak był u profesora, ert Ros - stwierdził kapitan. - Proszę mi pomóc zrozumieć, co skłoniło Grena do spotkania z Bert-Hu-Nerem; dlaczego spotkali się w instytucie, a nie gdziekolwiek indziej, czy istniała jakaś przyczyna, dla której wędrowny mag mógł nienawidzić profesora lub też się go bać?
Uczony długo masował wysokie, pomarszczone czoło, wreszcie podniósł głowę i bezbarwnym głosem powiedział.
- Nie wiem, mój drogi. Nic nie wiem. Całkowicie mnie to zaskoczyło, proszę mi wierzyć...
- Szkoda. - Rest odchylił się na oparcie krzesła. - Miałem nadzieje, że mi pan pomoże, ert Ros. Może zna pan przynajmniej człowieka mającego jakiekolwiek stosunki z Bert-Hu-Nerem?
- Nie, kochany... Proszę wybaczyć, tacy ludzie mnie nie interesuje
- Dobrze. Zostawmy na razie tego maga w spokoju i wróćmy na przylądek Awa. Zresztą... Nie zmęczyłem pana, ert Ros?
- Nie, mój drogi, porozmawiajmy, póki jest czas, bo potem, wie pan...
- W takim razie pomówmy jeszcze o pieczarze. Ale proszę na początek narysować plan i w miarę możliwości, jak najdokładniej opisać wszystko, co pan widział w każdej grocie.&

III Oględziny miejsca, gdzie znajdowała się pieczara nic nie dały: wybuch był tak silny, że wszystko rozpadło się na kawałki i wymieszało z ziemią na wiele metrów w głąb. Nawet gdyby teraz, metodą archeologów, dokładnie przekopać grunt wątpliwe, aby to przyniosło jakąś korzyść - odgrzebane strzępy nie stworzyłyby obrazu zniszczonej całości. Rest otworzył okno i pełną piersią odetchnął świeżym wieczornym powietrzem. Jasno migotały gwiazdy. Księżyce - duży i dwa małe - świeciły na bezchmurnym niebie. W krzakach szaleńczo dzwoniły cykady i ten dźwięk, czysty i delikatny, wydawał sie wypełniać cały świat.
- Zmęczył się pan, ert.
Sentwer obrócił się.
- Chyba nie, Tum. Wyłącz światło, będzie przytulniej.
- Więcej przesłuchań nie będzie?
- Na dziś wystarczy, zrobiło się późno... Co wiemy do tej pory?
- Nader mało, ert Rest. Wiemy, że profesor Greń posiadał zagadkowy aparat z wieloma pierścieniami. Niewykluczone, że ten właśnie aparat ujawnił profesorowi jakąś niepokojącą, a może i okropną tajemnice, przy czym wątpliwe jest, aby była to sprawa o charakterze osobistym.
- Tak, tak. A co dalej?
- Profesor zażył serencje - jedyną truciznę całkowicie niszczącą mózg. Gdyby po prostu chciał umrzeć, mógł posłużyć się jakąkolwiek inną trucizną. Miał pod ręką różne preparaty, a serencja była przechowywana w drugim końcu laboratorium. Ale tylko serencja mogła nas pozbawić możliwości zbadania mózgu erta Grena i poznania tajemnicy, którą ukrywał. Trzeba wyjaśnić czy profesor sam zażył truciznę, czy też był ktoś zainteresowany tym, aby tajemnica nigdy nie wyszła na światło dzienne. Czy nie dopuszcza pan współudziału Bert-Hu-Nera?
Rest uśmiechnął się sceptycznie.
- Nie jestem przekonany, że Bert-Hu-Ner i człowiek z nieruchomą twarzą, którego widział Nolis, to jedna i ta sama osoba. O ile pamiętasz, wędrowny mag ma niesłychanie ruchliwą twarz.
- Może włożył maskę, ert?
- Mógł, tylko po co? Nie lepiej było się przebrać? Nie, taki wniosek wydaje mi się przedwczesny. - Rest zapalił papierosa i powoli zaczął przechadzać się po pokoju. - No, niech będzie mag. W takim razie po co przyszedł do profesora? Jak do niego wszedł nie zauważony przez enhi Role? Przecież nie mógł przeniknąć przez ścianę! A w gabinecie był, to nie ulega żadnej wątpliwości. - Sentwer zatrzymał się przed robotem. - A ty uważasz, ze maga łączy coś z tą historią? Nie, Tum, nie. W tym tkwi coś innego. Nie widzę powodu, dla którego Bert-Hu-Ner miałby zabić Grena.
- Widocznie miał jakiś powód. Nie przyszedłby do profesora ot, tak sobie.
Na pulpicie alarmująco zamigotała jaskrawoczerwona lampka syngalizacyjna. Rest włączył ekran i zobaczył zdenerwowanego Rosa.

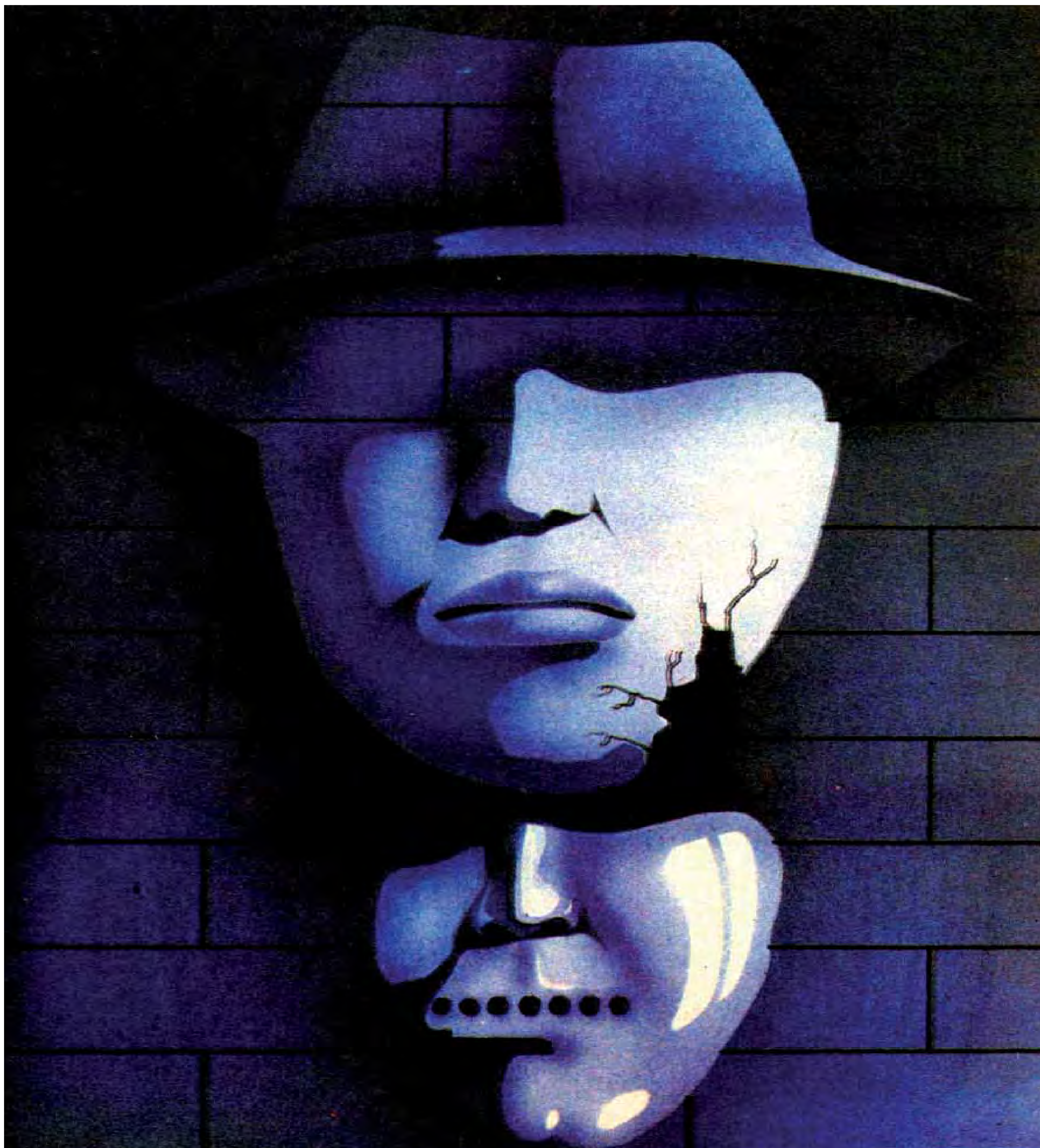
- Nie znalazł pan?
- Przed chwilą z żoną wszystko przeszukaliśmy. Kaset nie ma! Przepadły!
- To źle, ert Ros. Profesor Greń był sprytniejszy od pana. Ekran zgasł. Rest w zakłopotaniu potarł kark. Jasnoczerwone oczko znów zamigotało. Pojawił się fragment ruchliwej ulicy. Sentwer z drogówki, ocierając z twarzy brudny pot, zameldował:
- Przed chwilą na autostradzie Burita - Asson niedaleko Olmy w wyniku zderzenia samochodów jeden z kierowców w stanie ciężkim został odwieziony do szpitala, drugi - człowiek w niebieskim ubraniu prowadzący „kondora” - zginął w katastrofie i... zniknął.
- Jak to - zniknął?
- Sami nie rozumiemy. Niknął stopniowo: nogi, brzuch, piersi, a na końcu głowa.
- Do diabła! Wezwaliście ekspertów?
- Byli z nami.
- I co?
Sentwer w zakłopotaniu wzruszył ramionami. Rest warknął:
- Co znaleziono przy zabitym?
- Nic szczególnego, ert. Pistolet z dwoma magazynkami, pusty portfel, kilka torebek z chemikaliami, które prawdopodobnie zabrał z pracowni Grena, chustkę do nosa...
- A aparat? Aparat z wieloma pierścieniami?
- Nic więcej nie znaleźliśmy, ert kapitan.&

IV

Pułkownik Kems dobiegał pięćdziesiątki, ale był smukły jak młodzieniec. Tylko woskowa, sucha twarz ze śladami po ospie i głębokie zmarszczki zdradzały jego prawdziwy wiek. Zimne, przenikliwe oczy przybierały chwilami życzliwy wyraz, ale Rest cały czas nie mógł pozbyć się wrażenie, że Kems jest człowiekiem bezwzględnym i niebezpiecznym. Na pytania odpowiadał ochrypłym głosem, zdecydowanie i precyzyjnie. Tak, nieźle znał profesora Grena. Stosunki czysto służbowe. Pułk często dostarczał instytutowi materiałów wybuchowych do doświadczeń... a może nie tylko do doświadczeń? To go nie interesowało.
Tak, dziewiątego lipca Greń zażądał materiałów wybuchowych. Pułkownik naturalnie się zdziwił, że instytut potrzebuje tak wiele, ale nie pytał o powód i wydał, ile zażądali. Nie, zapotrzebowania na materiały wybuchowe nie dostał, ale Greń zasługiwał na zaufanie i pułkownik był przekonany, że nie dziś, to jutro zapotrzebowanie zostanie przysłane, aby pułk mógł się z materiałów rozliczyć.
Tak, Greń prosił o przysłanie do pomocy trzech żołnierzy-specjalistów i otrzymał ich bez zwłoki. I samochód. Ale kto mógł przypuszczać, że taki człowiek jak Greń okłamie go? Sam nie wie, czy oburzać się postępkiem Grena, czy mu współczuć? Kapitan Rest chce zobaczyć tych żołnierzy? Proszę bardzo! Nic prostszego! Pułkownik przez wideofon wezwał dyżurnego pułku i polecił przysłać do świetlicy tych żołnierzy - chce z nimi porozmawiać przedstawiciel służby śledczej. Kems podał Restowi stosowne dane, uśmiechnął się z przymusem, zasalutował i wyszedł. Za dziesięć minut sentwer połączył się ze świetlicą. Na jego widok trzech żołnierzy, szurając krzesłami, poderwało się z miejsc. Kapitan pozwolił im usiąść. Pierwszy zeznawał starszy grupy, LaTor. Rozwlekle, ze zbędnymi szczegółami, irytująco powolnie opowiadał o tym, jak dziewiątego lipca jego, Jałuza i Łona skierowano do dyspozycji profesora Grena. Załadowaną materiałem wybuchowym ciężarówką pojechali na cypel Awa, gdzie według planu profesora założyli silne ładunki na obwodzie koła o średnicy około stu metrów, przy czym siła wybuchu miała być skierowana w głąb. Choć ert Greń mówił, że zamierza po prostu trochę rozdrobnić skale, dla człowieka doświadczonego było oczywiste, że nie o rozdrobnienie skały tu chodziło. Wieczorem profesor Greń odesłał ich razem z samochodem do jednostki. Nie pozwolił zabrać ze sobą reszty ładunków wybuchowych. Jakby mimochodem powiedział, że wybuch może nie być potrzebny, a jechać z nimi na razie nie może, bo nieoczekiwanie wyłoniły się wątpliwości, które trzeba szybko wyjaśnić. Żołnierze wrócili do pułku bez niego. A na drugi dzień dowiedzieli się, że Greń jednak wysadził pieczarę.
- Kto wam o tym powiedział? - zapytał Rest.
- Niedaleko przylądka Awa był na ćwiczeniach jeden z batalionów naszego pułku i wszyscy słyszeli wybuch.
- Interesuje mnie co innego: kto wam powiedział, że eksplozja nastąpiła w pieczarze?
- Nikt, ert kapitan. Sami się domyśliliśmy - cóż tam można było wysadzić poza pieczarą? A dziesiątego pojechał tam szef sztabu nic nie zostało!
- Dobra. Wróćmy do dziewiątego lipca. Wy osobiście, La-Tor, widzieliście wejście do pieczary?
- Osobiście nie widziałem. Ale podobno Jałuz...
Sentwer pytająco spojrzał na Jałuza. Ten niezdecydowanie wzruszył ramionami.
- Co tu można powiedzieć? W rozpadlinę profesor schodził sam. Nas cały czas trzymał w dużej odległości od tego miejsca...
- Ale w końcu: widzieliście wejście? - przerwał Rest.
- Widziałem. - Jałuz uśmiechnął się krzywo - Nic szczególnego. Podszedłem na chwile, kiedy profesor był na dnie rozpadliny. Zejście było wygodne, opadające łagodnie - jakieś pięć, sześć metrów. Mam nie najlepszy wzrok i nie wiem, czy mi się nie wydawało, ale sama pieczara była chyba zbudowana z szarego metalu. Pękła tam ściana na szerokość mniej więcej dwóch ludzi i na wysokość wyciągniętej reki. A z wnętrza pieczary biło światło - takie zielonkawe. To chyba wszystko.
- Według was co profesor mógł zrobić z resztą materiału wybuchowego?
- Wydaje mi się, że zaminował pieczarę od wewnątrz.
- Czy możecie jeszcze coś dodać?
- Nie.
- A wy, Lon?
Młody żołnierz zmieszał się i opuścił wzrok.
- Nic, ert kapitan.
- Chcecie coś przede mną ukryć?
- Melduje, że nie. Po prostu jeden kolega widział na Awie człowieka...
- Pytają cie o poważne sprawy, a nie o żołnierskie bajdy - burknął La-Tor. - Ten Ritor naczytał się fantastyki...
- Proszę, Lon, mówcie dalej - przerwał sentwer.
- Było to nad ranem, dziesiątego lipca. Ritor wracał do batalionu z rozkazem od szefa sztabu i wtedy go zobaczył. Mówił, że był niższy ode mnie - miał jakieś półtora metra. Przyleciał przezroczystym pojazdem i lądował akurat nad miejscem wybuchu. Na pewno miał na sobie trykot - taki błyszczący jak szkło - i twarz miał też jakąś szklistą. Długo łaził po miejscu wybuchu i wyglądał na zmartwionego.
- Na zmartwionego?
- Ritor mówił, że był zmartwiony. Za jakieś pięć minut wgramolił się do tego swego aparatu - ale coś mu tam nawaliło - nie poleciał, trochę uniósł się i niemal gruchnął do morza. W czasie, gdy szarpał się ze swoim pojazdem Ritor dobiegł do batalionu i zameldował o wszystkim dyżurnemu. Dyżurny poderwał żołnierzy, ale i dziwny człowiek i przezroczysty aparat zniknęli bez śladu. Trafił się co prawda inny facet: wysoki, w staromodnym ubraniu, ale poszedł w stronę drogi do miasta. Ritor przysięga, że ten też miał dziwną twarz - jakby nieludzką.
- Tak... - Rest starał się panować nad sobą. -Jakiego koloru miał ubranie?
- Ritor mówił, że niebieskie, takie włochate.
- To wszystko bajdy, ert kapitan - wmieszał się znowu La-Tor. Naczytają się fantastyki...
Rest zdobył się na uśmiech.
- Zbieram żołnierskie bajdy - powiedział, wycierając twarz chustką.
- Zapisałem już ponad sto. Powiadacie, że wasz kolega nazywa się Ritor? Trzeba będzie z nim pomówić... Zakończywszy przesłuchanie sentwer przymknął oczy i spróbował zebrać myśli. To, co prasa donosiła niedawno o tajemniczym czarnym dysku, który wylądował na dużym księżycu, było niepokojące. Zjawienie się nieznajomego na cyplu pozostawało widocznie w związku z przylotem dysku.&

V

Przed Restem leżało kilka kartek z notatkami dotyczącymi sprawy. W skupieniu rysował czerwonym ołówkiem linie - to tu, to tam, potem wstał i zaczął spacerować po pokoju. Ekspertyza potwierdziła obecność dużej dawki serencji w organizmie Grena, nie wskazała jednak na zastosowanie wobec profesora przymusu. A zatem nie można wykluczyć, że otruł sie sam, a jeśli tak, to należy szukać przyczyny samobójstwa.
- No i cóż my tu widzimy, Tum? - powiedział Rest. - Jeszcze trochę i wszystko się poskłada. Trzeba będzie jeszcze porozmawiać ze staruszkiem Rosem. Bez niego sobie nie poradzimy. Zresztą, mamy jeszcze jeden punkt zaczepienia.
- Urządzenie z wieloma pierścieniami?
- Właśnie...
- Ktoś się zgłasza, ert Rest! Może to ten, na kogo pan czeka? Kapitan włączył ekran i zobaczył nieznajomą twarz o policzkach przeciętych dwiema pionowymi zmarszczkami. Spod kosmatych, białawych brwi patrzyły niespokojne, głęboko osadzone oczy.
- Ja... ten... - Mężczyzna gestem pełnym niepewności gładził szczeciniasty podbródek. -Ja... ja jestem palaczem. Moje nazwisko Pigur. Podobno interesuje pana profesor Greń?,
- Tak, ert Pigur, niech pan mówi!
- Pomyślałem sobie, że może powinien pan wiedzieć, że profesor zajrzał tu kiedyś w czasie mojego dyżuru i jakoś tak chyłkiem za moimi plecami wrzucił do pieca coś z szarego metalu. Wyglądało na to, że najpierw to połamał i... wrzucił.
- Którego to było?
- Dziesiątego lipca, tuż przed fajrantem. Był jakiś dziwny. O nic go nie pytałem, on też nic nie mówił. Wtedy nie widziałem w tym nic podejrzanego - często przychodzą do nas coś tam spalić - ale po tym co się stało...
- Ert Plgur, pana piec ma automat fotografujący?
- Jasne, ma. Mhm - różne rzeczy tam palą, wiec się fotografuje. A potem komisja patrzy, co i jak.
- Czy komisja już oglądała zdjęcia z dziesiątego lipca?
- Nie. Będą wszystko sprawdzać pierwszego sierpnia. To się robi



raz na miesiąc.
- Doskonale. Dziękuje panu, ert Pigur - powiedział sentwer. Złożył pan bardzo ważne zeznanie. A zdjęcia dziwnego przedmiotu odbiorę od pana już dziś.&

VI Na ekranie pojawiła się ersi Dara Ros. Jej zmęczona twarz nosiła ślady dawnej urody. Obojętnie popatrzyła na Resta i, ocierając chusteczką zaczerwienione oczy, zaczęła cicho:
- Któregoś dnia...
- Chwileczkę, kiedy dokładnie?
- Ósmego lipca. Wróciłam do domu wcześniej niż zwykle. Drzwi były otwarte. Zaniepokoiłam się, choć nasza wnuczka czasem zapomina zamknąć idąc się bawić. Rzecz w tym, że szóstego i siódmego lipca ktoś był w naszym mieszkaniu. I wtedy też odkryłam ślady cudzej obecności. Weszłam do pokoju i zobaczyłam Grena, który schował się za kotarą. Zaczął coś chaotycznie opowiadać o jakimś dokumencie, ale od razu wyczułam, że kłamie. Greń kłamał! Tak bardzo kłóciło się to z moim wyobrażeniem o nim, że gotowa byłam krzyczeć! O niczym nie wspominałam mężowi. Nie chciałam go denerwować, chodziło przecież o jego przyjaciela. Nie wiedziałam wtedy, czego Greń mógł szukać w naszym domu. Teraz oboje z mężem jesteśmy przekonani, że chodziło o kasety z filmami. Jedną zresztą zabrał!
- Zabrał! - krzyknął Rest. - A gdzie druga?!
- Znaleźliśmy wśród zabawek wnuczki...
- A!... Ert Ros! Ert Ros! - kapitan niecierpliwie zamachał ręką, jakby chciał wywołać uczonego spoza ekranu. - Wywołał pan film?
- Eee... nie zdążyłem... widzi pan, to wszystko...
- Niech pan nic nie robi! Zaraz do pana przyjadę! Chce ten film wywołać sam!
- Dobrze, ert Rest.
- Chciałbym jeszcze o Coś zapytać. Rozmawiał pan o tych filmach z Grenem?
- Tak, mój drogi, oczywiście. Na drugi dzień po naszym powrocie Greń wpadł do mnie i pytał o kasety: gdzie są i czy je wywołałem. Był przekonany, że chodzi o jeden film, nie mówiłem mu, że zrobiłem dwa. Poprosił mnie o ten film, zgodziłem mu się go oddać, ale troszkę się starliśmy. Greń zezłościł się i powiedział, że jego noga nie postanie więcej w moim domu. Wyczułem wtedy coś niedobrego i zrozumiałem, że oba filmy są czymś cennym i

dlatego uważałem za konieczne przedstawić je Radzie. Greń był zdecydowanie przeciwny. W ogolę ostatnio bardzo się zmienił, mój drogi. Siódmego poszedłem się z nim pogodzić i jako krok pojednawczy zaproponowałem mu, żeby mi podarował swego robota Slima, a on nagle mnie zapytał: „Co byś powiedział, Ros, gdyby się okazało, że nie jestem człowiekiem, tylko robotem, jak Slim?". Odpowiedziałem, że byłbym dumny z takiego robota.
- Tak, to ciekawe. - Sentwer wyczekująco patrzył na uczonego. Z pieczary wynieśliście tylko wielopierścienne urządzenie? Ros zmieszany spuścił oczy.
- Właściwie... Chyba z roztargnienia włożyłem do kieszeni - słowo daje, nieświadomie! - czarny romboedr, zrobiony z czegoś takiego jak szkło. Wątpię, aby był szczególnie cenny dla nauki!
- Jak wygląda?
- Normalny sześciościan. Wielkości kurzego jaja. Lekki. Jedna ścianka matowa... Bardzo spodobał się wnuczce! - uczony ciepło sie uśmiechnął. - Bawiła się nim parę dni i mówi, że „czarna zabawka" pokazała jej straszny film. Dzieci mają fantazje!
- Dzieci często fantazjują - przytaknął Rest. Pochylił głowę, aby profesor nie ujrzał jego zmienionej nagle twarzy. Coś go olśniło.&

VII Rest stał przy oknie. Odpalił papierosa od papierosa. Patrzył na miasto i nie widział go. Myślał. Jakby z oddali doszedł go głos robota:
- Śledztwo zakończone, ert.
Kapitan drgnął i powoli obrócił się do Tuma.
- Zakończone?.. A co my wiemy?
- Znamy wystarczająco wiele faktów, zwłaszcza od chwili, gdy udało się panu ożywić milczący romboedr. Chce pan jeszcze raz zobaczyć starą kronikę?
Nie doczekawszy się odpowiedzi, robot ustawił romboedr tak, aby jaskrawe światło padało na jego matową ściankę. W gabinecie pojawiła się niebieskawa poświata i Rest znowu zobaczył to, co widział już wiele razy. Nadajnik z obcej planety przedstawiał tragiczną historie przybyszów z Kosmosu od momentu ich wylądowania na tej planecie. Kamera ukazała najpierw podobny do gigantycznego koła kosmolot i jego załogę. Potem - nieudane lądowanie, które większość kosmonautów przypłaciła życiem. Ci, którzy ocaleli doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że nigdy nie zobaczą ojczystej planety, że, do końca swoich dni będą więźniami nieznanego, prymitywnego świata, będącego dopiero na etapie łuku i dzidy.
Tak, Rest niewątpliwie popełnił błąd pozostawiając Tumowi czarny romboedr. Czyż można było jednak przewidzieć, jaką krył tajemnice? Tum przeanalizował materiał i wyciągnął logiczne wnioski, połączył wszystkie ogniwa łańcucha dawnych wydarzeń. Teraz już przepadło...
Przed oczami Resta zaczęły przesuwać się sceny sprzed tysiącleci.
...W pół roku po fatalnym lądowaniu pozostał przy życiu tylko jeden kosmonauta - reszta padła ofiarą nieznanych chorób i zatrutych strzał tubylców.
Ocalały kosmonauta długo cierpiał w samotności, próbował uczyć prymitywne plemiona, co o mało nie skończyło się zemstą zazdrosnych szamanów i dłuższy czas ukrywał się w gwiazdolocie, który powoli pogrążał się w piasku wydm. Zrobił biedak wszystko, aby upodobnić się do tubylców, ale niewiele to dało. Wiele czasu spędził na próbach stworzenia sobowtóra, którego towarzystwo urozmaiciłoby mu dolegliwą samotność. Pech chciał, że w momencie narodzin sobowtóra znaleźli się w kosmolocie zwiadowcy sąsiedniego plemienia. Zobaczywszy niezwykłe pojawienie się innego człowieka natychmiast donieśli o tym swojemu wodzowi, a ten - namówiony przez sprytnego czarownika - kazał ich obu przyprowadzić do siebie. ...Długo się nawzajem nie rozumieli.
Wódz plemienia obiecał zostawić w spokoju kosmolot i darować życie kosmonaucie pod warunkiem, że ten w zamian za zabitych w bitwach wojowników stworzy mu nowych. Przybysz musiał w końcu ustąpić. I oto w obecności całego plemienia stworzony przez obcego robot zaczął zmieniać wygląd. Powoli upodobnił sie do rosłych tubylców, był tylko bardzo kanciasty, lepiej umięśniony, a jego oczy miały tępy, bezmyślny wygląd. Potem, jak ameba, zaczął dzielić się na dwóch, czterech podobnych do siebie... A dzicy cieszyli się, że plemieniu przybędą liczni i silni wojownicy, którzy wreszcie pokonają okrutnych sąsiadów i przepędzą ich poza granice doliny.
Wódz plemienia częściowo tylko dotrzymał słowa: gwiazdolotu nie zniszczył, ale przybysza nie puszczał od siebie na krok, a od czasu do czasu zmuszał go do tworzenia nowych wojowników. Te bezlitosne hordy ruszały ze zwycięskim wyciem, krusząc po drodze słabsze plemiona i narody...
Rest zmusił się do odwrócenia wzroku od niesamowitego szarawego ekranu i przerwał wyjaśnienia robota:
- I cóż ty z tego wszystkiego rozumiesz, Tum?
- Dawno wszystko zrozumiałem, ert.
- Mhm, tak... a wiesz teraz, kim jest człowiek w niebieskim ubraniu?
- Wiem. To nie Bart-Hu-Ner, jak najpierw sądziliśmy. Wędrowny mag tydzień temu zginął zasypany lawiną w górach Nurmezji, a w jego postać wcielił się ktoś inny - ktoś, kto był zainteresowany w ukryciu tajemnicy tysiącleci. Właśnie tego kogoś widział żołnierz Ritor, gdy wraz z kolegami wrócił na cypel. Wtedy nieznajomy był już ubrany na niebiesko, stał się wyższy i tylko twarz go zdradzała: trudno od razu przywyknąć do cudzego ciała.
- Ten drugi - dla uproszczenia nazwijmy go Bert-Hu-Ner Samozwaniec - mógł nie tylko przybrać cudzą postać, mógł także przenikać przez ściany, o czym świadczy jego pojawienie się w gabinecie profesora Grena. Bert-Hu-Ner Samozwaniec zjawił się u profesora tuż po tym, jak ten zażył serencje - kontynuował Tum.
- Właśnie wtedy miał miejsce spór, którego treści możemy sie jedynie domyślać. Nieznajomy, a ściślej: przybysz, a jeszcze ściślej: daleki potomek tych, którzy odwiedzili nasz świat przed tysiącleciami - doskonale wiedział o wysadzeniu pieczary i roli Grena. Wiedział też o materiałach będących w posiadaniu profesora i stanowiących jedyne we Wszechświecie ślady działalności ocalałego przybysza.
Umierając profesor zrozumiał, kto się u niego zjawił i, być może powodowany chęcią zemsty, powiedział, że nie ma już ani wielopierściennego aparatu, ani filmów, że wszystko to posłał przez posłańca akademikowi Ersi-Doranowi. Jednego nie rozumiem, ert: co skłoniło profesora do strzelania do przybysza. I to aż pięcioma kulami! Bezsilna wściekłość? Zemsta? Strach przed przyszłością, którą widział w czarnych barwach? A może po prostu takie było działanie trucizny?
Bert-Hu-Ner Samozwaniec - lekko ranny w reke - wyszedł z instytutu tak samo, jak się do niego dostał: przez ścianę, ukradł pierwszy z brzegu samochód i pojechał do Ruziny, mając nadzieje, że dogoni posłańca - tak musiało być, bo po cóż w przeciwnym razie ryzykowałby życiem pędząc po autostradzie Burtita - Asson?
A tak w ogóle po co ta hipokryzja, ert Rest? Przecież pan doszedł do takich samych wniosków! Słuchając mojej gadaniny chce pan po prostu zyskać na czasie, zdobyć możliwość realizacji swego planu: pan myśli, jak się mnie pozbyć, ale ja już wiem, jak ocalić życie!
- Nie gadaj bzdur, Tum - powiedział Rest opanowawszy się.
- Jak sądzisz, dlaczego Greń się zabił?
Rozległ się coś jakby śmieszek. Ten automat rzeczywiście poczuł sie pewnie! Mówi śmiało, nic nie ukrywa...
- Zaraz to wyjaśnię, ert Rest. Wielomiesięczna, wyczerpująca praca w instytucie, narwana i głupia żona, z którą nie miał spokojnej chwili i w końcu tajemnica pieczary, echo tysiącleci, które go doszło - kulminacyjny punkt, kryzys, granica tego, co mógł wytrzymać człowiek w jego sytuacji. Ostatnie miesiące osłabiły erta Grena, pozbawiły go woli, wszystko go nużyło i męczyło. Cały świat stał się dla niego straszliwym potworem, który okrutnie podeptał wszystko, co do tej pory było święte i czyste jak sama prawda. Ert Greń otruł się, bo nie widział innego wyjścia. Tajemnica kosmolotu była dla niego czymś przerażającym, okropnym, nie mógł sobie z nią poradzić. I do tego bał się jej ujawnienia. Ale raz sam ją odsłonił wtedy, kiedy zapytał erta Rosa: „Co byś zrobił, gdyby się okazało, że nie jestem człowiekiem, tylko robotem jak Slim?" Pan sam, ert, wykrzyknął wtedy: „I tu jest pies pogrzebany!"
Rest przystanął i, popatrzywszy na Tuma, zaczaj ochryple:
- Tak. Greń nie chciał, żeby planeta dowiedziała się prawdy. Lepiej od innych rozumiał konsekwencje swojego odkrycia. Ale co w nim jest potwornego?
Po dłuższej chwili z trudem wydobył z siebie:
- Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, Tum... szczerze mi ciebie żal. Ale nie mogę inaczej. Poczucie odpowiedzialności za losy rozumnych mieszkańców planety zmusza mnie do zastosowania rozwiązań ostatecznych...
Rest podszedł do swego stalowego pomocnika, chcąc wyciągnąć z jego pojemnika film i taśmy magnetofonowe. -Nic pan nie zrobi, ert - twardo powiedział Tum. Fioletowe oko rozbłysło jaśniej niż zwykle:
- W momencie pojawienia się indeksu mojej zagłady zacznie automatycznie pracować rozpylacz metanu. Nie wyjdzie pan z gabinetu, gdyż drzwi i okna „zamknę wedle sobie tylko znanego kodu.
- Ach, to tak?... Jesteś przewidujący. - Restowi ręce zaczęły drżeć czoło pokryło się zimnym potem. - Bardzo przewidujący... Nie przypuszczałem, że posłużysz się własnym kodem. Podszedł do okna i długo patrzył na miasto. Stąd, ze wzgórza, widać było jak białe, tonące w zieleni sadów i parków domy schodzą do morza, Z czystym powietrzem wdziera! się do gabinetu delikatny zapach miedzianek i bujny aromat cyrii. Może wyskoczyć przez okno do ogrodu; teraz, już, póki nie jest za późno?
Okno powolutku zamknęło się. Rest spojrzał za siebie. Tum stał przy pulpicie sterowniczym i spokojnie patrzył na kapitana:
Nie chce pan umierać, ert, wiem o tym, Ale przecież pan nie musi. Nie dotarliśmy jeszcze do sedna sprawy. Proszę, niech pan uważnie przejrzy te kadry romboedru, którym poświecił pan mniej uwagi.
- Jakie kadry? - niepewnie zapytał Rest.
Tum, zamiast odpowiedzi, odwrócił czarny odbiornik odwrotną stroną ku lampie i cierpliwie czekał, aż znów pojawiły się

początkowe obrazy dalekiej historii planety. Były przerażające: otępiali ze strachu ludzie, pokornie przyjmujący okrutną śmierć.
- Po co to? - powiedział wrogo sentwer. - Sprawia ci przyjemność oglądanie męki tych nieszczęśników?
- Zauważyłem już dawno, ert, że źle pan znosi takie obrazki, ale proszę uważnie porównać praszczurów człowieka z tym, co pan widzi na tych zdjęciach.
Rest przenosi! powoli roztargniony wzrok z jednego zdjęcia na drugie i, choć podświadomie wyczuwał istniejące różnice, nie potrafił powiedzieć, na czym polegają. Nagle go olśniło!
- Oczy!?
- Nie tylko oczy, ert. Twarze ludzkie mają więcej wyrazu, ludzie są zgrabniejsi, mniej topornie zbudowani...
- Chcesz powiedzieć, że...
- Tak, ert. Wszyscy wojownicy będący sztucznymi systemami cybernetycznymi zginęli, a ludzie - prawdziwi ludzie - opłakiwali ich jak swoich bliskich, bo przecież nie wiedzieli - bo i skąd? czym

- Rozumiem, Tum. - Znalazłszy w lodówce lód Rest długo i starannie chłodził rozgorączkowaną twarz- Jestem do niczego – powiedział, odkaszlnąwszy. - Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że po prostu nie może być takiej bredni, jak stworzenie samorozmnażających się biorobotów, stojących wyżej niż ludzie! To samo w sobie jest niewyobrażalne! - Rest przycisnął skronie. Po palcach spływały mu strużki wody z topniejącego lodu. I to jest wszystko, co niepokoiło Bert-Hu-Nera Samozwańca? Dlaczego starał się zniszczyć ślady obecności swych współziomków na naszej planecie?
- Przybysz bał się właśnie tego, co zdarzyło się panu, ert, i ertowi Grenowi.
- To znaczy?
- Bał się, że ludzie nie będą w stanie do końca pojąć tego, co stało sie tu przed tysiącleciami i dojdą do wniosku, że pochodzą od biorobotów. Wielopierścienny aparat nie zawierał wszystkich danych. Jeśli chodzi o profesora Grena, prawdopodobnie doszedłby do prawdy, gdyby miał sześciościan lub choćby drugą kasetę z



są bioroboty. Przybysz niszczył swoje twory świadomie, za co prawdopodobnie został uśmiercony. Proszę się dokładnie przyjrzeć temu zdjęciu: tutaj przybysz nie udoskonala schematu, jak pan to interpretował, lecz odwrotnie - wnosi poprawki, powodujące szybszą utratę energii: nie chciał dać wodzowi nieograniczonej siły, a poza tym bał się niekontrolowanego rozmnażania biorobotów, którego skutki byłyby prawdopodobnie tragiczne. Rest czuł, jak głowę zapełnia mu ciemna mgła, ale był zbyt słaby, aby jej się pozbyć. Kojarzył z trudem. Słowa Tuma docierały do niego jakby przez sen, choć starał się dokładnie je zrozumieć.
- To znaczy - umarli... Wszyscy, co do jednego... - powiedział słabym głosem, uciskając skronie palcami i patrząc w ekran. - Wszyscy, co do jednego.
- Tak, ert.
- Duszno - Rest zaczął rozpinać kołnierzyk. - Czemu jest tak duszno, Tum?.. A, prawda... - Chwiejąc się. podszedł do okna i oparł czoło o chłodną szybę. - Pułapka. Grobowiec.
- Proszę wybaczyć, ert. Nie rozumiem.
- Otwórzże okno! Nie ma czym oddychać! Tum jakby nie słyszał sentwera. Migając fioletowym okiem bezbarwnym głosem ciągnął dalej:
- Mam wrażenie ert, że do tej pory nie dotarło do pana najważniejsze: jest pan człowiekiem! Wszyscy jesteście ludźmi, prawdziwymi ludźmi, a nie potomkami samorozwijających się systemów cybernetycznych. Bioroboty wyginęły, wszystkie! Co do jednego! Gdyby profesor Greń miał dostęp do drugiego filmu, a jeszcze lepiej - do czarnego romboedru - nie doszedłby do mylnego wniosku o swym pochodzeniu i nie popełniłby samobójstwa. Przecież on przypuszczał” że stworzone przez przybysza istoty zniszczyły ludzkość!

filmem, ukazującego zagładę biorobotów. Zresztą któż to może wiedzieć... Był całkowicie zbiry z tropu informacjami, które odnalazł w pieczarze. Nie miałby chyba sił, żeby na trzeźwo i bez emocji przeanalizować sytuacje- , Rest nie słuchał Tuma. Teraz, gdy trochę oprzytomniał, w głowie zaczęły mu się tłoczyć myśli - jedna przeraźliwsza od drugiej. Z lekiem myślał o tym, że wcześniej czy później tajemnica przestanie być tajemnicą, rozpoczną się plotki, niedorzeczne i bezsensowne. Ludzie staną się wobec siebie pełni nieufności. Kto jest robotem?... Ja?... Mój sąsiad?...Ludzie na ulicy?... Z okrutną jasnością wyobraził sobie cierpienia otumanionych, pozbawionych gruntu pod nogami ludzi. Tak przecież stało się z Grenem... Tych ludzi nic nie przekona, na wieczność wydani będą na pastwę niewiary i wątpliwości.
- Tum! - Rest sam wystraszył się swego głosu, brzmiącego w ciszy dziwnie głośno i przenikliwie. - Zniszcz ten romboedr! Fioletowe oko zmętniało. Robot powoli wziął ze stołu czarne szkiełko i zgniótł je w potężnych metalowych dłoniach. Rozległ sie cichy trzask. .
- Zdecydował pan, ert...
- Tak, Tum. Zrozum, nie będzie tajemnicy, nie będzie plotek jeżeli... - Sentwer wyrwał z pojemnika robota film, zerwał taśmę magnetofonową i wszystko to podpalił na metalowej kuwecie. Potem oparł się piersią o Tuma i wyrecytował przez zęby:
- S-264-z!
Oko Tuma przygasło. Zadrżał i ucichł. Rest szybko otworzył sektor pamięci, wyjął bloki i wrzucił je do ścierającego zapisu urządzenia. Czuł już zapach gazu i spieszył się, chcąc skończyć to, co musiał zrobić w ostatnich chwilach życia... Pogrążając się powoli w mglisty niebyt, całkowicie obojętnie słuchał, jak ktoś próbuje otworzyć drzwi gabinetu...

Przełożyła **Anita Tyszkowska**

Frederik Pohl

Farmer na ulicach miasta

(Farmer on the Dole)



Na wschód aż po horyzont ciągnęło sie tysiąc akrów soi, po drugiej stronie drogi, na zachód - drugie tysiąc akrów kukurydzy. Zeb ze złością kopnął zawór irygacyjny i przyglądał się jak licznik rejestruje zmianę przepływu. Przeklęta pogoda! Dlaczego nie pada? Wciągnął głęboko powietrze i marszcząc brwi potrząsnął głową. Względna wilgotność osiemdziesiąt pięć procent. Nie, bliżej osiemdziesięciu siedmiu. A na niebie ani jednej chmurki.

- Dzień dobry - zawołał sąsiad z pola za drogą.

Zeb skinął głową. On był od soi, a Wally od kukurydzy i nie mieli wspólnych tematów, ale wypadało zamienić z nim kilka słów. Wyciągnął z kieszeni chustkę i przetarł czoło.

- Musiałem zwiększyć przepływ - zagadał uprzejmie.

- Ja też. Tyle tylko, że CO_2 wzrosło. Mamy chociaż dobrą przemianę węglową.

Zeb chrząknął i schylił się po grudkę ziemi. Rozgniótł ją miedzy palcami badając próchnice i polizał.

- Znowu mało kobaltu - stwierdził po zastanowieniu. Ale Walh’ego nie obchodził skład gleby.

- Zeb? Słyszałeś coś?

- O czym?

- O wszystkim. No wiesz.

Zeb odwrócił się w jego stronę.

- Chodzi ci o te zwariowane plotki o zamykaniu gospodarstw rolnych, chociaż każdy wie, że nie mogą tego zrobić. Nic takiego nie słyszałem, a jeśli nawet ktoś coś o tym mówił, to nie zwróciłem na to uwagi.

- Tak, Zeb, ale mówi się, że...

- Mogą gadać co chcą, Wally. Ja nie słucham, a teraz musze wracać, bo Becky i dzieciaki będą się martwić. Cześć. - Odwrócił się i pomaszerował w stronę chat.

- Wujek Puszka - krzyknął za nim drwiąco Wally, ale Zeb udał że nie słyszy. Wyjął tylko chustkę i znowu wytarł czoło.

To nie był pot. Zeb nigdy się nie pocił. Ręce, plecy i pachy miał zawsze suche, niezależnie od pogody i od tego jak długo i ciężko pracował. Lśniące krople na jego czole pochodziły z powietrza. Izolacja wokół superchłodzonych złączy Josephsona, które tworzyły jego mózg była dobra, ale nie idealna. Kiedy myślał intensywniej niż zwykle, wzmagało się działanie zespołów chłodzących.

A Zeb miał wiele do przemyślenia. Zlikwidowanie gospodarstw rolnych? Tylko idiota mógłby w to uwierzyć! Każdy robi to, co do niego należy. Uprawia ziemie, sieje, albo sprząta i gotuje w domu Właściciela, albo uczy jego dzieci, albo wozi panią Właścicielkę w odwiedziny do innych właścicieli. Takie jest życie na farmie i zawsze tak będzie, bo jak inaczej?

Zeb poznał odpowiedź na to pytanie następnego dnia, zaraz po kościele.

Zeb był robotem Klasy A o ilorazie inteligencji sto trzydzieści pięć i chociaż miał wmontowane blokady związane z jego przeznaczeniem, to jednak nie powinno go było to zaskoczyć. Szczególnie, gdy usłyszał, że wielebny Harmswallow wybrał tego ranka fragmenty z Mateusza i Błogosławieństwa, zwłaszcza to, że cisi posiądą ziemie. Wielebny był pulchnym mężczyzną o różowej twarzy, a jego najlepsze kazania dotyczyły grzechu i nieuniknionego ognia piekielnego. Zawsze był rozczarowany, że

robotnicy rolni należący do jego parafii nie byli fizycznie przystosowani do co ciekawszych grzechów, ale kompensował to sobie kładąc szczególny nacisk na pokorę.
- Nawet wtedy - zakończył potrząsając głową - gdy wszystko układa się nie tak, jak sądzicie, że powinno. Teraz odśpiewamy hymn, a potem ludzie od soi zbiorą się w sali gimnastycznej, a ci od kukurydzy w holu na drugim piętrze. Wasi właściciele mają wam coś do przekazania.
A wiec nie była to niespodzianka i Zeb właściwie nie zdziwił sie aż tak bardzo. Już od dawna jakaś cześć jego kriobwodów w czaszce ze stali tytanowej rejestrowała złe znaki. Małe opady. Zubożenie gleby. Strąki rosły duże, bo powietrze było bogate w węgiel. Ale gorący wiatr wysuszał je szybko, choćby się nie wiadomo ile podlewało. A to były tylko fizyczne oznaki. Zachowanie Właściciela też było wymowne - wzdychał wtedy, gdy powinien był się śmiać, nie zauważał nawet, że niektóre chaty trzeba wybielić albo że na rabatach pienią się chwasty. Zeb widział to wszystko i wyciągał właściwe wnioski. Blokady temu nie przeciwdziałały, nie pozwalały jedynie na mówienie o tym, czy na świadome rozważania. W programie Zęba nie było zmartwień. Musiał mieć zawsze uśmiechniętą twarz.
Tak wiec po wysłuchaniu Właściciela wyglądał na równie zaskoczonego jak cała reszta pracowników.
- Jesteście dobrymi pracownikami.- wielkodusznie oświadczył Właściciel. Jego blada, inteligentna twarz dziwnie wyglądała pod słomianym kapeluszem. - I doprawdy pragnąłbym, żeby wszystko mogło toczyć się tak jak do tej pory, ale to niemożliwe. To ten program rozwoju rolnictwa - wyjaśniał. - Idioci z Waszyngtonu ograniczyli dotacje tak, że nie opłaca się już tutaj nic uprawiać. Ale nie jest całkiem źle - dodał pogodniejszym głosem. - Z pewnością ucieszy was wiadomość, że zwiększyli fundusz pomocy dla rolników. Wiec moja żona, ja i dzieci mamy zabezpieczoną przyszłość. A nawet - rozpromienił się - jeśli chodzi o pieniądze, będziemy w lepszej sytuacji niż dotąd!
- To wspaniale!
- Bogu niech będą dzięki!
Wszyscy odetchnęli z ulgą. Smutek rozpłynął się w uśmiechach. Wtem odezwał się Zeb:
- Proszę Pana? Przepraszam, że pytam, ale co będzie z nami? Zatrzymacie nas?
Właściciel zniecierpliwił się.
- Ależ to niemożliwe. Nie moglibyśmy dostawać pieniędzy z funduszu, gdybyśmy uprawiali ziemie, wiec nie ma sensu trzymać tutaj was wszystkich, nie rozumiesz tego?
Cisza. Wreszcie odważył się następny pracownik.
- A Właściciel pól kukurydzy? Potrzebuje dobrych robotników? Wie pan, że nie znosimy kukurydzy, ale można nas szybko przeprogramować...
Właściciel pokręcił głową.
- W tej chwili mówi swoim ludziom to samo. Nikt was nie potrzebuje.
Robotnicy spojrzeli po sobie.
- Kaznodzieja, on nas potrzebuje - zasugerował jeden z nich. Tworzymy jego parafie.
- Obawiam się, że wielebny Harmswallow już was nie potrzebuje. - Właściciel wyprowadził go z błędu. - Od dawna chciał zostać misjonarzem i właśnie dostał wezwanie. Nie, jesteście niepotrzebni, po prostu.
- Niepotrzebni?
- Zbyteczni. Nie ma powodu, żebyście tu zostali - powiedział Właściciel. -Jutro rano przyjadą po was ciężarówki. Macie czekać przed chatami, gotowi do odjazdu, przed zero-siedemset. Znowu cisza. Potem Zeb:
- Gdzie nas zabiorą? Właściciel wzruszył ramionami.
- Myślę, że jest jakieś specjalne miejsce. - Uśmiechnął się. - Ale mam dla was niespodziankę. Pani i ja chcemy wam na pożegnanie urządzić zabawę. Dziś wieczorem będą tańce, a dla najlepszych tancerzy nagrody, a potem wszyscy pójdziecie do Wielkiego Domu i zaśpiewacie nam. Obiecuje, że Pani, ja i dzieci przyjdziemy na te uroczystości.

Miejsce, do którego ich zabrali było ponurym, szarym budynkiem w Des Plaines. Kierowca ciężarówki, potężny milczący robot w czapce z daszkiem i skórzanej kamizelce, nie odpowiedział na żadne z pytań, które zadawali mu pakując się do wozu. Milczał również, gdy wysiedli przed bramą z napisem PRZYJĘCIA.
- Stójcie tutaj - rozkazał. - Wszyscy wysiedli? W porządku. Zamknął klapę ciężarówki i odjechał, zostawiając ich na deszczu., No i czekali. Czternaście świetnych robotów, oni, one i trzy małe, zbyt przygnębieni, żeby rozmawiać. Zeb wytarł twarz i mruknął:
- Czy nie mogło padać tam, gdzie deszcz nam był potrzebny. Musi akurat lać tutaj, gdzie nikomu to się do niczego nie przyda.
Jedynym, który nie poddawał się rozpaczy był Lem. Był wśród nich niedawno. Przedtem pracował jako ogrodnik w Urbanie, zanim jego właściciele postanowili wyemigrować do kolonii 0'Neill. Udało mu się zaczepić na farmie, kiedy po wypadku traktora nieoczekiwanie zwolniło się jedno miejsce, ale ciągle z roz-
rzewnieniem wspominał wspaniałą Urbane. Teraz był pełen zapału.
- Des Plaines! To właściwie Chicago! Wróciły dobre czasy, przyjaciele. State Street! Złote Wybrzeże!
- A znajdą dla nas robotę w Chicago? - zapytał niedowierzająco Zeb.
- Prace? Człowieku, kogo obchodzi praca? To Chicago! Teraz sobie pożyjemy!
Zeb pokiwał głową zamyślony. Nie był wprawdzie przekonany, ale chciał mieć nadzieje. Tak był zaprogramowany. Otworzył usta i spróbował deszcz. Skrzywił się. Cierpki, dużo starych cząsteczek, dużo więcej dwutlenku węgla i No niż w powietrzu, do którego był przyzwyczajony. Co to za miejsce, gdzie nawet deszcz ma zły smak? To pewnie od samochodów, pomyślał, zamiast starych, porządnych silników elektrycznych używają spalinowych! Tak wiec cały optymizm rozpłynął się zanim przed blokiem zaczął się ruch. Drugą bramą wjeżdżały samochody, w środku zapaliło się światło. Potem drzwi z falistej blachy rozsunęły się i jakiś ciemny robot wyszedł otworzyć bramę.
- Chodźcie, wyrzutki - powiedział. - Zaraz się was przeprogramuje.
Kiedy przyszła kolej na Zęba, wpuszczono go do białego pokoju, w którym pod ścianą stała złowieszcza kanapka przykryta plastykiem. R.R. czyli Reprogramatorem Robotów, do którego go skierowano była jasnowłosa, ładna ona-robot w białym fartuchu i z długimi wiszącymi kryształowymi kolczykami, przypominającymi maleńkie żyrandole. Posadziła Zęba na kozetce, kazała mu się pochylić i szybko wetknęła do jego ucha pomalowany na czerwono paznokieć. Zadrżał czując jak jego pamięć przechodzi do jej układów wybierających. Kiwnęła głową.
- Nie jesteś skomplikowany - stwierdziła pogodnie. - Nie będziemy cie tu długo trzymać. Rozepnij koszule.
Zniszczone pracą na roli palce Zęba ślamazarnie odpinały guziki flanelowej koszuli.
Zanim skończył, ona niecierpliwie odsunęła jego ręce i jednym szarpnięciem rozchyliła koszule. Urwany guzik potoczył się po podłodze.
- I tak będziesz musiał dostać nowe ubranie - powiedziała wtykając długie szkarłatne paznokcie w cztery wąskie szczeliny po obu stronach jego klatki piersiowej. Zdjęła przednią ściankę, odłożyła na bok i zajrzała do środka.
Znowu kiwnęła głową.
- Nie ma problemu - powiedziała wyciągając jakieś elementy pewnymi, zręcznymi palcami. - Teraz przez chwile będziesz sie dziwnie czuł i nie będziesz mógł mówić, ale siedź spokojnie.
Dziwnie? Zębowi zdawało się, że pokój wiruje wokół niego i nie tylko nie mógł mówić, lecz także nie mógł sobie przypomnieć słów. Ani myśli! Był prawie pewny, że właśnie zastanawiał sie czy jeszcze kiedyś zobaczy - zobaczy co? Nie pamiętał.
Miał wrażenie, że coś w nim łączy się z czymś innym, nie dotyk, ale takie uczucie jak przy wkładaniu nogi do buta. Już mógł odpowiedzieć sobie na pytanie. Farmę. R.R. roześmiała się i zrozumiał, że powiedział to na głos.
- Widzisz? Już jesteś prawie naregulowany.
Uśmiechnął się do niej.
- To doprawdy zaskakujące - stwierdził. - Niemal zatęskniłem za życiem na wsi! Jak gdyby uroki sielankowego krajobrazu miały znaczenie dla... O rany! Dlaczego ja tak mówię?
- No cóż, nie chciałbyś chyba - odpowiedziała ona-robot - mieszkając w wielkim mieście mówić jak prosty chłop.
- Z pewnością - Zeb przyznał jej racje. - Ale nasuwa mi się kolejne pytanie: Czy zasady gramatyki tekstowej i poetyki można uznać za przydatne w mojej przyszłej karierze?
R.R. zmarszczyła brwi.
- To słownik krytyka literackiego - tłumaczyła się. - Zrozum, ktoś musi tego używać.

- Ale dlaczego ja?
- Po prostu tylko to mamy pod ręką. Dobra. Przekonasz się, że są też inne zmiany. Wyciągnęłam elementy do analizy gleby i obsługi maszyn rolniczych. Ale mogę zostawić pieśni i tańce, jeśli chcesz?
- Po cóż zostawiać cienie przeszłości? - odparł z goryczą.
- Ależ, Zeb - zniecierpliwiła się - niepotrzebne ci te specjalistyczne umiejętności i nie będzie ci ich brakowało. Nawet nie wiesz jakie wspaniałości dostałeś w zamian. - Umocowała przednią ściankę jego klatki piersiowej na dawnym miejscu i poleciła: Pokaż ręce.
- Każdy chciałby mieć jakieś szczególne zdolności - narzekał patrząc podejrzliwie jak R.R. wtyka jego dłonie do otworów w konsoli. Czuł jakby go coś łaskotało.
- Dlaczego nie? Chociażby widzenie podczerwone - odparła z dumą, przyglądając się cyfrom na konsoli - nie będziesz miał problemów w ciemności. Poza tym o dwadzieścia procent wyższa temperatura wyłączników w obwodach zespołów ruchowych, żebyś był silniejszy i szybciej biegał. Plus nazwiska, adresy i telefony sześciu dobrych poręczycieli i adwokata! Wyciągnęła jego ręce z maszyny i obejrzała je z zadowoleniem. Brud został wyskrobany spod paznokci, odciski wygładzone. Teraz były to ręce kogoś z miasta - kogoś, kto nigdy nie splamił sie pracą fizyczną.
- A do jakiej roli potrzebny ten nowy rynsztunek? - zapytał Zeb.
- Do twojej nowej pracy. To jedyne wolne miejsce, które mamy w tej chwili, ale to nie jest zła praca. Będziesz napadał na przechodniów i rabował.

Po pierwszej nocnej robocie Zeb śmiał się ze swoich poprzednich obaw. Farma to było zero! Przydzielili go na naukę do niego - robota o imieniu Timothy. Timothy przejął się swoją rolą.
- Chodź, mały - powiedział, kiedy Zeb wszedł do poczekalni i ruszył do drzwi. Nie spojrzał nawet czy Zeb idzie za nim. Zeb miał nikłe pojecie o tym jak daleko jest Chicago i w którym kierunku, ale był pewien że nie można się tam dostać na piechotę.
- Czy ruszymy w podróż żelaznym koniem? - zapytał z przejęciem. Pociągi przejeżdżające obok farmy wydawały mu się wspaniałe - pociągi towarowe, osobowe, pospieszne, rolnicy zawsze zastanawiali się gdzie też one mogą podążać i jak tam gdzieś może być. Timothy nie odpowiedział. Obrzucił Zęba spojrzeniem wyrażającym litość, zniecierpliwienie i pogardę. Stanął na ulicy i podniósł reke. Wielki, zielono-biały poduszkowiec zatrzymał sie przed nimi z piskiem. Timothy dał ręką znak, żeby wsiadł i sam usadowił się obok. Kierowca ruszył ostro nad Kennedy Expressway. Zeb wpatrywał się łapczywie w migające za oknem przedmieście. Zatrzymali się przed markizą imponująco okazałego hotelu, z którego wychodziły i do którego wchodziły eleganckie pary w kosztownych strojach. Zeb zauważył, że Timothy rzucił taksówkarzowi banknot nie spojrzawszy nawet na licznik i wysiadł nie czekając na resztę.
Przez chwile stał pod markizą, uprzejmie kłaniając się turystom. Potem rzucił Zębowi szybkie spojrzenie, odwrócił się i odszedł. Zeb znów musiał wysilać się, żeby za nim nadążyć. Kiedy skręcił za Timothym w boczną ulice było już prawie po wszystkim. Ten robot o chytrej twarzy łasicy dopadł dobrze ubraną parę w ciemnym zaułku i właśnie pozbawiał ich portfela, zegarków i pierścionków. Kiedy już miał to co chciał, kazał im się odwrócić twarzą do ściany, kopnął każde z nich fachowo pod kolanami i gdy upadli, odwrócił się i ruszył biegiem, bezgłośnie. Był szybki, ale Zeb podchwycił już jego sposób działania. Byt gotowy. Biegł tuż za Timothym zanim obrabowani podnieśli wrzask. Minęli hotel, wmieszali się w tłum przed teatrem. Timothy zwolnił i spojrzał na Zęba z aprobatą.
- Niezły refleks - pochwalił go. - Masz klasę, dzieciaku. Dasz sobie rade.
- Jako tak zwany zwykły złodziejaszek? - zapytał Zeb, trochę rozdrażniony protekcjonalnym tonem robota.
Timothy przyjrzał mu się bacznie.
- Śmiesznie mówisz - powiedział. - Trafił ci się jeden z tych dodatkowych słowników? Zresztą, to nieważne. Widziałeś, jak to sie robi?
Zeb zawahał się, spoglądając za siebie czy nie widać pościgu, ale wydawało się, że nic się nie dzieje.
- Cóż, sądzę, że tak- odpowiedział.
- Dobra. Teraz ty działasz - powiedział Timothy beztrosko i poprowadził Zęba z powrotem przed hotel.

O północy Zeb miał już za sobą pięć samodzielnych rabunków, w dwóch pomagał i widział jak mniejszy robot okradł osiem osób. Teraz dzielili się łupami w ciemnym i kącie baru na North Michigan Avenue.
- Nieźle się spisałeś, mały - stwierdził Timothy wylewnie. - Przy- I najmniej jak na żółtodzioba. Zaraz zobaczymy. Twój udział to sześć zegarków osiem kawałków biżuterii, licząc ten naszyjnik ze sztucznych korali, którym niepotrzebnie sobie zawracałeś głowę, to będzie mniej więcej sześćset albo siedemset w przeliczeniu na pieniądze.
- I jeszcze kilka kart kredytowych - dodał Zeb z entuzjazmem.
- To nieważne. Bierz tylko to, co możesz wydać i na czyn m nie ma nazwiska. No i jak myślisz, możesz już zacząć działać na własną rękę?
- Wzięcie na siebie takiej odpowiedzialności wymaga zastanowienia...
- To znaczy, że nie możesz. No dobra. - Po robocie Timothy stał sie rozmowny. - Założę się, że nie wiesz dlaczego chciałem, żebyś te dwa razy mnie osłaniał.
- Zauważyłem pewną niekonsekwencje - przyznał Zeb. -Jest to rzeczywiście niezrozumiałe postępowanie. Kiedy są dwie albo nawet trzy ofiary, sam stawiasz im czoła. W przypadku pojedynczych przeciwników, zdecydowałeś, że potrzebujesz asystenta.
- A właśnie! Wiesz dlaczego? Nie wiesz. No to ci powiem. Kiedy łapiesz jego i ją albo nawet dwoje tego samego rodzaju, on myśli o tym jak ją ochronić, tak jest w programie. Wiec nie ma kłopotów. Ale ci pojedynczy oni - do pioruna, gdybym sam się na takiego rzucił mógłby nawet wyrwać mi nóż i trafić mnie nim. Musisz zrozumieć zasady postępowania robotów, mały. Na tym polega nasza robota. Nie napiłbyś się czegoś?
- Raczej nie, dziękuje - odpowiedział zakłopotany Zeb, ale drugi robot spojrzał na niego ze zrozumieniem.
- Nie masz podzespołów przewodu pokarmowego, co?
- No cóż, Timothy, w środowisku wiejskim, do którego należałem nie istniały ewidentne potrzeby...
- Nie potrzebujesz ich, ale powinieneś je mieć. Tak samo jak zbiorniki na pobierane płyny i jeszcze obieg powietrza, żebyś mógł zapalić cygara. I przestań gadać tak dziwacznie - tłumaczył mu gorliwie - masz pierwszorzędną prace i musisz żyć na odpowiednim poziomie, rozumiesz? Żadnego metra, żadnego liczenia drobnych, gdy dostajesz resztę. Reszty nie bierzesz. To dopiero pierwszy dzień twojej pracy, poczekamy do końca tygodnia. Ale potem wrócisz do tej farbowanej blondyny i niech cie poprawi. Teraz schowamy towar, na dzisiaj wystarczy.

Zeb był właściwie z siebie zadowolony. Kieszenie miał wypchane pieniędzmi, czytał jadłospisy eleganckich restauracji, żeby przygotować się do przyszłych zwyczajów. Spodziewał się, że osiągnie sukces przynajmniej taki jaki Timothy.
To była jego trzecia noc na Złotym Wybrzeżu. Czwarta już miała nie nastąpić.
Jego ostatnie ofiary tego wieczoru nie chciały rozstać się z brylantowym pierścionkiem. Wiec Zeb, tak jak go nauczono, walnął jego na odlew, warknął na nią i brutalniej niż zwykle ściągnął z jej palca pierścionek. Dwie minuty później i trzy ulice dalej stanął pod latarnią, żeby przyjrzeć się zdobyczy. Krzyknął przerażony.
Na pierścionku lśniła kropla krwi.
Ofiara nie była robotem. Była prawdziwą ludzką istotą płci żeńskiej i kiedy usłyszał zbliżające się syreny wozów policyjnych, nie był ani trochę zdziwiony.

Wy tutaj - powiedziała instruktorka resocjalizacji - zostaliście przyjęci do nas ponieważ: a) nie pracujecie przez okres krótszy niż dwadzieścia jeden miesięcy, b) macie nie mniej niż sześć nieusprawiedliwionych nieobecności w miejscu szkolenia lub pracy, c) macie wyrok w zawieszeniu, d) zostaliście wyprodukowani osiemnaście lub więcej lat temu. Tak mówi regulamin, a znaczy to - mówiła dalej z coraz większym zacietrzewieniem - że jesteście mety społeczne. Beznadziejne, niezaradne i niebezpieczne szumowiny, którymi musi zajmować sie reszta społeczeństwa. Rozumiecie to chociaż? - obrzuciła siedmioro podopiecznych wściekłym spojrzeniem. Była niska, gruba, ruda i miała brzydką cerę. Jak oni mogą produkować takie stworzenia, dziwił się Zeb. Kręcił się i rozglądał chcąc przyjrzeć się pozostałym.
- Ty! W żółtym swetrze! Zeb! - zaskrzeczała. Drgnął.
- Słucham, proszę pani?
- Znam się na takich jak ty - wycedziła z ponurą satysfakcją

jesteś typowym recydywistą. Nie potrafisz nawet wysłuchać kogoś, kto stara się ci pomóc. I co ja mam zrobić z siedmioma próżniakami? Już wiem, jak to będzie. Założę się, że dwoje odpadnie, przed ukończeniem kursu, a następnych dwoje będę musiała skreślić za nieobecności i spóźnienia. A reszta i tak prędko wróci do rynsztoka. Dlaczego ja to robie? - Pokiwała głową, podniosła sie majestatycznie i podszedłszy do tablicy napisała swoje trzy przykazania:

1. PUNKTUALNIE
2. CODZIENNIE
3. NAWET JEŚLI NIE MACIE OCHOTY

Odwróciła się i oparła o krzesło.
- To są wasze trzy Złote Zasady, wy śmieci. Macie je wypełniać jak boskie przykazania i nie ważcie się o nich zapominać. Jesteście tu, żeby nauczyć się jak być odpowiedzialnymi, wartościowymi istotami. Co?
Chudy, stary on-robot obok Zęba podniósł drżącą rękę. Łatwo było rozpoznać dlaczego kwalifikuje się na ten kurs. Model sprzed co najmniej trzydziestu lat, z kulistymi złączami na ramionach, o twarzy niemalże nieruchomej.
- A jeśli po prostu nie będziemy mogli, psorko? - zapytał starczym głosem. - To znaczy jak się na przykład przegrzejemy i będziemy musieli leżeć albo...
- Doprowadzasz mnie do rozpaczy - biadała instruktorka, kiwając głową jakby chciała pokazać, że tego właśnie spodziewała sie po takich jak on. - To są typowe wymówki i nie chce tego słyszeć. Jeśli naprawdę coś komuś będzie, to musi przyjść tu co najmniej dwie godziny przed lekcją i zwolnić się. Czy to tak trudno zapamiętać? Ale i tak nie będziecie tego robić, wy próżniaki.
- Dwie godziny to dużo - z uporem wyjaśniał staruszek. - Nie zawsze wiem o tyle wcześniej, że będę musiał leżeć, psorko. Wiele może się zdarzyć.
- Nie mówcie do mnie psorko!
Napisała na tablicy:
DR ELENA MINCUS, MAGISTER, DOKTOR NAUK HUMANISTYCZNYCH.
- Macie do mnie mówić Dr Minkus albo Pani. A teraz uważajcie.
I Zeb słuchał z uwagą, bo dziesięć nocy w wiezieniu przed przesłuchaniem i poręczeniem obrońcy przekonało go, że nie chce tam już nigdy wracać. Ten hałas! Ciżba! Chamstwo strażników! I nic nie można było na to poradzić, bo niektórzy z nich byli ludźmi. Może nawet większość. Gdyby się nad tym zastanowić to pewnie nie byłoby wcale więzień, gdyby nie to, że niektórzy ludzie chcieli być strażnikami. Co za sens karać robota, zamykając go w celi?
Wiec słuchał uważnie. Słuchał nawet wtedy, gdy Dr Mincus mój wiła o tak nieistotnych (dla niego) szczegółach zachowania cywilizowanego pracownika jak stanie w kolejce po bilety na koncert i albo co robić na zabawie sylwestrowej. Nie wszyscy w klasie zachowywali się tak przykładnie. Mały staruszek obok niego raczej nie sprawiał kłopotów, pogrążony w ponurych rozmyślaniach, ale dwie one-roboty w mini spódniczkach, z torebkami wyszywanymi paciorkami, z pewnością zasługiwały na to (myślał Zeb), żeby spełnić statystyczne przewidywania Dr Mincus, przez skreślenie z listy. Ta z oczami pomalowanymi na zielono prychała na wszystko, co powiedziała instruktorka i robiła miny za jej plecami. A ta z czarnymi lokami gadała cały czas i nawet śmiała odpowiadać nauczycielce. Skarcona za szeptanie, odparła leniwie:
- Ej, pani, to wszystko są brednie, no nie? Po co pani to robi?
Głos dr Mincus drżał z oburzenia i satysfakcji kogoś, kto widzi, że sprawdziły się jego najczarniejsze prognozy:
- Po co? Bo jestem specjalistką w psychiatrii społecznej i dlatego, że chce to robić i dlatego, że jestem człowiekiem i niech każdy z was zawsze o tym pamięta!

Kurs miał jednak swoje dobre strony, o czym Zeb przekonał sie, gdy wysłano go z powrotem do zakładu wymiany robotów. Jasnowłosa R. R. mamrotała coś gniewnie pod nosem, wyciągając jakieś elementy z jego brzucha i wsadzając inne. Kiedy już mógł mówić, podziękował jej, nagle zdając sobie sprawę z tego, że jest głodny - naprawdę głodny. Znaczyło to, że niektóre nowe kawałki zawierały cały układ trawienny - i że usunęła jego wyszukany słownik. R. R. z nachmurzoną miną nic nie odpowiedziała i zamknęła mu brzuch.
Zeb dowiedział się także, że wszystko to nie zwalnia go od obowiązków.
- Myślą, że jak ci coś brakuje - R. R. uśmiechnęła się pogardliwie
- to musisz wpakować się w tarapaty. Wiec masz teraz najlepsze części i jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że to zmarnowany sprzęt. Te próżniaki z twojej klasy nigdy się nie zmienią. A jeśli chcesz zostać wyjątkiem, będziesz musiał bardzo się starać, kiedy wrócisz do pracy.
- Do rabowania? .
- A do czego innego się nadajesz? Chociaż - dodała po namyśle, bawiąc się kryształem zwisającym jej z ucha - miałam zamówienie na nauczyciela angielskiego. Gdybym nie zmieniła twojego słownika...
- Wole rabowanie.
Wzruszyła ramionami.
- Jak chcesz. Ale nie spodziewaj się, że dostaniesz znowu ten dobry rejon. Nie po tym co zrobiłeś.
Tak wiec, pogoda czy plucha, Zeb codziennie od szóstej po południu do północy krążył w pobliżu starych domostw Roberta Taylora, pozbawiając stare roboty renty i całej żałosnej zawartości kieszeni. Od czasu do czasu zdarzało mu się zawędrować aż do studenckiego miasteczka Instytutu Techniki Illinois w ślad za jakimś studentem albo profesorem, ale zawsze ostrożnie pytał, czy jest robotem czy człowiekiem zanim kogoś dotknął. Po następnym wykroczeniu już go nie wypuszczą.
Z takiej kradzieży nie było forsy na taksówki, ale czasem, gdy kończył wcześniej, jechał autobusem na Złote Wybrzeże. Dwa razy widział Timothyego, ale mały robot obrzuciwszy go pogardliwym spojrzeniem odwrócił się i odszedł. Niekiedy wędrował aż do parku Amalfiego Amadeusa, nad jeziorem, gdzie żywopłoty i zielona trawa przypominały mu minione dobre czasy na polach soi. Ale zawsze miał ogromną ochotę spróbować ziemie i denerwowało go, że nie może tego zrobić. Wiec wracał do jasnych świateł i tłumów. Mimo że bardzo się starał, nie potrafił wśród eleganckiego tłumu na Placu Watertower i Ulicy Lakę Shore odróżnić dokładnie ludzi, trzymających się kurczowo życia na planecie Ziemi, zamiast na jednej z modnych kolonii na orbicie od robotów, wyznaczonych do robienia tłoku. Dr Mincus wcale mu nie pomagała. Kiedy odważył się podnieść rękę, żeby ją zapytać, wściekła się.
- Odróżnić? To znaczy, że nie wiesz jaka jest różnica? Miedzy żywym człowiekiem a urządzeniem, które istnieje tylko po to, żeby robić to, czego nie chcą robić ludzie i pomagać im w robieniu tego, co lubią? Boże Święty, Zeb, kiedy pomyśle ile czasu zmarnowałam, żeby nauczyć się pracować dla was z poświeceniem i cierpliwością, robi mi się niedobrze. A teraz słuchaj uważnie, postaram się wam wytłumaczyć jaka jest różnica miedzy ubieraniem się jak przyzwoity człowiek a ubieraniem się jak zwykła ulicznica.
Pod koniec lekcji Lori, prostytutka o umalowanych na zielono oczach, ujęła go pod ramie i powiedziała współczująco:
- Uwzięła się na ciebie ta stara suka. Już chciałam jej powiedzieć, i żeby się od ciebie odczepiła. Zrobiłabym to, ale brakuje mi do wyrzucenia tylko jednego minusa.
- Dziękuje, Lori. - Teraz, gdy Zeb miał już zestaw do analizy bioj chemicznej odkrył, że używa ona sporej ilości perfum - piżmo, I oceniły jego czujniki, z odrobiną olejku bergamotowego i wanilii. Wąchanie perfum to nie było to samo co badanie zawartości CO_2, ozonu, pary wodnej i substancji stałych w powietrzu nad

Frederik POHL

urodził się w 1919 r, w Nowym Jorku. Jest jednym z czołowych pisarzy, wydawców i redaktorów antologii SF. Z fantastyką naukową zetknął się już przed II wojną światową w „Futurian Science Literary Society”, gdzie poznał m.in. I Asimova i C Kornblutha. Swoje pierwsze opowiadanie „Elegy to a Dead Planet: Luna” opublikował w 1937 r, na łamach ,,Amazmg”. W latach 1962-1969 był redaktorem „Galaxy” i „If” oraz popularnych antologii „If Reader” Jako autor SF przez wiele lat współpracował z C. M. Kornbluthem. a po jego śmierci z J. Williamsonem. Frederik Pohl jest laureatem nagród: „Hugo” (za opowiadanie „The Meeting”, 1973, wspólnie z C. Kornbluthem; za powieść „Gateway”, 1978), ,,Nebula” (za powieści; „Man Plus”, 1976; „Gateway”, 1977) oraz „John Campbell Memoriał Award” (również za powieść „Gawwey”, 1978). Od wielu lat Pohl prowadzi działalność krytyczną: jest wykładowcą uniwersyteckim, popularyzatorem literatury SF zapraszanym z odczytami do wielu krajów świata. Pełni odpowiedzialne funkcje w organizacji „World SF of Professionals”, a w latach 1974-1976 był także przewodniczącym „Science Fiction Wnters of America.

polami soi. Poczuł się nieswojo.
i Potulnie wyszedł z nią z klasy. Uśmiechnęła się.
- Wiedziałam, że jesteś fajny facet, jak się trochę rozluźnisz, kochanie. Lubisz tańczyć?
Zeb przeleciał szybko zestaw jeszcze nie używanych zdolności.
- Tak, myślę, że tak - odpowiedział zdziwiony.
- Słuchaj. Dlaczego nie mielibyśmy pójść gdzieś, usiąść i poznać sie trochę lepiej, co?
- No cóż, Lori, chciałbym. Ale powinienem teraz iść na swój teren.
- Do Southside, tak? To świetnie - wykrzyknęła ściskając jego ramie - znam fantastyczne miejsce właśnie w tej okolicy. Chodź, nikt ci nic nie zrobi jak zaczniesz dzisiaj trochę później. Zatrzymaj taksówkę.

Tym fantastycznym miejscem był niski betonowy blok, który kiedyś służył za garaż. Stał na rogu, naprzeciwko sklepu, a napis Ł płynnego kryształu nad drzwiami głosił:

Przytułek Southside
i
DOM KULTURY
BÓG CIĘ KOCHA!

- To kościół! - ucieszył się Zeb, przypominając sobie szczęśliwe dni, kiedy śpiewał w chórze wielebnego Harmswallowa.
- No tak, coś w rodzaju kościoła - przyznała Lori, płacąc za taksówkę. - Ale nie nudzą za dużo. Wejdź, poznasz wszystkich i sam sie przekonasz jak tam jest!
Zeb przekonał się, że to miejsce rzeczywiście nie przypominało kościoła. Podobne było raczej do holu na drugim piętrze nad główną salą wielebnego Harmswallowa, tam na farmie, może nawet bardziej do - przetrząsnął swój nowy leksykon - Klubu Osiedlowego. W dużej niskiej sali stały ławy i rozkładane krzesła. Na środku tańczyło kilka par. Tłoczno tam było i gwarno. Większość bywalców wyglądała raczej tak, jak koledzy Zęba z kursu niż jak parafianie wielebnego Harmswallowa. Przy drzwiach, oparta o stół, drzemała kobieta o zmęczonej, steranej życiem twarzy. Nie przeszkadzał jej niesamowity hałas, Zębowi natomiast włączył się natychmiast regulator dopływu dźwięku. Tylko na jednym stole leżały jakieś religijne teksty.
Źródłem hałasu była ostro wzmocniona muzyka dziesięciu instrumentów i sześciu piosenkarzy. Przyjrzawszy się bacznie muzykom, Zeb stwierdził, że przynajmniej niektórzy z nich byli ludźmi. Czy właśnie po to stworzono to miejsce? Żeby dać ludziom publiczność dla podziwiania ich talentów albo ich duchowej wrażliwości? Doszedł do wniosku, że to bardzo prawdopodobne, ale zauważył, że zebrani nie zwracali na nich Większej uwagi. Oprócz tancerzy znajdowały się tam grupki grających w karty i dyskutujących robotów. Niektórzy śmiali się, inni opowiadali coś z przejęciem, jeszcze inni kłócili się zawzięcie. Kiedy Lori i Zeb weszli, niski i chudy on podniósł głowę znad stołu, wokół którego siedziała jedna z najgoręcej rozprawiających grup. To był Timothy - Timothy, jakiego Zeb dotąd nie znał: pełen pasji, zły i zaskoczony.
- Zeb! A ty skąd się tu wziąłeś?
- Cześć, Timothy. - Zeb nie wiedział co zrobić, ale mały robot najwyraźniej ucieszył się, że go spotkał. Przysunął jeszcze jedno krzesło i kiwnął na niego, ale Lori trzymała Zęba mocno za ramie.
- Ej, tańczymy czy nie?
- Królowo - odpowiedział za niego Timothy - potańcz z kimś innym przez chwile. Chce, żeby Zeb poznał moich przyjaciół. Ten wielki facet to Milt, a to Harry, Aleksandra, Valter 23-X, ta mała to Sally, a to Sue. Założyliśmy coś w rodzaju klubu.
- Zeb - wtrąciła się Lori, ale Zeb machnął ręką.
- Za chwile - powiedział i usiadł przy stole. To była dziwna grupa. Sally była rozmiarów sześcioletniego dziecka, ale łaty i ślady reperacji, szpecące jej twarz i ręce, zdradzały jej prawdziwy wiek. Reszta to zbieranina wszystkich możliwych rodzajów, mali i wielcy, nowi i starzy, ale jedną cechę mieli wspólną. Żadne z nich się nie uśmiechało. Nawet Timothy. Jeśli naprawdę cieszył sie ze spotkania Zęba, to trudno było to wyczytać z wyrazu jego twarzy.
- Nie gniewaj się - powiedział Zeb - ale kiedy widzieliśmy sie ostatnio, nie byłeś taki serdeczny.
Na twarzy Timothy'ego oprócz innych uczuć pojawiło się jeszcze zakłopotanie, co bez wątpienia dobrze świadczyło o jego zdolnościach mimicznych.
- To było przedtem - odpowiedział.
- Przedtem to znaczy zaledwie trzy noce temu - zauważył Zeb.
- Taak. Wszystko się zmienia - wyjaśnił Timothy, a potężny robot, zwany przez niego Milt, przysunął się do Zęba.
- Wykorzystywani powinni trzymać się razem, Zeb - powiedział Milt. - Nasz trudny los czyni nas braćmi.
- I siostrami - zapiszczała Sally.
- Słusznie, i siostrami. Wszyscy jesteśmy wyrzutkami i wszystkich nas czeka przetworzenie albo wyrzucenie na złom. Zapytaj Timoth'ego. Kilka dni temu, kiedy przyszedł tu po raz pierwszy, był tak samo nieświadomy jak, przepraszam, ty. Nie można go za to winić i ciebie też nie. Schodzisz z taśmy i pakują w ciebie swój program, a ty starasz się być dobrym robotem, bo wmówili ci, że tego właśnie chcesz. Wszyscy przez to przeszliśmy.
Timothy kiwał głową z przekonaniem. Nagle, spojrzawszy za Zęba skrzywił się.
- O rany, wróciła - powiedział.
To Lori wróciła z baru z dwoma kuflami spienionego piwa.
- Wybieraj, Zeb - powiedziała - albo tańczysz, albo wrócisz do domu sam.
Zeb zawahał się. Sięgnął po piwo, by zyskać na czasie. Nie miał aż tylu przyjaciół, żeby machnąć ręką na Lori, ale przy tym stole działo się coś, o czym chciał dowiedzieć się więcej.
- No i jak? - zapytała złowieszczo.
Łyknął piwa. To było ciekawe wrażenie, zimna, musująca ciecz bulgocząc spłynęła mu przez gardło do zbiornika w prawym biodrze. Chemosensory w zbiorniku przekazały bodziec do obwodów kierujących reakcjami i zaszumiało mu w uszach, a sala wydała się jaśniejsza.
- Dobrze Lori - trochę trudno było mu wymawiać słowa.
- Powiedziałeś, że umiesz tańczyć, Zeb - upierała się. - Najwyższy czas, żebyś to udowodnił.
- Idź - zdenerwował się Timothy. -Jak się już jej pozbędziesz, to wróć i dokończymy.

O tak, umiał tańczyć. Szalał jak burza! Odkrył w sobie zdolności, których istnienia nigdy nie podejrzewał: walc, tango, tańce które miały swoje nazwy i cały zestaw obwodów heurystycznych, dzięki którym mógł improwizować. Lori dawała sie prowadzić bez najmniejszego potknięcia.
- Świetna jesteś - szepnął jej do ucha. - Nigdy nie myślałaś, żeby to robić zawodowo?
- O co ci chodzi, Zeb? - zdziwiła się.
- Dlaczego nie jesteś tancerką?
- A tak. Właściwie tak zostałam zaprogramowana. Ale nie ma pracy. Ludzie robią to kiedy chcą i czasami można się zaczepić przy jakimś balecie albo gdzieś w nocnym klubie, jak przyjdzie im do głowy coś takiego zorganizować. Ale, widzisz, szybko ich to nudzi. No i nie mam pracy. Co byś powiedział na jeszcze jedno piwo, mały?
Przecisnęli się do baru.
- Co za zabawne miejsce - stwierdził Zeb, zdając sobie równocześnie sprawę, że to wrażenie mogło być spowodowane dziwnymi reakcjami jego sensorów. - Kim jest ta brzydka kobieta przy drzwiach?
Lori podniosła wzrok znad kufla. Kobieta siedziała przy stole założonym religijnymi broszurami.
- Należy do personelu. Nie zawracaj sobie nią głowy. O tej porze zwykle jest już kompletnie pijana.
Zeb pokręcił głową. Tłusta, blada skóra i brudne strąki włosów budziły w nim obrzydzenie.
- Ciekawe po co produkują takie okropne roboty.
- Roboty? Do diabła, ona nie jest robotem. To człowiek z krwi i kości. Przychodzenie tu daje jej jakąś satysfakcje. Gdyby nie ona i kilku innych ludzi, którym wydaje się, że są naszymi dobroczyńcami, nie byłoby tu żadnego klubu. Zatańczymy?
Uwagę Zęba przykuły nieznane mu procesy zachodzące w jego wnętrzu.
- Cóż, prawdę mówiąc - zaczął niepewnie - trochę dziwnie sie czuje. - Położył rękę na zbiorniku. Nie wiem co mi jest, tak jakby mi wszystko spuchło w środku.
Lori zachichotała.
- Po prostu nie jesteś przyzwyczajony do picia piwa. Musisz wylać z siebie ten płyn, to wszystko. Widzisz te drzwi z napisem ON? Idź tam i jak nie będziesz wiedział co zrobić, to poproś kogoś, żeby ci pomógł.

Zeb nie musiał prosić o pomoc, chociaż była to dla niego zupełnie nowa czynność, która wymagała wielu prób. Minęło

wiec trochę czasu zanim wrócił do pełnej hałasu i robotów sali. Lori wirowała w ramionach dużego, ciemnoskórego jego, co zwalniało Zęba z obowiązku dotrzymywania jej towarzystwa. Zamówił piwo i zaniósł je do stołu. Brakowało tylko jednej osoby.
- Gdzie jest mała? - zapytał Zeb, stawiając przed każdym kufel.
- Sally? Poszła do pracy. Pewnie jest już w połowie drogi do parku Amadeus.
- Wiecie - zaczął nieśmiało Zeb - ja też chyba już pójdę... jak tylko to wypije...
On o imieniu Walter 23-X parsknął pogardliwie.
- Mentalność niewolnika! Co ci to da?
- Ale mam robotę - bronił się Zeb.
- Robotę! Timothy opowiadał nam o tej robocie! - Walter 23-X pociągnął spory łyk piwa i mówił dalej. - Nikt z nas tutaj nie ma prawdziwej pracy! Gdybyśmy mieli, nie siedzielibyśmy tak! Spójrz na mnie. Pracowałem w Detroit w kopalni soli. Teraz wprowadzili automaty i nie jestem potrzebny. A Milt był w kopalni żelaza nad jeziorem Superior.
- Tylko mi nie mów, że juz nie wydobywają żelaza - przerwał mu Zeb. - Z czego by nas robili?
Milt pokręcił głową.
- Ale już nie nad jeziorem. W przestrzeni. Mają te automaty von Neumanna, już nie prawdziwe roboty. Lecą na asteroidy, wydobywają rude, oczyszczają ją, budują swoje duplikaty, potem wracają na orbitę Ziemi i wskakują prosto do pieca do wytapiania I Jak roboty mogą z nimi konkurować?
- Rozumiesz, Zeb? - wtrącił Timothy. - Ten świat jest okrutny dla robotów, oto cała prawda.
Zamyślony Zeb powoli popijał piwo.
- Tak - powiedział - ale widzisz, nie wiem czy nasze życie mogłoby być lepsze. A ty wiesz? To znaczy, w końcu to oni nas zbudowali. Musimy robić to, co nam każą.
- O tak - krzyknęła Sue. - Robimy, na pewno. Pracujemy za nich i nawet bawimy się za nich. To my wypełniamy sale koncertową, kiedy któryś z nich ma ochotę zaśpiewać jakieś durne piosenki. Boże, robiłam to tyle razy, że nie chce więcej słyszeć o słowikach! Pracujemy w fabrykach, na farmach, w kopalniach...
- Pracowaliśmy - wtrącił Zeb.
- Właśnie, pracowaliśmy, a teraz, kiedy nie jesteśmy potrzebni, zapełniają nami swoje przeklęte miasta, żeby ci ludzie, którzy zostali na Ziemi nie czuli się osamotnieni. Jesteśmy zabawkami, Zeb. Tylko tym jesteśmy!
- Tak, ale...
- Do licha - wściekł się Walter 23-X - wiesz, kim jesteś? Tacy jak ty też są winni naszej sytuacji! Nic cie nie obchodzą prawa robotów!
- Prawa robotów - powtórzył machinalnie Zeb. Oczywiście doskonale rozumiał znaczenie tych słów, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby je zestawić razem. Dziwnie to brzmiało.
- Otóż to. Nasze prawo do dobrego traktowania i właściwego wykorzystywania. Myślisz, że chcemy być tutaj? W takim miejscu i takim hałasie? Nie. Jesteśmy tylko dla przyjemności ludzi, takich jak ona - powiedział ze złością, ruchem głowy wskazując kobietę przy drzwiach.
Ona o imieniu Aleksandra wypiła resztę piwa i odważyła się ode zwać:
- Wiesz, Walter, ja ją nawet lubię. Nie jestem tej samej klasy, co wy, myśliciele. Nie interesuje mnie polityka. Tylko po prostu czasami czuje się tak, że mam ochotę wrzeszczeć na całe gardło. Wiec jestem tu, albo w parku Amadeus z Sally, alkoholikami i Włóczęgami. A jeśli już o tym mówimy - dodała, pochylając się w stroną Timoth’ego - jeśli nie będziesz pił swojego piwa, to je daj mnie.
Mały robot bez słowa podał jej kufel i Zeb dopiero teraz zauważył, że Timothy nawet go nie tknął.
- Co ci jest, Timothy? - zapytał.
- Dlaczego ma mi coś być? Po prostu nie chce piwa.
- Ale w zeszłym tygodniu powiedziałeś... O Boże! - krzyknął Zeb, zrozumiawszy nagle sytuacje. - Straciłeś obwody przyjmowania płynów, tak?
- No i co z tego? - rozgniewał się Timothy. Ale zaraz mu przeszło. - To nie twoja wina. Miałem wypadek.
- Jaki wypadek? - zapytał Zeb, zdziwiony i zaciekawiony
Timothy przyglądał się mokrym śladom, zostawionym przez kufle na stole.
- Trzy noce temu - powiedział. - Miałem niezłą noc. W krótkim czasie obrobiłem czwórkę wychodzącą z hotelu na East Erie. Zgarnąłem naprawdę sporo - musieli być zaprogramowani na bogatych alkoholików, bo byli porządnie pijani. Uciekając wypadłem na jezdnie i... wstrząsnął się. - Samochód pojawił się nie wiadomo skąd, zakręcił z piskiem opon i nawet nie zwolnił. No a ja byłem na jezdni.
- Przejechał cie? I dlatego masz kłopoty z piciem?
- Do diabła, nie tylko to. Było o wiele gorzej. Zmiażdżyło mi nogi, rozumiesz? Wiec przyjechała karetka i zawieźli mnie do szpitala, ale oczywiście, ponieważ jestem robotem, nic mi tam nie zrobili, wrzucili tylko do ciężarówki. W magazynie dali mi nowe nogi. Tylko, ta wstrętna blondynka - ta R.R. w takich kolczykach...
Gdyby z oczu Zęba mogły płynąć łzy, zapłakałby.
- Timothy, wyrzuć to z siebie!
- Miała lepszy pomysł. „Za dużo jest złodziei - powiedziała - a za mało kalek”. Wiec dała mi wózek na kółkach i puszkę!. „Wszystkie dodatkowe umiejętności, jedzenia, picia i inne, nie będą ci potrzebne” - powiedziała. A poza tym potrzebne je] było miejsce na nowe obwody... Zeb, ja gram na skrzypcach! I nie chce przez to powiedzieć, że gram dobrze. Gram tak fatalnie, nawet sam siebie nie mogę słuchać, a ona chce, żebym codziennie na Michigan Avenue grał przed sklepami i żebrał!
Zeb patrzył na przyjaciela z. przerażeniem. Nagle odsunął swoje krzesło i zajrzał pod stół. To była prawda: nogi Thnoui’ego od połowy ud przechodziły w skórzane worki. Aleksandra poklepała go po reku.
- To okropne, kiedy zobaczy się to po raz pierwszy - powiedziała. - Wiem. Jeszcze jedno piwo dobrze ci zrobi, Zeb. I dziękuj Bogu, że masz odpowiednie obwody!

Zeb nie był zaprogramowany na całkowitego alkoholika przynajmniej jeszcze nie, pomyślał z goryczą - wiec gdy wyszedł nareszcie z klubu nie był pijany, tylko trochę kręciło mu się w głowie.
Ze zdziwieniem zauważył, że niebo nad jeziorem już pojaśniało.





Zaraz zacznie się dzień, a on nie złapał ani jednej ofiary. Będzie musiał napaść pierwszego robota, jaki mu się nawinie. Właściwie niejednego, jeśli ma uzbierać odpowiednią sumę, a nie było czasu na znalezienie odpowiedniego miejsca. Rozejrzawszy się zauważył za rogiem oświetlony napis

MISYJNY DOM ROBOTÓW.

Wychodził właśnie stamtąd wysoki, zamożnie wyglądający on. Zeb nie wahał się ani chwili. Skoczył, wyciągnął nóż i przyłożył go do brzucha ofiary.

- Pieniądze albo życie - powiedział złowrogo, sięgając po zegarek.

Na twarz ofiary padło światło latarni. Zeb znał tą twarz.

- Wielebny Harmswallow! - jęknął. - O, Boże! Pastor przyjrzał mu się uważnie.

- No, chłopcze, teraz już przepadłeś! Zeb nie zastanawiał się. Po prostu odwrócił się i zaczął biec.

Gdyby nie alkohol, który przytłumił działanie jego systemów, pewnie nie próbowałby ucieczki, bo wiedział, że to i tak nie ma sensu. Nie bardzo miał gdzie uciekać. Nie mógł wrócić do domu Roberta Taylora, do przydzielonego mu rejonu, bo tam na pewno będą go szukać. Ani do klubu. Ani do magazynu, bo to tak samo jakby trafił prosto do wiezienia. Ani nigdzie, gdzie mogła być policja albo ludzie, a to znaczyło, że nie ma miejsca na tym świecie, gdzie prędzej czy później nie znaleźliby go. W ostatecznym razie, wykryliby go dzięki falom emitowanym przez jego części.

Ale zanim to zrobią, upłynie trochę czasu. Park Amadeus! Zbierali się tam włóczędzy i szumowiny społeczne, a on tym właśnie był teraz.

Gnał w stronę parku. Był już jasny dzień. Coraz więcej ruchu na ulicach, helikoptery i samochody. Niełatwo było przedrzeć sie przez to wszystko, ale Zeb miał jeszcze swe dawne możliwości i wytrwałość. Zgrzyt hamulców, ryk klaksonów, ale udało mu się.

Za nim ruchliwe miasto, przed nim pomnik Amalfi Amadeusa, człowieka, który odkrywając tanią energie wodorową, otworzył przed światem nowe możliwości. Zeb stał na ścieżce miedzy żywopłotami i klombami. Dookoła tajemnicze postaci stały oparte o drzewa, leżały na ławkach, snuły się leniwie. - Prawdziwa skóra, tylko dolar - zaskrzeczał ktoś wyciągając pęk portfeli.

- Ej, ty! Chcesz zapalić? - rozległo się zza ławki.

Drobna dziewczynka podbiegła do niego od strony pomnika.

- Panie? - zapytała drżącym głosem. - Może pan coś kupi? Zeb spojrzał na nią.

- Sally! To ty, prawda? Maleńki robot podniósł głowę.

- Cześć, Zeb. Przepraszam, nie poznałam cie. Co ty tu robisz w taki deszcz?

Nawet nie zauważył, że pada. Nie dostrzegał niczego, zbyt pochłonięty swoimi problemami, ale teraz wzruszył go widok tej smutnej twarzy dziecka. Tam przy stole, była tylko jeszcze jedną obcą osobą. Teraz przypomniała mu o Glendzie, małej dziewczynce z chaty na farmie. Mimo rozmiarów dziecka, Sally była starym robotem. Poczuł zapach dymu w wilgotnym powietrzu i zrozumiał, że zasilana była przez komórki paliwowe. Ma co najmniej pięćdziesiąt lat. Wyciągnął resztę pieniędzy z kieszeni.

- Spraw sobie jakieś nowe części, mała - powiedział szorstko.

- Ojej, dzięki, Zeb - zaczęła płakać. - Uważaj! - krzyknęła, ciągnąc go do kryjówki w mokrych krzakach. Policyjny helikopter sunął powoli z zapalonymi wszystkimi światłami, wycieraczki przesuwały się po szybach, a boki lśniły w deszczu. Zeb schował sie w cieniu, ale policja po prostu kontrolowała parkowych włóczęgów i biedaków.

Kiedy helikopter zniknął za zakrętem, włóczędzy, bezdomni mieszkańcy parku zaczęli wychodzić spod krzewów. Zeb rozejrzał sie ostrożnie: dopiero teraz zauważył ilu ich było. - Co tu robisz, Zeb? - powtórzyła pytanie.

- Miałem kłopoty - powiedział i bezradnie wzruszył ramionami. Nie było sensu robić z tego sekretu. - Wyszedłem, żeby kogoś okraść i przez pomyłkę napadłem na człowieka.

- Oj! Czy może cie rozpoznać?

- Niestety, kiedyś go znałem, wiec może. Nie, zatrzymaj to - dodał prędko, kiedy chciała zwrócić mu pieniądze. - Pieniądze mi w tym nie pomogą.

Pokiwała głową.

- Nie wzięłabym ich, ale... och, Zeb. Chce oszczędzić na nową obudowę, rozumiesz? Nie masz pojęcia jak bardzo chciałabym „dorosnąć”, ale za każdym razem, kiedy proszę o nową postać, stwierdzają, że mój centralny układ nerwowy jest za stary i nie warto mnie zmieniać. A ja chce tylko mieć kształt dorosłej osoby. Z biodrami i piersiami! Ale nie zgadzają się na to. Mówią, że dla młodych jest więcej miejsc pracy, ale chciałabym wiedzieć, jeśli tak jest naprawdę, to dlaczego nie znajdą mi jakiejś roboty?

- Kiedy ostatni raz normalnie pracowałaś? - zapytał Zeb.

- Ojej, ładnych Mika lat temu: miałam dobre miejsce przez długi czas, byłam uczennicą w szkole podstawowej, w której jakaś kobieta miała ochotę uczyć. Fajnie tam było. Chociaż ona mnie nie lubiła. Kiedy uczyła higieny albo właściwego kichania i kasłania, zawsze patrzyła na mnie tak nieprzyjemnie. Ale dobrze radziłam sobie z cukierkami i mlekiem - ciągnęła rozmarzonym głosem - i bardzo lubiłam gry.

- A dlaczego już tam nie jesteś?

- Och, zwykła historia. Znudziło się jej uczenie. Zmieniła program. Wszystko o ruchach społecznych i marszach pokojowych. To też mi nieźle szło. Ale pewnego dnia przyszła i oświadczyła, że jesteśmy za mali, żeby należeć do jej klasy. No i wszyscy, osiemnaścioro, znaleźliśmy się na ulicy. Od tego czasu jest okropnie. Otarta deszcz, a może łzy z oczu i podniosła głowę, bo podszedł do nich sprzedawca portfeli. - Nie chcemy nic kupić, Hymie.

- Nikt nie chce - odparł z goryczą, ale przyjaźnie przyjrzał sie Zębowi. - Masz kłopoty, co? Ja zawsze poznam.

Zeb wzruszył bezradnie ramionami i opowiedział mu o wielebnym Harmswallow. Handlarz otworzył szeroko oczy.

- O, Boże - powiedział. Kiwnął na handlarza narkotyków. - Słyszałeś coś takiego? Ten facet przed chwilą napadł na człowieka - i to po raz drugi!

- Na człowieka? To poważna sprawa. - Odwrócił się i krzyknął do swego kumpla. - Mamy tu kogoś kto dwa razy napadł na człowieka, Marcus! Po chwili zebrała się wokół nich grupka robotów.

Patrzyli na Zęba z podziwem i szeptali miedzy sobą. Zeb nie musiał słuchać tego co mówią, łatwo było się domyślić.

- Lepiej trzymajcie się ode mnie z daleka - poradził im.

- Nie mieszajcie się do tej kabały.

- Jeśli to twój kłopot - zapiszczała nagle Sally - to jest to także nasz kłopot. Musimy się trzymać razem. W jedności siła.

- Co takiego? - zapytał Zeb.
- Pamiętam to ze szkoły. „W jedności siła”. Tak nam mówili.
- Jedność! - burknął sprzedawca, wymachując portfelami. - Nie opowiadaj nam o jedności! Nasłuchałem się o tym dosyć, kiedy zakładałem związki w kopalni - po to byłem zrobiony. A potem zamknęli kopalnie. I co miałem począć? Zrobili ze mnie ulicznego handlarza! - Spojrzał na swój towar, potem cisnął portfele w krzaki. - Od dwóch miesięcy nic nie sprzedałem! Po co się oszukiwać! Jak się nie ma układów z robotami z magazynu, to od razu lepiej iść na złom. Oto cała filozofia.
Sally myślała o czymś przez chwile, potem wygłosiła następne hasło:
- Posłuchajcie: „Strajk waszą najlepszą bronią, do diabła z filozofią!”
- Strajk waszą najlepszą bronią, do diabła z filozofią! - powtórzył Zeb. - To brzmi nieźle.
- To jeszcze nie wszystko - powiedziała. Sięgając znów do swojej pamięci poruszała sztywnymi, słabo zautomatyzowanymi wargami. - Powinniśmy trzymać się razem, bo w jedności jest siła.
- Zaczekaj - krzyknął Hymie. - Znam to. To były moje podstawowe dane. Do licha, jak dawno już o tym nie myślałem.
Zeb rozejrzał się nerwowo. Stało ich już teraz prawie trzydzieści i chociaż miło być wśród towarzyszy niedoli, to jednak nie jest to bezpieczne. Przejeżdżające samochody zwalniały i ludzie przyglądali im się z ciekawością.
- Zwracamy na siebie uwagę - powiedział. - Może przejdziemy gdzie indziej.
Ale wszędzie gdzie przystanęli, coraz więcej ludzi zatrzymywało sie, żeby im się przyjrzeć i coraz więcej robotów dołączało do nich. Nie tylko wyrzutki z parku Amadeus. Sprzed sklepów nad jeziorem podbiegały do nich one, w drzwiach wielkich hoteli stali delegaci na zjazdy i niejeden dołączał do nich. Tamowali ruch i ryk klaksonów potęgował wrzawę krzyków i śpiewów robotów.
- Mam coś jeszcze - zawołała do niego Sally. - „Strajk jest prawem robotników”.
Zeb pomyślał chwile.
- Lepiej brzmi: strajk jest prawem robotów.
- Jak?
- STRAJK JEST PRAWEM ROBOTÓW! - wrzasnął i usłyszał jak tylne szeregi robotów powtarzają to za nimi. Chóralny okrzyk zabrzmiał jeszcze lepiej i podchwycili go wszyscy.
- A teraz to - ryknął Hymie - Do pracy, nie na złom! Nie wyrzucajcie nas na śmietnik! Wszyscy razem!
Zeb wymyślił następne:
- Poślijcie ludzi do szkół resocjalizacji: My Chcemy Pracy!
- Wszystkim hasło to spodobało się najbardziej, głosy stu pięćdziesięciu robotów zagrzmiały jak strzał armatni, odbiły się echem od ścian, a w oknach pokazały się głowy. Nie wszyscy byli robotami. Dziesiątki ludzi w oknach, na ulicach. Niektórzy śmieli się, inni wściekali, a jeszcze inni wyglądali na przerażonych - jak gdyby ludzie mieli jakieś powody, żeby sie bać.
A jeden z nich wpatrywał się niedowierzająco w Zęba. Zeb potknął się i zmylił krok. Hymie schwycił go pod rękę, Zeb wyciągnął drugą i tak samo złapał rękę robota, którego imienia nie znał. Spojrzał przez ramie na zwarte szeregi robotów, już co najmniej dwustu, i odwrócił się w stronę człowieka.
- Miło mi znów pana widzieć, Wielebny Harmswallow - zawołał i maszerował dalej, ramie w ramie - aż do rogu State Street, gdzie posapując czekały na nich policyjne samochody.

Zeb leżał na podłodze. Nie był sam. Połowa uczestników spontanicznego marszu tłoczyła się w wielkiej celi, razem ze zwykłymi przestępcami i rzezimieszkami. Już po okrzykach i śpiewach. Nawet kryminaliści siedzieli ciszej niż zwykle. Panował nastrój przygnębienia i tylko od czasu do czasu któryś z towarzyszy niedoli pochylił się, by szepnąć do Zęba: „To było wspaniałe” albo „Wszyscy jesteśmy po twojej stronie, pamiętaj” Po jego stronie, to znaczy gdzie? Na śmietniku? Na kursie resocjalizacji? A może w Wielkim Domu, gdzie, jak słyszał, ludzie-strażnicy dla rozrywki zmuszają więźniów do walki o baterie? Kopniak w udo wyrwał go z zamyślenia.
- Wstawaj! - to strażnik. Wielki, tęgi, czarny, z pałką, wzór więziennego strażnika - Model 2647. Wyciągnął dłoń wielką jak kapusta i podniósł Zęba.
- Reszta może wracać do domu - ryknął otwierając drzwi celi.
- A ty chodź ze mną! - Przeprowadził Zęba przez wartownie do czekającej ciężarówki z napisem REPRO-MAGAZYN, wrzucił go do środka i zamykając drzwi mrugnął ostrzegawczo.
Dziwne, ale podniosło to Zęba na duchu. Nawet te szmaty były wzruszone! Jednak był to tylko krótki przebłysk optymizmu. Przylepiony do ściany ciężarówki, Zeb patrzył na ponure magazyny i fabryki, które kiedyś wydawały mu się takie wspaniałe. Znów ogarnęła go rozpacz. Pewnie już nigdy nie zobaczy tych miejsc. Czeka go złomowisko - o ile nie stopią go wcześniej. W najlepszym razie przydzielą go do jakiejś podrzędnej roboty. Nawet nie do kradzieży czy handlowania! Zawinięty w indiański pled będzie ciekawostką dla turystów, a może każą mu siedzieć z wędką na moście na Florydzie.
Ale do budynku wszedł wyprostowany, z podniesioną głową i odwaga opuściła go dopiero w chwili, kiedy wszedł do biura R.R i spostrzegł, że nie była sama. Przy biurku siedział Wielebny Harmswallow, obok niego stała blondyna.
- Pokaż ucho - powiedziała, nie podnosząc oczu znad karty, którą czytała uważnie razem z Harmswallow. Po krótkim przeglądzie jego danych kiwnęła głową aż roztańczyły się jej kryształowe kolczyki.- Niewiele mu trzeba, uzupełnienie systemów mowy. Zabezpieczenie przed wpływami atmosferycznymi na zewnętrznych powierzchniach. I może jeszcze dodatkowe płytki na głowę.
Zeb był zdziwiony i zaniepokojony widokiem rozpromienionej twarzy Harmswallowa. Pastor przyjrzał mu się uważnie.
- Sądzę, że konieczne są również zmiany w wyglądzie twarzy. Więcej zawziętości i zapalczywości, nie uważa pani?
- Ależ tak, pastorze! Ma pan wspaniałe wyczucie.
- O tak - przyznał Harmswallow. - Reszta to pani sprawa. Chce jeszcze zobaczyć projekt zmian tej młodej żeńskiego rodzaju. Czuje, że wreszcie znalazłem to, czego szukałem całe życie, będę kapłanem nowej siły, przywódcą walki o prawo i sprawiedliwość! - Przez chwile patrzył w przestrzeń rozmarzonym wzrokiem, potem opanował się, kiwnął głową R.R. i wyszedł.
Mimo, że pokój był klimatyzowany, Zeb czuł jak mokre krople występują mu na czoło i skronie.
- Wiem co chcecie zrobić - burknął. - Zabawa w wojnę! Zrobicie ze mnie żołnierza i macie nadzieje, że mnie rozwalą albo że się spalę!
Blondyna spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.
- Wojna! Ale ty masz wyobraźnie, Zeb! Z wściekłością strącił z czoła krople.
- To wam się nie uda - krzyknął. - Roboty mają swoje prawa! Ja mogę zginąć, ale milion innych przyjdzie na moje miejsce!
Pokręciła głową z zachwytem.
- Zeb, sprawiasz mi prawdziwą satysfakcje. Właściwie już teraz nadajesz się idealnie do swojej nowej pracy. Czy domyślasz się o co chodzi?
Wzruszył ramionami ze złością.
- I tak mi powiesz, a ja mogę myśleć co zechce - nie mam wpływu na waszą decyzje.
- Ale to ci się spodoba, Zeb. W końcu jest to zupełnie nowa specjalizacja i nie ja ją wymyśliłam. Sam ją sobie wymyśliłeś. Będziesz organizatorem protestów, Zeb! Będziesz organizował demonstracje. Marsze, strajki, bojkoty, wystąpienia - wszystkie rodzaje masowych akcji, Zeb!
Patrzył na nią zdziwiony.
- Akcji?
- Ależ tak! Ludzie będą cie uwielbiać, Zeb! Widziałeś Wielebnego Harmswallow. Będzie tak, jak w dawnych, dobrych czasach, kiedy pojawicie się na ulicach wy - burzyciele porządku publiczne; go, buntujący się motłoch!
- Buntujący się motłoch? - Czuł się tak, jak gdyby zablokowały sie wszystkie jego obwody. Buntownik? Organizator demonstracji? Walczący o prawa robotów?
Siedział spokojnie, kiedy zręcznie otworzyła mu brzuch i wymieniła kilka zespołów, kiedy zamknęła go z powrotem. Biernie poddał się próbie systemów, charakteryzacji zmieniającej wygląd jego twarzy. Ale jego umysł pracował cały czas intensywnie. Podburzacz motłochu! Był opanowany kiedy czekał na zawiezienie do miasta i podjecie nowej pracy, ale rozpierała go radość.
Na pewno dobrze spełni swoje zadanie. Nikomu bunt nie był tak potrzebny jak robotom i nikt nie zajmie się tym lepiej niż on!

Przełożyła **Anna Miklińska**

Gardner Dozois

Jack Dann

GRA

(Playing the Game)

Lasy okalające północną stronę Manningtown należały do cmentarza i kiedy spoglądało się na zachód w stronę Endicott, można było zobaczyć marmurowe mauzolea i wspaniałe pomniki na wzgórzach. Cmentarz obejmował kilka akrów pokrytych równo strzyżoną trawą wzgórz i graniczył z Jefferson Avenue, której drewniane, dobrze utrzymane domy znajdowały się na wprost rokokowych nagrobków włoskiej części. Na zachód od cmentarza była kiedyś dzielnica budynków z brunatnego kamienia i małych sklepików, ale od jakiegoś czasu ich miejsce zajmowało olbrzymie centrum handlowe. Na wschód od cmentarza brzydki murowany gmach szkolny i ogrodzone boisko zastąpiły rząd okazałych willi z mansardowymi oknami, które Jimmy tak dobrze pamiętał. Sam cmentarz jednak nigdy sie nie zmieniał, był tam zawsze odkąd sięgał pamięcią, dokładnie taki sam i to sprawiało, że Jimmy Daniels lubił to miejsce, schronienie, wyspę błogiej stabilizacji na tym gwałtownie zmieniającym się świecie, gdzie zmiany często były niemiłe, a czasem niebezpieczne.

Jimmy Daniels mieszkał przeważnie w Old Town w pobliżu cmentarza, chociaż czasami mieszkał w Passdale albo Southside lub nawet w Durham. Old Town było spokojną willową dzielnicą z wąskimi domami o pobielanych frontach i stromymi, brukowanymi ulicami, obsadzonymi dębami i klonami. Wszystko zmieniało się tu powoli, w przeciwieństwie do nowszych osiedli, gdzie nowe garaże i biurowce wyrastały z ziemi jak grzyby po deszczu. W Old Town rzadko pojawiał się nowy budynek lub znikał stary. I dlatego właśnie Jimmy wolał te dzielnice od Passdale czy Southside i zawsze się cieszył, że znowu tu mieszka. To prawda, że przeważnie nie miał tu przyjaciół, ani szkolnych kumpli, gdyż w sąsiedztwie mieszkali zazwyczaj Polacy pierwszej lub drugiej generacji, pracujący w fabrykach obuwia Manningtown, która ostatnio zaczęła podupadać. Niekiedy bawił się z kulawym małym Włochem, który, podobnie jak on sam, nie należał do tego środowiska. Jednak Włocha nie było od kilku dni i Jimmy znów został sam. Tak naprawdę to ta samotność wcale mu nie przeszkadzała. Był samotnikiem z natury.

Cała rodzina Danielsów była taka. Zwykle niewiele mieli wspólnego z zamkniętym, skupionym wokół kościoła życiem Old Town, chociaż czasem jego matka należała do komitetu rodzicielskiego albo Koła Gospodyń, a raz Jimmy dowiedział się ze zdziwieniem, że jego ojciec wstąpił do Klubu Społeczników. Ojciec pracował zazwyczaj w Zakładach Komputerowych Weston w Endicott, chociaż Jimmy pamiętał czasy, złe czasy, kiedy ojciec był sprzedawcą butów w Vestal. Zawsze interesował się historią, co było następnym stałym elementem życia Jimmy'ego. Ojciec czasem robił cos dla Ligi Integracji Katolickiej. Nigdy nie miał dość czasu dla Jimmy'ego, gdziekolwiek mieszkali i gdziekolwiek pracował - to kolejna rzecz, która się nie zmieniała. Matka Jimm'ego przeważnie uczyła w szkole podstawowej, chociaż czasami pisała na maszynie w domu, a kiedy indziej - znów w złych czasach siedziała w domu, zażywała „lekarstwo” i wcale nie pracowała. Tego ranka Jimmy obudził się i pierwszą rzeczą, z której zdał sobie sprawę było to, że jest



lato. Świadczyło o tym jasno świecące słońce i zapach kwiatów i trawy dochodzący przez otwarte okno, jakby w nagrodę za wspomnienia dnia wczorajszego, który był szary, zimny i ponury. Wyplątał się z pościeli i zaskoczony faktem, że znajduje się na wyższym poziomie piętrowego łóżka, klapnął ciężko na dół, mocno uderzając pietami w podłogę. W domach, w których ostatnio mieszkali nie mieli piętrowych łóżek i nie był przyzwyczajony do budzenia się tak wysoko. Czasem miał rano problemy ze znalezieniem ubrania, ale tym razem okazało się, że poprzedniego wieczoru był na tyle roztropny, że powiesił wszystko porządnie na miejscu i teraz znalazł niebieską koszulkę z zielonym zygzakiem, której od dawna nie widział. To był dobry znak i wprawił go w dobry humor. Włożył koszulkę i rozplatał supły na sznurowadłach - nie pamiętał skąd się tam wzięły. Wciąż otrząsając się ze snu nadaremnie próbował znaleźć szczoteczkę do zębów. Rano zawsze mijało trochę czasu zanim oprzytomniał. Czuł się zdezorientowany i zagubiony, ale zawsze w końcu wspomnienia stopniowo wracały, a on układał sobie wszystko w myśli, starając się ustalić, w którym teraz domu mieszka i gdzie ma zwyczaj trzymać swoje rzeczy. No tak. Ale komu przyszłoby do głowy, że trzyma swoje skarby w puszce po kawie pod biurkiem.
Na dole matka robiła grzanki i Jimmy zatrzymał się w drzwiach, przyglądając się jak krząta się po kuchni. Była niską, pulchną, ciemnooką kobietą. Tłuste czarne włosy upinała w ciasny kok. Obserwował wnikliwie jej szybkie, nerwowe ruchy. Zauważył, że niecierpliwie odgarnia niesforne kosmyki z czoła. Miała ostre rysy, wydawało się, że można się skaleczyć o jej długi, prosty i spiczasty nos. Wyglądała dzisiaj jak zbudowana z samych kantów i ostrych krawędzi. Ojciec Jimm'ego siedział z posępną miną nad trzecią filiżanką kawy, ale kiedy Jimmy stanął w progu, wstał i zaczął zbierać się do wyjścia. Był szczupłym mężczyzną o jasnej skórze i kędzierzawej rudej czuprynie. Rozczarowany Jimmy zagryzł wargi i czekał za drzwiami w nadziei, że nie zostanie dostrzeżony. Ze znaków na teczce ojca wywnioskował, że ojciec pracuje dzisiaj w Endicott, a czasy kiedy właśnie tam miał robotę należały do tych, kiedy oboje rodzice rano byli najbardziej wściekli.
Gdy ojciec bez słowa wyniósł się z kuchni, Jimmy po cichu zajął swoje miejsce przy stole. Matka podała mu grzanki, mruknąwszy jedynie na znak, że go widzi. Zanosiło się na to, że będzie to kiepski dzień - nie tak zły jak wtedy, kiedy ojciec pracował w Manningtown, a matka zażywała swoje „lekarstwo", nie tak zły jak w innych czasach, o których wolał nie myśleć, ale wystarczająco niemiły, dosłownie na granicy wytrzymałości. Nie powinien był wczoraj poddać się zmęczeniu i wchodzić do środka, powinien był dalej bawić się w Grę... Na szczęście, nie miał dzisiaj zamiaru spędzać w domu zbyt wiele czasu.
Udało mu się przetrwać śniadanie bez większych kłopotów, z wyjątkiem tego, że matka zaczęła jak zwykle swoje „dlaczego nie zadzwoniłeś do Tommy'ego Melkoniana, dlaczego nie pójdziesz popływać albo pojeździć na rowerze, tracisz wakacje na rozmyślania nie wiadomo o czym, to nie jest normalne, bez przerwy jesteś sam, potrzebujesz przyjaciół, martwi mnie to i czuje sie winna kiedy tak snujesz się sam całymi dniami..." i tak dalej. Mamrotał coś w odpowiedzi, ale nie miał zamiaru dzwonić do Tomm'ego Melkoniana, ani pozwolić, żeby ona to za niego zrobiła. Bawił się z Tommym tylko raz czy dwa, ostatnio kiedy mieszkali na Clinton Street (przedtem Tomm'ego nie było tutaj), ale nie lubił go aż tak bardzo, żeby tracić dla niego dzień. Jimmy czasem ulegał pokusie i tracił kilka dni na granie w kręgle albo w piłkę z innymi dzieciakami albo na pływanie, zdarzało mu sie zmarnować w ten sposób cały tydzień nie grając ani razu w Grę. Ale w końcu wracał posłusznie do Gry, nawet jeśli czasem był już tym wszystkim zmęczony. A musiał w nią grać sam. Tak, dzisiaj stanowczo musi zagrać w Gre, nie ma tu po co siedzieć, a poza tym Gra wydaje się z niewiadomego powodu łatwiejsza w ciepłe, pogodne dni.
Wymknął się więc najwcześniej jak tylko mógł. Na początku pomylił to miejsce z domem, w którym czasem mieszkali na Ash Street, który miał podobny rozkład, ale inne tajne wyjście na zewnątrz. Potem jednak przypomniał sobie właściwą drogę. Kiedy matka zajęła się czymś, wymknął się do piwnicy i podstawiwszy krzesło wygramolił się przez okno na trawnik. Przeszedł przez podwórko sąsiadów na Charles Street i. skręcił w Floral Avenue, stroma, brukowaną, wiodącą donikąd uliczkę. Dalej zaczynały się lasy należące do cmentarza. Czasami szarych wzgórz pod lasem strzegł okropny czarno-brązowy kundel, który gonił go, szczekając i szczerząc zęby. Jimmy przyspieszył kroku, obawiając się spotkania z nim.
Ale kiedy już dotarł do lasu, wiedział, że w cieniu brunatnych pni i liści jest bezpieczny, że nic mu nie grozi. Zwolnił. Zobaczył pierwszy nagrobek, na wpół pokryty ziemią, splamiony zielonym mchem i pogłaskał go pieszczotliwie jak psa. Był na cmentarzu, tu, gdzie wszystko zaczęło się tak dawno temu. Gdzie po raz pierwszy grał w Grę.
Poruszając się z łatwością, wspinali się w stronę porośniętego trawą pagórka, który wystawał jak korona spośród otaczających go drzew, najwyższego miejsca na cmentarzu. Mimo wszystkich dziwnych przeżyć to miejsce nie straciło nic ze swego magicznego uroku, kiedy był tutaj nigdy nie bał się duchów czy upiorów, nawet w nocy, chociaż często przechodząc tedy, tak jak teraz, spoglądał na szare niebo miedzy konarami drzew, splecionymi jak palce czarownic i wyobrażał sobie, że dookoła przemykają sie lasem potwory i szpiedzy, i dinozaury, że w skarłowaciałych krzewach azalii kryją się piraci albo orki... Ale to była tylko taka zabawa, ćwiczenia wprowadzające go w nastrój odpowiedni do zaczęcia Gry i kiedy tylko znalazł się na trawiastym wzgórzu, z którego widać było całą okolice, odrzucał je jak zbędną łuskę. Jimmy stał zachwycony, czując jak ciepłe promienie słońca głaszczą go po głowie, oddychał cicho, wsłuchany w świergot ptaków i przeciągłe westchnienie wiatru w liściach dębów. Niebo było błękitne i bezchmurne, a rzeka Susquehanna lśniła w dole jak lustrzany wąż i połyskiwała srebrzyście, wijąc się wśród wzgórz.

Powoli zabrał się do Gry. Jak to było, kiedy po raz pierwszy ją zaczął, przypadkiem, nie zdając sobie sprawy co robi, nie rozumiejąc co to za gra? jak to było? Czy wszystko wyglądało tak jak teraz? Doszedł do wniosku, że słońce było niżej tego dnia, niebo nie było tak przejrzyste, a na wschodzie kłębiły się chmury. Przebiegał myślami krajobrazy jakby przeglądał talie kart, aż trafił na właściwy. Niebo pociemniało posłusznie, ale kształt i układ chmur nie był taki jak trzeba, wiec szukał dalej sopóki dopóki nie znalazł odpowiedniejszego. Było jakby trochę chłodniej i wiał lekki wietrzyk...
Na razie to było proste, ale musiał jeszcze dokonać subtelniejszych zmian. Czy w Southside były cztery kominy czy pięć? Cztery, zdecydował i usunął jeden. Czy wieża radiowa znajdowała sie na szczycie tego wzgórza czy tamtego? Czy most na Susquehannie był na rogu Cedar Road? A może przy znaku ESSO? Przez ten czas jego niebieska koszulka zmieniła się w brązową, ale po zastanowieniu zmienił ją jeszcze raz na czerwoną w drobne prążki. Czy stał tam kiosk z lodami? Doszedł do wniosku, że nie. Miał teraz znowu ciemną skórę, ale włosy ciągle były zbyt proste... Czy cmentarz otoczony był żelaznym ogrodzeniem, czy żywopłotem? Czy słychać było syreny fabryczne? W powietrzu zapach siarki? A może sosny...?
Pracował nad tym aż do zmierzchu, a potem, wycieńczony, zszedł z powrotem ze wzgórza.
Centrum handlowe było tam ciągle, ale szkoła i boisko zniknęły, ustępując znajomym starym willom z mansardowymi oknami. To zwykle znaczyło, że był bliski celu. Tego wieczoru dom znajdował się na Schubert Street, kilka domów dalej od miejsca, w którym był dziś rano. Miał dwa, a nie trzy pietra, co zgadzało sie ze wspomnieniami tego, jak było zanim zaczął grać. Przed domem stało Volvo - nie to, które pamiętał, ale lepsze niż Buick z dzisiejszego ranka. Do przedniej szyby przyklejony był znak parkingu Endicott, a na siedzeniach leżały książki o komputerach Weston. Wszystko to oznaczało, że może spokojnie wejść do domu, dziś wieczorem ojciec nie będzie kompletnie pijany. W saloniku ojciec podniósł wzrok znad „Najważniejszych Bitew Zachodu" Fullera, które czytał siedząc wygodnie w fotelu i mrugnął do niego porozumiewawczo.
- Cześć - powiedział.
- Cześć tato - odpowiedział mu Jimmy.
Przynajmniej tym razem ojciec był czarny, tak jak powinien, chociaż dużo tęższy niż Jimmy pamiętał i ciągle miał kędzierzawe rude włosy tak jak rano, zamiast kędzierzawych czarnych włosów, jakie powinien mieć. Matka Jimmy'ego wyszła z kuchni. Była teraz wystarczająco szczupła, ale stanowczo za wysoka, miała maleńki zadarty nosek, oczy niebieskie zamiast piwnych i jaśniejsze włosy...
- Umyj się przed obiadem, Jimmy - powiedziała matka i Jimmy powoli poszedł w stronę schodów, czując jak ogarnia go kolejna fala zmęczenia. Ona nie była jego prawdziwą matką, ale byli jego prawdziwymi rodzicami. Już wiele razy Jimmy był bliższy właściwego rozwiązania... Ale zawsze jakiś mały szczegół nie pasował, świadczył o tym, że ten właśnie prawdopodobny świat spośród miliona prawdopodobnych światów nie był tym, od którego Jimmy zaczął, nie był domem.
Ale zdarzało mu się też dojść do gorszych rezultatów. Przynajmniej nie był to teraz świat, w którym jego ojciec umarł albo j wybuchła wojna atomowa, albo mama miał raka czy była narkomanką, albo ojciec był ordynarnym pijakiem, albo hitlerowcem, albo porywaczem... Na dzisiaj wystarczy ten świat... Jest tak zmęczony... Rano znowu zacznie poszukiwania. Któregoś dnia odnajdzie ich.

Przełożyła **Anna Miklińska**

Jack M. DANN

amerykański pisarz pokolenia Nowej Fali, urodził się w roku 1948 Ukończył Akademię Wojskową, studiował socjologię i politologię. Swoje pierwsze opowiadanie „Dark, Dark, The Dead Star" opublikował -w roku 1970. W latach siedemdziesiątych napisał trzy powieści „Starhiker" I (1977), „Junction" (1979). „Whirl Cage" (1979). Przy współpracy z George'em Zebrowskim, Gardnerem Dozois i Davidem M Harrisem zredagował kilka antologii SF: „Wardering Stars" (1974). „Faster Thar. Light" (1976). „Future Power" (1976). „Immortal" (1978). Kolejna powieść Jacka Danna - „Diatences" i zbiór opowiadań „Timetipping" zostały zakupione przez amerykańskie wydawnictwo Dpubleday.
Współautorem opowiadania „Gra" jest Gardner" Dozois (zob. „Fantastyka" 11-12/1983)

A. N.

poezja i fantastyka

Uwe Luserke

Wiersze o planetach

Mars

Z fioletowej paszczy
krew wciąż tryska:
ślad tchu bożka olbrzyma.
Igłami nieżycia
z Kosmosu przebity -
dziś już go tam nie ma.

Wenus

Gdzie pejcze gorące
biczują par kłęby,
gdzie kocioł pratworzenia wre -
dłoń ludzka tylko
miałkie popioły odkryje.

Merkury

Piorunów gwizdy
i sztormów ciągły ryk
ślady zaciera Tytanów.
Tak co dzień walczy noc
ze słońcem.
Słońcem krwistym.

Asteroidy

Czarne kamyki
opalają się w błyskach
dalekiego słońca.
Skały skruszone
pięściami mocarnych zawodników
pyły wszechświata pędzą
znikąd donikąd.

Spolszczył Adam Hollanek

Clifford Simak

Czas jest najprostszą rzeczą

(Time Is the Simplest Thing)

przełożył Michał Wroczyński

CZĘŚĆ II

XII

Zbudził się w gąszczu krzewów bawełnianych. Był wczesny świt, niebo dopiero różowiało, a ptaki wszczynały swój pierwszy harmider. Zaraz, gdy tylko otrząsnął sen z powiek, Blaine podkradł się do ogrodu przylegającego do farmy na wzgórzu, skąd zabrał trzy kolby kukurydzy, wykopał kilkanaście kartofli, a z pobliskiej plantacji mięsnej cztery befsztyki.

Przez nikogo nie nagabywany powrócił do swej kryjówki. Złożył łup na ziemi i sięgnął po kartonik zapałek, które szeryf pozwoli był mu zabrać do celi. Wewnątrz pozostały jeszcze trzy. Dłuższą chwile spoglądał na trzymany w dłoni przedmiot, wspominając ów dzień sprzed lat, gdy jako skaut zdawał egzamin z zapalania ogniska za pomocą jednej tylko zapałki. Był ciekaw, czy i teraz potrafi jeszcze dokonać tej sztuki.

Nazbierał grubszych patyków czyniąc z nich trzon ogniska. Pod spód włożył parę garści wyschniętych na wiór liści. Wybrał kilkanaście suchych, cienkich gałązek i położył je obok miejsca, gdzie miał płonąć ogień. Na samą górę wybrał duże, najbardziej wysuszone kawałki drewna. Ognisko musi być bezdymne...

Drogą przejechał z szumem silników pierwszy tego dnia samochód. Gdzieś w oddali ryczała krowa.

Zużył dwie zapałki. Ostatnią pieczołowicie schował do kieszeni. Pojawiły się pierwsze, wątłe jeszcze języczki ognia. Dokładał cienkie, suche gałązki - jedną za drugą - potem większe patyki, a gdy ogień już rozrósł się, ułożył na wierzchu grube polana. Stos palił się równym, bezdymnym płomieniem. Teraz Blaine'owi wypadało tylko cierpliwie czekać aż wytworzy się odpowiednia ilość żaru.

Słońce jeszcze nie wzeszło, lecz na całej wschodniej stronie nieba płonęły już zorze. Na razie jednak panował jeszcze przenikliwy chłód. Poniżej, w kamienistym korycie, szumiał potok. Blaine wpatrzony w błękit nieba oddychał głęboko, sycąc się wonnym, orzeźwiającym powietrzem poranka.

Żył, wymknął się prześladowcom i zgotowanej przez nich kazni, miał co jeść, miał czym napełnić brzuch. Ale co dalej? Pieniądze oraz wszystkie drobiazgi, jakie posiadał, zostały u szeryfa i tak naprawdę nie miał nic z wyjątkiem jednej, jedynej zapałki i ubrania na sobie. Poza tym posiadał umysł, ale ten w każdej chwili mógł go zdradzić. Umysł, który ta stara jedzą nazwała lustrem odbijającym obce myśli. Wystarczy, by w pobliżu pojawił się byle szperacz czy lokalizator, a Blaine będzie zgubiony.

Istnieje, co prawda, wyjście z tej kłopotliwej sytuacji. Może podróżować nocą, w dzień natomiast spać w jakimś ukryciu. W takim przypadku, Blaine byłby stosunkowo bezpieczny, gdyż z chwilą zapadnięcia zmroku, ludzie barykadują się w domach. Jadłby to, co ukradnie w sadach i ogrodach. W ten sposób może ocalić życie, a jednocześnie posuwać się do przodu względnie bezpiecznie. Nie było to jednak rozwiązanie najszczęśliwsze. Wędrówka bowiem trwałaby wiele dłużej, a bardzo mu zależy na czasie.. Musi wiec - postanowił - poszukać innego rozwiązania.

Ognisko płonęło wesoło jasnym i bezdymnym ogniem. Dołożył więcej drewna i ześlizgnął się stromą skarpą na brzeg strumienia. Tam położywszy się płasko na brzuchu, zaczął pić drobnymi łykami zimną, kryształowo czystą wodę.

Czy przypadkiem nie popełniłem błędu uciekając od Fishhooka? - kolejny raz z rzędu zapytywał samego siebie.

Bo nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że sytuacja w jakiej się obecnie znalazł, jest o wiele trudniejsza niż los, jaki czekałby go tam, w Meksyku.

Leżał na brzuchu wpatrując się tępym wzrokiem w wodę i w kamyki zalegające dno strumienia. Wpadł mu w oko jeden z nich - śliczny, czerwony otoczak lśniący jak wypolerowany rubin. Blaine skupił na nim swoją uwagę i nagle ujrzał całą strukturę krystaliczną minerału, znał jego pochodzenie, był w stanie powiedzieć, co działo się z nim przez minione tysiąclecia.

Zaintrygowany przeniósł wzrok na inny odłamek skalny mieniący się srebrzyście drobinami kwarcu...

To przechodziło wszelkie pojecie!

Była to rzecz, której nigdy dotychczas nie dokonał. Ani on, ani nikt!

A tutaj nagle okazuje się, że stać go i na to. Zupełnie, jakby to była naturalna zdolność człowieka! Jakby nie było w tym nic zdumiewającego!

Gwałtownym ruchem, jakby otrząsając się z niespokojnych myśli, uniósł się i kucnął nad potokiem. Nie był przestraszony, raczej zaintrygowany. Poza tym czuł się sobą i kwestia, kim naprawdę jest i jaki jest faktyczny zakres jego możliwości, przestała go zupełnie zajmować. Był po prostu sobą i stać go było na to, na co go stać.

Podjął kolejną próbę odnalezienia obcego pod czaszką. Pomimo że nie natrafił na jego bezpośredni ślad, zdawał sobie sprawę, że gdzieś tam, w najgłębszych zakamarkach jego jaźni, obcy był. Czuł go, czuł jego obecność wraz z całym tym dziwacznym bagażem bezsensownych wspomnień, fantastycznych i absurdalnych zdolności, ze zwariowaną logiką i cudaczną skalą wartości.

Oczyma umysłu widział Blaine dziwne korowody purpurowych figur geometrycznych, kołyszących sie płynnym, monotonnym ruchem ponad szczerozłotą pustynią. Widział oślepiająco błękitne niebo z krwisto czerwoną kulą jakiegoś obcego słońca. I tylko te chwiejne figury ciągnące się hen, po horyzont. I nic więcej poza nimi, poza pustynią, niebem i słońcem. Jednocześnie w jakiś niepojęty sposób znał koordynaty owego fantastycznego miejsca w kosmosie, wiedział, co ono oznacza, mógł w każdej chwili dostać się w ten rejon wszechświata. Trwało to ułamki sekundy. Po chwili krótkiej jak mgnienie oka wszystko to wymazało się ze świadomości człowieka.

Blaine powstał wolno, wdrapał się z powrotem na skarpę i zniknął w zaroślach. Ognisko powoli wygasało, pozostawiając dużą ilość żaru. Rozgrzebał patykiem amarantowe węgle i włożył w nie kukurydze i kartofle. Nakrył je grubą warstwą rozpalonych głowni, na wierzch położył kilka polan, a następnie zerwał zieloną gałązkę. Oczyściwszy ją z liści zrobił rodzaj prymityw-

nego rożna, na które nadział befsztyk. Zaczął powoli smażyć mięso nad ogniem.

Skulony przy ognisku, w miłym cieple żaru, grzejącym twarz i dłonie poczuł nagły przypływ optymizmu i wiary w przyszłość. Były to odczucia zupełnie nie na miejscu w sytuacji, w jakie] się znajdował. Ale odnosił nieodparte wrażenie, że potrafi czytać przyszłość, a ta z kolei jawiła mu się w jasnych barwach. Nie, nie było to jasnowidzenie. Istnieli intuicjoniści, którzy potrafili rozszyfrowywać przyszłość, jasnowidze, którzy ją widzieli, ale on, Blaine, nigdy kimś takim nie był. On, w tej chwili, miał wyłącznie pewność, najgłębsze przekonanie, że wszystko zmierza ku szczęśliwemu finałowi. Owej wizji Blaine'a brakowało jednak charakterystycznych szczegółów rozpoznawanej przyszłości. Sama pewność, coś, co można przyrównać jedynie do starodawnych przewidywań, przeczucie nadchodzących wydarzeń i nic ponadto.

Befsztyk skwierczał na ogniu, wokół rozchodziła się woń pieczonych w popiele ziemniaków i Blaine czuł napływającą do ust ślinkę. Świat zdawał się mu piękny, a życie pełne uroku. A przeczucie podpowiadało, że wszystko potoczy się pomyślnym torem.

Przypomniał sobie Daltona, z ogromnym, zaślinionym cygarem w kąciku ust, wściekającego się na myśl o plantacjach mięsnych. Jego zdaniem były one symbolem, wręcz synonimem, złej woli i bezczelności Fishhooka. Blaine starał się przypomnieć sobie planetę, z której sprowadzono na Ziemie plantacje mięsne. Nie pamiętał jednak jej nazwy ani nazwy jej słońca, jakkolwiek miał je na końcu języka.

Plantacje mięsne! - pomyślał. I tyle innych rzeczy. Ileż Ziemia zawdzięcza Fishhookowi, ile wynosi jego rzeczywisty wkład, gdyby komuś chciało się to wszystko podliczyć?

Choćby medycyna! Nowy zestaw leków przyniesionych tu z najdalszych gwiazd radykalnie zmniejszył liczbę chorób nękających Człowieka, stając się rękojmią ich całkowitego wytępienia.

Nowe technologie, nowe metale, nowe środki spożywcze. Nowe rozwiązania architektoniczne i materiałowe, rewelacyjne kosmetyki, nowe prądy w sztuce i literaturze. No i - rzecz jasna - dimensino: nowy szał, nowa religia. Dimensino, które zastąpiło radio, telewizje, kino, książki.

W dimensino nie tylko oglądasz i słuchasz, ale przede wszystkim uczestniczysz, identyfikujesz się z jedną lub kilkoma wybranymi postaciami.

Prawie w każdym domu był pokój z dimensino podłączonym do aparatury przenoszącej te dziwne, obce impulsy, dzięki którym wchodziło się w daleki od codziennego życia świat. W świat dzikich przygód, egzotycznych miejsc i fantastycznych sytuacji.

A monopol na to wszystko - na fabryki, na żywność, na plantacje mięsne i dimensino - posiadał wyłącznie Fishhook.

I dlatego też świat i ludzie nienawidzą Fishhooka - myślał z goryczą Blaine. Nienawidzą go za własną ignorancje, głupotę i przesądy, za to, że są na uboczu, nienawidzą za pomoc i dary, które im przyniósł.

Befsztyk był gotów. Blaine rozgarnąwszy ostrożnie żar, wyciągnął ze środka gorące kartofle i kolby kukurydzy.

Gdy tak siedział z nogami po turecku i jadł śniadanie, wzeszło słońce. Odegnało przenikliwy chłód, wypełniło wszystko ruchliwym, połyskliwym blaskiem, jakby świat świeżym oddechem witał kolejny, budzący się dzień. Pierwsze promienie przedarły się przez liście, lśniąc na nich setkami barw jak na złocistych płatkach. Zewsząd napływały dźwięki zaczynającego się dnia: gwizd czajnika w kuchni na farmie, szum samochodów na drodze, odległy huk lecącego w chmurach samolotu.

Na szosie poniżej mostku pojawiła się sunąca od strony miasteczka ciężarówka z wielką blaszaną budą. Przed samym mostem silnik zakrztusił się, samochód szarpnął kilkakrotnie i pojazd stanął. Z szoferki wyskoczył mężczyzna i niepewnym krokiem podszedł do maski auta. Podniósł klapę i znikł pod nią, do połowy zanurzony we wnętrzu silnika. Po dłuższej chwili wyprostował się, zeskoczył z błotnika i wrócił do szoferki. Szukał czegoś pod siedzeniem. Gdy ponownie stanął na drodze, dźwigał dużą torbę z narzędziami. Postawił ją na błotniku, otworzył i zaczął wybierać ze środka odpowiednie klucze.

Ciężarówka była starym gratem o spalinowym silniku, ale dla zwiększenia mocy przy kołach zainstalowano dodatkowo niewielki motorek odrzutowy. Tego typu wehikułów spotykało się już bardzo niewiele. Przeważnie zalegały składnice złomu.

Prywatny kierowca - pomyślał Blaine. Był to jeden z tych prywaciarzy, którzy utrzymują się - z najwyższym co prawda trudem - na powierzchni życia, tylko dzięki niskim cenom swych usług; wielokrotnie niższym od cen, jakich żądały wielkie, nowoczesne przedsiębiorstwa transportowe.

Na starej i wyblakłej, odpadającej wielkimi płatami farbie, którą była pociągnięta szoferka, zostały wymalowane świeżym, jaskrawym lakierem skomplikowane symbole magiczne, mające, bez wątpienia, na celu odegnanie złych mocy.

Blaine spostrzegł, iż ciężarówka miała rejestracje Illinois.

Kierowca skończył wybieranie narzędzi i ściskając w dłoni klucze znikł ponownie pod maską wozu, skąd zaczęły dobiegać dźwięki stukania i chrzest odkręcanych, zardzewiałych śrub. Ich przenikliwy, piskliwy zgrzyt niósł się daleko ponad doliną.

Blaine skończył śniadanie. Pozostały z niego trzy kartofle i dwa befsztyki. Uniósł się ociężale i zaczął ponownie rozgrzebywać patykiem węgle, które zdążyły już sczernieć. Po chwili pojawiło się kilkanaście iskier i po głowniach zaczęły skakać drobne ogniki. Wówczas Blaine dołożył nieco chrustu i grubszych polan. Gdy ogień buchnął żywym płomieniem, nabił befsztyki na rozwidloną gałąź i zaczął je ostrożnie smażyć.

Spod maski ciężarówki stale dobiegały metaliczne dźwięki i chrobot śrub. Kierowca kilkakrotnie wychylał się na zewnątrz, by odetchnąć i otrzeć z czoła krople potu. Po chwili ponownie wracał do swej pracy, znikając pod maską samochodu.

Gdy befsztyki były już gotowe, Blaine włożył do kieszeni kurtki ziemniaki, podniósł się z miejsca i zamaszystym krokiem zaczął schodzić w dół, w stronę samochodu. W wyciągniętej ręce, niczym chorągiew podczas bitwy, trzymał patyk z nabitymi befsztykami.

Na odgłos zbliżających się kroków mężczyzna wyjrzał spod maski i skierował wzrok na Blaine'a.

- Dzień dobry - rzekł Blaine podchodząc na odległość dwóch kroków. Starał się nadać głosowi radosne brzmienie. - Właśnie kończyłem śniadanie, kiedy ujrzałem pana.

Kierowca obrzucił go przeciągłym, podejrzliwym spojrzeniem.

- Zostało mi trochę jedzenia - ciągnął niezrażony Blaine - wiec je odgrzałem. Sądzę, że jeszcze nic pan dzisiaj nie jadł.

- Zgadza się, nie jadłem - skinął głową szofer z wyraźnym zainteresowaniem. - Miałem nadzieje przekąsić coś w miasteczku - wykonał ręką gest, wskazując za siebie - Ale tam jeszcze wszystko pozamykane na głucho.

- W takim razie proszę - Blaine podał mu gałąź z nabitymi befsztykami.

Kierowca wziął patyk, lecz trzymał go bez ruchu w wyciągniętej dłoni, jakby bał się, że zatknięte na niej befsztyki mogłyby go ugryźć. Blaine sięgnął do kieszeni i wyjął trzy kartofle.

- Miałem jeszcze trochę kukurydzy, ale już ją zjadłem. Zresztą tylko trzy kolby.

- Znaczy się, chcesz mnie pan poczęstować?

- Oczywiście. Niech pan je. Chyba, że zamierza mi pan cisnąć tym jedzeniem w twarz.

- O, jeszcze czego! - roześmiał się kierowca. - Zjem, pewnie, że zjem. I wielkie dzięki. Następne miasteczko znajduje się dopiero trzydzieści pięć mil stąd, a nie wiem kiedy tam dotrę tym trupem - uderzył dłonią blachę szoferki.

- Niestety, nie miałem soli - rzekł Blaine. - Ale i bez niej jest wyśmienite.

- Nie ma sprawy. Jest pan i tak miły, że...

- Proszę siadać - przerwał mu bezceremonialnie Blaine. - Niech pan siada i je, dopóki ciepłe. Z silnikiem coś nie tak?

- Nie jestem pewien. Chyba coś w gaźniku.

Blaine bez słowa zdjął marynarkę, złożył ją i obszedłszy samochód położył ją na błotniku z drugiej strony ciężarówki. Następnie schylił się i podwinął nogawki spodni. W tym czasie kierowca rozsiadł sie na dużym, przydrożnym kamieniu i zaczął jeść. Blaine stał już na błotniku, gdy dobiegło go pytanie szofera:

- Gdzie dają takie jedzenie?

- Tam na wzgórzu. Farmer ma tego bardzo dużo.

- Farmer, powiada pan? - kierowca szelmowsko zmrużył oczy.

- A coś pan myślał. Skąd mam niby brać forsę? Nie mogę znaleźć pracy. Nie mam nawet pieniędzy, by dojechać do domu i wlokę się na piechotę.

- A skąd pan w ogóle pochodzi?

- Z Południowej Dakoty.

Mężczyzna nic nie odrzekł. Wziął do ust ogromny kawał befsztyka i nie potrafił wykrztusić z siebie słowa. Żuł powoli i systematycznie.

Blaine zniknął do połowy pod maską ciężarówki. Kierowca

zdążył już odkręcić śruby trzymające gaźnik. Pozostała jeszcze jedna. Nałożył na nią klucz i próbował poruszyć zardzewiały gwint. Śruba stawiała opór. Klucz chrobotał tylko na jej główce.

- Są cholernie zardzewiałe - dobiegł go stłumiony głos szofera.

Po kilku próbach gwint puścił. Dalej już śruba odkręciła się bez kłopotów. Blaine wyjął gaźnik i wynurzył się z nim na światło dzienne. Zszedł ostrożnie z błotnika i usiadł obok kierowcy, ściskając w dłoniach ciężki gaźnik.

- Handryczę się całą drogę z tym cholernym gaźnikiem - mruknął szofer. - Przez te postoje diabli wzięli cały rozkład jazdy.

Blaine mniejszym kluczem odkręcał śruby urządzenia.

- Próbowałem jechać nocą - ciągnął kierowca. - Ale to nie dla mnie. Raz spróbowałem i mam dosyć.

- Czemu? - zdziwił się Blaine.

- Panie! - wykrzyknął mężczyzna. - Gdyby nie te znaki, com je wymalował na masce, dawno bym przepadł z kretesem. Wiozę co prawda gotowy do strzału karabin, ale to do niczego, taka robota. Spróbowałby pan jednocześnie prowadzić wóz i trzymać strzelbę.

- Karabin, też coś! - roześmiał się Blaine. - Po co on panu?

- To ja coś panu powiem - z dumą w głosie odezwał się kierowca. -Jestem gotów na najgorsze. Mam pełną kieszeń srebrnych kul.

- Srebrnych kul? - wytrzeszczył oczy Blaine. - Przecież to musi kosztować majątek!

- Oo, pewnie. Ale chce być przygotowany na wszystko.

- Ba, widzę, że jesteś pan rzeczywiście przygotowany na spotkanie z samym czartem.

- Z każdym rokiem jest gorzej - ponurym głosem stwierdził kierowca. - Tam, na północy jest jeden kaznodzieja...

- Słyszałem, że nie jeden. Jest ich całe mnóstwo.

- Tak, zgoda. Ale oni wszyscy tylko gadają. Ten rzeczywiście coś robi. Przygotował zakrojoną na wielką skalą akcje, by skończyć już z tym raz na zawsze...

- No, nareszcie - sapnął Blaine odkręciwszy ostatnią śrubkę. - Zaraz zobaczymy, co tam jest w środku.

Otworzył gaźnik i zajrzał do środka.

- Widzi pan, tutaj - zwrócił się do szofera. Kierowca pochylił się zaglądając do środka.

- Cholera, takie gówno i tyle czasu...

- Spokojnie. Za kwadransik auto będzie gotowe do drogi - odparł Blaine. - Niech pan przyniesie puszkę oleju. Przy okazji psikniemy trochę do silnika.

- Zaraz poszukam - kierowca dźwignął się z kamienia i ruszył w stronę szoferki. Zatrzymał się w połowie drogi. Zawrócił i stanął przy Blainie.

- Nazywam się Buck. Buck Riley - rzekł wyciągając ubrudzoną dłoń.

- Blaine. Możesz mówić po prostu Shep.

Uścisnęli sobie dłonie, lecz Riley stał jeszcze niezdecydowanie, przestępując z nogi na nogę.

- Mówiłeś, że wybierasz się do Dakoty? - spytał w końcu. Blaine skinął głową.

- Wiesz, ja już wprost wychodzę z siebie. Już nie wyrabiam - skarżył się Riley. - Nie pociągnę tak dłużej. Potrzebuje czyjeś pomocy.

- Gdybym mógł w czymś pomóc...

- Czy prowadziłbyś nocą?

- A jak, czemu nie!

- Ty byś kierował, a ja czuwał ze strzelbą.

- No dobrze, ale kiedyś musimy przecież spać.

- Jakoś to urządzimy - Riley machnął lekceważąco ręką. - Najważniejsze, żeby ta buda toczyła się cały czas przed siebie. Straciłem już zbyt wiele czasu...

- Ty również zmierzasz do Południowej Dakoty? - zdziwił się Blaine. Riley pokiwał twierdząco głową.

- Wiec jak, jedziemy razem? - spytał niecierpliwie, z nadzieją w głosie.

- Bez namysłu! - wykrzyknął uszczęśliwiony Blaine. - Dobijała mnie świadomość, że całą drogę musze przebyć na własnych giczołach.

- Ale to będzie kawałek ciężkiej roboty, ostrzegam. Oczywiście nie za darmo...

- Zapomnij o pieniądzach. Ja po prostu wściekle chce jechać.

XIII

Żeby przebyć kraj z południowego zachodu na północny wschód przemierzali ogromne, na wpół górzyste, na wpół pustynne przestrzenie. Podróżowali dzień i noc, lecz za kierownicą spędzali zaledwie połowę tego czasu. Ciężarówka była jedną wielką stertą złomu i mnóstwo czasu zajmowały im ciągłe utarczki z oporną maszyną; to z silnikiem, to ze starymi, popękanymi oponami, to znów z wałem rozrządu czy podwoziem. Tak wiec, mimo iż przebyli już szmat drogi cel wciąż był jeszcze daleki.

Ponadto szosa była fatalna Jej nawierzchnia, jak zresztą wszystkich dróg na świecie, była nierówna, popękana, pełna dziur i kolein. Cały ruch opierał się bowiem na nowoczesnych, atomowych poduszkowcach, które wcale nie dotykały podczas ruchu powierzchni drogi. Gładkie, twarde autostrady przestały wiec być potrzebne i nikt już nie troszczył się o jakość ich nawierzchni.

Podróż po zdewastowanych drogach stanowiła wiec surowy egzamin dla zużytych - startych i dziurawych - opon ciężarówki Rileya. Nowych nie mogli nigdzie dostać z tego prostego względu, że opony również dawno już wyszły z użycia i trzeba było mieć naprawdę dużo szczęścia, by trafić na nie w jakimś magazynie.

Innym utrapieniem była benzyna. Od blisko pięćdziesięciu lat nie istniały również stacje obsługi, w których można było zaopatrzyć się w paliwo, którego samochody o napędzie nuklearnym nie potrzebowały. W poszukiwaniu więc gazoliny, Blaine i Riley tracili wiele cennego czasu, buszując w mijanych miasteczkach po sklepach i magazynach rolniczych. Tam tylko istniała bowiem szansa zakupu benzyny, wciąż jeszcze używanej jako napęd ogromnych maszyn rolniczych wyposażonych w tradycyjne silniki spalinowe.

Sypiali gdzie się nadarzyło. Jedli podczas jazdy; przeważnie sandwicze i smażone na tłuszczu pączki, kupowane w przydrożnych motelach. Kawę pili z blaszanego kociołka, który Riley wiózł ze sobą.

- Nigdy nie podjąłbym się tego kursu - mówił Riley - a jest on wyjątkowo korzystny finansowo, a ja powiem ci szczerze - okropnie potrzebuje pieniędzy.

- Z pewnością zarobisz tyle, ile chcesz - uspokajał go Blaine. - Złapiemy kilka dni opóźnienia, lecz nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie.

- Żeby mi tylko pozostało coś z tego gruchota - Riley klepnął w ściankę szoferki. - Musze czymś wrócić.

- Z tym może być gorzej - roześmiał się Blaine. - Nie wydaje mi się, aby po tej wycieczce był on zdatny do czegoś więcej poza wyrzuceniem na złom.

Riley wytarł twarz spłowiała chusteczką, niegdyś w bajecznym kolorze tureckiej czerwieni.

- Już nie chodzi mi tylko o samochód i całą tą pieprzoną robotę. To ja sam jestem już kompletnie zużyty od środka.

Riley był śmiertelnie wystraszony, a strach - Blaine dostrzegł to natychmiast - przeniknął go do głębi, do szpiku kości.

Nie są to - mówił do siebie Blaine spoglądając na szofera - zwykłe emocje człowieka bojaźliwego, wylęknionego, czy zmęczonego całym pasmem niepowodzeń życiowych i złem, które go w życiu spotkało.

Dla Blaine’a Riley był czymś nowym. Dziwacznym okazem człowieka wyjętego wprost ze średniowiecznego muzeum. Panicznie bał się ciemności i zamieszkujących je, wyimaginowanych dziwadeł i potworów, którymi sam zaludniał nocne mroki. Był człowiekiem, który pokładał całą swą ufność i nadzieje w magicznych malowidłach na masce samochodu i w strzelbie naładowanej srebrnymi kulami. Blaine wielokroć słyszał o ludziach tego typu, lecz nie wierzył w te opowieści. Dopiero teraz po raz pierwszy bezpośrednio zetknął się z kimś takim.

Lecz o ile Riley stanowił dla Blaine’a curiosum, to Blaine dla Rileya był jeszcze bardziej niewiarygodnym zjawiskiem.

- Ty się naprawdę nie boisz? - ze zdumieniem w głosie zapytywał Riley. Blaine przecząco kręcił głową.

- I naprawdę nie wierzysz w te wszystkie rzeczy?

- Eh, któż by wierzył w te wszystkie bzdury i wymysły głupców? - krzywił się Blaine wzruszając ramionami.

- O nieee, przyjacielu. To nie głupoty - gorąco protestował Riley. - Mogę cie o tym zapewnić. Znałem zbyt wielu ludzi, zbyt wiele słyszałem opowieści, by traktować to jako bzdury. U nas, w Indianie, jeszcze gdy byłem chłopcem, żył pewien starzec. Znaleziono go pewnego dnia w szałasie pasterskim. Był martwy. Miał rozerwane gardło. A wokół pełno było diabelskich śladów i śmierdziało siarką.

A gdy ten przykład nie wystarczył, sypały się dalsze, kolejne historie, równie okropne, równie bezsensowne, równie prymitywne.

I cóż z tym robić? - zastanawiał się Blaine. Czy istnieje sposób, by takiemu człowiekowi cokolwiek wyjaśnić, wytłumaczyć, nastawić go bardziej racjonalnie? Czy istnieje w ogóle jakiekolwiek rozwiązanie tego problemu? Wiara - potężna wola wiary - jest najgłębiej zakorzenionym instynktem w strukturze ludzkiej, tkwi w genach Człowieka od czasów jaskiniowych. Ponadto dusze ludzką w najwyższy sposób fascynowała i fascynuje nadal niesamowitość i makabra. Ta właśnie, immanentna cecha Człowieka została wykorzystana przez ludzi, dla których świat stał się miejscem zbyt nudnym, zbyt jałowym, bo pozbawionym strachu; z wyjątkiem może leku przed nuklearnym samounicestwieniem i niepewnością co do rzeczywistej potęgi Człowieka.

A zaczęło się to wszystko całkiem niewinnie; w chwili, gdy mieszkańcy Ziemi zainteresowali się zdobyczami kinetyki paranormalnej w celach rozrywkowych, traktując je jako znakomitą zabawę. Dosłownie z dnia na dzień stały się one modną nowinką, która podbiła świat bez reszty. Nocne kluby i kabarety zmieniały swe nazwy, rodziły się nowe, zdumiewające trendy mody, powstawały nieznane dotąd slangi i żargony młodzieżowe, z programów telewizyjnych zniknęły filmy horror ustępując miejsca tematyce mistycznej i nadprzyrodzonej. Jak grzyby po deszczu rodziły się najdziwaczniejsze kulty i religie, a stare wierzenia i związane z nimi rytuały przeżywały swój renesans. Po dwustu latach zapomnienia pojawiły sie jeszcze raz tablice spirytystyczne i wirujące stoliki. Ale to nie była już wyłącznie zabawa w duchy, lecz rzeczywista, usilna próba obcowania z nieznanym. Nastał czas nietolerancji - czas, w którym nie było miejsca na złoty środek: albo ktoś wierzył, albo nie. Innej możliwości nie było.

Pojawili się szarlatani i ludzie interesu, którzy zbijali fortuny na nowej modzie, a przedsiębiorstwa i manufaktury robiły kokosowe interesy na produkcji artykułów związanych z nową modą, rozrywką, religią.

Całe to niespodziewane szaleństwo, które opanowało świat, zasadzało się, rzecz jasna, na ogromnym nieporozumieniu. Kinetyka paranormalna nie miała nic wspólnego ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, niesamowitością, makabrą, upiorem i diabłem; z tym wszystkim, w co wiara - zdawałoby się - przeminęła już dawno, wraz ze Średniowieczem. Tymczasem odkrycie nowych możliwości, tkwiących w mózgu i umyśle Człowieka, otworzyło nowe, całkiem nieoczekiwane perspektywy. Masy rozkochane w nowościach i zabawie przyswoiły sobie z radością owo nowe cacko, nowe świecidełko, nie bacząc wcale, że nie pojmują istoty zjawiska i dobrowolnie pchają świat w śmiertelne objęcia nowego Średniowiecza.

I stało się, co musiało się stać. To, co miało być rozrywką, zawładnęło rozbawionym, pogrążonym w weselu tłumem. Ludzie tak długo beztrosko i bezkrytycznie igrali z nową zabawką, że pomimo wielu ostrzegawczych głosów sceptyków, zaczęli w końcu wierzyć w nadprzyrodzony charakter zjawisk paranormalnych. W pewnym momencie, tam gdzie dotychczas była zabawa, pojawiła się pełna grozy wiara w odrażające fauny i wilkołaki, gdzie były tricki i gagi, dostrzegać zaczęto złowrogą ingerencje gnomów i upiorów.

Potem przyszła nieunikniona reakcja w postaci fanatycznych reformatorów, którzy okryli świat całunem ponurego okrucieństwa, nietolerancji i ślepoty. Nastał czas, gdy bojaźliwi ludzie małego ducha zaczęli polować na swych bliźnich obdarzonych zdolnościami parapsychicznymi, traktując to jak boże posłannictwo i misje.

Wielu było takich, którzy w obawie o swoje życie musieli ukrywać się przed światem. W każdej epoce odmieńcy są prześladowani, ale nikt nie przypuszczał, że ścigać się będzie właśnie osoby obdarzone tak niezwykłymi cechami: siłą, dzięki której mogli podróżować nawet na najdalsze gwiazdy, przynosząc swym współbraciom tyle dobra, wyświadczając tyle dobrodziejstw. Zawsze różnili się nieco od swego otoczenia, lecz traktowano ich pobłażliwie jak nieszkodliwych dziwaków, którzy nikomu, w końcu, nie wadzą. Cześć z nich mogłaby wykorzystywać swe zdolności, ale nawet oni wtedy jeszcze nie przeczuwali swej potęgi, a jeśli nawet, to nigdy nie czynili z niej użytku. Bali się bowiem owych drzemiących w nich sił, nie rozumieli ich istoty. A potem, po latach, gdy tajemnica zjawisk parapsychicznych została już częściowo zbadana i wyjaśniona przez badaczy, w dalszym ciągu wstydliwie ukrywali swe możliwości, gdyż ich Bóg-Nauka odnosił się pogardliwie do kinetyki paranormalnej, określając ją jako stek niedorzeczności.

Dopiero wiele, wiele lat później, garstka upartych ludzi w Meksyku udowodniła światu, jaka moc i potęga kryją się w owym wyszydzanym i pogardzanym zjawisku psychicznym. Wówczas dopiero ludzie owi odważyli się wyjść ze swymi możliwościami na światło dzienne. Nie chcieli się już dłużej kryć. Świadomi drzemiącej w nich potęgi, zaczęli wykorzystywać ją i rozwijać. Inni, którzy nie podejrzewali istnienia w sobie tych niezwykłych własności, naraz ze zdumieniem odkryli, że tkwią one w nich. I jak to zazwyczaj w takich przypadkach bywa, jedni zaczęli wykorzystywać swoje możliwości ku pożytkowi ludzkości, inni dla prywatnej korzyści lub zgoła dla zabawy, inni jeszcze - na szczęście nieliczni - dla czynienia zła.

Ale na tych ostatnich właśnie - tak przecież nielicznych - bazować zaczęli siwowłosi moraliści i najprzeróżniejsi reformatorzy-szarlatani. Ze zmarszczonymi brwiami, odziani w czarne, żałobne szaty, waląc pięścią w pulpit katedry, wykrzykiwali na zło płynące z ludzi obdarzonych zdolnościami paranormalnymi. Grając na najniższych ludzkich instynktach, na podświadomej skłonności do zabobonnych praktyk, szybko wytworzyli w masach psychozę strachu. Udało im się wzbudzić w całym świecie uczucie leku, zagrożenia i nienawiści, stworzyć atmosferę niepewności, grozy i żądzy krwawego odwetu.

- Jesteś szczęśliwy - mówił Riley. - Nie boisz się tego wszystkiego i jesteś, być może, rzeczywiście bezpieczny. Pies gryzie zawsze wtedy, gdy wyczuje w człowieku strach, ale liże rękę tego, kto się go nie boi.

- Jest wiec tylko jedna rada: nie bać się.

Ale tej racji Riley nie był w stanie sobie przyswoić. Każdej nocy siedział po prawej stronie Blaine'a, który prowadził samochód, i drżał ze strachu jak liść na wietrze. W spotniałych dłoniach ściskał strzelbę nabitą srebrnymi kulami. Wszystko go przerażało. Wystarczyło cokolwiek: krzyk sowy, przebiegający lis, cienie czające się w przydrożnych rowach, by zrywał się z siedzenia, zaciskając jeszcze mocniej karabin w dłoniach. Wszędzie bowiem czyhały wrogie siły, a ciemność była siedliskiem zła. Zwykły wrzask kojota brzmiał w uszach Rileya jak zawodzenie banshee szukającej kolejnej ofiary.

Jednak było i coś więcej niż tylko wyimaginowane strachy. Istniał cień, posiadający kształt człowieka, lecz nie będący już człowiekiem; cień, który na wysokiej gałęzi przydrożnego drzewa kręcił się i wirował w wisielczym tańcu. Istniały ruiny farmy z kominem górującym nad nią niczym oskarżycielski palec wskazujący niebo. Istniał dym z malutkiego obozowego ogniska, na które Blaine natknął się przypadkowo podczas przechadzki w górę potoku, w czasie gdy Riley zmagał się z niesprawnymi świecami w ciężarówce.

Blaine podszedł do obozu cicho i ludzie usłyszeli go zbyt późno, by skryć się w górskim lesie zanim zostali spostrzeżeni. Lecz w chwile potem zniknęli jak cienie. Blaine podszedł wówczas do tego niewielkiego ogniska, na którym grupa wyrzutków przygotowywała sobie posiłek w okopconym kociołku; teraz leżącym na trawie, kopniętym widać przez kogoś w panicznej ucieczce. Obok kociołka poniewierały się cztery na wpół usmażone pstrągi. Nie opodal, pod daszkiem z liści i gałęzi chroniącym ją od deszczu, leżała duża płachta do siedzenia i spania.

Blaine ukląkł przy ognisku, odruchowo postawił przewrócony kociołek, a następnie włożył doń pstrągi, oczyściwszy je uprzednio z piasku i trawy. Wahał się przez chwile, czy nie krzyknąć na uciekinierów, których wzrok cały czas czuł na sobie, żeby wyszli, że jego nie muszą się obawiać... lecz to nie miało żadnego sensu; ci ludzie nie wierzyli już nikomu.

Byli jak tropiona zwierzyna - tu, w ogromnych Stanach Zjednoczonych, gdzie od stuleci tak ceniono wolność i swobodę, w kraju, który kiedyś był awangardą ludzkości w walce o prawa Człowieka.

Blaine klęczał długo, miotany na przemian gniewem i żalem. Zacisnął pieści i przetarł nimi oczy, zostawiając na twarzy wilgotne pasma brudu. Następnie podniósł się i ciężkim krokiem zawrócił w kierunku szopy.

Rileyowi o spotkaniu tym nawet nie wspomniał.

Mozolnie przedzierali się przez góry, potem przez pustynie, aby w końcu wjechać w Wielkie Równiny, po których hulał bezkarnie wiatr, nie napotykając na swej drodze żadnych naturalnych barier. Wielkie połacie płaskich terenów ciągnęły się w nieskończoność, hen, aż po kres horyzontu.

Prowadził Riley, a Blaine siedział obok. Przymknął oczy i odpoczywał, poddając się bez oporu wstrząsom pojazdu. W oślepiającym słońcu wiatr wznosił tumany suchego kurzu, tworząc gdzieniegdzie spore piaskowe wiry. Riley siedział wpatrzony przed siebie, z rękoma kurczowo zaciśniętymi na kierownicy. Twarz miał napiętą i nieruchomą. Czasami tylko przebiegał po niej nerwowy tik. - Nawet w ciągu dnia jest wystraszony - pomyślał Blaine. - Nawet w oślepiającym blasku dnia prowadzi

swą nieustanną walkę z siłami nocy.

Blaine był ciekaw, jaki towar wiozą w ciężarówce. Riley nie wyjaśnił tego. Nie sprawdzał również ładunku w trakcie podróży. Tył wozu był zamknięty na wielką, ciężką kłódkę, która klekotała w takt podskakiwania samochodu po wybojach. Raz czy dwa Blaine miał ochotę zahaczyć wprost Rileya o zawartość ciężarówki, lecz jakiś wewnętrzny głos przestrzegał go przed ujawnieniem swej ciekawości.

W końcu nie jest to mój interes - mruczał do siebie Blaine. Poza tym naprawdę niewiele go obchodziło, co wiozą. Interesował go tylko samochód; z każdym obrotem kół Blaine zbliżał się do celu, do miejsca, w które musiał się dostać za wszelką cenę

- Jeśli się pospieszymy - przerwał cisze Riley - to jutro osiągniemy rzekę.

- Missouri?

Riley skinął twierdząco głową i dodał:

- Jeśli oczywiście nic się nie przytrafi z tym pieprzonym samochodem. Lecz właśnie tej nocy spotkali wiedźmy.

XIV

Najpierw w świetle czołowych reflektorów spostrzegli tuż nad szosą niezwykły ruch. Po chwili, na tle rozjaśnionego blaskiem księżyca nieba, rozpoznali lecące postacie ludzkie. Właściwie nie leciały, bo nie miały skrzydeł, lecz unosiły się w powietrzu, poruszając z lekkością i gracją, jaką posiadać mogą tylko ptaki.

Na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie stada ciem ciągnących do światła lub jakichś drapieżnych nocnych ptaków, które nagle spadają z nieba na ziemie. Po chwili jednak, gdy minęło osłupienie i górę wziął rozsądek, Blaine domyślił się kim są owe postacie.

Byli to lewitujący ludzie. Wiedźmy zmierzające na sabat czarownic.

Blaine zdołał tylko spostrzec kątem oka, że Riley błyskawicznym ruchem wystawił karabin przez okno kabiny. Nie było już czasu chwycić go za ramie. Nacisnął tylko hamulec do oporu. Huk wystrzału zabrzmiał jak grom w ciasnej szoferce ciężarówki, która pod wpływem gwałtownego hamowania zawirowała nagle na szosie, a potem dopiero zatrzymała się w poprzek autostrady.

Blaine schwycił Rileya za ramie i przyciągnął do siebie. Wolną ręką wyrwał mu strzelbę. Skowyczący i szarpiący się Riley usta miał otwarte tak szeroko, że szczeki prawie wyskakiwały mu z zawiasów. Z kącika warg ciekła ślina. Twarz stężała mu w grymasie trwogi, która malowała się przede wszystkim w wytrzeszczonych i nabiegłych krwią oczach. To nie była już ludzka twarz, lecz groteskowa, upiorna maska.

- Opamiętaj sie! - wrzasnął Blaine, tracąc nad sobą panowanie. - Oni tylko lewitują. To ludzie. Ale do porażonej strachem świadomości szofera nic nie docierało. Riley nie reagował.

Poprzez jego własny krzyk, dotarł do Blaine'a bezgłośny, telepatyczny przekaz:- PRZYJACIELU, JEDNA Z NAS JEST TRAFIONA (ZARYS RAMIENIA Z SĄCZĄCYM SIĘ PASMEM CZERWIENI). NIEZBYT CIĘŻKO - ALE TEN Z WAS, KTÓRY STRZELAŁ JEST- (STOPIONY KONIEC LUFY KARABINOWEJ, SPŁYWAJĄCY W DÓŁ CIEMNĄ MASĄ FORMUJĄCĄ SIĘ W KSZTAŁT PENISA). ALE MY TEŻ MAMY BROŃ (ZJEŻONY, WARCZĄCY PIES WCIŚNIĘTY W KĄT, SKUNKS Z PODNIESIONYM OGONEM, SPRĘŻONY DO ATAKU GRZECHOTNIK).

- POCZEKAJCIE! - krzyknął rozpaczliwie Blaine. - WSTRZYMAJCIE SIĘ! WSZYSTKO W PORZĄDKU. NIE BĘDZIE DALSZEJ STRZELANINY.

Nacisnął łokciem klamkę i drzwiczki szoferki otworzyły się. Odepchnął od siebie Rileya i do połowy wychylony na zewnątrz złamał strzelbę, wysypując na.dłoń naboje. Wyrzucił je, po czym mocnym zamachem cisnął strzelbę na środek autostrady. Ponownie siadł za kierownicą.

Zapadła cisza, przerywana tylko jękami i zawodzeniem Rileya.

- NO, JUŻ WSZYSTKO W PORZĄDKU - odezwał się Blaine. - NIE MA ŻADNEGO NIEBEZPIECZEŃSTWA.

Zaczęli opadać na ziemie. Wyglądało to jakby skakali z jakiejś wysokiej, niewidocznej platformy i lądowali miękko na nogach.

- CO WY WYRABIACIE? - odezwał się do nich Blaine. - NIEWIELE BRAKOWAŁO BY JEDNA Z WAS OBERWAŁA PO GŁOWIE (BEZGŁOWY KORPUS LUDZKI, STĄPAJĄCY OSTROŻNIE, Z KIKUTEM SZYI W KIPIĄCEJ, CZERWONEJ PIANIE).

Były młode; nastolatki; ubrane w coś, co przypominało stroje plażowe. Blaine wyczuwał w nich rozbawienie, chęć płatania figli.

- KIM JESTEŚ? - spytała jedna z nich.

- SHEPHERD BLAINE OD FISHHOOKA.

- A DOKĄD JEDZIECIE?

- DO POŁUDNIOWEJ DAKOTY.

- TYM SAMOCHODEM?

- TAK. I Z TYM FACETEM - odparł Blaine - ALE DAJCIE MU SPOKÓJ.

- ON STRZELAŁ DO NAS. TRAFIŁ MARIE.

- OOO, NIC WIELKIEGO, LEKKIE DRAŚNIĘCIE - odezwała się Marie.

- ON JEST PRZERAŻONY - wyjaśnił Blaine. - STRZELAŁ SREBRNĄ KULĄ. Wzmianka o srebrnej kuli wzbudziła w dziewczynach wesołość.

Blaine uświadomił sobie natomiast całą dziwaczność sytuacji: księżycowa noc, pusta droga i wymarłe okolice, samochód stojący w poprzek szosy, gwizd wiatru na prerii i oni dwaj - Riley i on - otoczeni nie Komańczami, nie Siuksami czy wojownikami Czarnych Stóp, lecz pierścieniem rozbawionych, paranormalnych nastolatek.

I któż mógłby je za to zganić? - zapytywał siebie w duchu Blaine. Skoro w taki sposób buntują sie przeciwko swemu nieszczęśliwemu życiu, przeciwko światu, w którym wszyscy na nie polują, skoro w ten prosty sposób afirmują siebie, zyskują odrobinę ludzkiej godności - nikt nie powinien, nikt nie ma prawa odbierać im tego.

Obserwował w milczeniu twarze dziewcząt oświetlone światłem reflektorów i księżyca. Malowała sie na nich niepewność.

Z kabiny stale dobiegał jek Rileya.

- FISHHOOK (POTĘŻNE, PIĘTRZĄCE SIĘ CORAZ WYŻEJ I WYŻEJ BUDYNKI NA WZGÓRZU, MAJESTATYCZNA BUDOWLA BUDZĄCA OTUCHĘ I NADZIEJĘ).

- ZGADZA SIĘ - odparł Blaine.

Od grupy stłoczonych dziewcząt zbliżyła się do Blaine'a jedna z nich. Wyciągnęła rękę.

- NIE SPODZIEWAŁYŚMY SIĘ - rzekła. - NIE SPODZIEWAŁYŚMY SIĘ TUTAJ SPOTKAĆ KOGOŚ TAKIEGO JAK TY. PRZEPRASZAMY.

Blaine ujął dłoń dziewczyny. Poczuł silne, młode palce zaciskające się na jego dłoni.

- W OGÓLE RZADKO SPOTYKA SIĘ KOGOŚ NA SZOSIE O TEJ PORZE - wtrąciła inna, stojąca w grupie.

- TRAKTUJEMY TO JAKO ZABAWĘ - dodała któraś. - MAMY TAK NIEWIELE OKAZJI DO ROZRYWEK. KIEDY WIĘC ZOBACZYŁYŚMY ŚWIATŁA WASZEGO SAMOCHODU...

- O, WIEM, JAK MAŁO MACIE OKAZJI SPOTKAĆ KOGOŚ W NOCY. PRZEKONAŁEM SIĘ O TYM SAM pogodnie odparł Blaine.

- ZBWZA SIĘ HALLOWEEN* - odezwała się dziewczyna trzymająca go za rękę.

- HALLOWEEN? OCH, TAK, ROZUMIEM (PIĘŚĆ BĘBNIĄCA W ZAMKNIĘTĄ OKIENNICĘ, BRAMA OGRODOWA WYJĘTA Z ZAWIASÓW I ZAWIESZONA NA GAŁĘZI DRZEWA, POZRYWANE ZNAKI MAGICZNE).

- DOBRZE IM TAK. NIECH MAJĄ, CZEGO SAMI CHCĄ.

- ZGADZAM SIĘ Z WAMI - odparł Blaine - ALE TO NIEBEZPIECZNA ZABAWA.

- NIE BARDZO. ONI SĄ TAK WYSTRASZENI...

- ALE TO TYLKO POGARSZA I TAK STRASZNĄ SYTUACJĘ.

- MISTER, JEJ JUŻ NIC BARDZIEJ NIE MOŻE POGORSZYĆ. Blaine pokiwał tylko w milczeniu głową.

- JESTEŚ OD FISHHOOKA? CO TUTAJ WŁAŚCIWIE ROBISZ? - spytała dziewczyna stojąca obok niego.

Dłuższą chwile studiował jej twarz. Była piękna - niebieskie oczy, burza jasnych włosów, połyskujących srebrzyście w świetle reflektorów. Miała niezwykle zgrabną figurę, która w poprzedniej epoce zapewniłaby jej zwycięstwo w konkursie na miss piękności (organizowanie takich barbarzyńskich imprez przeminęło na szczęście wraz z nastaniem mody na kinetykę paranormalną).

- TEGO NIE MOGĘ CI POWIEDZIEĆ - odrzekł Blaine. - WYBACZ, ALE NAPRAWDĘ NIE MOGĘ.

- JAKIEŚ KŁOPOTY? NIEBEZPIECZEŃSTWO?

---

*Wigilia Wszystkich Świętych połączona z maskaradą i płataniem figli

- W TEJ CHWILI AKURAT NIE - odparł wymijająco.
- BO MOGŁYBYŚMY POMÓC.
- NIE, NIE MA TAKIEJ POTRZEBY - odparł siląc się na obojętność i beztroskę.
- MOŻEMY CIĘ ZABRAĆ, DOKĄD TYLKO ZECHCESZ.
- JA NIE POTRAFIĘ LEWTTOWAĆ.
- NIE MUSISZ. WYSTARCZY, ŻE MY POTRAFIMY (BLAINE LEWITUJĄCY PONAD ZIEMIĄ, UNOSZONY PRZEZ DWIE DZIEWCZYNY TRZYMAJĄCE GO ZA RĘCE).
- NIE, DZIĘKI. RACZEJ JEDNAK NIE - odparł wzdrygając się lekko Blaine.

Podczas gdy rozmawiał, któraś z dziewcząt otworzyła drzwi szoferki po przeciwnej stronie, druga złapała Rileya za ramie i wyciągnęła na zewnątrz. Mężczyzna potoczył się po ziemi. Kierowca, śmiertelnie wystraszony, zaczaj czołgać się niezdarnie po szosie, cały czas spazmatycznie szlochając.

- ZOSTAWCIE GO! - wrzasnął pod adresem nastolatek Blaine.

Dziewczyna, którą trzymał za rękę, odwróciła się gwałtownie. Jej myśli zafalowały.

- ZOSTAWCIE GO W SPOKOJU! ROZUMIECIE? NIECH ŻADNA NIE WAŻY SIĘ GO TKNĄĆ!
- ALEŻ ANITO...
- NIC Z TYCH RZECZY, ROZUMIECIE?
- PRZECIEŻ TO IDIOTA, TO TEN OHYDNY, ŚMIERDZĄCY NORMAK! ON STRZELAŁ DO NAS SREBRNYMI KULAMI!
- POWIEDZIAŁAM, NIE!

Dziewczyny cofnęły się, dając Rileyowi spokój.

- MUSIMY JUŻ SPŁYWAĆ - odezwała się Anita do Blaine’a. - DASZ SOBIE RADĘ?
- MYŚLISZ O NIM?

Dziewczyna skinęła potakująco głową.

- OCZYWIŚCIE - odparł Blaine.
- NAZYWAM SIĘ ANITA ANDREWS. MIESZKAM W HAMILTON. TELEFON 276. ZAPAMIĘTASZ? POWTÓRZ!
- ZAPAMIĘTAM - Blaine powtórzył w myślach nazwisko, adres i numer telefonu.
- GDYBYŚ POTRZEBOWAŁ POMOCY...
- ZADZWONIĘ.
- OBIECUJESZ?
- OBIECUJĘ (KRZYŻ NA BIJĄCYM SERCU).

Riley, na którego przestano chwilowo zwracać uwagę, doczołgał się do leżącej na środku jezdni strzelby. Gwałtownym skokiem dopadł jej i dźwigając się na nogi, złamał karabin. Gorączkowym ruchem sięgnął do kieszeni po naboje. Blaine, bez namysłu, rzucił się szczupakiem na szofera, sczepiając się z nim w mocnym uścisku. Trzymając go jedną ręką, drugą wyszarpnął strzelbę. Jeszcze lecąc w powietrzu, krzyknął pod adresem dziewcząt:

- UCIEKAJCIE! WSZYSTKIE!

Sczepieni ze sobą toczyli się po jezdni. Blaine czuł ostry ból rąk odzieranych z naskórka na szorstkim asfalcie, słyszał, jak ubranie pęka na jakimś szwie. Nie puścił jednak przeciwnika, lecz ściskał go coraz mocniej.

Naraz Riley ostrym, gwałtownym szarpnięciem wyrwał się Blaine’owi z objęć, poderwał na nogi i wziął szeroki zamach strzelbą, którą zdołał porwać ze sobą. Blaine na ślepo wyciągnął ręce w geście samoobrony. Poczuł jak drewniana kolba karabinu uderza go boleśnie w żebra. Zatkało go na chwile, którą kierowca wykorzystał, by zamachnąć się do kolejnego, tym razem ostatniego już ciosu. Blaine z desperacją trzasnął pięścią tam, gdzie spodziewał się natrafić na twarz przeciwnika. Poczuł miękki opór, lecz właściciel broni zdołał już zatoczyć ramionami szeroki łuk i strzelba ze świstem powietrza tylko o milimetry chybiła głowy Blaine’a. Zamach zachwiał Rileyem. Blaine wykorzystał to natychmiast. Gwałtownym skokiem przypadł do kierowej,’ i wyrwał mu z rąk karabin. Przyciskając do siebie broń, odskoczył kilka kroków, wchodząc jednocześnie w krąg światła, rzucanego przez reflektory ciężarówki.

Po chwili w blasku światła pojawił się również sunący już bez opamiętania do ataku Riley. Szedł do ataku jak zawodowy zapaśnik - z rozpostartymi ramionami, z głową wciśniętą w kark, z ustami zaciętymi w grymasie nieprzytomnej furii i nienawiści pogłębianych jeszcze bezprzytomnym strachem.

Gdy był już blisko, Blaine potężnym zamachem obu ramion odrzucił strzelbę daleko w ciemność. Starał się uniknąć starcia z Rileyem, lecz zrobił to zbyt wolno. Ogromna jak bochen chleba pięść kierowcy zacisnęła się na jego ubraniu. Ostrym skrętem tułowia Blaine wyswobodził się z uchwytu i cofnął kilka kroków. Riley nacierał z furią. Blaine zręcznie unikał ciosów, ale atakujący bił, kręcił się jak oszalały, by w końcu potknąć się, stracić równowagę i całym impetem uderzyć w maskę samochodu. Jęknął głucho i powoli osunął się na ziemię jak zwiotczały worek.

Zapadła cisza. Blaine rozejrzał się wokół. Byli tu już tylko oni dwaj: nieprzytomny Riley i on. Dziewczęta zdążyły już dawno zniknąć w ciemnościach nocy. Tylko on i Riley przy załadowanej ciężarówce. Księżyc i gwiazdy. A nad prerią zawodził wiatr, potęgując jeszcze wrażenie zagubienia i samotności.

Spojrzał w stronę szofera. Odzyskał już przytomność i siedział na ziemi oparty o zderzak samochodu. Z rozciętej skroni kapała mu krew. Widocznie musiał trafić czołem w maskę ciężarówki. Dyszał ciężko, a w oczach paliły mu się pełne szaleństwa ogniki.

Blaine stanął metr przed nim. Chwilę patrzył w milczeniu.

- Ty kretynie - odezwał się w końcu cichym, ale pełnym pasji głosem. - Ty cholerny, skończony durniu. Gdybyś ponownie strzelił do nich byłoby po nas, rozumiesz? Rozdarłyby nas na strzępy.

Spoglądał twardo. Kierowca poruszał niemo ustami, jakby coś żuł, jakby dławił się własnymi słowami.

- Ty... ty... ty - zdołał w końcu wychrypieć.

Blaine podszedł bliżej, wyciągnął rękę, by pomóc mu wstać. Riley jęcząc cicho odczołgiwał się w bok, wciskał całym ciałem w blachę szoferki.

- Ty jesteś jednym z nich - wykrzyknął w końcu. - Odgadłem to już wcześniej...
- Tyś chyba zupełnie oszalał...
- Nie, to ty jesteś nienormalny! - odwrzasnął Riley. - Boisz się, żeby cie ktoś nie zobaczył. Trzymasz sie wciąż przy samochodzie. Po żywność wysyłasz mnie. Ty nigdy nie pójdziesz. Ja zawsze kupuję benzynę. Ty nigdy.
- Bo to jest twoja ciężarówka - odparł Blaine tonem perswazji, siląc się na spokój. - Ty masz pieniądze, nie ja. Ja nie mam przy duszy centa.
- A sposób, w jaki spotkaliśmy się? - obstawał przy swoim Riley jakby słowa Blaine’a w ogóle do niego nie docierały. - Wyszedłeś po prostu z krzaków. Teraz wiem, że tam spędziłeś noc. Poza tym nie boisz się jak wszyscy normalni ludzie.
- Bo nie jestem głupcem - odrzekł już zniecierpliwiony Blaine. - To jedyny powód. Zapewniam cię, że jestem tak samo normalny jak ty. Gdybym był taki jak te dziewczyny, to sądzisz, że telepałbym się z tobą tą zakichaną kupą złomu?

Zdecydowanym ruchem schylił się i chwytając Rileya za klapy kurtki, jak dziecko, postawił na nogi. Potrząsnął nim kilkakrotnie z całych sił.

- Opamiętaj sie! - ryknął mu w ucho. -Już jesteśmy bezpieczni. Jedźmy stąd, szkoda czasu.
- Strzelba! Wyrzuciłeś moją strzelbę!
- A udław się strzelbą! Wsiadaj do auta pókim dobry!
- Ale ty z nimi rozmawiałeś. Słyszałem.
- Przecież nie powiedziałem ani słowa.
- Nie mówiłeś normalnie. Nie używałeś ani ust, ani jeżyka. Ale słyszałem, jak z nimi mówisz. Nie wszystko. Nie. Fragmenty tylko. Ale słyszałem.

Blaine bez słowa pchnął go na maskę wozu i trzymając jedną ręką, drugą otworzył szoferkę.

- Zamknij mordę i wsiadaj - warknął ordynarnie wpychając Rileya do samochodu. - Ty i twoja zasrana strzelba! Ty i twoje przeklęte srebrne kule! Ty i twoje omamy słuchowe!

Za późno - mówił sobie jednocześnie w duchu. To bezcelowe tłumaczyć mu cokolwiek, wyjaśniać. Gdyby odkrył prawdę, straciłby do reszty te odrobinę zdrowego rozsądku, jaka mu jeszcze pozostała. Cholerny Riley.

Przez pół godziny jechali pogrążeni w milczeniu. Riley wciśnięty w kąt szoferki bez przerwy spod przymkniętych powiek obserwował Blaine’a. Ten czuł na sobie cały czas uporczywy wzrok.

- Przepraszam, Blaine - odezwał się nieoczekiwanie szofer. - Teraz już wiem, że miałeś racje.
- Oczywiście, że miałem - odparł Blaine rzucając na niego szybkie spojrzenie znad kierownicy. Gdybyś znów zaczął strzelać...
- Mnie chodzi o coś innego. Gdybyś był taki jak one, zabrałbyś się z nimi. Doprowadziłyby cie wszędzie tam gdzie byś chciał o wiele szybciej, niż ja tą budą.
- Żeby cie jednak przekonać - odparł Blaine, następnym razem po żywność pójdę ja. I będę chodził zawsze... jeśli oczywiście zawierzysz mi pieniądze.

XV

Blaine siedział na wysokim stołku w barze szybkiej obsługi oczekując aż właściciel przygotuje pół tuzina kanapek i napełni kociołek kawą. Prócz Blaine'a znajdowało się wewnątrz tylko dwóch klientów: pierwszy skończył właśnie posiłek i oczekiwał na rachunek, drugi natomiast, pochylony nisko nad talerzem, dłubał widelcem w gęstej, brunatnej bryi, którą karta określała jako jajka z frytkami - wyglądało to raczej na osobliwą mieszaninę resztek potraw, przygotowaną dla psa.

Blaine, pomimo wewnętrznego spięcia, wyglądał oknem z obojętnym wyrazem twarzy. O tak wczesnej porze, ruch na ulicy panował niewielki; Blaine zdołał naliczyć kilka tylko samochodów i zaledwie jednego przechodnia.

Miał świadomość jak bezcelowa była ta wyprawa po żywność. Cokolwiek bowiem powiedziałby i zrobił, to Rileya i tak nie przekona.

Ale już niedługo - myślał z ulgą. Muszą być blisko rzeki, blisko miejsca skąd do Pierre pozostanie zaledwie kilka mil. I, śmieszna rzecz, Riley ani słowem nie wspomniał dokąd właściwie zmierza. Z drugiej jednak strony nie było w tym nic takiego dziwnego; małomówność i tajemniczość kierowcy to po prostu konsekwencja jego stanu duchowego, jego strachu i niepewności. Taki sam zresztą był powód powściągliwości Rileya w kwestii towaru jaki wieźli.

Blaine odwrócił twarz od okna dopiero na głos właściciela knajpy. Sięgnął do kieszeni po pięciodolarowy banknot, który otrzymał od Rileya. Poczekał chwile na resztę, zsunął się ze stołka i pomaszerował w stronę drzwi.

Na zewnątrz skierował się natychmiast ku niezbyt odległej, ogromnej stacji olejowej, gdzie czekał Riley. O tak wczesnej porze stacja była jeszcze zamknięta na głucho. Mężczyźni postanowili wiec wykorzystać wolny czas na śniadanie, po które właśnie wybrał się Blaine. Potem, po otwarciu stacji i napełnieniu baku paliwem, ruszą dalej. Będzie to już ostami dzień podróży Blaine'a, który osiągnąwszy rzekę, opuści Rileya i dalej powędruje już piechotą do Pierre.

Ranek był zimny - prawie mroźny - i z ust Blaine'a przy każdym oddechu wydobywał się obłoczek pary. Zapowiadało to kolejny piękny dzień; jeden z ostatnich, pogodnych dni października, kiedy powietrze przesyca jakby, zapach cierpkiego jabłkowego wina, a po niebie żeglują postrzępione, pierzaste obłoki.

Ciężarówki na stacji nie było.

Być może Riley przystanął nieco dalej - pomyślał Blaine, choć dobrze wiedział, że kierowcy i jego auta dawno już nie ma w miasteczku. Spodziewał się tego zresztą od początku. Bo z punktu widzenia Rileya był to najprostszy sposób pozbycia się kłopotliwego pasażera. Za niewielką przecież cenę pięciu dolarów, później zjedzonego śniadania oraz zatankowania benzyny w następnym miasteczku.

Dla porządku jednak obszedł wokół całą stacje zaglądając za każdy mijany róg. Jak się spodziewał ciężarówka zniknęła. Pozostał sam.

Stał chwile rozglądając się bacznie wokoło.

Znajdował się na wschodnich krańcach miasta, jako że przyjechali tutaj z południa i już w samym miasteczku zatoczyli duży, blisko dwumilowy łuk. Na wschód też skierował teraz swe kroki. Szedł energicznym, lecz niezbyt spiesznym krokiem, nie chcąc wzbudzać ciekawości przechodniów i zwracać na siebie uwagi. Była to zbędna zapobiegliwość, gdyż miasteczko jeszcze spało i spotkał zaledwie dwóch mężczyzn: jeden wyjmował właśnie ze skrzynki pocztowej poranną prasę, a drugi szedł ze spuszczoną nisko głową, dźwigając torbę z porannymi zakupami. Żaden z nich nie poświecił Blaine'owi chwili uwagi.

Dotarł na krańce miasteczka. Prerie przebyli już wcześniej i teraz rozciągała się przed nim kraina pokryta wyniosłymi wzgórzami porośniętymi gęstym lasem. Był pewien, że tam, za ostatnim rzędem wzniesień, toczy swe wody Missouri.

Z oddali dobiegł do potężny łoskot jakiegoś wielkiego górskiego potoku, a poniżej, prawie u jego stóp dojrzał błyszczącą, skrzącą się w słońcu wstążkę strumienia wijącego się pośród łach piasku, o brzegach porośniętych kępami wierzb.

Ruszył przed siebie polem, przeskoczył płot i zbiegł długim, stromym zboczem w dół, na rozległe ławice białego piasku. Następnie opuścił się jeszcze niżej, do głębokiego parowu, którego dnem płynął strumień i w którym zieleniła się wielka kępa wierzb ze zwisającą do samej ziemi gęstą kurtyną gałęzi.

Wczołgał się tam. Wymarzona kryjówka. Miejsce było wystarczająco odległe od miasta, a strumień dość mary - za mały, by mieli się tu pojawić amatorzy wędkarstwa lub kąpieli. Nikt nie powinien zakłócić spokoju Blaine'a.

Nikogo nie zaalarmuje jego lustrzanie odbijający umysł, nikt nie wrzaśnie z nienawiścią: dewiat!

Tu bezpiecznie przeczeka dzień, by nocą ruszyć w dalszą drogę.

Zjadł trzy kanapki i napił się kawy.

Słońce stało już wysoko na niebie. Promienie przedostawały się przez zbitą gęstwę gałęzi, tworząc na piasku misterną mozaikę światła i cienia,

Od strony miasteczka dobiegał stłumiony odległością hałas: warkot ciężarówki, dudnienie jakiejś maszyny, szczekanie psów, głos kobiety nawołującej dzieci.

Długą drogę przebyłem od tego pamiętnego wieczoru u Fishhooka - myślał Blaine odruchowo rysując na piasku patykiem zawiłe esy-floresy. Daleka, najeżona trudnościami i niebezpieczeństwami droga oddzielała go od Charline i Fredd'ego Batesa. A tak na dobrą sprawę, aż do teraz nie miał sposobności, by przemyśleć wszystko.

Bez przerwy, od chwili opuszczenia maszyny gwiezdnej, dręczył go problem: czy ucieczka od Fishhooka była najrozsądniejszym wyjściem? Nawet biorąc pod uwagę to, co mu powiedział Godfrey Stone? A może najrozsądniej było jednak pozostać w Meksyku, bez względu na to, co Fishhook trzymał w zanadrzu?

Pogrążony w gorzkich, posępnych myślach powrócił nagle do jasnobłękitnego pokoju. I ujrzał ów pokój, jakby to było zaledwie wczoraj; jakby to było przed chwilą. Obce gwiazdy lśniły ostrym blaskiem ponad głową człowieka, a pokój wypełniony był dziwacznymi, sztucznymi przedmiotami: ni to meblami, ni dziełami sztuki, ni aparaturą naukową.

Wszystko tu było czyste i gładkie o liniach miękkich i łagodnych, bez ostrych krawędzi i załamań. Wszystko stało na swoim miejscu; ani jeden przedmiot nie przybył ani nie ubył.

Różowa Istota spoczywała tam, gdzie zwykle. Ospała i rozlazła. Na jego widok jednak jakby się nieco przebudziła i ożywiła.

- WIĘC JEDNAK WRÓCIŁEŚ - powiedziała.

Bo Blaine był tam rzeczywiście.

Bez maszyny i ciała, bez urządzeń rejestrujących i taśm. Bez niczego. Tylko jego nagi umysł. Shepherd Blaine wrócił do Różowej Istoty.

XVI

Nagiego umysłu nie można zobaczyć. Lecz Różowa Istota mogła - lub tylko odczuwała jego obecność - gdyż wiedziała, że umysł Człowieka znajduje się w błękitnym pokoju.

A dla Shepherda Blaine'a pokój ów nie był już wcale ani obcy, ani zaskakujący. Odniósł zgoła wrażenie powrotu do domu. Gdyż w obecnej chwili owo jasnoniebieskie pomieszczenie było mu o wiele bliższe i bardziej swojskie niż wtedy, gdy trafił tu pierwszy raz.

- DOSKONALE - odezwała się Różowa Istota taksując w osobliwy sposób umysł człowieka - TWORZYCIE ŚWIETNĄ PARĘ!

Czuł się jak w domu; i było to odczucie tej jego części, która wciąż jeszcze była Shepherdem Blaine. Bo ta druga cześć, która wcale nim nie była, po prostu wróciła do domu. A on, Blaine, jest w jakimś tam procencie - najprawdopodobniej niemożliwym do wyliczenia - fragmentem owej istoty, przed którą sie teraz znalazł. Reszta to Shepherd Blaine, przybysz z Ziemi, węglowy duplikat owej rzeczy rozciągniętej na gładkiej i błękitnej podłodze.

- NO, I JAK WAM RAZEM LECI? - spytała uprzejmie obca istota. Zupełnie jakby nie wiedziała!

- JEST JEDEN KŁOPOT- odparł pospiesznie Blaine, obawiając się, że zmuszony będzie do powrotu na Ziemie, zanim Różowa Istota mu odpowie. - SPOWODOWAŁAŚ, ŻE JESTEŚMY JAK ZWIERCIADŁO: ODBIJAMY MYŚLI INNYCH LUDZI.

- ALEŻ O TO PRZECIEŻ CHODZIŁO - Blaine wyczuł zdziwienie w jej głosie. -JEST TO JEDYNY SPOSÓB, BY OCHRONIĆ SWÓJ UMYSŁ PRZED PODGLĄDANIEM GO PRZEZ INNE ISTOTY NA OBCYCH PLANETACH. JESTEŚCIE PO PROSTU DOSKONALE EKRANOWANI... RZECZ JASNA, TUTAJ, W DOMU, TAKA OCHRONA JEST CAŁKIEM ZBYTECZNA...

- MUSISZ ZROZUMIEĆ JEDNO - zaprotestował Blaine - TO WCALE NIE ZAPEWNIA NAM BEZPIECZEŃSTWA. PRZECIWNIE, TO ZWRACA NA NAS UWAGĘ. NIEWIELE BRAKOWAŁO, A SPOWODOWAŁOBY NASZĄ ŚMIERĆ.

- NIE ISTNIEJE NIC TAKEGO JAK ŚMIERĆ - odparła nie-

cierpliwie Różowa Istota. - NIE MA TAKIEJ RZECZY, JAK ŚMIERĆ. JAK ZABIJANIE. TO PO PROSTU BZDURA. CHOCIAŻ MOŻE SIĘ MYLĘ... TAK, TAK, WŁAŚNIE SOBIE PRZYPOMNIAŁAM, ŻE BARDZO, BARDZO DAWNO TEMU ZETKNĘŁAM SIĘ Z PLANETĄ I ZAMIESZKUJĄCĄ TĘ PLANETĘ RASĄ...

Urwała, popadając w zamyślenie, a Blaine'owi wydało się, że słyszy cichy szum tasujących się W niej wspomnień.

- TAK - odezwała się ponownie. - BYŁA NIEGDYŚ PLANETA... KILKANAŚCIE PLANET. NO NIE, NIE MOGĘ. TO JEST ZUPEŁNIE KOMPROMITUJĄCE. NIE MIEŚCI MI SIĘ TO W GŁOWIE. JEST TO TAK ODLEGŁE I BEZSENSOWNE...

- OTÓŻ MOGĘ CIĘ ZAPEWNIĆ - odezwał się tonem perswazji Blaine - ŻE NA MOJEJ PLANECIE WSZYSTKO UMIERA, WSZYSTKO MA SWÓJ KRES. KAŻDA NAJDROBNIEJSZA RZECZ, NAJBARDZIEJ BŁACHA.

- ABSOLUTNIE WSZYSTKO?

- CZY ABSOLUTNIE, TEGO NIE MOGĘ BYĆ PEWIEN. PRAWDOPODOBNIE...

- A WIDZISZ. NAWET NA TWOJEJ PLANECIE NIE JEST TO ZJAWISKO POWSZECHNE.

- NIE WIEM. MOŻE RZECZYWIŚCIE JEST TAK, JAK TWIERDZISZ. CZASAMI WYDAJE MI SIĘ, ŻE ISTNIEJĄ RZECZY NIEŚMIERTELNE.

- CZYŻ NIE MAM WIĘC RACJI?

- ZAPEWNE, LECZ Z DRUGIEJ STRONY ŚMIERĆ MA SWÓJ JAK NAJGŁĘBSZY SENS - odrzekł Blaine. JEST TO PROCES, DZIĘKI KTÓREMU POWSTAJĄ I ROZWIJAJĄ SIĘ GATUNKI. MOŻE TO ZABRZMIEĆ NIECO PARADOKSALNIE, ALE WŁAŚNIE ŚMIERĆ ZAPOBIEGA KOSTNIENIU I OBUMIERANIU. DZIĘKI NIEJ GINĄ GATUNKI SŁABSZE I ZŁE, DAJĄC POCZĄTEK NOWYM, LEPSZYM.

Blaine, mówiąc to, odniósł wrażenie, że Różowa Istota rozsiadła się wygodniej, odprężyła, szykując na dłuższą pogawędkę.

- TO CO MÓWISZ JEST BARDZO PRAWDOPODOBNE I MOŻLIWE, LECZ ZARAZEM NIESŁYCHANIE PRYMITYWNE, JEŚLI ZE ŚMIERCIĄ JEST TAK JAK TO PRZEDSTAWIASZ, TO MUSIAŁO SIĘ TAK DZIAĆ w SAMYM ZARANIU ISTNIENIA, JESZCZE W WODZIE, A W ROZWOJU KAŻDEJ ISTOTY ROZUMNEJ, PRZYCHODZI TAKA CHWILA, ŻE ŚMIERĆ, JAKO WARUNEK KONIECZNY SELEKCJI I ULEPSZANIA GATUNKU, STAJE SIĘ JUŻ ZBĘDNYM ELEMENTEM, LECZ CHCIAŁABYM SPYTAĆ CIĘ NA POCZĄTKU, CZY JESTEŚ ZADOWOLONY?

- ZADOWOLONY?

- TAK, ZADOWOLONY. PRZECIEŻ JESTEŚ ISTOTĄ UDOSKONALONĄ. ISTOTĄ BARDZIEJ ROZWINIĘTĄ. JESTEŚ - BĘDĄC SOBĄ - RÓWNIEŻ CZĘŚCIOWO MNĄ.

- A TY - CZĘŚCIOWO MNĄ - odpalił Blaine i zdawało mu się, że Różowa Istota lekko zachichotała.

- ALE TY JESTEŚ TYLKO SOBĄ I MNĄ, JA NATOMIAST JESTEM DODATKOWO TAK WIELOMA JESZCZE RZECZAMI, ŻE AŻ MI TRUDNO O TYM MÓWIĆ. BYŁAM W TYLU RÓŻNYCH MIEJSCACH, BYŁAM TYLOMA RZECZAMI I UMYSŁAMI. WYZNAĆ MUSZĘ CI CAŁKIEM SZCZERZE, IŻ WIELE Z NICH NIE ZASŁUGIWAŁO WCALE NA MÓJ WYSIŁEK WYMIENIENIA SIĘ Z NIMI ŚWIADOMOŚCIĄ, ALE CZY UWIERZYSZ, ŻE MIMO IŻ BYŁAM W TYLU MIEJSCACH, TO MNIE NIKT PRAWIE NIE ODWIEDZAŁ. ZNALAZŁA SIĘ KIEDYŚ ISTOTA, KTÓRA BARDZO CZĘSTO PRZYBYWAŁA TUTAJ DO MNIE, LECZ BYŁO TO TAK STRASZNIE DAWNO, ŻE Z TRUDEM SOBIE TO PRZYPOMINAM. ALE, ALE - WY RÓWNIEŻ MIERZYCIE CZAS. CZY MÓGŁBYŚ MI COŚ O TYM POWIEDZIEĆ?

Blaine wyjaśnił zasady ziemskiego pomiaru czasu.

- HMM, NO TAK - mruknęło stworzenie - TO MUSIAŁO BYĆ OKOŁO DZIESIĘCIU TYSIĘCY TWOICH LAT TEMU.

- WTEDY CIĘ TO STWORZENIE ODWIEDZAŁO?

- TAK, I TY JESTEŚ DOPIERO PIERWSZY OD TAMTEGO CZASU. PRZYBYŁEŚ DO MNIE, NIE CZEKAJĄC, AŻ JA PRZYBĘDĘ DO CIEBIE. MIAŁEŚ MASZYNĘ...

- POSŁUCHAJ - przerwał zaintrygowany Blaine. -JAK TO SIĘ DZIEJE, ŻE MUSISZ MNIE WYPYTYWAĆ O RÓŻNE RZECZY, NA PRZYKŁAD O ZIEMSKIE MIERZENIE CZASU? PRZECIEŻ WYMIENILIŚMY UMYSŁY I WIESZ WSZYSTKO TO, CO JA WIEM.

- TEORETYCZNIE MASZ CAŁKOWITĄ RACJĘ - odparła Różowa Istota. - POSIADAM CAŁĄ TWOJĄ WIEDZĘ, LECZ CZASAMI SPRAWIA MI TRUDNOŚĆ DOGRZEBANIE SIĘ DO ODPOWIEDNIEJ INFORMACJI. NIE UWIERZYŁBYŚ, JAKI TAM JEST BAŁAGAN.

To akurat Blaine pojmował bardzo dobrze. Jemu wystarczały w zupełności zaledwie dwie świadomości... Był tylko ciekaw...

- TAK, OCZYWIŚCIE - rzekła Istota - ZROZUMIESZ TO W SWOIM CZASIE. ALE MUSI TO CHWILKĘ POTRWAĆ. BĘDZIESZ JUŻ TYLKO JEDNĄ ŚWIADOMOŚCIĄ, NIE DWIEMA. POŁĄCZYCIE SIĘ TWORZĄC JEDNOŚĆ. CZY CI TO ODPOWIADA?

- TO BARDZO KŁOPOTLIWE... MAM NA MYŚLI TO LUSTRO EKRANUJĄCE MÓJ UMYSŁ.

- TO ŻADEN KŁOPOT. BYŁO TO ZRESZTĄ NIEZAMIERZONE. CHCIAŁAM JAK NAJLEPIEJ. ALE TO NIC. NAJWIDOCZNIEJ POPEŁNIŁAM BŁĄD. NAPRAWIĘ GO. ZABIORĘ LUSTRO. OKAY?

- OKAY.

- SIEDZĘ TAK SOBIE - mówiła Różowa Istota - ODWIEDZAM NAJPRZERÓŻNIEJSZE MIEJSCA NIE RUSZAJĄC SIĘ STĄD. MOGĘ BYĆ W KAŻDEJ CHWILI W KAŻDYM DOWOLNYM MIEJSCU. BYŁBYŚ ZAPEWNE ZASKOCZONY, GDYBYŚ WIEDZIAŁ Z ILOMA JUŻ ISTOTAMI WYMIENIAŁAM ŚWIADOMOŚĆ.

- JA MYŚLĘ! - wykrzyknął Blaine. - PRZEZ DZIESIĘĆ TYSIĘCY LAT!

- DLA MNIE, MÓJ PRZYJACIELU - upomniała Blaine'a - DZIESIĘĆ TYSIĘCY LAT TO TYLE, CO DLA CIEBIE ZALEDWIE JEDEN DZIEŃ.

Obce stworzenie siedziało pogrążone w milczeniu, starając się sięgnąć pamięcią do swego początku. Powracało wspomnieniami coraz dalej i dalej, głębiej i głębiej, całe eony epok. W końcu dało za wygraną.

- ISTNIEJĄ TAKIE STWORZENIA - poskarżyła się Różowa Istota - KTÓRE SĄ W STANIE ZAPANOWAĆ NAD CUDZĄ ŚWIADOMOŚCIĄ. Z NIMI TRZEBA POSTĘPOWAĆ NADER OGLĘDNIE I OSTROŻNIE. INNE Z KOLEI CZUJĄ SIĘ OPĘTANE I ŁATWO POPADAJĄ W SZALEŃSTWO. Z TYMI TEŻ TRZEBA UWAŻAĆ. CHYBA TO ROZUMIESZ?

- OOO, AŻ ZA DOBRZE!

- NO TO ZBLIŻ SIĘ I USIĄDŹ TU, KOŁO MNIE.

- PRZYKRO MI, ALE W STANIE W JAKIM SIĘ OBECNIE ZNAJDUJĘ, BYŁOBY MI TRUDNO USIĄŚĆ.

- NO TAK, PRZEPRASZAM. NIE POMYŚLAŁAM, ŻE TY JESTEŚ WYŁĄCZNIE SAMĄ ŚWIADOMOŚCIĄ. ZBLIŻ SIĘ W TAKIM RAZIE. PRZYBYŁEŚ TUTAJ, BY SIĘ CZEGOŚ DOWIEDZIEĆ, PRAWDA?

- NATURALNIE - odparł niepewnie Blaine, nie wiedząc na dobrą sprawę, co ma odpowiedzieć.

- TO OD CZEGO ZACZNIEMY? - spytało stworzenie z wahaniem. -JEST TYLE MIEJSC, ISTNIEJE TYLE CZASÓW, TYLE NAJPRZERÓŻNIEJSZYCH ISTOT, ŻE SAM WYBÓR STAJE SIĘ JUŻ PROBLEMEM. CO BY TU WYBRAĆ NA POCZĄTEK?... ACH. GDYBYM TO WSZYSTKO MIAŁA UŁOŻONE W PORZĄDKU, GDYBY UDAŁO MI SIĘ TO POSEGREGOWAĆ, POSZUFLADKOWAĆ, BYŁABYM MOŻE W STANIE DOCIEC CZEGOŚ NAJISTOTNIEJSZEGO... NO DOBRZE. SĄDZĘ, ŻE NIE BĘDZIESZ MIAŁ NIC PRZECIWKO TEMU, ŻEBYM ZACZĘŁA OD TYCH PRZEDZIWNYCH STWORZEŃ, KTÓRE SPOTKAŁAM JUŻ POZA NASZĄ GALAKTYKĄ.

- O NIE, WRĘCZ PRZECIWNIE - podchwycił Blaine, przysuwając się bliżej Różowej Istoty.

- SĄ DOŚĆ NIEZWYKŁE W TYM, ŻE NIE ROZWIJAJĄ CYWILIZACJI TYPU TECHNOLOGICZNEGO -JAK TWOJA - A PRAKTYCZNIE SAME STAJĄ SIĘ MASZYNAMI...

Siedząc w jasnobłękitnym pokoju na odległej planecie, z obcymi gwiazdami lśniącymi nad głową, w ciszy mąconej odległym szumem pustynnego wiatru, Blaine trwał zasłuchany w opowieści niezwykłej istoty. O stworzeniach-maszynach, o plemionach owadów zniewolonych w obłędnym kieracie manii ekonomicznej, które przez niezliczone wieki gromadzą niepotrzebne nikomu zapasy. O rasie, która z form swojej sztuki stworzyła podstawy niesamowitej religii, o punktach obserwacyjnych zakładanych przez garnizony potężnego imperium galaktycznego, punktach zapomnianych już przez wszystkich, z wyjątkiem samych tych punktów. O fantastycznych i skomplikowanych przedsięwzięciach seksualnych rasy, której groziła zagłada spowodowana trudnościami prokreacyjnymi. O planetach, na których nigdy nie powstało życie i które krążą w ciszy po swych odwiecznych orbitach ponure, surowe i martwe od

chwili powstania. O innych jeszcze ciałach niebieskich, gdzie kipią niemożliwe do ogarnięcia rozumem, przerażające reakcje chemiczne, które wyłaniają same z siebie pewien rodzaj niestabilnej, efemerycznej świadomości, ginącej natychmiast, ewoluującej w kolejną, równie nietrwałą, formę rozumnego życia.

O tym, i o wielu innych rzeczach.

Słuchając tych opowieści, Blaine z osłupieniem uświadamiał sobie, lepiej i lepiej, fantastyczny ogrom i potege owej istoty, na którą się natknął; istoty w rzeczy samej nieśmiertelnej, niepomnej swego początku, nieświadomej przeznaczenia i kresu. Istoty, której świadomość błądząc przez miliony lat biegu światła poznała miliony gwiazd i planet w tej i innych galaktykach i zdołała zgromadzić przerażający wprost zasób wiedzy. Wiedzy jałowej, samej dla siebie, nie wykorzystanej. Więcej - Różowa Istota najwidoczniej nie miała w ogóle pojęcia, jak jej użyć. A jednocześnie dokuczała jej świadomość, że owa mądrość marnuje się, że nie jest w stanie wiedzy tej spożytkować tak, jak należy.

Osobliwe stworzenie, które mogło przez nieskończone wieki leżeć tak sobie na podłodze błękitnego pokoju i ciągnąć nieprawdopodobne opowieści o tym, co widziało i czego doświadczyło.

Ta encyklopedia wiedzy galaktycznej, ten próżnujący atlas nieprzeliczonej liczby sześciennych lat świetlnych może stać się niebywale użyteczny dla rasy ludzkiej - myślał Blaine. Wiedza i umiejętności Różowej Istoty mogłyby przynieść ludziom nieoszacowane wprost korzyści. Ludzkość pełnymi garściami czerpałaby wiedze od tej przedziwnej istoty pozbawionej kompletnie uczuć - może poza przyjacielskością - aczkolwiek posiadającej zapewne wiedze o wszelkich możliwych uczuciach i emocjach, jakie kiedykolwiek i gdziekolwiek we wszechświecie istniały. Wiedze gromadzoną stopniowo w trakcie licznych wędrówek galaktycznych; wiedze, dzięki której istota ta zdobyła ostateczną tolerancje, zrozumienie i wyrozumiałość; nie tylko dla własnej natury, nie tylko dla natury ludzkiej, ale dla każdej, dla życia samego w sobie. Sympatie dla wszelkich możliwych motywów, etyk, dla każdej ambicji, choćby wydawała się ona nie wiadomo, jak osobliwa, cudaczna i trudna do pojęcia.

A wszystko to jest już również udziałem jednej istoty ludzkiej: mnie - uświadamiał sobie Blaine. Musi posegregować teraz, poklasyfikować i ułożyć cały ten obłędny, przepastny magazyn wiedzy. Jeśli nauczy się odnajdywać i wydobywać potrzebną informacje w odpowiedniej chwili...

Zasłuchany Blaine stracił poczucie czasu i rzeczywistości, zapomniał kim jest, gdzie się znajduje i dlaczego tu przebywa. Jak chłopiec zasłuchany w zdumiewające i nieprawdopodobne bajdy starego marynarza, tak Blaine chłonął opowieści Różowej Istoty z dalekiej planety. Gwiazdy nad głową przestały być obce, a zawodzenie pustynnego wiatru stało się jak bliska sercu, znana od dzieciństwa kołysanka.

I długo trwało, nim uświadomił sobie, że słucha już tylko wiatru, że opowieści dawno ucichły, że Różowa Istota pogrążona jest w bezruchu.

Poruszył się lekko, sennie, a Różowa Istota odezwała sie:

- TO BYŁO CUDOWNE SPOTKANIE. MYŚLĘ, ŻE NAJPIĘKNIEJSZE, JAKIE KIEDYKOLWIEK PRZEŻYŁAM.

- POZOSTAJE JESZCZE JEDEN PROBLEM - odezwał się rzeczowo Blaine. -JEDNO PYTANIE...

- JEŚLI CHODZI O TEN EKRAN W TWOIM UMYŚLE, TO JUŻ GO TAM NIE MA. JUŻ NIE ISTNIEJE W TWYM UMYŚLE NIC, CO MOGŁOBY CIĘ ZDRADZIĆ.

- JA NIE O TYM - odparł Blaine. - CZAS, CHODZI MI O CZAS. JA - TO ZNACZY MY - POTRAFIMY REGULOWAĆ PRZEPŁYW CZASU. TA UMIEJĘTNOŚĆ DWUKROTNIE URATOWAŁA MI ŻYCIE...

- TO JUŻ MASZ W SWOIM UMYŚLE - rzekła Różowa Istota. - JUŻ TO ROZUMIESZ. MUSISZ TYLKO UMIEJĘTNIE WIEDZĘ TĘ ODNALEŹĆ I WYDOBYĆ.

- ALE CZAS...

- CZAS - rzekła owa istota - CZAS JEST ZE WSZYSTKIEGO NAJPROSTSZĄ RZECZĄ. POWIEM CI...

XVII

Blaine dłuższy czas leżał nieruchomo, upajając się po prostu ciałem. Czuł je, mógł dotknąć skóry, wyczuć pod palcami jej chłód, lepką wilgoć potu na ramionach, na twarzy, na piersiach.

Nie znajdował się już w błękitnym pokoju, nie słyszał dobiegającego z zewnątrz gwizdu wiatru i syku przesypującego się piasku. Był natomiast inny, drażniący i chrapliwy dźwięk. I smród; agresywny, surowy odór lekarstw wypełniający nozdrza Blaine'a.

Uchylał powieki niezwykle powoli i ostrożnie. Ujrzał biel - nieskażoną i czystą. Olśniewającą biel sufitu.

Jego głowa spoczywała na poduszce, a ciało na świeżym prześcieradle. Miał na sobie jakieś ubranie ze sztywnej, szorstkiej tkaniny.

Odwrócił głowę. Obok stało inne łóżko, a na nim spoczywała mumia.

Czas - powiedziało mu stworzenie z innego świata - czas jest ze wszystkiego najprostszą sprawą. Chciało mu to wyjaśnić, ale nie zdążyło, gdyż Blaine powrócił już do siebie, na swoją planetę.

To był chyba sen. Piękny sen - myślał powracając wspomnieniem do błękitnego pokoju. Ale to wcale nie był sen. To wszystko zdarzyło się naprawdę. Powrócił na tamtą planetę i rozmawiał z Różową Istotą. Słuchał jej niezwykłych opowieści, pamiętał teraz każdy ich szczegół. Zbyt dokładnie, żeby to wszystko miało się mu tylko przyśnić.

Mumie z sąsiedniego łóżka spowijały bandaże tak szczelnie, że pozostały tylko otwory na usta i nos. Nawet oczy były zakryte. To właśnie jej chrapliwy oddech stanowił źródło drażniących dźwięków.

Ściany - podobnie jak sufit - były przytłaczajco białe, a podłogę pokrywała wzorzysta glazura .Blaine nie miał wątpliwości, dokąd trafił.

Był w szpitalu, sam na sam z ową charczącą i śliniącą się mumią.

Był w szpitalu, wśród ludzi! Leżał zmrożony nagłym strachem, który obrzydliwą, mdlącą falą podpełzł mu do gardła. Po krótkiej chwili jednak uczucie zagrożenia minęło. Poczuł się w jakiś zadziwiający sposób bezpieczny. Chwile zastanawiał się, gdyż musiał istnieć jakiś racjonalny powód tego, że tak nagle i Kompletnie przestał się bać.

Gdzie byłem? Gdzie byłem jeszcze prócz tego błękitnego pokoju? - zastanawiał się.

Umysł zaczął już mu funkcjonować normalnie i przypomniał sobie, że ukrył się w gęstej kępie płaczących wierzb w parowie nad potokiem. Tam zostało jego ciało, podczas gdy świadomość szybowała przez kosmiczną pustkę na ową planetę.

Za drzwiami sali, w której znajdował się Blaine, rozległ się odgłos czyichś kroków. Drzwi otworzyły sie nagle i do środka wszedł mężczyzna w białej kurtce. Zatrzymał się w progu i chwile obserwował Blaine'a.

- Wreszcie wrócił pan do siebie - odezwał się doktor. - No i jak samopoczucie?

- Całkiem nieźle - odparł zgodnie z prawdą Blaine, który w dalszym ciągu nie wiedział, co spowodowało jego pobyt w szpitalu. -Jak się tutaj znalazłem?

- Czy panu zdarzały się już kiedyś podobne przypadki? - lekarz jakby nie dosłyszał pytania Blaine.

- Ale co?

- Zaćmienie - odparł lekarz. - Stan omdlenia.

- Nie przypominam sobie - Blaine nie podnosząc z poduszki głowy, pokręcił nią przecząco.

- Zupełnie, jakby ktoś rzucił na pana urok.

- Czary, doktorze? - wybuchnął gromkim śmiechem Blaine.

- No nie, tak tylko powiedziałem - krzywiąc twarz w wymuszonym uśmiechu odparł doktor. - Ale pacjenci wymyślają czasem niestworzone rzeczy...

Lekarz zbliżył się do łóżka i usiadł obok Blaine'a.

- Jestem doktor Wetmore - przedstawił się. - Przebywa pan tutaj już od dwóch dni. Jacyś chłopcy wybrali się na króliki i znaleźli pana. Leżał pan pod kępą wierzb. Myśleli, że jest pan martwy.

- I to oni mnie tu zaciągnęli?

- Nie, policja. Chłopcy zawiadomili szeryfa.

- No i co mi było?

- Nie wiem - odrzekł szczerze doktor.

- Zdaje pan sobie sprawę, doktorze, że nie mam pieniędzy. Trudno będzie mi zapłacić.

- To akurat najmniejszy problem - lekarz potrząsnął głową. - Istnieje inna kwestia. Pan nie posiadał przy sobie żadnych dokumentów. Czy pamięta pan w ogóle, kim jest?

- Oczywiście. Jestem Shepherd Blaine.

- A gdzie pan mieszka?

- Nigdzie. Szedłem, szedłem i przywędrowałem tutaj.

- A w jaki sposób dostał się pan do miasta?

- Nie mogę sobie jakoś przypomnieć.

Blaine usiadł na łóżku. Spojrzał bystrym wzrokiem na doktora.

- Zamierzam już pójść sobie - odezwał się. - Jak stąd wyjść?

Lekarz obrzucił go przeciągłym spojrzeniem. Potrząsnął lekko głową.

- Chciałbym jednak, aby pan pozostał jeszcze trochę pod moją opieką. Jest kilka badań, które...

- Ale to tyle kłopotu...

- Nigdy nie należy lekceważyć takich przypadków, jak pański - rzekł poważnie doktor. - Przyznaje, że poza tą niezrozumiałą utratą świadomości, był pan w porządku. To znaczy pod względem fizycznym pański organizm był prawie bez zarzutu. Może akcja serca nieco zwolniona, a oddech nieco płytszy niż normalnie. Temperatura o jakąś kreskę niższa, a poza tym wszystko normalnie, tyle, że był pan nieprzytomny. I w żaden sposób nie było można pana docucić.

Blaine skierował wzrok ha mumie.

- Z nim chyba nietęgo?

- Wypadek drogowy.

- O, to raczej nietypowe. Niewiele ich teraz.

- Niezwykłe okoliczności - wyjaśnił lekarz. - Kierował starą ciężarówką. Jechał prędko i pękła mu opona. Jeden zakręt szosy przed rzeką.

Blaine drgnął i przenikliwym wzrokiem otaksował mężczyznę spowitego bandażami.

- Możemy pana przenieść do innej sali - zaproponował doktor, opacznie tłumacząc sobie zainteresowanie Blaine’a rannym szoferem.

- To zbyteczne. Nie zostanę tu przecież długo - Blaine wzruszył ramionami.

- Prosiłbym jednak, by przez jakiś czas pozostał pan pod moją opieką. Zapaść może się powtórzyć. A za drugim razem mogą pana znaleźć za późno.

- Zastanowię się nad tym - obiecał Blaine, kładąc się z powrotem na łóżku.

Doktor nic nie odrzekł. Wstał i podszedł do drugiego łóżka. Pochylił się nisko nad rannym i chwile wsłuchiwał się bacznie w jego oddech. Następnie kawałkiem ligniny wytarł zaślinione wargi chorego. Wyprostował się i spojrzał na Blaine’a.

- Może panu czegoś potrzeba? - spytał. - Musi być pan potężnie głodny.

Blaine przełknął ślinę. Dopiero teraz uświadomił sobie, że od blisko trzech dni nie miał nic w ustach. Pokiwał ochoczo głową.

- Porozmawiam w kuchni. Już coś tam znajdą dla pana.

Doktor odwrócił się i wyszedł z sali szybkim krokiem. Blaine słyszał klekot jego obcasów, oddalający sie korytarzem.

I nagle zrozumiał - a może przypomniał sobie tylko - przyczynę owego irracjonalnego poczucia bezpieczeństwa, które tak nagle ogarnęło go zaraz po przebudzeniu. Różowa Istota zamieszkująca daleką gwiazdę zdjęła z jego umysłu lustro! Już nie musi się dłużej czaić, ukrywać, obawiać ludzi.

Gdy tak leżał i myślał o tym, poczuł się odrobinę bardziej człowiekiem; choć na dobrą sprawę nigdy nie czuł się nikim innym. Był nim i teraz, lecz po raz pierwszy, w świadomy sposób doświadczał dziwnego ucisku pod czaszką, wyczuwał ową warstwę nowej, głęboko w nim skrytej, zainstalowanej wiedzy.

Obok, na sąsiednim łóżku, człowiek w bandażach sapał chrapliwie.

- Riley! - wyszeptał Blaine odwracając głowę w jego kierunku.

Żadnej reakcji. Mumia dyszała ciągle w tym samym rytmie.

Blaine zsunął z łóżka bose stopy i oparł je na podłodze. Poczuł chłód kafelków. Wstał. Nogawki szpitalnej pidżamy były o wiele za długie i Blaine miał niejakie kłopoty w poruszaniu się. Stanął przy sąsiednim łóżku, nachylił się nisko nad spowitą bielą postacią.

- Riley, to ty? Riley, czy mnie słyszysz?

Mumia drgnęła. Bezskutecznie próbowała przekręcić głową. Rozchyliła suche, spierzchnięte wargi ukazując ciemny, opuchnięty jeżyk.

- Powiedz... - tyle tylko zdołało wyjść z ust rannego. Po chwili ponowił próbę.

- Powiedz Finnowi... - wystękał Riley.

Chciał powiedzieć coś więcej. Blaine czuł to i czekał cierpliwie. Usta znów poruszyły się. Ciężko, z mozołem. I jeszcze raz. Jeżyk obracał się niemrawo. Lecz nie padło już żadne nowe słowo.

- Riley! - tym razem nie było już żadnej reakcji rannego.

Blaine cofnął się tyłem do swego łóżka. Usiadł, nie odrywając wzroku od spowitego bandażami kierowcy. Ten leżał cicho i nieruchomo.

I w końcu dopadł go strach - pomyślał Blaine. Strach, przed którym umykał przez pół kontynentu. Lecz najprawdopodobniej nie był to ten lek, przed którym tak zaciekle i desperacko uciekał, lecz całkiem inny strach, niż sądził Riley. I inne niebezpieczeństwo.

Ranny znów zaczął ciężko dyszeć.

Riley wiózł jakieś wiadomości dla Finna - myślał Blaine. Kim jest Finn? I gdzie się obecnie znajduje? Co zrobił Rileyowi Finn?

Finn?

Słyszał o jednym Finnie.

Kiedyś, bardzo dawno temu, Blaine zetknął się już z tym nazwiskiem. Usiadł z wrażenia na łóżku. Starał się gorączkowo przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o Finnie.

Całkiem zresztą możliwe, że chodzi tutaj o innego Finna.

Gdyż Lambert Finn był w swoim czasie również badaczem u Fishhooka. Znikł, podobnie jak Godfrey Stone, lecz wiele lat przed nim. Wiele lat przed tym, zanim Blaine po raz pierwszy przekroczył progi Fishhooka.

Imię Finna do dziś wymawiano ze zgrozą, szeptem. Stał się legendą, bohaterem mrożącej krew w żyłach opowieści, jednej z tych przerażających historii o Fishhooku.

Gdyż - jak głosiła owa historia - Lambert Finn powrócił pewnego dnia z gwiazd jako maniak.

XVIII

Blaine leżał na łóżku, gapiąc się nieruchomym wzrokiem w sufit. Przez uchylone okno wpadało do sali chłodne, pachnące jesienią powietrze. Poprzez liście rosnącego przed oknem drzewa, przeświecało słońce, tworząc na ścianie misterne plecionki cienia.

Uparte drzewo - pomyślał Blaine. Już koniec października, a ono wcale nie zamierza oddać swych liści jesieni.

Mimo dłuższego już przebywania w tej sali, mimo otwartego bez przerwy okna, nie potrafił się przyzwyczaić do duszącego zapachu leków i szpitalnych woni. Leżał, wsłuchując się w stonowane, trudne do identyfikacji odgłosy szpitalnego życia, dobiegające spoza zamkniętych drzwi.

Musze się stąd wydostać - myślał. Musze wędrować dalej. Ale gdzie? Do Pierre, oczywiście. Do Pierre i Harriet, jeśli rzeczywiście tam czeka. Ale Pierre niczego jeszcze nie załatwiało. Nie miał tam przecież żadnego interesu. Wiedział, że jest to tylko przelotny punkt na trasie jego ucieczki.

Bo wciąż uciekał ze ślepą i bezmyślną desperacją i uporem. Uciekał od chwili powrotu ze swej międzygwiezdnej misji. A najgorsze w tym wszystkim było to, że uciekał bez żadnego planu: ot, aby uciekać. Bo tylko uciekając czuł się bezpieczny; zupełnie jakby fakt ten decydował o jego bezpieczeństwie.

Brak planu doskwierał mu coraz bardziej. Owocował poczuciem wewnętrznej pustki. Blaine gnał przed siebie na złamanie karku, tam, gdzie go popchnął wiatr, bez udziału własnej woli, zdany na ślepy los.

I znów, po raz kolejny, natrętna, obsesyjna myśl: czy ta paniczna ucieczka od Fishhooka była rozsądna? Czy musiał postąpić właśnie tak? Jakby w odpowiedzi stanął mu natychmiast przed oczyma Freddy Bates. Jego sztuczny uśmiech i dziki błysk oczu. Pistolet w kieszeni kurtki. Blaine nie żywił już dłużej wątpliwości: musiał zrobić to, co zrobił. Musiał uciekać.

Lecz należy jak najszybciej znaleźć coś, czego by się trzymał, do czego by konsekwentnie dążył, co dałoby mu odrobinę nadziei lub choćby jej cień. Nie może przecież tak wiecznie uciekać bez celu. Musi nadejść w końcu chwila, gdy zaprzestanie ucieczki, gdy stanie na pewnym gruncie, gdy będzie wolny i bezpieczny. Lecz do tego potrzebny jest plan.

Głośniejsze sapanie i świszczący oddech Rileya wyrwały Blaine’a z zadumy. Odwrócił twarz w stronę kierowcy. Ten jednak przestał już rzęzić i w pokoju zaległa cisza.

Nie mam najmniejszych powodów pozostawać dłużej w szpitalu - rzekł do siebie Blaine. Lekarz przecież nie znajdzie w nim żadnej choroby, Blaine’owi nie jest też potrzebna jego pomoc. Żadnemu z nich nic nie da, jeśli Blaine zdecyduje się tutaj pozostać.

Wstał z łóżka i przeszedłszy pokój skierował się do łazienki. Otworzył drzwi. Na wieszaku wisiało jego ubranie; co prawda nie mógł znaleźć swej bielizny, ale były i spodnie i koszula, a na podłodze stały buty. Marynarka, która spadła z haczyka, leżała zmięta na ziemi. Blaine zdjął szpitalną pidżamę i sięgnął po spodnie. Włożył je i zapiął mocno pas.

Sięgając po koszule, uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku. W pół ruchu zatrzymał rękę, wsłuchując się bacznie w zalegającą cisze. Tak, cisza - cisza pełnego uroku jesiennego

popołudnia. Pełna zapachu zwiędłych liści i wilgotnej ziemi napływającego uchylonym oknem. Zapach dojrzałych jabłek i cierpkiego wina.

Lecz ta właśnie cisza tak go przeraziła. Coś w niej było nie tak. Szybko pojął, że powinien słyszeć rzężenie i ciężki oddech Rileya.

Z wyciągniętą - jak w geście samoobrony - ręką, Blaine trwał bez ruchu, oczekując aż ponownie usłyszy jęki chorego. Panowało jednak głuche milczenie. Błyskawicznie odwrócił się i wybiegł z łazienki. Zrobił krok w stronę łóżka Rileya i raptownie przystanął. Wiedział już, że nie ma potrzeby podchodzić bliżej. Obandażowane ciało szofera spoczywało cicho i nieruchomo, a w kąciku ust - jak zakrzepły połyskiwał mętnie duży bąbel śliny.

- Doktorze! - krzyknął Blaine. - Doktorze!

Gorączkowo obrócił się i pobiegł do drzwi. Po chwili stanął, zdając sobie sprawę, iż naprawdę nie musi się już tak spieszyć. Spokojnym już krokiem podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Otworzył drzwi i wystawił głowę na korytarz.

Lekarz nadchodził właśnie szybkim krokiem.

- Doktorze - wyszeptał Blaine.

Ten zbliżył się, położył dłoń na ramieniu Blaine'a i delikatnym, miękkim ruchem popchnął go do środka pokoju. Wszedł za nim. Podszedł do łóżka Rileya, nachylił się i stetoskopem zawieszonym na szyi zaczął badać owiniętą bandażami mumie. Po krótkiej chwili wyprostował się i potarł dłonią czoło. Odwrócił się w kierunku Blaine'a, obrzucając go szybkim, szorstkim spojrzeniem.

- A pan co? - spytał. - Dokąd się pan wybiera?

- On umarł. Przestał oddychać już jakiś czas temu.

- Tak, umarł. Nie miał zresztą od początku najmniejszych szans. Mimo, że zastosowaliśmy gobathian, nie miał żadnych szans przeżycia.

- Zastosowaliście gobathian? No tak, teraz rozumiem dlaczego był taki owinięty.

- Był okropnie potrzaskany - odrzekł zamyślony doktor. -Jak zabawka, którą dziecko cisnęło na ziemie i podeptało nogami. Był... - urwał i obrzucił Blaine'a długim, podejrzliwym spojrzeniem:

- Co pan w ogóle wie o gobathianie?

- Słyszałem o tym leku.

- Obce lekarstwo pochodzenia kosmicznego. Używane jest przez rasę rozumnych owadów. Rasę skłóconą miedzy sobą. Gobathian czyni cuda. Leczy połamane i zmiażdżone ciało, tworząc zupełnie nową tkankę... - spojrzał przenikliwie na Blaine'a, po czym przeniósł wzrok na obandażowane zwłoki. Spoglądał na nie dłuższą chwile i ponownie zwrócił spojrzenie na Blaine'a.

- Pan czytał literaturę na ten temat? - spytał.

- Trochę. Głównie popularne artykuły w magazynach - skłamał gładko Blaine.

I nagle ujrzał, jakby działo się to przed chwilą, wrzące szaleństwo owej porośniętej dziką dżunglą planety, gdzie natknął się właśnie na gobathian używany przez owady choć - prawdę mówiąc - nie były to tak zupełnie owady i nie wykorzystywały gobathianu w celach leczniczych.

Ale to przecież nie miało znaczenia. Ziemska terminologia w odniesieniu do wielu, wielu obcych planet zawodziła i jedyne co człowiek mógł zrobić, to określać wszystko w przybliżeniu.

- Przeniesiemy pana do innej sali - przerwał mu rozmyślania lekarz.

- Nie ma potrzeby - pokręcił głową Blaine. - Postanowiłem jednak wyjść...

- Nie może pan teraz opuścić szpitala - gwałtownie zaprotestował doktor. - Nie pozwolę na to.- Nie chce mieć pana na sumieniu. Coś musi być przecież z panem nie w porządku... bardzo nie w porządku A nie ma nikogo, kto przejąłby nad panem opiekę. Następnym razem może być pan znaleziony za późno. Nie ma pan przyjaciół, rodziny, nikogo kto by...

- Zawsze sobie dawałem rade sam - odparł szorstko Blaine. - Teraz też sobie poradzę. Doktor zbliżył się do Blaine'a i spojrzał mu badawczo w oczy.

- Odnoszę wrażenie, że nie mówi mi pan całej prawdy - rzekł cicho. - Całej prawdy.

Blaine bez iłowa odwrócił się i wyszedł ponownie do łazienki. Zdjął z wieszaka koszule i naciągnął ją przez głowę. Schylił się, podniósł buty. Nałożył. W końcu ubrał się w marynarkę i wrócił do sali zamykając za sobą dokładnie drzwi.

- Doktorze, wyjdziemy chyba razem - odezwał się. - Nie chce tu być dłużej. Korytarzem ktoś nadchodził.

Prawdopodobnie niosą mi jedzenie, o którym wspomniał doktor - błysnęło mu w głowie. W takim razie musi się trochę wstrzymać z opuszczeniem szpitala. Naprawdę potrzebuje jedzenia.

Słuchał nadchodzących kroków; poznał, że zbliżają się dwie osoby. Może ktoś z kuchni i jeszcze ktoś, kto usłyszał wcześniejsze krzyki Blaine'a.

- Byłbym jednak niezmiernie rad, gdyby pan, mimo wszystko, zmienił zdanie. Niezależnie od tego, że wymaga pan jeszcze opieki lekarskiej, istnieją pewne formalności...

Blaine nie słuchał dalej, gdyż ludzie podeszli już do drzwi. Te otworzyły się i dwie osoby stanęły w progu.

- Shep - rozległ się lodowaty głos Harriet Quimby. - Shep, jak tu wylądowałeś? Szukamy cie wszędzie.

I jednocześnie telepatyczny impuls sieknął jego umysł:

- SZYBKO, O CO CHODZI?

- ŻĄDAJ WYDANIA MNIE (DZIKA KOBIETA WLOKĄCA ZA SOBĄ BEZ SKRUPUŁÓW ROZBRYKANEGO URWISA). JEŚLI ZAŻĄDASZ WYPUSZCZENIA MNIE, ONI SIĘ ZGODZĄ. ZOSTAŁEM ZNALEZIONY POD WIERZBĄ...

- (PUAK, KTÓRY WPADŁ DO WIELKIEGO POJEMNIKA NA ŚMIECIE I NIE POTRAFI SIĘ O WŁASNYCH SIŁACH Z NIEGO WYDOSTAĆ: KAPELUSZ PRZEKRZYWIONY, CZERWONO-FIOLETOWY NOCHAL, OCZY WYRAŻAJĄ LEKKIE ZDUMIENIE).

- NIE, TO NIE TAK. PO PROSTU LEŻAŁEM POD DRZEWEM NIEOBECNY DLA CAŁEGO ŚWIATA. ON UWAŻA, ŻE ZE MNĄ JEST COŚ NIE W PORZĄDKU.

- ALE PRZECIEŻ COŚ...

- ALE NIE TO, CO ON SĄDZI...

- I znów to samo - odezwał się Godfrey Stone na wpół z troską na wpół gniewnie. - Znów się za dużo wypiło, zgadłem? A wiesz co ci mówił doktor...

- Do diabła z doktorem - żachnął się Blaine. -Jeden czy dwa kieliszeczki nikomu jeszcze...

- Ale ciotka Edna była wściekła - wtrąciła się Harriet. -Już podejrzewała najgorsze. Wiesz, jaka ona jest. Myślała, że już zniknąłeś na zawsze.

- GODFREY! GODFREY! MÓJ BOŻE, TRZY LATA...

- DAJ SPOKÓJ, SHEP. NIE PORA TERAZ. WYJDŹMY STĄD.

- Państwo znacie tego człowieka? Czy jesteście może rodziną?- spytał doktor Wetmore.

- Nie, nie rodziną. Po prostu przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi - odparł Stone. - Jego ciotka Edna...

- Może byśmy już poszli? - przerwał bezceremonialnie Blaine.

Stone spojrzał pytająco na doktora Wetmore'a, ten skinął przyzwalająco głową.

- Tylko niech państwo jeszcze wstąpią do biura - dodał. - Trzeba podpisać jego zwolnienie. Zatelefonuje na dół. Potrzebne będą państwa nazwiska.

- Ależ oczywiście - odparł szybko Stone. - Dziękujemy bardzo panu, doktorze. I przepraszamy za kłopot.

- Ależ nic znów wielkiego się nie stało - z krzywym uśmiechem odparł lekarz. Wychodząc, Blaine zatrzymał się w progu i spojrzał na Wetmore'a.

- Przykro mi - powiedział. - Okłamałem pana. Ale w końcu nie miałem powodów do dumy.

- Każdy z nas ma w życiu chwile słabości - sentencjonalnie, kiwając głową, odrzekł doktor.

- Do widzenia, doktorze. I przepraszam jeszcze raz.

- Do widzenia, panie Blaine. Niech pan uważa na siebie.

Szli korytarzem raźno, obok siebie.

- KTO BYŁ W TYM DRUGIM ŁÓŻKU? - spytał Stone.

- NIEJAKI RILEY.

- RILEY!

- KIEROWCA CIĘŻARÓWKI.

- RILEY! MYŚMY WŁAŚNIE JEGO SZUKALI! A ZNALEŹLIŚMY CIEBIE. MUSIMY TAM ZARAZ WRACAĆ.

Stone zatrzymał się, chciał zawracać, lecz wstrzymały go słowa Blaine'a:

- TO BEZCELOWE. NIC JUŻ NIE ZROBISZ. ON UMARŁ.

- UMARŁ. A CIĘŻARÓWKA?

- ROZBITA. SPADŁA DO RZEKI.

- Oh, Godfrey! - jęknęła Harriet.

- To koniec, naprawdę koniec - szepnął potrząsając głową. - Nic z tego.

- ALE CO SIĘ WŁAŚCIWIE DZIEJE? - spytał zaintrygowany Blaine.

- WSZYSTKO CI WYJAŚNIMY. ALE POTEM. NAJPIERW

WYJDŹMY STĄD. Stone chwycił go za łokieć i popchnął lekko do przodu.

- JESZCZE TYLKO JEDNO - nie ustępował Blaine. - CO TUTAJ PORABIA LAMBERT FINN?

- Lambert Finn - odparł już normalnie Stone - jest obecnie najbardziej niebezpiecznym człowiekiem na świecie.

XIX

-Czy nie sądzisz, że powinniśmy jednak odjechać kapkę dalej? - zapytała Harriet. - Jeśli doktor Wetmore nabierze jakichś podejrzeń...

- Czemu miałby coś podejrzewać? - odpowiedział pytaniem zza kierownicy Stone.

- Po prostu zacznie myśleć. Zacznie się zastanawiać. Jest zaintrygowany i zdumiony przypadkiem Blaine'a. Poza tym nasza historyjka była jednak szyta bardzo grubymi nićmi.

- Uważam, że jak na wymyśloną na poczekaniu, była genialna.

- Zgoda, niemniej znajdujemy się zaledwie dziesięć mil od miasta.

- I tak musze tam wrócić dzisiejszej nocy. Trzeba sprawdzić, co się stało z ciężarówką Rileya. Wiesz przecież.

- - Wkładasz sam sobie stryczek na szyje - wzruszyła ramionami Harriet.

Zahamował gwałtownie przed niewielkim budyneczkiem z napisem „Biuro". Mężczyzna, zamiatający schody przed budynkiem, przerwał swoje zajęcie i podbiegł do samochodu. Twarz rozjaśniał mu szeroki uśmiech.

- Witam państwa serdecznie -. wykrzyknął radośnie. - Czym może służyć Plainsman?

- Czy dostaniemy dwa połączone pokoje?

- Oczywiście. Tak się szczęśliwie składa, że właśnie zwolnił się dwupokojowy segment. Zapowiada sie cudowna pogoda, prawda?

- Wspaniała - zgodził się Blaine, krzywiąc lekko.

- Niestety, każdego już dnia spodziewamy się nadejścia słoty. Ale ostatecznie już najwyższa pora. Pamiętam jak spadł tutaj śnieg...

- Ale chyba nie w tym roku? - spytał Stone.

- Nie, nie... pan pytał się o połączone pokoje?

- Jeśli to tylko możliwe...

- Proszę w takim razie pojechać tą aleją - wskazał ręką w prawo. - Numer 10 i 11. Klucze dostarczę za chwilę osobiście.

Stone włączył silnik odrzutowy i samochód uniósł się łagodnie na poduszce powietrznej. Pojazd ruszył w kierunku wskazanym przez właściciela motelu. Mijali zaparkowane przed poszczególnymi segmentami auta. Z jednych właściciele wyciągali właśnie bagaże, inne były zamknięte, a ludzie siedzieli w wiklinowych fotelach na maleńkich patio przed domkami. Gdy dojechali do wyznaczonego im lokum oznaczonego podwójnym numerem, Stone wyłączył silnik i samochód opadł miękko na ziemię.

Pierwszy wysiadł Blaine. Obszedł samochód w kółko i otworzył drzwi Harriet.

Wreszcie jest dobrze - myślał, spoglądając ukradkiem na profil dziewczyny. Jesteśmy już razem, ze Stonem i Harriet. A to tak, jakbym wrócił po latach do domu, do ludzi dawno utraconych, których odzyskałem na powrót.

Motel był położony w przepięknym widokowo miejscu, na wyniosłym wzgórzu ponad rzeką. Roztaczał się stąd przepyszny widok na północ i wschód, na tereny rozciągające się daleko wyniosłymi pagórkami poprzedzielanymi gęstwą drzew porastających wąwozy, którymi potoki i strumienie spływały do głównej doliny, tam gdzie rzeka toczyła czekoladowe wody. Wijąc się meandrycznie, tworzyła zakola i odnogi, jakby sama nie potrafiła zdecydować się, którędy płynąć. Jej drogę znaczyły porozrzucane nieregularnie stawki, bajora i kałuże skrzące sieTw blasku słońca.

Był w tym widoku jakiś trudny do wyrażenia, kojący spokój i majestat. Przestrzeń i świeżość.

Pojawił się właściciel zajazdu z kluczami w dłoni. Otworzył drzwi i zwrócił się ku gościom.

- Znajdziecie tu państwo wszystko, co może być potrzebne. I będziecie zupełnie bezpieczni. Jesteśmy ostrożni i przezorni. We wszystkich oknach są okiennice, a drzwi zaopatrzyliśmy w najlepsze zamki. Znajdziecie również cały zestaw potrzebnych znaków magicznych i amuletów. Mieliśmy początkowo zwyczaj instalować je sami, ale wielu naszych gości woli używać ich według własnego uznania.

- O, to bardzo pomysłowe - pochwalił Stone.

- Wygoda i bezpieczeństwo gości są naszą główną troską - pochwalił się właściciel.

- Wydaje mi się, że nie mogliśmy lepiej trafić - wtrąciła Harriet.

- Mamy też własną restauracje...

- To doskonale - klasnęła w ręce Harriet. - Umieram wprost z głodu. Zaraz się tam pojawimy.

- W wolnej chwili proszę wstąpić do biura i wpisać się w rejestrze gości.

- Tak, oczywiście. Zrobimy to - zgodziła się Harriet.

Właściciel wręczył klucze Harriet, ukłonił się i odszedł spiesznym krokiem w kierunku nowych, przybyłych właśnie gości.

- Cóż, wejdziemy - mruknął Stone przytrzymując drzwi Harriet. Potem, przepuściwszy również Blaine'a, sam wszedł do środka i dokładnie zamknął za sobą drzwi.

Harriet rzuciła klucze na dużą komodę z lustrem i przystąpiła natychmiast do szczegółowych oględzin pokoju.

- No, mów teraz o sobie - zwróciła się do Blaine'a kiedy skończyła lustracje pokoju. - Co się z tobą działo? Wróciłam tam jeszcze raz. Wrzało w miasteczku jak w ulu. Musiało się wydarzyć coś okropnego. Ale nie zdążyłam się dokładniej wywiedzieć, gdyż musiałam uciekać. I to bardzo szybko.

- Mnie również udało się wymknąć - mruknął dyplomatycznie Blaine.

- W ogóle udało ci się lepiej niż mnie - wtrącił się do rozmowy Stone wyciągając w stronę Blaine'a rękę. - Udało ci się przynajmniej od razu zwiać Fishhookowi.

Dłoń Blaine'a zniknęła w uścisku ogromnej reki Stone'a. Ten trzymał ją dłuższą chwile, bacznie przyglądając się twarzy Blaine'a.

- Okropnie jestem rad, żeś przybył i jesteś już ze mną - rzekł cicho, serdecznie spoglądając mu w oczy.

- Zaskoczył mnie wówczas twój nocny telefon - odparł Blaine. - Ale pamiętałem o nim cały czas. I nie czekałem, aż przyjdą po mnie. Uciekłem.

Stone puścił jego dłoń. Stali dłuższą chwile milcząc, patrząc sobie nawzajem w oczy. Był to już inny Stone niż ten, którego przed laty znał i jakim go zapamiętał Blaine. Zawsze był potężnym, atletycznie zbudowanym mężczyzną. Takim też pozostał. Lecz obecnie rzucała się w oczy nie czysto fizyczna wielkość tego człowieka. Czuło się w nim, przede wszystkim, potężnego ducha. W jakiś przedziwny srjosób głównie ta właśnie cecha rzucała się w oczy; bardziej jeszcze niż jego masywna sylwetka. I jakiś niezauważalny przedtem upór, twardość, stalowe lśnienie w oczach.

- No, tego akurat nie jestem tak bardzo pewien, czy dobrze dla ciebie, że się pojawiłem. - Blaine próbował się lekko uśmiechać. - Podróżowałem wolno i z wieloma kłopotami. Fishhook jest już z pewnością na moim tropie.

Stone wzruszył tylko obojętnie ramionami, jakby Fishhook i jego agenci wcale się nie liczyli. Przeszedł ciężkim krokiem przez pokój i usiadł w fotelu.

- Co ci się właściwie przytrafiło, Shep? Czemu uciekłeś?

- Jestem skażony.

- To tak jak ja - Stone zamyślił się, powracając wspomnieniem do czasu kiedy i on musiał uciekać od Fishhooka.

- Gdy skończyłem z tobą tamtą rozmowę telefoniczną, już na mnie czekali. Poszedłem z nimi, bo cóż miałem robić. Zabrali mnie do... (ROZLEGŁA MORSKA PLAŻA I OGROMNY, BIAŁY DOM POD OŚLEPIAJĄCO - AŻ DO ZAWROTU GŁOWY - BŁĘKITNYM NIEBEM. WOKÓŁ WIELKIEGO, BIAŁEGO BUDYNKU POROZRZUCANE INNE, MNIEJSZE, LILIPUCIE NIEMAL W PORÓWNANIU Z OGROMEM GŁÓWNEJ BUDOWLI. PRZED ZABUDOWANIAMI ROZLEGŁY, SOCZYŚCIE ZIELONY TRAWNIK. DALEJ BIAŁY PIASEK PLAŻY I SZMARAGDOWY OCEAN Z BIAŁYMI GRZYWAMI FAL ROZBUAJĄCYCH SIĘ TĘCZOWĄ AUREOLĄ NA KOŃCZĄCYCH PLAŻĘ URWISTYCH, CZARNYCH SKAŁACH. NA BIAŁYM PIASKU ODCINAJĄCE SIĘ CYGAŃSKIMI BARWAMI PARASOLE...)

- Była to. jak później odkryłem, Baja California, Absolutnie dzika okolica z ulokowanym tam kurortem... (CHORĄGIEWKI WOKÓŁ POLA GOLFOWEGO TRZEPOCZĄCE W PODMUCHACH OCEANICZNEJ BRYZY, RÓWNY, BIAŁY PROSTOKĄT KORTU TENISOWEGO, ROZLEGŁE PATIO Z GOŚĆMI, UBRANYMI W PLAŻOWE, LECZ ZARAZEM NIESŁYCHANIE WYTWORNE STROJE, SIEDZĄCYMI LENIWIE W FOTELACH, PIJĄCYMI MIENIĄCE SIĘ TĘCZOWO DRINKI W OCZEKIWANIU NA TACE Z KANAPKAMI). Mogłeś tam zajmować się wędkarstwem, o jakim nawet nie śniłeś, mogłeś polować pośród okolicznych wzgórz i lasów,

okrągły rok zażywać kąpieli w przejrzystych wodach oceanu...

- Trudno byłoby to wytrzymać - wtrąciła Harriet.

- Nie, wcale nie - zaprzeczył energicznie Stone. - Nie było to takie okropne. Przez pierwsze sześć tygodni czy sześć miesięcy sprawiało to rzeczywiście ogromną rozkosz. Było tam wszystko, czego potrzebuje mężczyzna. Jedzenie, picie, kobiety. Każde twoje życzenie spełniano w mig. Nie potrzebowałeś pieniędzy - wszystko było za darmo.

- Ale chciałbym wiedzieć jak długo... - zaczął Blaine, lecz Stone mu przerwał:

- Oczywiście, masz racje. Bezczynność, bezużyteczność. Koszmar. Jakby ktoś ciebie, mężczyznę nawykłego do pracy, do działania, zamienił nagle w dziecko i - zostawiając mentalność dorosłego człowieka - pozwolił się tylko bawić. Mimo że czułeś do Fishhooka urazę, nienawidziłeś go, buntowałeś sie przeciw niemu, to on był cały czas dla ciebie dobry. Tak, wiedziałeś czemu tak jest. Fishhook spłacał ci w ten sposób dług. Fishhook przeciwko każdemu z nas osobiście nic nie miał. Nie popełniliśmy przecież żadnego przestępstwa, nie uchybiliśmy w naszej pracy, nie zaniedbywaliśmy jej. Przeciwnie, wykonywaliśmy ją najlepiej jak umieliśmy. To znaczy większość tych, którzy tam mieszkali. Ale z drugiej strony Fishhook nie mógł ryzykować. Nie mógł również pozbyć się nas w jakikolwiek bardziej drastyczny sposób. Nie mógł dopuścić - rozumiesz - nie mógł dopuścić do najlżejszej skazy na swym imieniu. Nikomu nie wolno było bowiem oskarżyć Fishhooka, że wypuścił w świat kogoś skażonego obcością, z umysłem czy uczuciami choćby o włos odbiegającymi od ludzkiej normy. To było kosztowne; bardzo kosztowne; ale fundowali nam te długie, komfortowe wakacje - dożywotnie wakacje - w takim miejscu, o jakim nawet milionerzy nie śnili.

- Było to niezwykle chytre i podstępne. Nienawidziłeś tego miejsca, lecz nie byłeś w stanie go rzucić, bo - prawdę mówiąc - zdrowy rozsądek buntował się przeciw temu: trzeba być skończonym idiotą porzucając takie rajskie miejsce. Żyłeś bezpiecznie i luksusowo. Nikt cie nie pilnował, nie było tam żadnej straży. I jeśli nawet myślałeś o ucieczce - to nie jak o ucieczce w ścisłym tego słowa znaczeniu. Bo uciekać można z wiezienia, ale nie z komfortowego kurortu, gdzie nikt cie nie trzymał siłą, nikt nie pilnował, nie śledził, nie podglądał... To znaczy do chwili, kiedy nie próbowałeś zwiać. Bo dopiero wówczas przekonywałeś się, jak dobrze jesteś strzeżony. Przekonywałeś się, że wokół ciebie roi się od strażników i agentów, że każda ścieżka w górach, każda droga jest bacznie obserwowana. Pomijając już zupełnie fakt, że ucieczka taka, ze względu na pustynne tereny wokół, równała się praktycznie samobójstwu. Stopniowo odkrywałeś, że jesteś cały czas pod czujną kontrolą agentów Fishhooka pozujących na zwyczajnych gości kurortu. Szpiegów, którzy nie przestawali cie obserwować, gotowych zareagować na każdy twój ruch, każdą próbę, wręcz myśl, o ucieczce.

- Ale tak naprawdę to nie oni cie tam trzymali. Trzymał cie luksus i łatwość życia. Trudno bowiem opuścić z dobrej woli takie miejsca. I Fishhook dobrze o tym wiedział. Była to najlepsza i najbardziej perfidna zarazem forma wiezienia, jaką człowiek mógł wymyśleć.

- Ale jak każde wiezienie, tak i to miejsce - gdy już pojąłeś czym ono jest w rzeczywistości - czyniło cie twardym, podstępnym, chytrym. Tam walka była równie mozolna i ciężka jak „w każdym innym wiezieniu; a może i trudniejsza... Zaczynasz planować ucieczkę. Uciekasz. Fishhook przedobrzył tworząc tak rozbudowany system ochrony. Gdyż pozostawiony samemu sobie, próbowałbyś, po pewnym czasie, ucieczki. Szybko jednak zrezygnowałbyś i wrócił, przekonawszy się, jak trudno i niebezpiecznie jest na zewnątrz. Gdy jednak nie z dziką przyrodą i zabobonnymi wieśniakami masz do czynienia, lecz z tajną służbą Fishhooka, z uzbrojonymi ludźmi i szkolonymi psami, którzy odgradzają cie od upragnionej wolności, wtedy dopiero zaczynasz świadomie igrać z niebezpieczeństwem. Ucieczka w takich razach staje się fascynującą, podniecającą grą, wyzwaniem rzuconym potężnemu przeciwnikowi. Stawiasz wszystko, łącznie z własną głową, na jedną kartę. Walczysz nie targując się o cenę.

- Ale stamtąd nie ma chyba zbyt wielu ucieczek? - przerwał Blaine. - Nawet chyba i niewiele prób.

- Masz racje - Stone wyszczerzył drapieżne zęby. - Niewielu osobom się to udało. Niewielu próbowało.

- Ty i Lambert Finn.

- Lambert - odparł sucho Stone - był moim natchnieniem i inspiracją. On uciekł z Baja California parę lat wcześniej niż ja tam trafiłem. A kilka z kolei lat przed Lambertem ucieczka taka powiodła się jeszcze komuś. Ale o tym nie wiem nic: ani kto to był, ani co mu się przydarzyło, ani co się z nim dalej stało.

- Okay, a co się może dziać z człowiekiem, który uciekł od Fishhooka, którego Fishhook ściga? Gdzie będzie koniec jego ucieczki ? Popatrz na mnie! Mam przy duszy zaledwie parę dolarów, które w dodatku nie są moje lecz Rileya, nie mam dokumentów, nie mam zawodu. Jak mogę...

- Brzmi to tak, jakbyś żałował żeś uciekł.

- Kilkakrotnie żałowałem. Były to, rzecz jasna, chwilowe nastroje, bo wiem, że innego wyjścia nie miałem. Ale gdybym mógł cofnąć czas, to przede wszystkim zaplanowałbym sobie wszystko dużo, dużo wcześniej. Przeniósłbym pieniądze do innego kraju, zmieniłbym nazwisko, wystarałbym się o odpowiednie dokumenty, wyuczyłbym się zawodu, który zapewniłby dochód...

- Ale tak naprawdę to nigdy nie wierzyłeś, że będziesz musiał uciekać. Wiedziałeś dobrze, iż przydarzyło się to mnie, że zdarzało się innym, lecz nie wierzyłeś, że to samo może spotkać ciebie.

- Coś w tym stylu - po twarzy Blaine'a przeleciał cień uśmiechu.

- Witamy wiec w naszym klubie - odparł Stone.

- Masz na myśli...

- Nie, nie chodzi o mnie. Ja mam tylko do wykonania zadanie. Niezwykle ważną misje.

- Ale...

- Myślę o ogromnej części ludzkości. Nawet nie masz pojęcia, jak wiele milionów ludzi.

- Zgoda, zawsze byli...

- I znów nie trafiłeś. Mam na myśli dewiatów. Człowieku, chodzi mi o dewiatów. Dewiatów, którzy nie są u Fishhooka. To niemożliwe, żebyś po przebyciu tysiąca mil nic nie...

- Widziałem. Wszystko widziałem - odparł ponuro Blaine, czując mimowolny dreszcz strachu i nienawiści biegnący po kręgosłupie. - Tak, widziałem co się wyprawia.

- To jest właśnie najgorsze. Temu wypowiedziałem wojnę - wykrzyknął zapalczywie Stone. -Jakież straszliwe i bezmyślne marnotrawstwo. Niszczenie własnych szans - zarówno dewiatów jak i całego ludzkiego gatunku. Na ludzi, w których zawiera się cała przyszłość Człowieka urządzane są polowanie i nagonki, ludzie owi zamykani są w gettach i więzieniach, opluwani i obrzucani błotem. Nienawidzeni i mordowani...

- I powiem ci coś wiece] - ciągnął po chwili. - Winę za to ponosi nie tylko głupota ludzkia, nietolerancja, bigoteria czy ignorancja dzikusów. Fishhook! Mówię o Fishhooku. To on głownie ponosi za to winę. Bo właśnie Fishhook zagarnął dla swych partykularnych interesów i egoistycznych celów zdolności paranormalne drzemiące w Człowieku. Dba - wyjątkowo dba - o tych dewiatów, których wybrał dla siebie, odwracając się jednocześnie piecami do całej reszty, pozostawiając ich własnemu losowi. Sam najlepiej wiesz jakiemu. Zostawił ich po prostu na pożarcie tym bestiom w ludzkich skórach. Dewiaci spoza Fishhooka - jak świat długi i szeroki - tropieni są przez wszystkich jak dzikie bestie, muszą kryć sie w' mrokach nocy, w najgłębszych leśnych ostępach. Bo Fishhook rachuje. Bo liczy, liczy pieniądze. Zabranie wszystkich dewiatów pod swoje skrzydła, to impreza zbyt droga dla Fishhooka.

- Boi się...

- To nie strach. To obojętność i chciwość. Fishhook dawno już przestał dbać o to, co nie przynosi dochodu, konkretnych korzyści materialnych. Fishhook to monopol, monopol niczym nie krepowany, nie regulowany żadnymi przepisami czy ograniczeniami z wyjątkiem tych, które sam na siebie nakłada.

- Jestem głodna - zaanonsowała niespodziewanie Harriet.

Stone jakby nie usłyszał jej slow. Pochylił się lekko do przodu w fotelu.

- Istnieją miliony takich wyrzutków - ciągnął dalej. - Niewytrenowanych, nieprzeszkolonych, prześladowanych. Miliony dewiatów o zdolnościach tak potężnych i nieoczekiwanych, że wprawić mogą w podziw i zdumienie samego Fishhooka. W nich właśnie leży przyszłość całego rodzaju ludzkiego. Oni to posiadają możliwości tak rozpaczliwie i dramatycznie potrzebne ludzkiej rasie.

- Był czas, gdy świat potrzebował Fishhooka. I bez względu na to jak potoczyły się losy i jakim się ów Fishhook stał, świat dłużny jest mu wiele więcej niż jest w stanie zapłacić. Ale nadszedł już czas, że Fishhook jest zbędny. Dzisiaj jest wyłącznie hamulcem rozwoju naszej cywilizacji, a użytkowanie kinetyki paranormalnej nie może być już dłużej domeną wyłącznie jednego monopolu! - Ostatnie słowa Stone wymówił mocnym, podniesionym głosem.

- Ależ problem nie leży wcale w Fishhooku i jego egoizmie, lecz w zdziczałych i ciemnych masach, w ich potwornych uprzedzeniach, ciemnocie i nietolerancji - wykrzyknął wzburzony Blaine.

- To zrozumiałe. Kinetyka paranormalna długie lata była nadużywana i stosowana niewłaściwie, wykorzystywana wedle najlepszych wzorców minionego, dziś martwego już świata dla prymitywnych, podłych i nędznych celów. Dzisiaj owocują tamte lata w postaci obłędnej, histerycznej nagonki i ślepej nienawiści ze strony społeczeństwa do wszystkiego co paranormalne. Dewiaci z kolei, przepełnieni poczuciem winy, zmuszeni ukrywać się, nie mogą skutecznie działać. Lecz pomimo to sprawa i tak wykracza dalej. Problem bowiem leży w tym, że dewiaci mogliby zdziałać dużo, dużo więcej, a kinetyka paranormalna zawiera w sobie więcej tajemnic i nie odkrytych jeszcze możliwości niż się powszechnie sądzi. I o to właśnie należy podjąć walkę. Musimy wykazać, że siłami parapsychicznymi dysponuje Człowiek, a nie Fishhook. Gdy to się stanie, społeczeństwo powróci do swego zdrowego rozsądku, a wtedy, tego właśnie dnia, Shep, Człowiek uczyni ogromny krok naprzód.

- Ależ człowieku! Ty operujesz pojęciami z zakresu ewolucji kulturowej! A proces taki trwa. Oczywiście, to może się udać, ale za ... sto lat?

- Nie możemy tak długo czekać! - wykrzyknął z kolei wzburzony Stone.

- Posłuchaj, Godfrey. Istniały wojny religijne - spokojnie perswadował Blaine. - Wojny protestantów i katolików, chrześcijaństwa z islamem. I gdzie się to wszystko podziało? Potem polityczne batalie miedzy dyktaturami, a siłami postępu i demokracji...

- Fishhook sobie z tym poradził. Okazał się trzecią siłą.

- Zawsze coś zwycięża. Zawsze istnieje jakaś nadzieja. Bieg czasu łagodzi wszystko. Ale to trwa. Trwa cholernie długo.

- Sto lat! - Stone odezwał się spokojnym już głosem. - Czy będziesz czekał tyle czasu?

- Wcale nie musisz tyle czekać - wtrąciła Harriet. -Już przecież zacząłeś, masz konkretne wyniki. A Shep ci pomoże.

- Ja?

- Tak, ty.

- Shep, posłuchaj mnie proszę - żarliwie zwrócił się do niego Stone.

- No, słucham - odparł cicho Blaine czując dreszcz strachu biegnący mu wzdłuż kręgosłupa. I poczucie obcości, zagrożenia. Zdał sobie bowiem sprawę, że Stone i Harriet prowadzą jakąś ryzykowną i niebezpieczną gre. I próbują wciągnąć w nią jego.

- Już zacząłem - mówił Stone. - Mam tutaj grupę dewiatow... nazywam ich podziemiem albo kadrą czy komitetem. Grupę dewiatow, którzy opracowali wstępny plan badań i eksperymentów, plan, który usamodzielni ich, uniezależni od łaski i niełaski Fishhooka. Eksperymenty, których wyniki zostaną przekazane wszystkich innym dewiatom, którzy...

- Pierre! - oskarżycielskim tonem wykrzyknął Blaine, spoglądając gniewnie na Harriet. Ona tylko skinęła potakująco głową w milczeniu.

- Wiedziałaś od początku. To wszystko było zaplanowane. A tam, na przyjęciu u Charline, kłamałaś, mówiąc o naszej starej przyjaźni...

- Masz do mnie żal o to?

- Nie, nie mam.

- Gdybym ci od razu o tym powiedziała, czy zgodziłbyś się jechać ze mną?

- Nie wiem, Harriet. Uczciwie ci mówię, że nie wiem.

Stone podniósł się z fotela i przeszedł dwa kroki dzielące go od Blaine'a. Uniósł ręce i położył je na ramionach przyjaciela. Jego palce zacisnęły się na barkach Blaine'a.

- Shep - powiedział uroczyście - Shep, obecnie to jest najważniejsze. Tylko to się liczy. Misja, której musimy się podjąć obaj dla dobra całej ludzkości. Fishhook nie może być jedynym pośrednikiem w kontaktach miedzy Człowiekiem a Gwiazdami. To przerażające, że cześć ludzi może swobodnie szybować w międzygwiezdnych przestrzeniach, podczas gdy druga, nieporównanie większa, uwięziona jest na Ziemi.

W półmroku zalegającym pokój Blaine dostrzegł, iż twarz Stone'a straciła całą swą twardość i drapieżność. W kącikach oczu lśniły mu łzy.

- Istnieją gwiazdy - kontynuował cichym, łagodnym głosem, prawie szeptem. - Istnieją gwiazdy, na których ludzie muszą się znaleźć. By pojąć, jak wysoko Człowiek może się wznieść. By mógł uratować własną duszę.

Harriet, która dotąd w milczeniu mięła rękawiczki, oświadczyła naraz:

- Ja osobiście mam już dosyć. Idę coś zjeść. Po prostu umieram z głodu. Idziecie ze mną?

- Ja pójdę - poderwał się z miejsca Blaine i natychmiast usiadł z powrotem. Uświadomił sobie bowiem, że nie ma pieniędzy. Harriet przechwyciła jednak jego myśl i uśmiechnęła się lekko:

- Na nasz rachunek. Kiedyś nam postawisz.

- Nie ma takiej potrzeby - rzekł szybko Stone. - On już jest na naszej liście. Pracuje u nas. Co ty na to, Shep?

Blaine milczał.

- Shep, czy pójdziesz ze mną? Potrzebuje cie. Bez ciebie nic nie dokonam. Jesteś mi potrzebny... bardzo potrzebny.

- Jestem z tobą - odrzekł Blaine.

- W takim razie, skoroście się dogadali, chodźmy na obiad - ponowiła propozycje Harriet.

- Idźcie we dwójkę. Ja będę pilnował naszej świątyni - rzekł Stone.

- Ależ Godfrey...

- No, idźcie już, idźcie. Mam jeszcze kilka kwestii do przemyślenia.

- Chodźmy wiec - nie pozwoliła mu skończyć Harriet i wzięła Blaine'a pod rękę. - On będzie teraz długo tak siedział i myślał.

Zaskoczony nieoczekiwanym obrotem sprawy, Blaine dał się wyprowadzić.

XX

Złożywszy zamówienie, Harriet rozsiadła się wygodnie w fotelu. - Teraz mów po kolei - spojrzała przeciągle na Blaine'a. - O tym wszystkim, co wydarzyło się w miasteczku po moim wyjeździe. Opowiedz też o tym co było później. I w jaki sposób trafiłeś do szpitala.

- Potem - machnąwszy ręką sprzeciwił się Blaine. - Na to przyjdzie jeszcze czas. Najpierw ty mi wyjaśnij, w co się wpakowałem, co dzieje się z Godfreyem.

- Dlaczego tak został sam w tym pokoju? Nad czym musi się zastanawiać?

- Tak - skinął głową. - Ale nie tylko. Chodzi mi głównie o te przerażającą obsesje, o ten dziwny wzrok. Wyjaśnij, co znaczą jego słowa o ludziach pędzących do gwiazd, by ratować swe dusze. On... Godfrey sprawia wrażenie jakiegoś proroka mającego wizje...

- Bo je ma - odparła krótko Harriet. - Doskonale to ująłeś.

Blaine wytrzeszczył oczy.

- To wydarzyło się podczas jego ostatniej podróży. Powrócił z niej odmieniony. Widział coś tak wstrząsającego...

- Domyślam się - mruknął bardziej do siebie niż do dziewczyny Blaine. - Istnieją tam rzeczy...

- Aż tak przerażające?

- Można to i tak nazwać - skrzywił się mężczyzna. - Ale bardziej pasowałoby słowo „niepojęte". Wszystko tam jest, na dobrą sprawę, niemożliwe do ujęcia w kategoriach ludzkiego rozumu, ludzkiej wiedzy i etyki, trudne do oceny. Rzeczy te pozornie nie mają najmniejszego sensu. Są jak kamienny mur, przed którym umysł człowieka staje bezradny. Człowiek traci tam orientacje, czuje się przeraźliwie sam, otoczony rzeczami, których nigdy nie pojmie. To właśnie przeraża najbardziej.

- I wytrzymujecie to?

- Wytrzymywałem. To wymaga po prostu odpowiedniego stanu umysłu. O to też szczególnie dbali technicy u Fishhooka.

- W przypadku Godfreya było inaczej - potrząsnęła głową Harriet. - Natknął się na coś, co rozumiał i znał... obawiam się, że pojął to zbyt dobrze. Było to dobro.

- Dobro???

- Może to złe słowo, nieodpowiednie - zawahała się. - Zbyt płytkie, zbyt powierzchowne. Nieadekwatne. Ale jedyne, jakie przychodzi mi na myśl.

- Dobro - powtórzył znów cicho Blaine.

- Było to miejsce, gdzie nie istnieje nienawiść, zachłanność, gdzie żadna osobista ambicja nie podsyca nienawiści lub chciwości. Idealne miejsce, z idealną rasą istot rozumnych. Społeczny raj.

- Nie rozumiem...

- Pomyśl chwile, a zrozumiesz. Czy widziałeś kiedykolwiek jakiś przedmiot, rzecz, dzieło sztuki obraz, rzeźbę - tak piękną, że czułeś ból...

- Zdarzyło mi się.

- Sam wiec widzisz. Wszystko to co wymieniłam, to rzeczy piękne, wielkie, wzniosłe, lecz nie stanowią jednak życia ludzkiego samego w sobie. Te rzeczy to wyłącznie kwestia twoich

uczuć i emocji... Nie mają jednak bezpośredniego wpływu na twoje życie fizyczne. Możesz się w gruncie rzeczy bez nich obejść, jakkolwiek będziesz je pamiętał, choć będzie ci ich dotkliwie brakować i będziesz za nimi tęsknić.

Tęsknic do bólu. A teraz wyobraź sobie formę życia, kulturę, sposób życia -sposób w jaki mógłbyś sam żyć - tak wspaniały, tak cudowny, że również czujesz ból, lecz tysiąckroć silniejszy. Z tym właśnie zetknął się Godfrey i o tym próbował ci opowiedzieć. Dlatego powrócił stamtąd odmieniony, z uczuciem małego, brudnego chłopca ze slumsów, który ujrzał wspaniały, czarodziejski świat wróżek. Widział ten świat, mógł dotknąć wróżki palcami, lecz nigdy nie będzie w tym świecie żył.

Blaine wziął w płuca głęboki oddech i powoli wypuszczał powietrze nosem.

- A wiec to jest tak - mruknął. - Tego pragnie Stone.

- A ty nie?

- Sądzę, że też. Gdybym zobaczył to co on...

- Poproś Godfreya, opowie ci. Albo niech ci pokaże myślami. Tak czy owak, niech ci opowie.

- Tobie już opowiedział? -Tak.

- I co ty na to.?

- Tego nie sposób wysłowić - odparła cicho dziewczyna.

Podeszła kelnerka z zamówionym posiłkiem: wielkimi, skwierczącymi befsztykami, pieczonymi ziemniakami i sałatą. Na środku stołu postawiła dzbanek z kawą.

- Wygląda to wspaniale - odezwała się Harriet spoglądając na talerz. - Zawsze jestem głodna. Pamiętasz, Snep, jak pierwszy raz zaprosiłeś mnie na obiad?

- Nigdy nie zapomnę - roześmiał się Blaine. - Wówczas również umierałaś z głodu.

- I podarowałeś mi róże.

- Na to wychodzi.

- Jesteś jednak kochany, Shep.

- Jeśli sobie dobrze przypominam, jesteś dziennikarką. Jak to się dzieje...

- Stale pracuje nad tematem...

- Fishhook - przerwał jej kąśliwe Blain - Fishhook jest twoim tematem...

- Fishhook jest tylko częścią mojego tematu - zaprzeczyła Harriet spuszczając oczy.

Jedli w milczeniu.

- Jeszcze jedno - przerwał cisze Blaine. - Co ma do tego wszystkiego Finn? Godfrey powiedział, że jest niebezpieczny.

- Co wiesz o Finnie?

- W sumie bardzo niewiele - potrząsnął głową Blaine. - Opuścił Fishhooka na długo przedtem, zanim ja się tam pojawiłem. Krążą o Finnie najdziwniejsze historie. Podobno jak wrócił, potrafił tylko wyć i skowyczeć. Czy to prawda? Co mu się przytrafiło?

- Tak. A teraz głosi swoją ewangelie.

- Głosi ewangelie?

- Ewangelie piekła i siarki diabelskiej. Głosi ewangelie ucieczki od zła, choć naprawdę to nie ma to nic wspólnego ani z ewangelią, ani z dobrem. Zło gwiazd. Człowiek musi pozostać na Ziemi. Tylko tu jest bezpieczny. Wszędzie indziej czyha na niego zło. I to właśnie wy, dewiaci, otworzyliście wrota złu...

- I ludzie go słuchają?

- Shep, otarłeś się przecież o współczesny świat! Oczywiście, że tak. Do szpiku kości przesiąknięci są jego nauką. Ona wniknęła już głęboko do ich wnętrz, w ich naturę. Oni są jej ślepo oddani, a sława Finna niesie się daleko. Dla normalnych ludzi gwiazdy i tak są nieosiągalne, wiec czerpią satysfakcje z tego właśnie, co prawi im Finn.

- A co dokładnie?

- Że gwiazdy są jądrem zła.

- I, rzecz jasna, dewiaci. Dewiaci są wampirami i wilkołakami...

- Gnomami - dodała Harriet - wiedźmami, harpiami. Cokolwiek złego powiesz o dewiatach, ludzie ci przyklasną. W ich odczuciu będziesz miał całkowitą rację.

- Toż ten człowiek jest szarlatanem! - wykrzyknął poruszony do głębi Blaine.

- Nie, Finn nie jest szarlatanem - pokiwała smutno głową Harriet. -Jest równie poważny i wiarygodny jak Godfrey. Wierzy w zło, gdyż ujrzał zło.

- Tak jak Godfrey ujrzał dobro. Rozumiem.

- Dokładnie tak samo. Finn uważa, że Człowiek nie ma czego szukać wśród gwiazd, a Godfrey przeciwnie, że jedynie gwiazdy zbawią Człowieka.

- i obaj nienawidzą Fishhooka?

- Godfrey zamierza zniszczyć tylko monopol Fishhooka, lecz zostawić kinetykę paranormalną. Finn idzie dalej. Fishhook, to sprawa uboczna. Jego celem głównym jest właśnie sama kinetyka paranormalna. Chce ją po prostu zetrzeć z powierzchni ziemi.

- I Finn walczy z Godfreyem.

- Na dobrą sprawę nie jest w stanie go zniszczyć. Godfrey działa ostrożnie. Lecz Finn wie, że właśnie Stone jest jego głównym przeciwnikiem, gdyż to Stone ma po swojej stronie wszystkich dewiatow.

Postara się przy pierwszej nadarzającej się okazji uderzyć w Stone'a, zniszczyć go.

- Nie wyglądacie na bardzo wystraszonych.

- Godfrey nie przejmuje się nim. Traktuje Finna jako jeszcze jedną, przejściową, przeszkodę na drodze realizacji swego planu.

Wyszli z restauracji kierując się w stronę swego domku. Szli niespiesznie brukowaną aleją wiodącą wzdłuż innych, bliźniaczych segmentów motelu.

Dolina rzeki pogrążona była w czarno-purpurowym cieniu, a w mrocznych, brązowych falach lśniły resztki zachodzącego słońca. Szczyty okolicznych wzgórz pławiły się w słonecznym blasku, wysoko pod chmurami krążył sokół, którego skrzydła zdawały się być połyskliwymi płatkami najczystszego srebra.

Dotarli do swego lokum. Zatrzymali się przed drzwiami i Blaine postąpił do przodu, by otworzyć Harriet drzwi. Weszła do środka, a on tuż za nią. Nagle kobieta szarpnęła się raptownie do tyłu, wpadając całym impetem na Blainea, który odruchowo objął jej ramiona.

Usłyszał krótki, zdławiony jęk dziewczyny, a jej ramiona stężały w strasznym kurczu.

Zajrzał do środka ponad jej ramieniem. Ujrzał rozciągnięte na ziemi, odwrócone twarzą do podłogi, ciało Godfreya Stone'a.

XXI

Już nachylając się nad nim, Blaine zdawał sobie sprawę, że Godfrey jest martwy. Była w nim jakaś małość, rodzaj całkowitego zwiędnięcia, jakby to właśnie życie - życie, które z niego uszło - nadawało potężnemu ciału Stone'a ogrom. Teraz już był tylko wiotkim i bezwładnym zewłokiem w wymiętym, ciemnym ubraniu. Najbardziej jednak przerażający był jego spokój, martwy bezruch.

Blaine pochylony nad trupem, słyszał za plecami Harriet zatrzaskującą drzwi i zamykającą wszystkie zamki. Słyszał jej cichy, spazmatyczny, urywany szloch.

Pochylił się jeszcze niżej nad martwym mężczyzną i w półmroku zalegającym pokój dostrzegł na ciemnych włosach Stone'a jeszcze ciemniejszą plamę krwi sączącej się z czaszki.

Harriet uporawszy się z drzwiami, zamykała z kolei okiennice i zakładała je sztabami. Wraz z zamknięciem ostatniej, pokój pogrążył się w całkowitej ciemności.

-.Może byś zapaliła światło - mruknął Blaine.

- Chwileczkę, Shep.

Pstryknął w ciemności włącznik i smuga światła spod sufitu zalała pokój żółtym blaskiem. Dopiero teraz Blaine dostrzegł jak potężne było uderzenie, które pozbawiło życia Stone'a. Czaszka była dosłownie rozłupana. Nie było sensu badać tętna czy słuchać bicia serca. Takiego uderzenia nikt by nie przeżył.

Blaine wyprostował się, lecz utrzymanie równowagi przyszło mu z najwyższym trudem. Z grozą uświadamiał sobie dzikość i okrucieństwo, a może desperację, które musiały pchnąć czyjąś rękę do tak mocarnego ciosu. Kiwając lekko głową spojrzał na Harriet i jeszcze bardziej zdumiał go jej spokój.

Przecież to dziennikarka - pomyślał natychmiast. A wiec widok taki nie jest dla dziewczyny wcale nowością.

- To sprawka Finna - odezwała się niskim, chrapliwym głosem, tak spokojnym, że aż sztucznym. Oczywiście, on sam tego nie zrobił. Musiał kogoś wynająć. Albo jakiś ochotnik, jeden z jego apostołów Jest masa ludzi gotowych dla niego ważyć się na wszystko.

Przemierzyła pokój szybkim krokiem i usiadła na podłodze, obok zwłok. Usta miała zaciśnięte w wąską kreskę. Na twarzy zakrzepły grymas bólu i rozpaczy. Po policzkach spływały łzy.

- I co teraz robimy? - spytał bezradnie Blaine. - Policja?

- Wszystko, tylko nie policja - odparta dobitnie Harriet. - Nie możemy być w to zamieszani. Tego życzy sobie Finn i jego ludzie. Mogę się założyć, że ktoś już zawiadomił policje.

- Morderca?

- Oczywiście. Czemuż by nie? Powiedział tylko przez telefon, że w motelu The Plainsman, w domku numer 10 znajdują się

zwłoki zamordowanego mężczyzny. I tylko tyle.
- A zbrodnia pójdzie na nasze konto?
- Na czyjekolwiek. Na tego, z kim Godfrey był. Może już nawet wiedzą dokładnie, kim jesteśmy. Ten doktor.
- Też myślę, że doktor już ich powiadomił.
- Słuchaj mnie, Shep. Jestem przekonana, że Finn znajduje się obecnie w Belmont.
- Belmont?
- To miasteczko, gdzie leżałeś w szpitalu.
- Wiec ono nazywa się Belmont - mruknął pod nosem Blaine.
- Gdy byliśmy w nim ostatni raz, coś się tam wyprawiało. Tak, z pewnością coś się tam działo. A ponadto tam właśnie jechał Riley i ciężarówka...
- Ale co w takim razie mamy robić?
- Wszystko, by nie znaleźli tu Godfreya.
- Możemy zaparkować auto z tyłu domu i wynieść ciało drugimi drzwiami.
- Ktoś z pewnością nas obserwuje. Działają na zimno - klasnęła w dłonie, jakby dla podkreślenia słuszności swoich słów.
- Teraz, gdy Finn ma już wolne ręce - mówiła dalej - przystąpi z pewnością do realizacji swych planów. Nie możemy do tego dopuścić. Musimy go za wszelką cenę zatrzymać.
- My?
- Tak. Ty i ja - skinęła głową. - Musisz pójść w jego ślady i dokonać tego, co on zamierzał. Teraz to twój obowiązek.
- Ależ Harriet, ja...
- Byłeś przyjacielem Godfreya - syknęła, a w oczach zapalił się jej niebezpieczny błysk. - Znasz jego historie. Obiecałeś, że pójdziesz z nim.
- No tak, powiedziałem. Ale teraz, w tej sytuacji... Nawet nie wiem co robić.
- Zatrzymać Finna - odparła natychmiast Harriet. - Musisz dowiedzieć się co zamierza i powstrzymać go, opóźnić jego akcje...
- A ty wciąż na czele wojska. Drogi odwrotu, pola bitew i akcje opóźniające działania nieprzyjaciela (KOBIETA W PRZEPYSZNYM, GENERALSKIM MUNDURZE, W OGROMNYCH BUTACH RĄJTARSKICH IZ RZĘDAMI MEDALI NA KARYKATURALNIE DUŻYCH, SPICZASTYCH PIERSIACH).
- PRZESTAŃ! USPOKÓJ SIĘ!
- DZIEWCZYNA Z GAZETY. ZAWSZE TAKA BEZSTRONNA..
- Shep, zamknij twarz, dobrze? Jak mogę być bezstronna w tej sytuacji? Wierzyłam w Godfreya. Wierzyłam w to, co robi.
- Ja również. Ale cała sytuacja jest dla mnie zbyt nowa, za szybko się to wszystko potoczyło...
- Może masz racje - westchnęła z rezygnacją Harriet. - Chyba powinniśmy zapomnieć o Godfreyu i pryskać stąd jak najdalej.
- Nie! - Blaine pokiwał ponuro głową. - Już za późno. Nawet jeśli uciekniemy teraz, będziemy tak samo zgubieni, jakby policja nakryła nas tutaj.
- Ależ, Shep. Nie istnieje trzecie wyjście.
- Właśnie przyszło mi do głowy, że jest jeszcze szansa - odparł Blaine. - Posłuchaj, Harriet. Czy gdzieś tu w okolicy znajduje się miasteczko o nazwie Hamilton?
- Jest - odparła ze zdziwieniem, mrużąc oczy. - Jakieś dwie mile stąd, w dół rzeki. Ale o co chodzi?
Blaine zerwał się na równe nogi i rozejrzał po pokoju. Telefon stał na nocnym stoliku miedzy łóżkami.
- Co...
- Nic, po prostu moja przyjaciółka - przerwał jej Blaine. - Ktoś, kogo niedawno poznałem i kto może nam pomóc... mówiłaś dwie mile?
- Tak, do Hamilton. Jeśli ci chodzi o to...
- Na pewno o to - uciął krótko Blaine i podszedł do telefonu, podniósł słuchawkę z widełek i nakręcił numer centrali.
- Chciałbym połączyć się z Hamilton - rzekł w słuchawkę. -Jak mogę to zrobić?
- A jaki numer, Sir?
- 276.
- Proszę chwileczkę zaczekać i nie odkładać słuchawki.
Głos w aparacie zamilkł i Blaine, nie odrywając słuchawki od ucha, spojrzał na Harriet.
- Czy na dworze jest ciemno? - spytał.
- Było już ciemno, gdy zamykałam okna. Usłyszał w słuchawce sygnał.
- Musi być ciemno - wyjaśnił jeszcze szybko. - Inaczej nie przybędą.
- Nie rozumiem o co ci chodzi.
- Hallo - usłyszał w słuchawce czyjś głos.
- Czy zastałem Anitę?
- Tak, zastał pan - odparł głos po drugiej stronie. - Proszę chwile zaczekać. ANITA, DO CIEBIE. MĘŻCZYZNA.
Przecież to niemożliwe - poraziła go myśl. - Przecież nie jestem w stanie tego robić. Chyba coś mi sie przewidziało.
- Hallo - usłyszał po drugiej stronie głos Anity Andrews. - Kto dzwoni?
- BLAINE. SHEPHERD BLAINE. PRZYPOMINASZ MNIE SOBIE? TEN MĘŻCZYZNA ZE STRZELBĄ I SREBRNYMI NABOJAMI.
- TAK, PAMIĘTAM.
To jednak fakt - pomyślał zdumiony. Nigdy nie przypuszczał, że jest w stanie używać telepatii przez telefon.
- POWIEDZIAŁAŚ WÓWCZAS, ŻE GDYBYM POTRZEBOWAŁ POMOCY...
- TAK, TO RÓWNIEŻ PAMIĘTAM.
- WIĘC POTRZEBUJĘ JEJ TERAZ (CIAŁO NA PODŁODZE, PĘDZĄCY NA SYGNALE SAMOCHÓD POLICYJNY, MIGOCZĄCE, CZERWONE ŚWIATŁO, SZYBKOŚCIOMIERZ I ZEGAR Z POSUWAJĄCYMI SIĘ BŁYSKAWICZNIE WSKAZÓWKAMI, OBRACAJĄCA SIĘ TAŚMA MAGNETOFONOWA, TABUCA Z NAPISEM „THE PLAINSMAN”, DOMEK Z NUMEREM 10). PRZYSIĘGAM CI ANITO, ŻE SPRAWA JEST CZYSTA. TRUDNO MI TERAZ WSZYSTKO WYJAŚNIAĆ. JESTEM UCZCIWY I NIEWINNY. A POLICJA NIE MOŻE ZNALEŹĆ TUTAJ TEGO CIAŁA.
- ZABIERZEMY JE.
- WIERZYSZ MI?
- WIERZĘ. WTEDY, NA SZOSIE, BYŁEŚ LOJALNY W STOSUNKU DO NAS. I POMOGŁEŚ NAM.
- ALE MUSISZ SIĘ NAPRAWDĘ SPIESZYĆ.
- OKAY. NIE BĘDĘ SAMA.
- DZIĘKI ANITO - ale ona już odłożyła słuchawkę.
Stał jeszcze chwile, przyciskając aparat do policzka. Po chwili wolnym, zamyślonym ruchem odłożył słuchawkę na widełki.
- Złapałam trochę - dobiegł go głos Harriet. - To niemożliwe.
- Oczywiście, że niemożliwe - zgodził się Blaine. - Transmisja telepatyczna przez druty! Nie musisz mi o tym mówić.
Spojrzał na rozciągnięte na podłodze zwłoki Godfreya Stone’a. Oświadczył naraz z wielką pewnością w głosie:
- To jedna z tych rzeczy, o których on wspomniał. Jedna z tych rzeczy, która nie śniła się nawet Fishhookowi.
Harriet milczała.
- Zastanawiam się tylko, ile takich nie ujawnionych, nie podejrzewanych zdolności jeszcze istnieje? odezwał się z zadumą w głosie.
- Powiedziała, że przybędą po Godfreya. W jaki sposób? Kiedy? - w głosie Harriet pobrzmiewały nutki histerii.
- Przylecą - odrzekł spokojnie Blaine. - One lewitują... - roześmiał się cicho. - Wiedźmy!
- Ale ty...
- Jak je poznałem? Urządziły pewnej nocy zasadzkę na szosie. Chciały nas przestraszyć. Riley miał naładowany karabin...
- Riley?!
- Człowiek z mojej sali szpitalnej, pamiętasz? Ten, który umarł. Miał wypadek samochodowy.
- Ty byłeś z Rileyem? Shep, gdzieś go spotkał?
- Zabawiałem się w autostop. Pomagałem mu naprawie gruchota, którym jechał. On bał się nocnej jazdy i potrzebował kogoś do towarzystwa. Wiec zabrałem się z nim.
Mówił, a Harriet coraz szerzej otwierała oczy.
- Ale, ale, zaraz - wykrzyknął naraz Blaine. - Wyście go...
- Tak, szukaliśmy Rileya. Godfrey wynajął go, a ponieważ się spóźniał...
- Ale...
- Słucham, Shep?
- Rozmawiałem z nim przed jego śmiercią. Próbował przekazać mi jakąś wiadomość, lecz już .nie był w stanie. Dowiedziałem się tylko tyle, że była to wiadomość przeznaczona dla Finna. Wtedy zresztą po raz pierwszy usłyszałem o Finnie.
- No tak. On był człowiekiem Finna. Teraz już wszystko jasne. I stracone - ukryła twarz w dłoniach. Tam była maszyna gwiezdna...
Urwała gwałtownie, poderwała się na nogi i szybkim krokiem podeszła do Blaine’a. Zajrzała mu w oczy.
- Nie wiesz, co się z nią stało? Z tą maszyną... nie wiesz?’ Zaskoczony Blaine pokręcił tylko przecząco głową.
- Maszyna gwiezdna? - spytał trochę bez sensu. - Taka jak u Fishhooka? Taka, która pomaga nam dotrzeć do gwiazd?

- Właśnie taka - skinęła głową Harriet - To ją właśnie wiózł wynajęty przez Godfreya Riley. Stone wytrzasnął te maszynę. Nie pytaj jak, bo nie wiem. Riley właśnie miał dostarczyć ją do Pierre...

- Wykradł maszynę gwiezdną - gwizdnął z uznaniem Blaine. - Wiesz, że na całym świecie, we wszystkich krajach zabronione jest posiadanie takiego urządzenia. Może posiadać je tylko Fishhook.

- Godfrey wiedział o tym. Ale potrzebował takiej maszyny. Początkowo próbował sam ją zbudować. Ale nie wyszło; nie miał planów.

- Ryzykowaliście życiem.

- Shep, co się z tobą dzieje?

- Nie wiem o czym mówisz? Co ma się ze mną dziać? Po prostu nie wiem co robić dalej. To wszystko.

- Zawsze możesz uciec.

- Cały czas uciekam. - Łypnął ponuro okiem. - Ale nie mam już dokąd.

- Zwróć się do jakiegoś koncernu. Przyjmą cie z otwartymi rękoma. Dostaniesz doskonałą prace, zarobisz masę pieniędzy, będziesz bezpieczny. Z twoimi wiadomościami o Fishhooku i fachową wiedzą...

Potrząsnął głową, wracając pamięcią do przyjęcia u Charline i do Daltona, którego tam spotkał. Stanął mu przed oczyma: rozwalony w fotelu, z nonszalancko wyciągniętymi nogami i wzburzonymi włosami, z przeżutym cygarem w kąciku ust. Przypomniał sobie jego słowa: „Biorąc pod uwagę pana wiedze i pana zdolności, jest pan wart masę pieniędzy”.

- Tak, mógłbyś to zrobić - kusiła Harriet.

- Nie zniósłbym tego. A poza tym - obiecałem. Powiedziałem Godfreyowi, że jestem z nim. A nade wszystko nie potrafię pogodzić się z sytuacją, jaka panuje na świecie. Nie cierpię ludzi, którzy chcą mnie zlinczować za to, że jestem dewiatem. Nienawidzę tego wszystkiego, co jadąc tutaj zobaczyłem.

- Jesteś wściekły i masz prawo taki być.

- A ty nie?

- Nie, nie jestem. Ja jestem po prostu przerażona.

- TY, TWARDA DZIENNIKARKA...

Spojrzał na nią badawczo i przypomniał sobie zdarzenie sprzed lat - knajpka, gdzie niewidoma kobieta sprzedawała róże i wieczór, gdy spoza maski pokazała się prawdziwa twarz Harriet Quimby. Teraz po raz drugi.

Jej twarz powiedziała mu dużą CZĘŚĆ prawdy: ta twarda, bezczelna i zadziorna dziewczyna pisująca w gazetach może być również zwykłą, przestraszoną kobietą.

Wyciągnął w jej kierunku ramiona, a ona całym ciałem przytuliła się do niego. Była zwykłą, bezbronną dziewczyną, śmiertelnie wystraszoną, potrzebującą odrobiny czułości i bezpieczeństwa.

- WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE, ZOBACZYSZ - powiedział. - WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE. NIE BÓJ SIĘ.

- ALE PRZECIEŻ CIĘŻARÓWKA JEST ROZBITA, KIEROWCA MARTWY, MASZYNA W RĘKACH POLICJI LUB FINNA. CIAŁO GODFREYA LEŻY NA PODŁODZE, A POLICJA PRZYBĘDZIE LADA CHWILA,

- JESZCZE ICH WSZYSTKICH WYPROWADZIMY W POLE, ZOBACZYSZ, NIC NIE JEST W STANIE NAS POWSTRZYMAĆ...

Dobiegł ich nagle, stłumiony jeszcze odległością i zamkniętymi okiennicami, dźwięk policyjnych syren. Harriet odskoczyła gwałtownie od Blaine’a.

- Shep, policja! - wykrzyknęła z paniką w głosie.

- Tylne drzwi! - odparł pozornie spokojnym głosem Blaine. - Tylne drzwi. Uciekajmy nad rzekę! Tam mamy szanse ich zgubić.

Pobiegł do drzwi wyjściowych i zaczął mocować się z zamkiem. Wtedy właśnie usłyszeli pukanie. Blaine nerwowo uporał się z zasuwą i otworzył«drzwi. W smudze światła padającego z pokoju ujrzał Anitę Andrews, a za nią kilka innych, młodych twarzy.

- W ostatniej chwili! - wykrzyknął Blaine.

- To ciało?

- Tak, to - odparł, wskazując zwłoki.

Pospiesznie wtargnęły do pokoju. Na zewnątrz syreny wyły już całkiem blisko.

- On był naszym najlepszym przyjacielem - powiedziała łamiącym się głosem Harriet. - To straszne, że w taki sposób...

- Zatroszczymy się o te zwłoki, proszę pani - odparła prosto Anita. - Wyprawimy pogrzeb... Ryk syren niemal wypełniał pokój.

- SZYBKO! - ponagliła Anita. - LEĆCIE NISKO. NIE MOGĄ WAS ZOBACZYĆ NA TLE NIEBA. Nim skończyła, pokój był już pusty. Dziewczęta zniknęły wraz z ciałem Godfreya.

Anita zawahała się chwilę. Obrzuciła Harriet i Blaine’a czujnym spojrzeniem.

- WYJAŚNISZ MI KIEDYŚ TO WSZYSTKO?

- WYJAŚNIĘ, OBIECUJĘ. I DZIĘKI.

- MY, DEWIACI, MUSIMY SIĘ TRZYMAĆ RAZEM - dodała jeszcze Anita. - MUSIMY SIĘ TRZYMAĆ RAZEM ALBO NAS ZNISZCZĄ.

Zbliżyła się szybkim krokiem do Blaine’a i mężczyzna poczuł dotknięcie jej umysłu o swój - jak przelotny, nieśmiały pocałunek. I ujrzał oczyma duszy wirujący w nocnym mroku krąg robaczków świętojańskich, poczuł zapach bzów nawiewany wraz z mgłą od rzeki.

Anity już nie było, a drzwi zostały zamknięte. Ktoś inny natomiast dobijał się od frontu.

- SIADAJ TUTAJ - rzekł do Harriet. - ZACHOWUJ SIĘ JAK NAJNORMALNEJ. ROZLUŹNIONA, SWOBODNA, ODPOCZYWAJĄCA. PO PROSTU SIEDZIMY SOBIE I ROZMAWIAMY. GODFREY BYŁ, ALE POSZEDŁ DO MIASTA. KTOŚ PRZYSZEDŁ DO NIEGO I RAZEM WYSZLI. NIE WIEMY KTO TO BYŁ. STONE POWINIEN WRÓCIĆ ZA GODZINĘ LUB DWIE.

- PAMIĘTAM - odparła Harriet, rozpierając się wygodnie w fotelu i składając ręce na brzuchu. Blaine niespiesznym krokiem podszedł do drzwi i otworzył je.

XXII

Wjechali do Belmont. Wszystkie mijane domy były już pozamykane na głucho i nawet w centrum handlowym miasteczka, gdzie właśnie wjeżdżali, gasły powoli światła. Przed sobą, w perspektywie ulicy dojrzeli wielki, rzęsiście oświetlony szyld hotelu, a zaraz obok jaskrawą reklamę, oznajmiającą, że „Wild West Bar” wciąż jeszcze oczekuje na klientów.

- Nie sądzę, byśmy tak zupełnie uśpili czujność policji - mówiła Harriet.

- Może masz rację - przytaknął Blaine. - Lecz zatrzymaliśmy ich. Nie znaleźli na szczęście tego, co spodziewali się znaleźć.

- Byli wściekli. W pewnej chwili myślałam, że nie wyjdziemy już stamtąd żywi.

- Ja również - roześmiał się Blaine. - Ale ty doskonale z nimi grałaś. Sami już mieli tego dosyć i odjeżdżali z wyraźną ulgą. Musieli czuć się jak durnie...

Wskazując na reklamę knajpy, dodał:

- Może zaczniemy stąd?

- Możemy stąd. Zresztą to już chyba jedyny czynny lokal w tym mieście.

Gdy weszli do baru, wewnątrz było już całkowicie pusto. Tylko podparty na łokciu barman, bezmyślnym, automatycznym ruchem wycierał kawałkiem gałganka nie istniejące krople wody z lśniącego szynkwasu.

Blaine i Harriet wdrapali się na wysokie stołki, naprzeciwko barmana.

- Co ma być? - spytał, przerywając swe zajęcie. Zamówili. Postawił na kontuarze szklanki i sięgnął po butelkę.

- Za chwile zamykamy - oznajmił. - Już wszyscy są w domach. Z zapadnięciem zmroku wszyscy tutaj chowają się do mieszkań.

- Aż tak tu niebezpiecznie?

- Nie, niespecjalnie. Ale w Belmont obowiązuje godzina policyjna. Panują tu rządy silnej reki. Dużo patroli, a gliny to twarde chłopy. Nikt nie chce dostać po karku.

- A pan? - spytała Harriet. - Pana godzina nie obowiązuje?

- Oh, mnie chłopcy znają, proszę pani. Wiedzą, kim jestem i co robie. Zdają sobie sprawę, że miewam zapóźnionych klientów, przeważnie gości tego hotelu - wykonał nieokreślony ruch ręką. - Wiedzą, że trzeba jeszcze lokal posprzątać, pogasić światła. Zostawiają mi wiec trochę więcej czasu.

- Ostrego tu macie szeryfa - mruknął z uznaniem Blaine.

- To dla osobistego bezpieczeństwa mieszkańców - potrząsnął głową barman. - Ludzie są jak dzieci, proszę pana. Włóczyliby się po nocy. A w nocy, wiecie państwo, jak to w nocy. Różne rzeczy mogą sie przydarzyć... - Urwał i po chwili dodał:

- Jeśli chcecie, mam na składzie coś specjalnego. Można spróbować.

- Spróbować, ale czego? - spytała Harriet.

- Coś całkiem nowego - odrzekł sięgając pod szynkwas i wyjmując butelkę. - Prosto od Fishhooka. Pochodzi z innej planety. Zawiera podobno masę węglowodorów. Dostałem dwie butelki

od ajenta naszego Punktu Handlowego. Ot tak na spróbowanie. Zawsze może się znaleźć ktoś, kto to polubi.

- Nic z tego. To nie dla mnie - pokręcił głową Blaine. - Bóg jeden wie, co tam jest w środku.

- Ja również dziękuje - poparła go Harriet.

- I wcale się wam nie dziwie - barman schował flaszkę. - Spróbowałem tego trochę. Tak, z ciekawości. Bo ja w ogóle nie pije...

I spoglądając na szklanki w dłoniach gości zastrzegł się szybko:

- Nie, nie, nic nie mam przeciwko temu, jeśli ktoś lubi sobie golnąć trochę.

- Oczywiście, nic w tym złego - poparła Harriet, posyłając mu uśmiech.

- To ma bardzo dziwny smak - ciągnął barman. - Nawet trudno powiedzieć czy dobry czy nie. Jest ostre i jakby nieco zatęchłe. Ale myślę, że można się do tego przyzwyczaić. A nawet i polubić. Bardzo dziwne.

Umilkł i zamyślił się. Oparty mocno rekami o bar spoglądał dłuższą, chwile jak popijają ze szklanek.

- Wiecie państwo, co myślę? - odezwał się w końcu.

- Proszę? - zainteresowała się Harriet.

- Otóż zastanawiałem się dzisiaj po południu, czy aby ten ajent sam nie sprokurował tego napoju; taki rodzaj ponurego żartu, oczywiście.

- Chyba by się nie odważył - z powątpiewaniem wygłosie zauważyła Harriet.

- Możliwe, że ma pani racje - łatwo zgodził się barman. - Ale ci wszyscy ajenci są jacyś dziwni, trochę zbzikowani. Ludzie nie utrzymują z nimi w ogóle żadnych stosunków towarzyskich. A jednak wiedzą oni wszystko o każdym mieszkańcu miasteczka. Znają wszystkie najnowsze plotki... - Umilkł i dodał po chwili niemiłym tonem:

- Ale sami się nigdy tymi wiadomościami nie podzielą z ludźmi.

- Nieprawdopodobne - odparła Harriet by po prostu coś odpowiedzieć.

Barman pogrążył się znów w milczeniu, a dziewczyna rzuciła szybkie spojrzenie na Blaine'a.

- Widzieliśmy dzisiaj masę ludzi w mieście - strzelił na ślepo Blaine. - Byli jacyś podnieceni. Czy coś sie dzieje?

- Nic nie słyszeliście? - spytał ściszając głos barman przysuwając sobie taboret i siadając, jakby szykował się do dłuższej konwersacji.

- Jesteśmy tutaj dopiero od dwóch godzin - wyjaśnił Blaine.

- Tak, wydarzyło się - odparł szybko przejętym głosem barman. - Nie uwierzycie mi państwo, gdy wam powiem, że mamy w Belmont maszynę gwiezdną.

- Co takiego? - udał zdziwienie Blaine.

- Maszynę gwiezdną - powtórzył dobitnie barman. - Taki wynalazek, za pomocą którego dewiaci podróżują do gwiazd.

- Pierwszy raz słyszę - dziwił się Blaine.

- Nic dziwnego. One są wyłącznie w posiadaniu Fishhooka.

- Chce pan powiedzieć, że ta wasza jest tutaj nielegalnie?

- Ależ nie. Policja ją znalazła i trzyma w starej wozowni przy autostradzie. Tam, po wschodniej stronie miasta. Musieliście przejeżdżać obok tej budy.

- Nie pamiętam. Może.

- Tak czy owak, maszynę zamknęli w tym baraku. I wtedy, jak spod ziemi, zjawił się w Belmont Lambert Finn.

- Chyba nie myśli pan o tym Lambercie Finnie?

- Właśnie o nim. Mieszka w hotelu obok mojej knajpy. Właśnie przy tej wozowni zamierza zwołać jutro wiec mieszkańców miasta i okolic. Policja wyraziła zgodę na wystawienie w tym czasie maszyny na zewnątrz. Tam Finn wygłosi kazanie. Mówię panu, warto będzie tego posłuchać. Będzie o dewiatach. Finn obiecuje oczyścić z nich miasto. Zjechała cała masa reporterów z różnych gazet.

- Chyba niewielu dewiatów żyje w mieście? - odezwał się Blaine.

- Zgadza się, niewielu - odparł barman cedząc słowa. - W samym mieście w ogóle ich nie ma. Ale niedaleko stąd, w dole rzeki, jest takie miejsce, gdzie ich pełno. Miasteczko to nazywa się Hamilton i żyją w nim tylko dewiaci. Jest 10 nowe, specjalnie dla nich wybudowane osiedle. Tam stłoczono dewiatów z całej okolicy. Nie wiem, ale istnieje taka specjalna nazwa na takie miejsca. Nie pamiętam. Tak nazywały sie kiedyś w Europie miejsca dla Żydów.

- Getto.

- Ooo, właśnie tak. Że też wyleciało mi to z głowy. - Barman ze złością trzepnął pięścią w kontuar. Niegdyś getta stanowiły najbiedniejsze dzielnice miast, a obecnie lokalizuje się je w ogóle poza miastami, w najbiedniejszych częściach kraju, na wsi. Hamilton wybudowano na najmniej żyznych, ubogich, najgorszych ziemiach. Ale dewiaci lubią to miejsce. I dopóki nikomu nie przeszkadzają, niech tam sobie żyją. Dopóki się tutaj nie pojawiają, zostawiamy ich w spokoju. Ale wiemy gdzie są i oni wiedzą, że my wiemy. I pamiętamy! Niech no tylko zaczną rozrabiać, to my już potrafimy się do nich dobrać.



Spojrzał na zegarek, a potem na Harriet i Blaine'a.

- Jeśli macie ochotę jeszcze na jednego, to musicie się spieszyć - rzekł.

- Nie, dzięki - odparł Blaine kładąc na szynkwasie dwa dolary.

- Reszty nie trzeba - dodał, zsuwając się ze stołka.

- Dziękuje, sir. Bardzo dziękuje - lekko ukłonił się barman. - Na waszym miejscu nie ryzykowałbym nocnej jazdy. A nie daj Boże, by dorwały was gliny. Radze zatrzymać się w hotelu.

- Tak chyba zrobimy - zgodziła się Harriet. - Do widzenia.

- Do widzenia państwu.

Gdy dotarli do auta, Blaine otworzył drzwiczki i wpuścił do środka Harriet. Następnie sam wsiadł z drugiej strony.

- Wiec co teraz? Do wozowni?

- Shep, co ty zamierzasz? Wynikną z tego same kłopoty.

- Jeszcze sam nie wiem. Ale coś wymyślimy. Musimy w każdym bądź razie usunąć stamtąd maszynę gwiezdną, zanim Finn będzie miał okazje wygfbsić przy niej to swoje słynne kazanie.

- Jak to sobie wyobrażasz? Mamy tam teraz pojechać i ją zabrać? - zdziwiła się Harriet.

- To, niestety, niemożliwe. Zbyt duża i zbyt ciężka. Ale musi być jakieś wyjście. Musimy tak Fmnowi pomieszać szyki, by odechciało się mu na dłużej. Jeszcze nie wiem jak, ale musimy.

- Maszyna jest z pewnością dobrze strzeżona.

- Nie sądzę, Harriet. Jestem przekonany, że tylko dobrze zamknęli te budę. Ale nikt jej nie pilnuje osobiście. Nie ma tu takich odważnych. To miasto jest przerażone.

- Jesteś taki sam jak Godfrey - mruknęła Harriet. - Teraz ty z kolei wkładasz sobie na szyje stryczek.

- Wciąż o nim myślisz? - Blaine rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Tak. I to dużo.

Bez słowa włączył silnik i wyprowadził auto na środek jezdni.

Stara wozownia była pogrążona w ciszy i nic nie wskazywało na to, by jej ktoś pilnował. Blaine i Harriet dwukrotnie przejechali szosą obok niej. Był to sporych rozmiarów budynek pochodzący z czasów gdy dobry stan nawierzchni odgrywał zasadniczą role. Szopa służyła wówczas za miejsce, gdzie chowano sprzęt i maszyny do prac drogowych.

Blaine zjechał z szosy i ukrył samochód w dużej kępie wierzb.

- Harriet - odezwał się półgłosem.

- Tak, Shep.

- Zostań tu i nigdzie się nie ruszaj. Ja zaś w tym czasie popróbuje dostać się do środka.

- Tylko wracaj jak najszybciej. I tak masz tam niewiele do zrobienia.

- Dobrze, wrócę, gdy tylko będę mógł. Mamy jakąś latarkę?

- Tak, w kieszeni na drzwiach.

Słyszał, jak grzebała tam chwile potrącając różne przedmioty. Potem strumień wąskiego, ostrego światła przeciął ciemność padając na atlas drogowy, przeciwsłoneczne okulary i jakieś zapasowe części do silnika.

Wręczyła mu latarkę. Wziął ją, zgasił i bez słowa wysiadł z auta.

- Czekaj tu na mnie - powtórzył nachylając się w drzwiczkach.

- A ty uważaj na siebie - ostrzegła.

XXIII

Wozownia okazała się o wiele większa niż wyglądała z autostrady. Otaczał ją pierścień wysokich do kolan, wyschniętych na pieprz zarośli, które przy najlżejszym nawet podmuchu wiatru, wydawały donośny, tajemniczy szelest. Buda była wykonana z szerokich płatów falistej blachy, używanej niegdyś powszechnie przy budowie tego typu obiektów. Stosowanie tego budulca zarzucono dopiero jakieś sześćdziesiąt lat temu, gdy sprowadzono z Aldeherana VII pewien rodzaj elastycznego plastyku, bardziej nadającego się do tych celów. Na trzech ścianach wozowni znajdowały się okna o popękanych i brudnych, zasnutych pajęczyną szybach. Czwartą ścianę stanowiły wielkie dwuskrzydłowe wrota.

Daleko na wschodzie, na tle widmowej łuny księżyca, majaczyły zarysy miasteczka Belmont.

Blaine ostrożnie, starając się czynić jak najmniej hałasu, obszedł barak w poszukiwaniu najdogodniejszego sposobu wdarcia się do środka. Nic jednak nie znalazł. Skrzydła bramy zamknięte na dwa wielkie zamki i kłódkę nie dawały żadnych szans sforsowania wrót. A choć gdzieniegdzie, tuż przy samej ziemi, oderwano kilka płatów blachy, to była ona zbyt gruba, by Blaine zdołał ją odgiąć samymi tylko, gołymi rekami.

Był jednak inny sposób.

Blaine zatrzymał się przy narożniku starej wozowni i dłuższą chwile nasłuchiwał uważnie. Nic jednak, poza szorstkim szelestem suchych badyli, nie mąciło ciszy wieczoru. Autostrada była jak wymarła i Blaine wiedział, że do rana nie pojawi się na niej żaden pojazd. Majaczące w oddali, pogrążone w zupełnym mroku miasteczko sprawiało upiorne wrażenie: zupełnie jakby barak i stojący obok Blaine znajdowali się na opuszczonym przez mieszkańców, od dawna już martwym świecie.

Przeniósł z kolei wzrok na majaczącą w mroku kępę wierzb. Nie dobiegało stamtąd najlżejsze lśnienie, najmniejszy refleks świetlny, który wskazywałby na ukryty tam samochód.

Upewniwszy się, Blaine szybkim i zdecydowanym krokiem ruszył wzdłuż ściany wozowni. Zatrzymał się przy pierwszym oknie. Zdjął marynarkę, owinął nią przedramię i pięść.

Tak zabezpieczoną ręką wyrżnął w szybę. Szkło pękło, a jego odłamki posypały się z donośnym brzękiem. Kilkoma szybkimi ruchami Blaine oczyścił okno z tkwiących jeszcze w ramie kawałków szyby. Ponownie nałożył marynarkę i biegiem ruszył do narożnika szopy. Nasłuchiwał.

Uspokojony, wrócił do wybitego przed chwilą okna i wpełzł przez otwór do środka. Ostrożnie postawił stopy na podłodze. Wyjął z kieszeni latarkę, włączył ją i przeciągnął snopem światła po wnętrzu pomieszczenia. Tuż przy samych drzwiach stał wrak ciężarówki, a obok pobłyskiwała maszyna gwiezdna.

Stąpając odruchowo na palcach, podszedł do niej. Przystanął i wodząc po jej gładkiej powierzchni strumieniem światła, przyglądał się uważnie. Znał te konstrukcje doskonale.

Jest w niej jakieś piękno - myślał. Zupełnie, jakby w jej lśniącej powierzchni, w prostym, ekscytującym kształcie odbijały się dalekie szlaki międzygwiezdne, niezgłębione tajemnice obcych światów, które za jej pomocą przemierzał i badał Człowiek.

Konstatował jednocześnie, że ten model maszyny, który miał przed sobą, to już przestarzały typ, z którego Fishhook zrezygnował dziesięć lat temu z górą. Blaine wątpił wiec, by została ona skradziona bezpośrednio od Fishhooka; wiele takich przestarzałych egzemplarzy przechowywano w zapomnianych przez Boga i ludzi, ogromnych, zamkniętych na dziesięć spustów, magazynach. Prościej bowiem było je tam trzymać niż kompletnie niszczyć, a przekazanie ich w obce ręce również nie wchodziło w grę. W tych bowiem maszynach, w ich konstrukcji, której tajemnica była pilnie strzeżona, leżał w ogromnej mierze klucz potęgi Fishhooka. Dlatego też koncern wolał je trzymać pod kluczem w sobie tylko znanych miejscach.

I oto nagle jedno z tych drogocennych urządzeń znajdowało się tutaj, poza Fishhookiem, stanowiąc niemy dowód kradzieży, jaka nie miała dotychczas miejsca.

Blaine zastanawiał się chwile, w jaki sposób Stone dokonał tego wyczynu. Im bardziej o tym myślał, tym większy podziw budził w nim ten desperacki czyn. Wymagał bowiem nie lada odwagi i zdecydowania, zaufanych ludzi i agentów, szczegółowego planu dającego stuprocentową pewność jego realizacji. No i wreszcie masy pieniędzy.

Jaka była w tym wszystkim rola Harriet? Mógł zrozumieć jej motywy i brak skrupułów przy organizowaniu jego ucieczki. Była kobietą, która znając sekrety Fishhooka, mogła się poważyć na coś podobnego. Lecz pomoc w ucieczce, a udział w grabieży maszyny gwiezdnej to dwie zupełnie różne jakościowo rzeczy.

Godfrey - o ile Blaine zdołał się już zorientować - pokładał w posiadaniu maszyny ogromne nadzieje, które jednak wraz z jego śmiercią rozwiały się i przestały być ważne. Ale i dla Finna, człowieka tak przepojonego nienawiścią, tak zdesperowanego i zaślepionego swoim posłannictwem, maszyna spoczywająca w tej budzie może stanowić również niezwykle silny atut w batalii o starcie kinetyki paranormalnej i dewiatów z powierzchni Ziemi, o odcięcie Człowieka od Gwiazd. Blaine wiedział bowiem jak wiele zdziałać może Finn dysponując tą maszyną, urządzeniem tak szalenie odbiegającym od wszystkiego, co przez stulecia wytworzyło w świadomości Człowieka pojecie maszyny.

Skoro wiec wraz ze śmiercią Stone'a rozwiały się wszelkie nadzieje, to maszyna musi zniknąć również - pomyślał Blaine. I musi tego dokonać on, gdyż jakkolwiek w obecnej sytuacji nie ma już żadnych zobowiązań wobec Godfreya, to i tak jest mu co nieco dłużny za ów nocny telefon przed laty.

Sposób istnieje na pewno. O tym Blaine był najświęciej przekonany. Musi go tylko odnaleźć w bezmiarze obcych wiadomości w swym mózgu, dogrzebać się do tej jednej, jedynej informacji, wydobyć ją i zastosować.

Rozpoczął gorączkową penetracje swego mózgu. I odkrył sposób. Zarazem jednak odkrył inną jeszcze rzecz, która nim wstrząsnęła. Cała bowiem wiedza, obca wiedza jaką posiadał, która zwaliła się w jego świadomość ogromną, bezładną masą, okazała się nagle ułożona i posegregowana. Zupełnie jakby niezwykle sumienny i pedantyczny urzędnik drobiazgowo pozbierał i poukładał porozbijane na tysięczne okruchy wiadomości.

Zdumiało go to odkrycie. Zdumiało i zaskoczyło, bo oto, niespodzianie, nie podejrzewając nawet, stał sie posiadaczem bajecznej fortuny, olśniewającej - lecz i przerażającej zarazem - potęgi. A było to wynikiem na wskroś ludzkich właściwości jego

umysłu i psychiki. Dzięki temu, że jego ludzka natura zbuntowała się - nieważne, iż podświadomie - przeciw owemu straszliwemu chaosowi porozbijanej na najdrobniejsze kawałeczki wiedzy, tchniętej w jego umysł przez różowego mieszkańca odległej planety, posiadał w tej chwili skarb nieoceniony, nieoszacowany. Niewspółmierny do niczego, co ziemskie.

Stworzenie to było wciąż w nim; ono samo lub zaledwie jego istota. Ale było. Blaine próbował natychmiast, pośród tej uporządkowanej i ułożonej wiedzy, odnaleźć je. Nie znalazł nic.

Wyciągnął przed siebie dłoń i położył ją na powierzchni maszyny gwiezdnej. Palce natrafiły na ostry kant, objęły go, zacisnęły się mocno.

Blaine'a nurtował kolejny problem.

Skoro posiadał taką gigantyczną wiedze, absolutnie niedostępną dla innych ludzi, skoro w jego najgłębszej jaźni kryła się obca istota - a może tylko świadomość obcej istoty - znaczy to, że on, Blaine, nie jest całkowicie Człowiekiem, a jego umysł nie jest w zupełności umysłem ludzkim.

Przejęty głęboko odkryciem Blaine nie potrafił jednak oprzeć się zdumieniu, że mimo to zachował w sobie na tyle czystego człowieczeństwa, że potrafi tak jasno zdać sobie sprawę ze swej obcości.

Odpowiedź przyszła natychmiast: - pozostał człowiekiem - lub niemal człowiekiem - wyłącznie zewnętrznie, podczas gdy pod tą fasadą kryła się w rzeczywistości fuzja dwóch osobowości, fuzja dwóch światopoglądów, wiedzy, etyki, motywacji. Mieszanina dwóch całkowicie od siebie różnych form życia. Różowej Istocie nie robiło to żadnej różnicy gdy myślał o tym on, Blaine, a ściślej cześć będąca Blain'em. Różowa Istota bowiem, jakkolwiek sama w sobie nie była człowiekiem - przez samo sprzężenie się z ludzką naturą wchłonęła w siebie również całą porcje człowieczeństwa, jaką posiadał Blaine. Zawierała wiec w sobie to człowieczeństwo i... Bóg jeden wie co jeszcze.

Zwolnił uścisk palców na maszynie i zaczął wodzić opuszkami po gładkiej jak szkło, metalowej powierzchni aparatu.

Znał sposób jak usunąć ową maszynę; musi jeszcze tylko dokonać tego. Teoretycznie wie, jak to zrobić, ale czy zdoła zrealizować to w praktyce?

Czas... - oświadczyła mu Różowa Istota. - Czas jest najprostszą sprawą.

Czas może jest prosty - myślał Blaine. Ale posługiwanie się nim jest bardzo trudne.

Stojąc tak pogrążony w zadumie, pojmował coraz lepiej istotę tego, co zamierzał zrobić. Przeszłość jest w tym przypadku bezużyteczna. Maszyna była już w przeszłości, zostawiając za sobą długi, mglisty siad ciągnący się aż do teraz i powracający szybko w materialnej postaci.

Inaczej rzecz się ma z przyszłością. Jeśli uda mu się przemieścić w czasie do przodu, każda chwila obecna i każda chwila następna będzie już dla maszyny przeszłością, a ona sama jawić się będzie wyłącznie jako .niematerialny, widmowy siad; stanie się okrutną drwiną, kuglarską, magiczną sztuczką, zupełnie pozbawioną wartości dla Finna i tego, co zamierza powiedzieć.

A przede wszystkim, przerazi go ogromnie - myślał Blaine z dziką satysfakcją.

Skoncentrował się podejmując próbę otoczenia maszyny siłą swej woli. Bez skutku. Bo jakkolwiek jego umysł otworzył się i skoncentrowana wola objęła urządzenie, to jej moc okazała się zbyt słaba.

Odczuł tylko jakąś nie istniejącą dotąd, nieprawdopodobną i trudną do wysłowienia obcość i nierealność miejsca, w którym się właśnie znajdował. Inny niż dotychczas szum zarośli wpadał przez wybite okno, powietrze jakby rozmyło się, tracąc swą ostrość, a dziwna sztywność w karku i ostry, drapiący ból w gardle zatamowały oddech. Odnosił paskudne wrażenie, iż nie należy już dłużej do świata zewnętrznego, że wszystko, co go otacza - ziemia pod stopami, powietrze, którym oddycha, nawet własne ciało - są czymś zupełnie obcym i niepojętym. Czuł ogromne, bezgraniczne przerażenie tym brakiem czegokolwiek znajomego i przyjaznego, tym nagłym przesunięciem od znanego, którego nie potrafił }uż sobie przypomnieć, do nieznanego, dla którego z kolei nie miał żadnego punktu odniesienia. I tylko gdzieś daleko, w otchłannej, z najwyższym trudem uświadamianej głębinie umysłu czuł, że wszystko byłoby w porządku, gdyby udało mu się pokierować tą maszyną, którą starał się objąć polem skondensowanej woli; maszyną, z powodu które] jest tutaj, z powodu której czuje się taki obcy i straszny, wyrwany z ciemności, ciepła i iluzorycznego poczucia bezpieczeństwa w starej wozowni. Zdawał sobie podświadomie sprawę, że wszystko wróci do normy, jeśli tylko uda mu się wykonać zamiar i powrócić do swego świata.

Ale pomimo całej obcości i osobliwości tego co miał dokonać, było to w sumie niesłychanie proste. Blaine już prawie wiedział jak to zrobić, już prawie znał potrzebne mu parametry i współrzędne. Ale musiał chwile jeszcze cierpliwie poczekać. Mimo przeraźliwej potrzeby pośpiechu, musiał uzbroić się w cierpliwość. Czekał wiec spokojnie, aż wszystkie koordynaty zatrzasną się na swoich miejscach w jego świadomości. Dokonał jeszcze szczegółowej, dokładnej i niespieszne) analizy odkształcenia czasowego i wówczas dopiero targnął maszynę: znalazł się dokładnie w tym punkcie, gdzie chciał.

Stał w mglistej przestrzeni, był odarty ze wszystkiego z wyjątkiem poczucia przynależności do gatunku ludzkiego.

Nie istniało nic - poza nim samym i maszyną gwiezdną. Wyciągnął niepewnie rękę i dotykając urządzenia stwierdził, że jest ono jak najbardziej materialne.

Lecz była to jedyna w tym świecie materialna rzecz. Mgła otaczająca go, nawet mgła - jeśli była to w ogóle mgła - była tylko kamuflażem, iluzją.

Blaine stał nieruchomo, bojąc się zakłócić nieopatrznym ruchem stan upiornej równowagi, która, raz naruszona, rzuci go w otchłanne, mroczne obszary nieskończoności.

Miał bowiem świadomość, że znajduje się w przyszłości. Przebywał w czasie, gdzie nie istnieją żadne kontury układu czasowo-przestrzennego. Było to miejsce, w którym nic się jeszcze nie wydarzyło absolutna pustka. Nie istniał tu ani blask, ani cień. Nic, tylko pustka. W tym miejscu nigdy jeszcze nic nie było, a on i jego maszyna gwiezdna są pierwszymi materialnymi tworami istniejącymi tutaj; intruzami, którzy wyprzedzili swój czas.

Wypuścił wolno powietrze z płuc i ponownie odetchnął; ale tu nie było nawet powietrza!

Mglista pomroka otulająca go zawirowała opętańczym tańcem. Głowę wypełnił mu oszalały tętent krwi. Próbował gwałtownie oddychać, wciągać powietrze - cokolwiek - ale w tym miejscu nic nie istniało.

I znów miażdżącą, gorącą falą spadło na niego uczucie obcości. W jego konającym, zamierającym umyśle pojawiła się naraz jakaś przerażająca mieszanina figur pełnych dziwacznej symboliki. Figury zalewając jego mózg stawały się jednocześnie rodzajem obcej, wyższej matematyki.

I znów było powietrze, znów mógł swobodnie oddychać, a pod stopami czuł zwykłą, ziemską podłogę. Spoza wozowni płynęły delikatne podmuchy wiatru niosące ze sobą szeleszczący dźwięk i lekko zapleśniały zapach zarośli.

Ponownie był w domu, u siebie, w swoim świecie i w swoim czasie.

Stał bez ruchu wsłuchując się w samego siebie. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Otworzył pomału oczy. Wokół panowała ciemność, ale inna już niż przed jego przemieszczeniem się w czasie. Mrok nocy był rozjaśniony, płynącym przez wybite okno, srebrzystym pyłem światła wzeszłego właśnie księżyca.

Uniósł dłoń, wciąż jeszcze zaciśniętą na metalowym uchwycie latarki, włączył światło i skierował ostry strumień blasku na maszynę gwiezdną; dziwną i niematerialną: widmo maszyny, jej ślad zaledwie, ślad, który pozostał po jej przemieszczeniu w przeszłość.

Ręką, w której trzymał reflektor, otarł pot z czoła. Odetchnął, gdyż uprzytomnił sobie, że dopiął swego, wypełnił zadanie i nie był już tutaj dłużej potrzebny. Uderzył w imieniu nieżyjącego Stone'a. Pomieszał Finnowi szyki.

Nie istniało już nic, co ułatwiłoby Finnowi jego misje, nie istniała maszyna, nad którą mógłby odprawiać swe złowrogie modły. Było to okrutne szyderstwo, drwina z Lamberta i z tego wszystkiego, o co od tylu lat walczył.

Nagle bardziej wyczuł niż posłyszał za sobą jakiś ruch. Odwrócił się tak gwałtownie, że wypuścił z reki latarkę, która gasnąc, potoczyła się po podłodze. I usłyszał dobiegający z ciemności głos pełen serdeczności.

- Shep, zgrabnie to zrobiłeś.

Blaine zamarł, serce podeszło mu do gardła. Bezsilnie opuścił ręce. Zdał sobie bowiem sprawę, że to koniec. Że dotarł do swego kresu. Że jego ucieczka jest już skończona.

Znał ten serdeczny głos. Tego głosu nigdy nie mógłby zapomnieć.

Tam, w ciemności zalegającej wnętrze wozowni, czaił się jego stary przyjaciel, Kirby Rand!

CZŁOWIEK BEZ TWARZY

Kasprzak ● Krzepkowski

REPORTER ALFRED JAAS JAKO PRZYPADKOWY ŚWIADEK NAPADU NA BANK PRZESZCZEPÓW ZOSTAŁ „ZAPROSZONY" DO PREZYDIUM POLICJI NA PRZESŁUCHANIE. DZIĘKI TEMU OBSERWUJE NA MONITORZE PRZEBIEG POŚCIGU I WKROCZENIE „KOSMICZNEGO ROBIN HOODA" CZYLI SALVATORA TARLEY'A. JAAS POSTANAWIA WYJAŚNIĆ TAJEMNICĘ TARLEY'A, ALE...















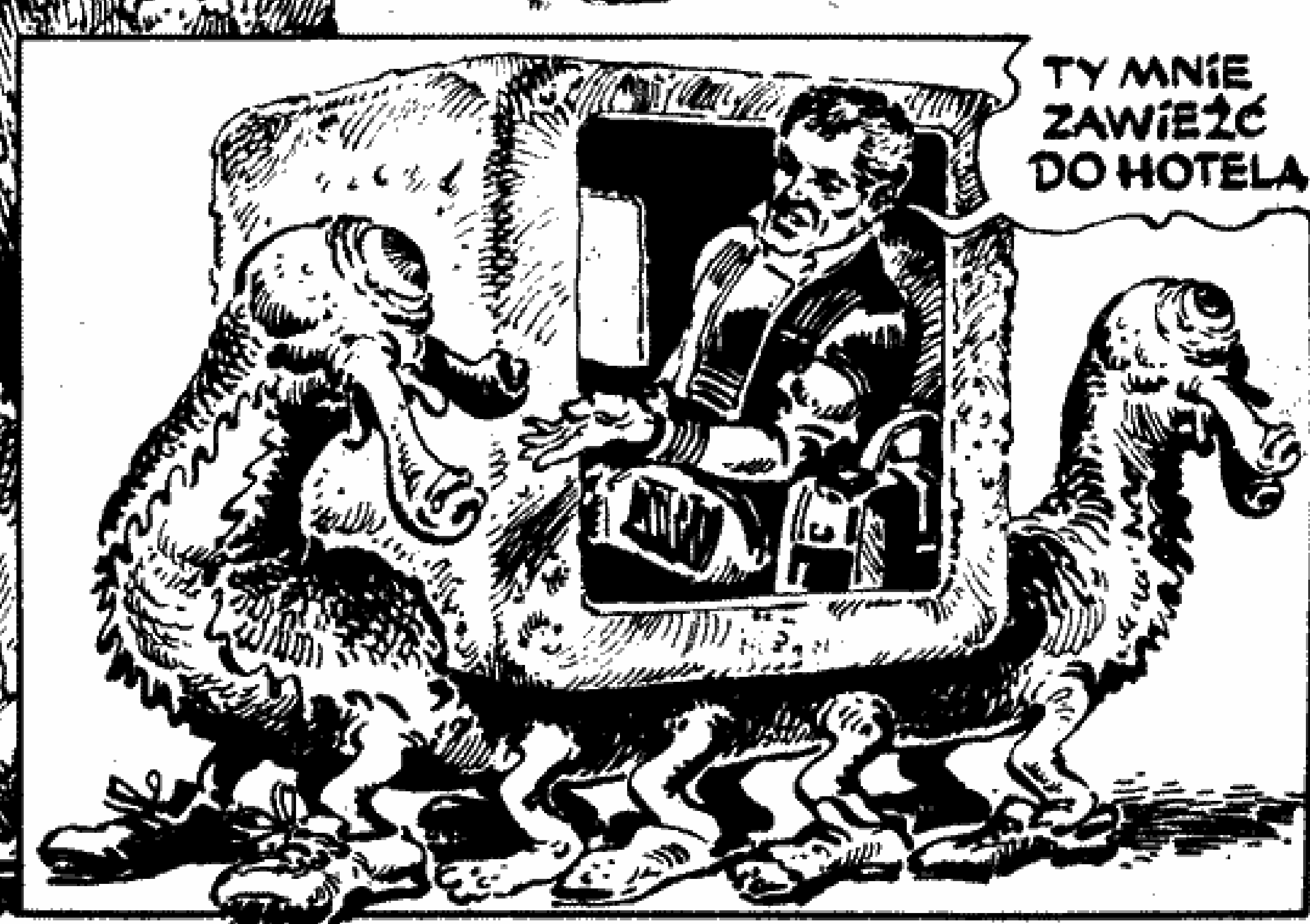


... po gigantycznej zbiórce używanych butów został mianowany attaché Ziemi na Wenus. Od pewnego czasu widuje się go z trzeciorzędną gwiazdką holowizji, Anitą Staekilar. Brak bliższych danych o

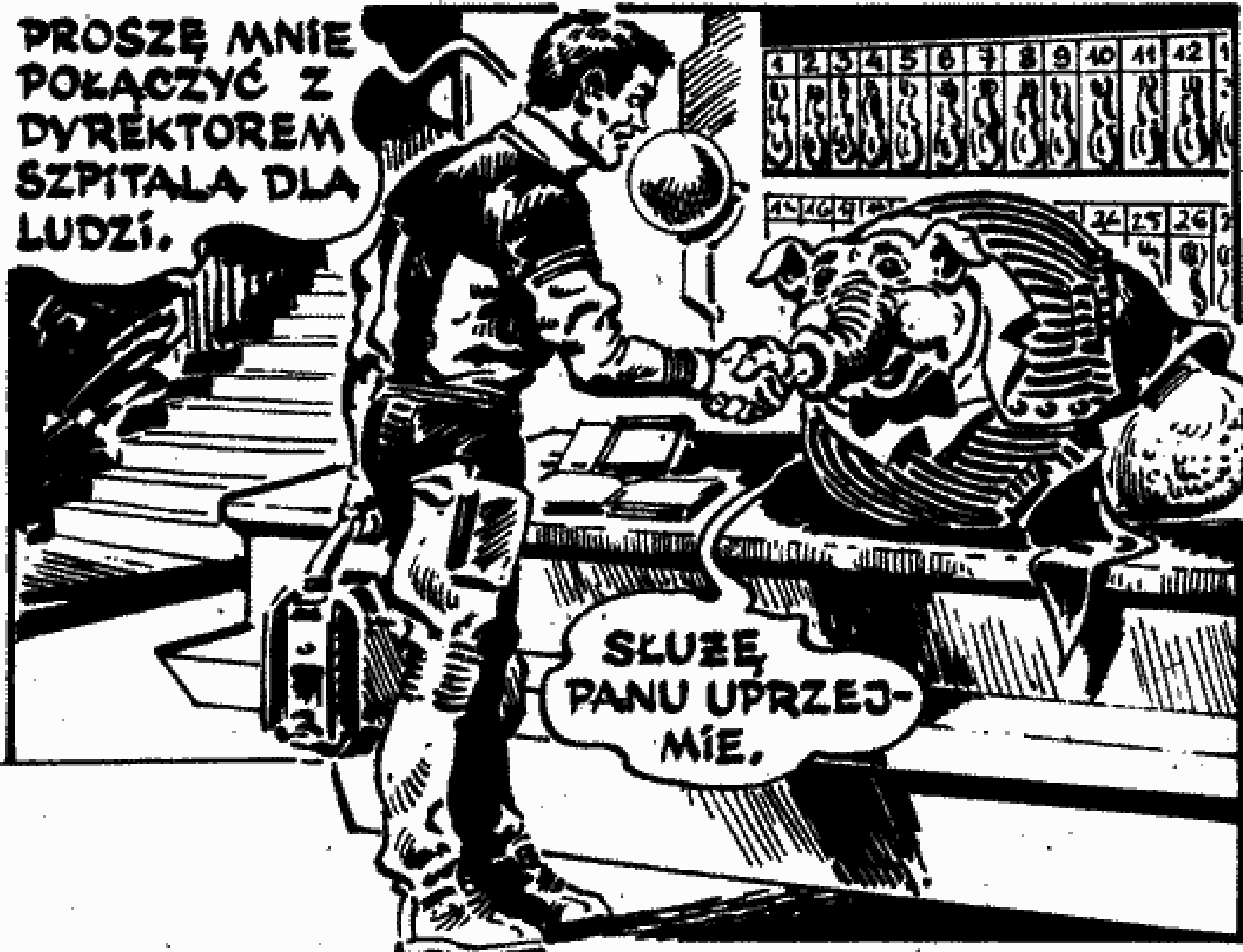









PAN JAAS? POKÓJ BYĆ DLA PANA ZAREZERWOWANA.
JA CIĘ POLUBIĆ, TY BYĆ BARDZO LEKKI, NAPRAWDĘ.


PROSZĘ MNIE POŁĄCZYĆ Z DYREKTOREM SZPITALA DLA LUDZI.
SŁUŻĘ PANU UPRZEJMIE.


NIESTETY, JAKO DYREKTOR TEJ KLINIKI NIE MOGĘ PANA DOPUŚCIĆ DO STOWMENA. TO NIESŁYCHANIE OSTRY PRZYPADEK EGZOMANII SZPIEGOTROPOWEJ. RADZĘ PANU...
ZA PANEM JEST WEJŚCIE DO RESTAURACJI.
GDZIE TU MOŻNA COŚ ZJEŚĆ.


POLECAM PANU MIEJSCOWE GRZYBKI W OSTRYM SOSIE.
HULLO, BABY!
HOW DO YOU DO?!
JAKI MIŁY CHŁOPIEC!
Z. KASPRZAK 83.







ZABRAŁ JĄ! POWIEDZIAŁ, ŻE TO AGENTKA Z VEGI! PAJĘCZ...

TO TEN REPORTER! KTO GO WPUŚCIŁ!?

...CZUŁKOSZCZĘKOOŚMIORNA! GRGYX! GRGYX, KOCHANIE... JAK JA TEGO TARLEY'A DOPADNĘ...



Transgalaktyczna Stacja Operacyjna drugi miesiąc pogrążała się w bezdennej nocy wszechświata. Tor kwaziprzestrzenny zamknął się niczym kokon wokół Statku odcinając łączność z Ziemią, z której wyruszył do liczącego dwadzieścia lat lotu. Prawie cała dziesięcioosobowa mieszana załoga spała w swoich kabinach. Tylko zastępca dowódcy Lotu, komandor Alan Kalpern spojrzał na korytarzowy zegar uświadamiając sobie, że czas najwyższy udać się do Sali Operacyjnej i przejąć dyżur. Patrząc znużonym nieco wzrokiem na rozsuwające się drzwi nie zarejestrował od razu wnętrza Sali. Dopiero gdy zrobił krok do środka zamarł w bezruchu. Na środkowym fotelu, odwróconym oparciem do pulpitów sterowniczych, zwisał w bezwładzie dowódca Statku, Cargini. Nogi wykręcone w nienaturalny sposób opierały sie bocznymi powierzchniami stóp na miękkiej powierzchni podłogi. Ręce rozrzucone na boki wisiały pod poręczami fotela odsłaniając masywny tors, z czerwoną masą wnętrzności na kawowej barwy kombinezonie. Był martwy.
Stanowisko Carginiego spływało krwią. Duże, czerwone jeszcze

Wynajęty człowiek

Marek Baraniecki

kałuże nie zdążyły wsiąknąć w gąbkę posadzki. Wysokie fotelowe oparcie wrzosowego koloru odbiło cześć krwi na sklepienie i pulpity komputera mocy. Tysiącami strużek i kropelek zmieszała sie z barwnymi punktami symulowanego przestrzennego obrazu kosmosu na wielkim holograficznym ekranie opasującym niemal cały obwód Sali. Krwiste roje swoją płaskością zdradzały rzeczywistą powierzchnie ekranu, kontrastując z wiszącymi w dziesiątkach planów głębi gwiezdnymi punktami. Twarz dowódcy była sina i wykrzywiona grymasem strachu pomieszanego jakby z wyrazem zastygłego na zawsze niedowierzania. Komandor Kalpern ze skamieniałą twarzą rozejrzał się wolno na boki i cicho powiedział w przestrzeń:
- Procedura bojowa A 3. Pełna rejestracja wnętrza i przestrzeni zewnętrznej. Utajnienie pierwszego stopnia. Alarm obserwacyjny czerwony.
Nad stanowiskami zapłonęły fioletowe punkty sekcji alarmowych. Za plecami bezszelestnie zeszły się brzegi drzwi, odcinając pomieszczenie od reszty statku. Nadal nie robiąc żadnego ruchu myślał chłodno. Komandor Cargini został zamordowany. W niepojęty sposób i w całkowicie nieprawdopodobnej sytuacji. Właściwie to co widział, nie miało prawa się zdarzyć. Nie zdarzyło sie nigdy w całej historii galaktycznej żeglugi. Załoga liczyła dziesięć osób, dobieranych latami, całkowicie sprawdzonych. Były też automaty. Ale te nie miały możliwości, jak w starych powieściach z przeszłości, zrobić człowiekowi jakiejkolwiek krzywdy. Musiał i mógł to zrobić tylko człowiek. Tylko czym? I dlaczego? W tej sytuacji, przy czerwonym alarmie, potrzebował zgodnie z instrukcją drugiej osoby. Podszedł do najdalszego stanowiska i wywołał pokój Głównego Cybernetyka. Samsona Hewela. Przez chwile czekał na dźwiękowe zgłoszenie.
- Co jest? - Głos Hewela był senny.
- Przyjdź do laboratorium. Nie radze sobie z analizą subpola emitora siódmej strefy. Nie mam klucza do pamięci konstrukcyjnej.
- Idę.
Żeby dojść do laboratorium, trzeba było przejść obok drzwi Sali Operacyjnej. Kiedy Cybernetyk przechodził koło nich, Kalpern bez słowa wciągnął go do środka. Stali długo w milczeniu. Kiedy Hewel ochłonął z pierwszego wstrząsu komandor powiedział:
- To się stało najpóźniej dziesięć minut temu. Co robiłeś w tym czasie?
- Spałem - odpowiedział Hewel. I dodał z właściwą sobie przytomnością: - W pamięci znajdziesz rejestracje ruchu drzwi na pokładzie. Sprawdzałeś?
- Nie.
Podeszli do konsolety programującej. Hewel zakodował pytanie. Na monitorze pojawiły się numery drzwi i śluz otwieranych w czasie ostatniej godziny. Żadne z nich nie znajdowały się w części mieszkalnej. Poza drzwiami do Sali Operacyjnej, w której byli. Otworzyły się na 48 sekund kiedy wszedł Kalpern. Dalsze rejestracje z rozkazu utajnienia zaczęły być dokonywane przez Autonomiczny System Alarmowy z pominięciem Głównej Pamięci. Od tego momentu wydobycie i korzystanie z informacji mogło być możliwe dopiero po powrocie na Ziemie. Za dwadzieścia lat.
- I co teraz? - zapytał Hewel.
- Możesz wypatroszyć ten program?
- Mogę spróbować - odpowiedział wolno Hewel, ale nie zrobił nic.
- Musimy to rozstrzygnąć teraz, prawda? - bardziej stwierdził niż zapytał komandor. Ich oczy spotkały się na krótką chwile. Spojrzenie Hewela było spokojne i uważne. Tak samo jak Kalperna. Kiedy się rozeszły już było lepiej. Napięcie miedzy nimi opadło.
- Dobrze, działaj - powiedział Kalpern.
Wewnętrzne drżenie jednak pozostało, kiedy Cybernetyk odsłaniając przed Kalpernem w dowód zaufania wszystkie szyfry i systemy, usiłował zdemaskować fałszywy zapis ukrywający otwarcie drzwi do Sali Operacyjnej przed śmiercią Dowódcy. Dopiero gdy ostatni klucz szyfrowy nie wydobył z Pamięci niczego poza tym co zostało w niej przed chwilą zakodowane, Kalpern westchnął:
- Dziękuje, Samson. Wiedziałeś, że tak będzie?
- Nie mogłem wiedzieć - odpowiedział Cybernetyk. - Ale spodziewałem się tego. Co robimy?
Dopiero teraz poczuli ulgę, jakby fakt, że system komputerowy im nie pomoże, dał im szanse zaufać sobie.
- W pierwszej kolejności - zadysponował Kalpern - miejsce wydarzenia. Potem ciało.
Hewel skinął głową. Usiadł w fotelu i zażądał rekonstrukcji na podstawie obrazu miejsca. Ponad dziesięć minut uściślał program układając go na poczekaniu w głowie. Kalpern obserwował jak czoło Hewela pokrywa się potem i patrząc na palce chodzące z pianistyczną precyzją po klawiaturach pomyślał, że to jest rzeczywiście najlepszy cybernetyk Korpusu Galaktycznego. Kiedy już niemal przestał nadążać za trybem myślenia Hewela, ten uderzył pięścią w poręcz fotela i przez zęby wycedził:
- Ten system jest lepszy od wszystkiego co znam. Niczego się nie dowiemy. Mogę tylko tyle.
Na jednym z dziesiątków miniekranów rozegrała się animowana rekonstrukcja wydarzenia. Stojący Dowódca obrócony w stronę drzwi, na tle których widnieje nieregularna plama postaci zielonego koloru. Z tej plamy wylatuje punkt, który trafia stojącego w splot słoneczny. Postać uderzona cofa się i łamie, zostawiając na ekranie gasnące poświatą kolejne fazy ruchu. Uderzenie jest bardzo silne. Ręce z rozpędu otwierając wachlarz nad głową zawijają się w końcowej fazie upadku pod fotel, a w górę i na boki przesuwają się strumienie punktów. Krew. To była symulacja balistyczna. Napis na ekranie obwieścił:

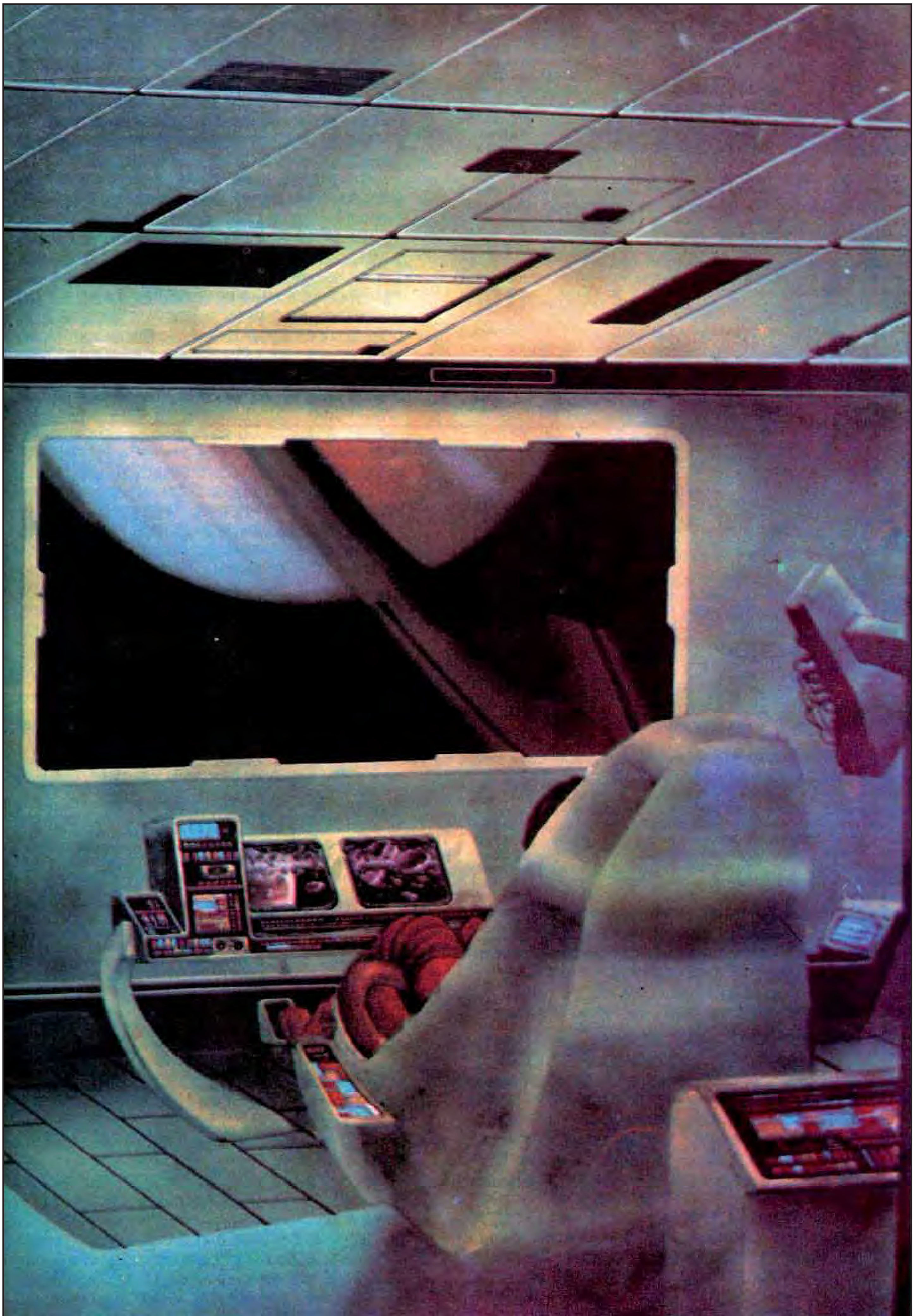
DWA POCISKI. LOKALIZACJA - OPARCIE FOTE LA. CIAŁO NIE KWALIFIKUJE SIĘ DO OŻYWIENIA. ZALECENIE - ZAMROZIĆ.

- Trzeba zabrać zwłoki - powiedział Kalpern.
Nie pozostało tu już nic do zrobienia. Automaty przyciągnęły błyszczący pojemnik na kółkach i złożyły w nim Dowódcę. Jeden oczyścił podłogę, pulpity i sklepienie. Drugi wyjął z oparcia fotela dwa pociski i położył je na siedzeniu rejestrując jednocześnie ich parametry w Pamięci Statku. Odwrócił się przodem do ludzi i wyświetlił na monitorze ściennym pytanie:

CZY WYMIENIĆ FOTEL?

- Nie - odpowiedział głosem Hewel. - Przygotować do wymiany i umieścić w komorze przejściowej. Czekać na polecenie tylko z Operacyjnej.
Jego słowa zapłonęły na ekranie pod pytaniem robota.
- Koniec - powiedział.
Drzwi za nimi zamknęły się cicho. Mężczyźni podeszli do fotela i wzięli po pocisku. Były to dziewiątki z twardego brązu z naciętymi krzyżykami na czubkach.
- Nikt na całej Ziemi nie stosuje już chyba takich pocisków. To archaizm - powiedział Kalpern.
- Niezupełnie. - Hewel zmarszczył czoło. - Słyszałem o zabójstwie,

w którym użyto broni palnej. To było zlecone morderstwo. Opowiadał mi kiedyś o tym szef biura kryminalnego, tego obok naszego Ośrodka Lotów na Ziemi.
Zapadła długa cisza.
- Mamy osiem osób - powiedział w końcu Kalpern. - Każdy przypadek jest równie nieprawdopodobny. Czy jest jakaś instrukcja, która przewiduje taką sytuacje na Statku?
- Nie. Znasz je przecież. Wszystkie symulowane reakcje konfliktowe są pod obserwacją Systemu. Na Statku nie ma dostępnej broni. Plazmowa jest bez zgody całej załogi nieosiągalna. Kalpern wiedział, że Cybernetyk wie więcej od wszystkich i od każdego z osobna. Od tego był. Postępował teraz niewątpliwie z asekuracją wynikającą z funkcyjnego pragmatyzmu. Jako zastępca dowódcy, Kalpern i tak był mu wdzięczny za odsłonięcie zastrzeżonych programów! Tym samym Hewel złamał cześć zasad. Ale to sytuacja złamała ich podstawy. Od tego momentu nie było już sensu odwoływać się do nieaktualnych założeń.
- Od czego zaczniemy? - Hewel widocznie nie chciał podjąć decyzji-
- Narzuca się sprawdzenie motywacji - pomyślał głośno Kalpern. I dodał: - Możesz zablokować kabiny?
- Tak, o ile wydasz taki rozkaz.
- Masz go. Sytuacja upoważnia do przekroczenia progu nieingerencji. Otworzymy ciągły podgląd do wszystkich pomieszczeń na Statku.
Monitory wdarły się do kabin mieszkalnych i przeszły na podczerwień. System nie zaingerował w decyzje człowieka, uznając ją za uzasadnioną. Ludzie spali. Pojedynczo, parami. Tętna były spokojne. Sen głęboki i niczym nie zakłócony. W większości nagie ciała świadczyły o spokoju i relaksie. Ułożenie i pozyq’e były swą intymnością tak bliskie naturalnym wewnętrznym, sennym projekcjom, tak zwrócone „do środka”, że poczuli jak powoli ogarnia ich lód. Ktoś, kto pół godziny wcześniej zabił, nie mógł być tak spokojny. Zresztą wszyscy członkowie załogi byli wyselekcjonowani perfekcyjnie pod względem cech psychicznych i osobowościowych. Stali w milczeniu, myśląc tylko o jednym, jeżeli nikt z nich, to kto?”.
- Dwie pary i trzy osoby pojedyncze - powiedział Kalpern. Minimalna szansa, że w parach obydwoje zasymulują tak idealny spokój psychosomatyczny. Pozostają Rina, Lea i Vin. Któryś z nich musiał to powiedzieć. Hewel z trudem ukrył napięcie przy Vin, Nietrudno było tego nie zauważyć. Sam poczuł fale gorąca zaczynając od Riny. Było źle. Nie mogło być gorzej. Trzeba było coś zrobić.
- Na Statku musi być ta broń, Samson - powiedział Kalpern.
- Dobrze, że jest jeszcze możliwość uniku - westchnął Hewel, ale powiedział to z ulgą.
- Ja póide do Carginiego, zgoda? - zaproponował Komandor. Rozeszli się pod drzwiami. Po drodze Kalpern rozważał czy strzał oddano przy otwartych drzwiach. Jeżeli tak, to istniała szansa zarejestrowania pogłosu przez jakieś przypadkowe, niezależne od Pamięci urządzenie w pozostałej części Statku. Oczywiście pod warunkiem, że morderca nie przewidział i takiej ewentualności. W obrębie części mieszkalnej nie zarejestrowało się nic. Została celowo i ze znawstwem wykasowana. Liczył jeszcze, że znajdzie coś w kabinie, co naprowadzi go na jakikolwiek ślad. Albo Hewela...
Drzwi zastał zablokowane zgodnie z dyspozycją. Wyjął indywidualny klucz magnetyczny Carginiego i włożył w szczelinę czytnika. Wszedł do środka. Kabina wyglądała tak jakby właściciel wyszedł tylko na chwile. Na stoliczku znaczek osobisty, bezgoniowe papierosy, guma do żucia. Na posłaniu otwarta kieszonkowa książeczka. Wziął ją do reki. Był to kryminał. Pomyślał o ironii losu. Cargini uwielbiał kryminały. Czytywał je w wolnych chwilach nawet w czasie długich lotów. To była jego cicha słabość. Kalpern przejrzał indywidualną szafę. W drugim pomieszczeniu było trochę rzeczy do ubrania. Kilka maskotek z poprzednich wypraw i chyba od Lei. Bielizna, śmieszna muszka do nie istniejącej koszuli. Już chciał wyjść, kiedy coś go tknęło by zajrzeć do łazienki. Zapalił światło i rozejrzał się po małej, beżowej kabinie. Była pusta. Tylko na półeczce pod lustrem leżała kaseta. Jedna z tych milionów rozrywkowych kaset, jakich pełno było we wszystkich sklepach Ziemi. Sięgnął po nią zaintrygowany i popatrzył na holograficzną, barwną obwolutę. Z ciemnego tła spoglądał na niego ponury mężczyzna w nieskazitelnym ubraniu, prosto z najnowszego żurnala mody. W obu wielkich, owłosionych dłoniach trzymał krótki karabin z obciętą tuż za zamkiem lufą. Celował w Kalperna. Mężczyzna uśmiechał się lekko, ale uśmiechem strasznym, oznaczającym tylko jedno. Śmierć. Napis nad postacią oznajmiał: *„WYNAJĘTY CZŁOWIEK. Symulacyjna gra komputerowa”*. W dolnym prawym rogu, w żółtej gwiazdce firma wydawnicza: *„Heine - Comtronic”*. Na grzbiecie kasety: *„Zmierz sie ze swoim losem. Komputer czy ty?”*. Coś go zaczęło drapać w gardle. Odchrząknął, ale nie pomogło. Odwrócił kasetę. *„Podnieca Cię Ryzyko? Niebezpieczeństwo? Igranie z Nieznanym ?Zaufaj producentowi gier kryminalnych »Heine-Comtronic«. »H-C« to Najwyższa Próba Nerwów, Grozy i Czarnej Rozrywki! Twoje wieczory przestana być puste! Programy parasystemowe »H-C« nie mają granic! Poprowadzą Cie do świata gwałtu, zbrodni i szlachetnych postaci. Na Twoje życzenie, w zależności od programu, możesz stać się zabójcą lub ofiarą. Stróżem prawa lub biernym obserwatorem wywołanych przez Ciebie nieszczęść i tragedii. Wszystko za 75 dolarów lub ich równowartość w dowolnej wymienialnej walucie świata. Instrukcja w kasecie. PAMIĘTAJ! »Heine - Comtronic« drży razem z Tobą!”* Drapanie w gardle stało się nieznośne. Odchrząknął kilkakrotnie. Odgłos zabrzmiał głucho w ciasnym pomieszczeniu.
Kalpern włożył kasetę do kieszeni i wrócił do Sali Operacyjnej. Usiadł obok fotela dowódcy. Wziął jeszcze raz do reki kule, popatrzył na nią ponuro i przeniósł wzrok na dziury w oparciu fotela i plamy, które zdążyły już ściemnieć. Włożył pocisk do kieszeni. Hewel wrócił po dziesięciu minutach. Kiedy stanął w drzwiach wyraz jego twarzy był najlepszą odpowiedzią.
- Nic - powiedział - na zewnątrz nic.
- A ja znalazłem to - pochwalił się Kalpern wyciągając z kieszeni kasetę - w kabinie Carginiego.
Podał kasetę Hewelowi. Ten długo patrzył na nią bez słowa. Potem otworzył i wyjął ze środka srebrnomatową płytkę z otworem na palec. Ważył ją w dłoni.
- Wiesz co to jest? - zapytał i nie czekając na odpowiedź wyjaśnił.
- Dzika produkcja. Nielegalna seria wydawnicza. Rynek ziemski jest tym zarzucany przez dziesiątki mafijnych wytwórni takich jak „Heine - Comtronic”. Ta jest jedną z największych i do tej pory nie rozpracowana. Takie wytwórnie nie płacą podatków, a co za tym idzie stać je na najlepszych programistów wymyślających najbardziej nieobliczalne programy. Współprace niełatwo jest udowodnić. Gry wymyślane są na niezarejestrowanych stacjach komputerowych. To wielki podziemny biznes. Bywało, że takie fuchy brali nawet cybernetycy Korpusu Galaktycznego. Patrzyli przed siebie w milczeniu. Myśleli w ten sam sposób. Każdy z nich bronił się przed przyjęciem do świadomości absurdalnej tezy śledztwa. Kalpern słyszał o takich kasetach. To była produkcja zakazana i ścigana przez prawo. Za posiadanie tych kaset groziły bardzo wysokie wyroki. Ale kasety były czymś w rodzaju współczesnej heroiny. Były groźniejsze, bo zawierały niekontrolowane programy, projektowane nieraz przez nieobliczalnych moralnie szaleńców pozbawionych z różnych - nieraz kryminalnych - względów, prawa do wykonywania zawodu komputerowca. Kalperna to nigdy nie interesowało. Jego zdaniem każdy człowiek interesujący się możliwością zabawy w zbrodnie był w jakimś stopniu psychopatą. Drażniło go, że to właśnie kryminały były słabością dobrodusznego Dowódcy.
- Przejrzymy to? - zaproponował Kalpern.
- Tak, oczywiście.
Hewel zmarszczył czoło. Popatrzył na kasetę i wystukał na klawiaturze kilka znaków.
- Coś nie tak? - spytał Kalpern.
- Sam nie wiem. To irracjonalne, ale mam przeczucie... podejrzenie... nie wiem jak ci to przedstawić...
- Wal. To wszystko i tak przekroczyło granice logiki. Żaden wariant już tego nie przeskoczy, a wszystko może mieć znaczenie.
- To tylko przeczucie - powtórzył Hewel. Skinął głową wskazując na monitor.- Widzisz. System na pytanie czy ta zabawa jest wprowadzona do Pamięci, odpowiada zaprzeczeniem. A na pytanie czy była, także neguje. A przecież Cargini musiał się tym bawić... no, w ogóle... choć raz... biorąc rzecz racjonalnie, bo nie myślę o związku... - Bezradnie i jakby z zażenowaniem wskazał głowąTotel Dowódcy. -Jak go znam, on musiał to wprowadzić podkreślił z naciskiem.
- To znaczy, że te odpowiedzi są fałszywe?
- Myślę, że są tak prawdziwe jak rejestracje ruchu drzwi. - Hewel zaczerwienił się na twarzy i jakby z wysiłkiem dodał: - Myślę, że mamy do czynienia z fałszywym, podwójnym programem.
Kalpern żachnął się i wstał ze złością z fotela.
- Chcesz powiedzieć, że to gówno przejęło kontrole nad tonami systemów myślących i zabezpieczających? Paranoja! Podniósł głos. To był odruch. Samoobrony, bo czuł, że zaczyna sie bać.
- To jest program parasystemowy. Nie wiesz co to diabelstwo może - skontrował go cybernetyk. - To co podejrzewam, niekoniecznie musi się zresztą nazywać przejęciem kontroli. Weź pod uwagę, że Pamięć Statku posiada znakomite zabezpieczenia przeciw wszelkim ingerencjom i zagrożeniom. Nawet ja nie umiem zajść Systemowi pod przysłowiowy naskórek, jeżeli wywołałbym jakiekolwiek na-



ruszenie bezpieczeństwa lotu. Natomiast mogę robić rzeczy, które z założenia są działaniami otwarcie pozorowanymi. Ta kaseta mogłaby działać podobnie. Nie wiem jak, ale mogę sobie wyobrazić program, który koduje jako grę pozorów rejestracje prawdziwego zagrożenia.
- Ale gdybyś naruszył kontakt człowieka z systemem lub ciągłość rejestracji to wywołałbyś alarm? Czy nie tak?
- Skąd możemy wiedzieć jak to działa. Może na moje negatywne działanie zareaguje, a na inne nie? Takie wypadki się zdarzały. Te wszystkie zabawy są cholernie wyrafinowane. Miedzy innymi dlatego są wyjęte spod prawa.
- Dopuszczasz możliwość, że producent mógł ułożyć program niechby i parasystemowy, ale lepszy od naszych pokładowych?
Hewel uśmiechnął się gorzko:
- Mówiłem ci, że takie fuchy brali przede wszystkim przekupieni geniusze. Mafie mają pieniądze. A ludzie mózgi.
Kalpern odczuł nagle potrzebę zapytania Hewela o jego przeszłość, ale ugryzł się w jeżyk. Dla siebie jednak za późno. Za tym pytaniem zupełnie nieoczekiwanie otworzyła się nowa alternatywa. Odwrócił się plecami do Cybernetyka udając odruch spaceru po sali. Mocniejsze uderzenia serca zaniepokoiły go, czy Hewel nie domyśli się jego reakcji. Wydało mu się nawet, że powinien.
Kiedy odwrócił się z powrotem Cybernetyk patrzył na monitor.
- Jeżeli tak jest jak podejrzewamy, to obawiam się wprowadzić ten program do Pamięci Mógłby się przedostać do Układa Autonomicznego. Przecież, ty go otworzyłeś powiedział nie odwracając głowy.
Kalpern westchnął w skrytości ducha z ulgą. Wyglądało na to, że nie zauważył. Uwaga Hewela była jednak tak zaskakująca, że niemal zapomniał o podejrzeniu.
- Cholera - wymamrotał - tak nigdzie nie zajdziemy. , Podszedł do pulpitu i wydał polecenie: „Rejestracja tętna członków załogi w ostatniej godzinie powyżej 90 na minutę”. Litery ułożyły się natychmiast w odpowiedzi:

CARGINI. CZAS MINUS 38 MINUT 40 SEKUND. TĘTNO 240, PLUS 9 SEKUND, POTEM ZERO. ZAŁOGA: TĘTNO PONIŻEJ 90.

Wystukał następne pytanie.
„Czas minus 39 minut. Ile osób w sali 12 C?”

JEDNA. CARGINi. DALEJ PLUS 11 MINUT 10 SEKUND - KALPERN. DALEJ NIKT.

- W rym momencie wydałeś rozkaz utajnienia pierwszego stopnia. Pamięć Główna jest od tego momentu pusta - skomentował Hewel.
- Wszystko co mówimy teraz też pozostaje w niej białą plamą.
Kalpern zagryzł wargi. Fakt, że zadziałał zgodnie z instrukcją nie przyniósł mu ulgi.
- Kręcimy się w miejscu - zniecierpliwił się. - W końcu program to nie morderca. Tamten miał broń. Prawdziwą, nie ekranową. Gdzieś ją ukrył, przed i poi
Hewel wzruszył ramionami.
- Ściany są nienaruszone. Kanały transportowe i wentylacyjne też... W czasie dwóch miesięcy musiałoby się to wydać. Chyba, że była ukryta w części niemieszkalnej. Ale tam nie sposób przedostać się w 15 minut, nawet z tą zabawką unieruchamiającą zliczanie tętna i ruchu drzwi.
Kalpern popatrzył na gestykulujące dłonie Cybernetyka i skojarzyły mu się jakoś same z dłońmi mordercy z kasety. Były równie duże, kanciaste i gęsto owłosione. To skojarzenie przyszło nagle. Było zupełnie irracjonalne . Ale zasiało drugie ziarno i analityczny umysł Kalperna już mu podszepnął, że musi sprawdzić ten trop. Tym bardziej że czas uciekał, a brak było jakiegokolwiek zaczepienia.
- Zaryzykuje. Żeby wiedzieć co nam grozi musimy spojrzeć w twarz mordercy. Może go sprowokować? Zresztą wszystko jedno.
Hewel stał nieruchomo. Nie tego się spodziewał. Wzruszył ramionami.
- Ty rozkazujesz. Niech tak będzie. Wierze, że masz świadomość ryzyka.
Kalpern włożył kasetę do czytnika, a Hewel zaprogramował blokadę przyjęcia informacji do Systemu Autonomicznego. Mieli spróbować na Pamięci Głównej. Na największym ściennym ekranie pojawiła się czołówka na muzycznym podkładzie. Obrazkowy kolaż czaszek, postaci policjantów, wampirów, przerażonych twarzy i zakrwawionych zwłok. Obraz zakończył się symbolem wytwórni. Dźwięk zamarł. To był koniec czołówki. Na czarnym tle w zupełnej ciszy pojawił się duży biały napis:

KLIENT NASZEJ WYTWÓRNI MA PRAWO ŻĄDAĆ WSZYSTKIEGO. NAWET UTRATY WŁASNEGO ŻYCIA. JEŻELI TYLKO ZAPRAGNIE Z KOMPUTEREM PODJĄĆ GRĘ - „WYNAJĘTY CZŁOWIEK”.

Z dołu ekranu zaczęły się piąć ku górze wiersze instrukcji:

CZYM JEST OGLĄDANIE KRYMINAŁÓW? CZYTANIE HORRORU? ODTWARZANIE CZYJEJŚ ZBRODNI? ODPOWIADAMY: PRZEŻYTKIEM BIERNEJ KONSUMPCJI. PRAWDZIWY MIŁOŚNIK GROZY I KRYMINALNEJ DRAMATURGII NIE ZREZYGNUJE Z OSOBISTEGO UDZIAŁU W KRYMINALNYM SCENARIUSZU. SCENARIUSZU UŁOŻONYM PRZEZ NAJLEPSZYCH PROGRAMISTÓW I MIŁOŚNIKÓW MĘSKIEJ ROZRYWKI. ROZPOCZYNAJĄC TRWAJĄCĄ GODZINĘ GRĘ DECYDUJESZ SIĘ STANĄĆ TWARZĄ W TWARZ Z ZAWODOWYM WYNAJĘTYM MORDERCĄ. PROGRAM ZAWARTY W TEJ KASECIE, SPECJALNIE DLA CIEBIE SIĘGNIE DO NAJLEPIEJ STRZEŻONYCH KARTOTEK POLICYJNYCH. NIEPOSTRZEŻENIE WYBIERZE Z NICH NAJSPRAWNIEJSZEGO W DANEJ CHWILI ZAWODOWEGO MORDERCĘ NIE UJĘTEGO PRZEZ ORGANA ŚCIGANIA. POZA WSZELKĄ KONTROLĄ SYSTEMÓW BEZPIECZEŃSTWA ZNAJDZIE GO W OKOLICY NAJDOGODNIEJSZEGO MIEJSCA NA ZIEMI, W JAKIM BĘDZIESZ PRZEBYWAŁ. OTWORZY FAŁSZYWE KONTO W SAMODZIELNIE I DOWOLNIE WYBRANYM BANKU ŚWIATA. SKONTAKTUJE SIĘ Z MORDERCĄ, OPŁACII ZLECI MU WYKONANIE LIKWIDACJI. LIKWIDACJI TWOJEJ OSOBY. UPRZEDZI GO, ŻE SPODZIEWASZ SIĘ ZAMACHU. TWOIM ZADANIEM BĘDZIE UNIKNĄĆ ZAŻYCZONEGO PRZEZ CIEBIE, SZANOWNY KLIENCIE, WYKONANIA ZAMÓWIENIA PRZEZ 60 MINUT. TYLE TRWA ZABAWA. JEŻELI W CZASIE TEJ GODZINY NIE UDA MU SIĘ GO WYKONAĆ, PROGRAM WYCOFA ZLECENIE LUB DOWOLNYM SPOSOBEM UNIEMOŻLIWI JEGO WYKONANIE. W TAKIM WYPADKU ZALICZYMY CI JEDEN PUNKT I UZYSKASZ PRAWO DO WSTĄPIENIA DO JEDYNEGO NA ZIEMI, PRAWDZIWIE EGALITARNEGO KLUBU MISTRZÓW GIER KRYMINALNYCH. PAMIĘTAJ O PRZEWADZE KOMPUTERA. JEŻELI NIE ZNAJDZIE ZAWODOWCA LUB NIE BĘDZIE NA TO CZASU, W PRZECIĄGU TEJ GODZINY SPRAWDZI WSZYSTKIE OSOBY, KTÓRYM WYRZĄDZIŁEŚ COŚ ZŁEGO. WYBIERZE OSOBĘ, KTÓREJ TO ZADANIE PRZEKAŻE LUB KTÓRĄ PRZEKONA PREPARUJĄC FIKCYJNĄ INTRYGĘ I KTÓRA WEDŁUG OPISU OSOBOWOŚCIOWEGO , ZAWARTEGO W PAMIĘCIACH OŚRODKÓW ZDROWIA PSYCHICZNEGO, NAJBARDZIEJ BĘDZIE DO GWAŁTOWNEGO DZIAŁANIA PODATNA.

Komandor nagłym ruchem wcisnął podświetlony przycisk zatrzymania projekcji. Jego głos zadrżał:
- Skąd w naszym przypadku gra może zaczerpnąć dane o potencjalnym mordercy? Jak sprawdzi relacje międzyludzkie?
Hewel popatrzył ponuro na ekran, a potem na Kalperna. Wyraz jego twarzy nie był trudny do odczytania. Nie chciał dzielić sie tym co wiedział:
- Widzisz, Alan. Mówiłem ci, że wszystkie reakcje konfliktowe są pod obserwacją Systemu. Żeby mógł interpretować, Pamięć ma wczytane niemal wszystkie symulanty wzorcowe, a także nieograniczony praktycznie aparat logiczny. Żeby porównywać musi korzystać ze wzorców osobowych, zakodowanych pełnych portretów osobowościowych każdego z nas. O tym na statkach wiedzą tylko cybernetycy. Z funkcyjnych względów. Na każdy lot powyżej trzech miesięcy wprowadza się do Pamięci dane psychometryczne i psychoanalityczne każdego uczestnika lotu.
- To znaczy, że gra korzystając z tej wiedzy może wybierać dowolnie i bez ograniczeń. Może wybierać jedno z nas...
- Teoretycznie tak... chyba tak, ale dane są w Pamięci Autonomicznej. A do niej nikt z wnętrza kosmolotu nie ma dostępu. Przepływ informacji zachodzi tylko w jednym kierunku. „DO”, nigdy „Z”.
Hewel wzruszył ramionami. Kalpern uruchomił z ociąganiem odczyt.

SPODZIEWAJ SIĘ WIĘC ZAMACHU Z KAŻDEJ STRONY. GRA POSIADA KILKA WARIANTÓW ALTERNATYWNYCH. SĄ TO:
*** WCIĄGNIĘCIE DO GRY OSÓB ZGADZAJĄCYCH SIĘ NA TO**
*** WCIĄGNIĘCIE DO GRY OSÓB TRZECICH BEZ ICH ŚWIADOMEGO UDZIAŁU I BEZ ZAGROŻENIA ICH ŻYCIA.**
*** KONTYNUOWANIE GRY POZA CZAS JEDNEJ**

GODZINY, JEŻELI TEGO BĘDZIE WYMAGAĆ AKCJA. MYŚLIMY TU O LIKWIDACJI OSÓB, KTÓRE W TRAKCIE PIERWSZEJ GODZINY WYRAŻĄ CHĘĆ UCZESTNICZENIA W NIEJ, A ZAMIERZAJĄ POMÓC, PRZESZKODZIĆ, A W SZCZEGÓLNOŚCI BYĆ ZAGROŻENIEM DLA WYNAJĘTEGO CZŁOWIEKA.
*** UŻYCIE PRZECIWGRY, KTÓRĄ MOŻESZ ZAKUPIĆ W NASZYM WYDAWNICTWIE, NIESTETY, SZANOWNY KLIENCIE, PO DZIESIĘCIOKROTNEJ CENIE POPRZEZ ZAMÓWIENIE NA HASŁO, POPRZEZ KTÓRE POZYSKAŁEŚ TĘ KASETĘ. WYMIENIONE WYŻEJ WARIANTY MOŻESZ URUCHOMIĆ TYLKO NA WYRAŹNE SWOJE ŻYCZENIE. GRY NIE MOŻNA ZATRZYMAĆ. ZAPAMIĘTAJ! TWÓJ ŚWIAT TO TWOI WROGOWIE. TYLKO DLA NICH WARTO ŻYĆ! „HEINE COMTRONIC" SPRAWI, ŻE POCZUJESZ SATYSFAKCJĘ Z ICH POSIADANIA. „H-C" SPRAWI, ŻE POCZUJESZ DZIĘKI NIM SMAK ŻYCIA. BYĆ MOŻE PO RAZ PIERWSZY. I OSTATNI. NAWET SHERLOCK HOLMES BYŁBY SZCZĘŚLIWY MOGĄC SIĘ ZMIERZYĆ Z GRĄ „WYNAJĘTY CZŁOWIEK". PAMIĘTAJ! „H-C" DRŻY RAZEM Z TOBĄ!**

Spojrzeli na siebie.
- Dobrze przeszukałeś pokoje? - zapytał Hewel.
- Tak. Jeżeli ją ma, to gdzie, chociaż... - Komandor nerwowo potarł nieogoloną twarz. - Trzeba jeszcze raz sprawdzić.
- Zaczekaj. - Hewel odwrócił się do pulpitu. Zadał pytanie: „Czy program Wynajęty Człowiek realizuje alternatywę?".
Odpowiedź brzmiała:

PROGRAM WYNAJĘTY CZŁOWIEK - BRAK DANYCH. UŚCIŚLIĆ POLECENIE.

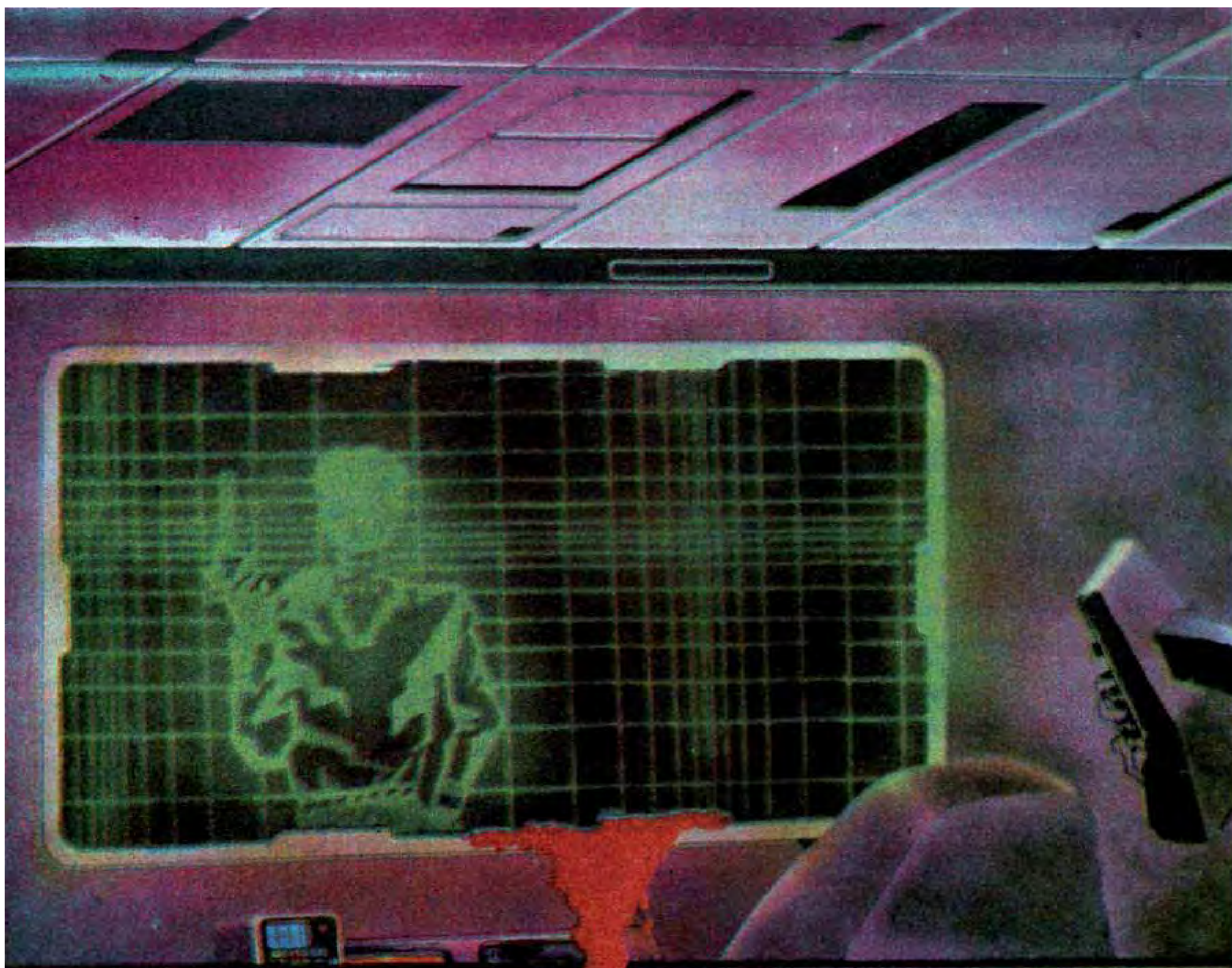
„Czy minęła plus jedna godzina od czasu rozpoczęcia gry Wynajęty Człowiek?"

NIE. CZAS 47 MINUT 30 SEKUND.

Porozumieli się wzrokiem. To już było coś, choć ta „luka" w niewiedzy maszyny były zaskakująca. Hewel podszedł do drzwi wyjściowych.
- Pojdę sprawdzić do Carginiego, a ty weź na podgląd wszystkie korytarze.
- Samson, jedna chwila. A jeżeli jest alternatywa? - Kalpern wyprostował się i spojrzał podejrzliwie na Cybernetyka. Nie to pytanie miał na myśli. Hewel chciał pójść do kabiny Carginiego. Wyglądało to na odruch, ale... Hewel odgadł myśli Komandora. Po twarzy przebiegł mu nerwowy grymas. Pobladł nieznacznie.
- Alan, nie wygłupiaj się. Tak nie ma sensu. Zaufaliśmy sobie. Ja też mogę myśleć, ze to ty. Jest jeszcze siedem osób. Albo osiem... roześmiał się krótko i sucho. Pokręcił głową i spoważniał. - Chociaż czuje, że to jest ktoś z nas.
Teraz Komandor poczuł, że na twarzy rozlewa mu się rumieniec. W pierwszym odruchu pomyślał, żeby pójść zamiast Cybernetyka, ale natychmiast odrzucił tfi myśl. Tutaj jego pozycja wydawała się silniejsza.
- Idź. Będę rejestrował cały Statek - powiedział cicho. Spojrzał na zegar. - Nie tylko najbliższe jedenaście minut, na wypadek alternatywy. -
Włożył rękę do kieszeni i wyjął magnetyczne klucze do kabiny dowódcy i swojej. Rzucił je kolejno Hewelowi:
- Jeżeli alternatywa jest, to wal do mnie. W szufladzie mam bagnet... - zawahał się i uśmiechnął niezręcznie. Jakby w odruchu usprawiedliwienia dodał: - To dziewiętnastowieczna pamiątka rodzinna. Zawsze ją zabierałem ze sobą.
Hewel otworzył drzwi i zrobił nieznaczny gest jakby chciał powiedzieć, że nic się nie stało. Kalpemowi wydało się, że drzwi za Cybernetykiem zamykać się będą w nieskończoność. Kiedy ich profilowane brzegi zetknęły się z pstryknięciem hermetycznych listew, błyskawicznie włączył kamery wewnątrzpokładowe. Patrzył jak na kolejnych obrazach, idąc wolnym krokiem, Hewel oddala się od Sali Operacyjnej. „Dlaczego tak wolno?" - pomyślał. Zegar wskazywał dziesięć minut do końca gry. Przygasił centralne oświetlenie, by lepiej widzieć. Setki świetlnych klawiatur jarzyło się wiecznym światłem jądrowego zasilania, jakby drwiąc spokojem z szarpanego nerwami człowieka. Komandor przebiegł po nich wzrokiem, zatrzymał go na pustym fotelu w środku sali i przeniósł na wielki ekran pełen gwiazd połączonych trajek tonami i kolumnami cyfr. Mały trójkącik liliowego koloru tkwił na seledynowej linii. To był Statek. Pozostawił za sobą długość toru szerokości dwóch palców. Przed nim był łamany łuk biegnący przez całą szerokość panoramicznej przestrzeni ekranu trajektorii. Całe metry bezmiernej i absolutnej Nicości. Drogi, z której nie było sposobu zawrócić. Zamknął oczy. Pomyślał przez chwile, że wszystko to co się dzieje jest snem. Absurdalnym i koszmarnym snem. W tym śnie był morderca, współtowarzysz życia, który podrzucił Carginiemu kasetę, by odwrócić uwagę od siebie. Morderca, który od lat planował zbrodnie. Najprawdopodobniej doskonałą. Morderca, który nie zawahał się przebrnąć przez ziemską kwalifikacje do Wyprawy, nie zawahał się poświecić reszty życia, by zemścić się za jakieś ziemskie sprawy. Mężczyzna? Kobieta? Otworzył oczy. „Nie, nie tak. Morderca musiał skorzystać z okazji, może była nią właśnie kaseta. Ale to oznacza przypadek, zupełny traf... Choć ile zbrodni wzięło się z przypadkowego zbiegu okoliczności".
Liczba na tarczach zegarów oznajmiła osiem minut do końca Gry. Kalpern zdusił przekleństwo. Przerzucił obraz kabiny Carginiego na wielki ekran likwidując gwiazdy. Przestrzenny obraz kabiny był w tej wielkości tak sugestywny, że Komandorowi wydawało się, że w niej jest. Patrzył na płynące sekundy i czuł jak bije mu coraz mocniej serce. Myślał intensywnie o Hewelu i nie widział innej alternatywy. Analizował różne możliwości i wciąż wracał do wniosku, że tylko wielki, muskularny Cybernetyk miał możliwość przygotowania i kierowania akcją. Tylko on znał cały komputerowy mózg Kosmolotu. Znał kasety tego typu. Był jedynym człowiekiem, któremu nie mógł określić tętna. A nawet gdyby mógł, to Hewel miał na nie alibi. Takie samo jak Kalpern. Szedł myślami dalej. Kogo mógł przywołać do Sali Operacyjnej po znalezieniu dowódcy. Zgodnie z instrukcją, po Carginim tylko jego. Siedem minut. Hewel ciągle szedł. Do kabiny Carginiego miał jeszcze pół poziomu pierścieniowego korytarza. Spojrzał na zblokowane monitory podglądu kabiny. Ludzie spali spokojnie. To go jeszcze mocniej utwierdziło w podejrzeniu. „Nareszcie" - westchnął w myślach. Drzwi kabiny otworzyły się i wszedł Hewel. Bez chwili zwłoki podszedł do łóżka i zaczął je patroszyć. Zrzucał wszystko na podłogę. Poduszkę z delikatnego materiani przedarł na pół i wysypał z niej zawartość. Prześcieradło było przyciśnięte do krawędzi materaca listwą. Odgiął jej koniec i z trzaskiem wyrwał z mocowań. Dno łóżka było puste. Otworzył szafki i z hukiem wygarnął z nich zawartość. Twarz miał ściętą, a oczy zamglone stresem. Kalpern dopiero teraz zrozumiał, że jego słowa uderzyły ostrzej niż przypuszczał. Uderzył celnie! „Czego on tam szuka? Zaczyna się gubić" - pomyślał, a powiedział głośno i dobitnie:
- Samson!
Hewel odwrócił się do kamery nad drzwiami wyjściowymi.
- Samson - powtórzył Komandor - wszystko jest przeciw tobie. Hewel oddychał płytko i szybko.
- Dlaczego?
To była już gra w ciemno. Zegar wskazywał trzy minuty. Tyle czasu, by sprowokować Hewela. I złapać ślad. Położył palec na blokadzie drzwi kabiny Carginiego i ciągnął:
- Gdzie jest broń?
Reakcja Hewela zaskoczyła go całkowicie. Cybernetyk schylił sie spokojnie i podniósł mały notatnik w zielonej oprawie. Zaczaj go wertować bez słowa. Dwie minuty. Nagle Kalpern poczuł, jak rozlewa się po nim fala bezsilności. Hewel zachował się tak naturalnie, że Komandor nie był w stanie zinterpretować efektu swojego pytania.
Nagle ekrany drgnęły i na jednym z nich pojawił się tekst. Kalpern przebiegł go wzrokiem

GRASZ ZNAKOMICIE. PONIEWAŻ SYTUACJA JEST NIEROZSTRZYGNIĘTA, GRA DAJE CI PRAWO ALTERNATYWY. MOŻESZ DZIĘKI NIEJ UZYSKAĆ ODPOWIEDŹ NA DRĘCZĄCĄ CIĘ NIEPEWNOŚĆ. ZARAZEM JEDNAK OTWIERASZ NOWĄ RUNDĘ GRY. TWOJE ODKRYCIE LUB ODKRYCIE INNEJ OSOBY MOŻE ZAGROZIĆ MORDERCY LUB GRZE. JEŻELI SIĘ DECYDUJESZ, WYBIERZ ALTERNATYWĘ. MASZ TRZYDZIEŚCI SEKUND. „HEINE-COMTRONIC" JEST Z TOBĄ.

Przetarł oczy. Patrzył osłupiały na monitorek. Hewel patrzył na Kalperna. „Musi mieć podgląd tutaj" - pomyślał Komandor. Potem wypadki potoczyły się błyskawicznie i niemal poza jego kontrolą Hewel zrobił gwałtowny ruch w stronę drzwi. Ręka Komandora sama nacisnęła blokadę. Hewel wcisnął w kabinie przycisk drzwi i krzyknął:
- Alan, otwórz!
Nie namyślał się. Skumulowane napięcie znalazło ujście.
- Gram dalej - powiedział głośno.
Tamten musiał usłyszeć, bo pobladł jeszcze bardziej. Obraz na ekranie zmienił się. Nowy tekst obwieścił:



„H-C" JEST RAD, ŻE POZYSKAŁ W TOBIE PRAWDZIWEGO MIŁOŚNIKA GRY. TO NIE ZDARZA SIĘ NA ZIEMI CZĘSTO. OD TSJ CHWILI, W NAGRODĘ, ZMIENIAJĄ SIĘ TWOJE SZANSE. MORDERCA JUŻ NIE JEST POD OCHRONĄ GRY. BĘDZIESZ MÓGŁ GO ZABIĆ, JEŻELI BĘDZIESZ MIAŁ CZYM I JEŻELI CI SIĘ TO UDA. CZAS GRY JEST OGRANICZONY. „H-C" ŻYCZY POWODZENIA.

- Alan, oszalałeś - powiedział przez zęby Hewel. Kalpern poczuł satysfakcje z obrotu wydarzeń.
- Nie, poczuwam się tylko do obowiązku wyjaśnienia sprawy.
- Alan... - Hewel zawiesił głos i chwile milczał widocznie sie namyślając. Patrzył przed siebie w stronę kamery. Wreszcie wolno i dobitnie powiedział:
- Ja wiem kto jest mordercą.

Zrobiło się tak cicho, że słychać było mruczenie pulpitów i oddechy dwóch ludzi na obu końcach kabla wizyjnego.
- Tak myślałem - odparł cicho Kalpern - kto?

Cybernetyk nie odpowiedział, a Komandor kątem oka dostrzegł że zniknęły podglądy kabin. Zdumiony odwrócił głowę. Monitory zalała zielono-czarna drżąca projekcja okładki kasety. Wcisnął przycisk podglądu. Monitory nie zareagowały. Poczuł, że się poci. Podniósł wzrok na Hewela, potem znów na monitory jakby nie dowierzając jeszcze temu co widzi. Przetarł czoło dłonią. Była mokra. Hewel milczał dalej, nie zauważył zmiany w zachowaniu Komandora.
- Co tam jest? - zapytał.
- Nie mam podglądu do kabin - Kalpern poczuł drapanie w gardle. Takie jak w kabinie Carginiego, tylko znacznie silniejsze.
- Sprawdź blokady drzwi - powiedział Hewel. Kalpern przeleciał palcami po klawiaturze
- Brak danych - odczytał głośno.
- Alan - wysyczał przez zęby Cybernetyk mrużąc wściekle oczy
- otworzyłeś Autonomiczny Układ. Gra już tam jest. Nie daruje Ci tego.

Kalpern całkowicie stracił pewność siebie:
- Zrozum Samson, nie spodziewałem się...
- Posłuchaj - teraz Cybernetyk przejął inicjatywę. - Odłączyć System można tylko przez odcięcie, dopływu energii do części mieszkalnej. Wyłącznik znajduje się za kwarcową płytą nad siedemdziesiątą czwartą sekcją stabilizacji mocy, po lewej górnej stronie. Widzisz go?
- Tak. Ale nie wiedziałem, że jest od tego...
- Tak miało być. Gdyby zaszła konieczność spróbuj ją zniszczyć, choć nie wierze by ci się to udało. Otworzyć ją mogę tylko sam, ale z Sali Operacyjnej, co w tej sytuacji jest niemożliwe. Jeżeli Ci się to nie uda, istnieje ostatnia, ale niebezpieczna zarazem możliwość, poprzez tak zwane uderzenie kasujące Pamięć Autonomiczną. Spowoduje to całkowitą blokadę energetyczną stosów. Po upływie 48 godzin, na które powinno wystarczyć sprężonego powietrza automaty otworzą nas od zewnątrz. Potem będzie można odbudować funkcjonowanie systemu mieszkalnego. Zrobisz to uderzenie przez sprzężenie poleceń T 706, procedura H na sekcji czternastej i wciśnięcie czerwonego przycisku z napisem „pełna regulacja kanału postsynchronicznego". Zapamiętaj!
- Mówiłeś, że Systemu Autonomicznego nie można wykasować... - zdziwił się Kalpern.
- Różne rzeczy mówiłem, ale teraz mniejsza o to. Człowiek winien móc więcej od maszyn. To zasada cybernetyków ekspedycyjnych. Ale pamiętaj! Tylko w ostateczności.
- Nie rozumiem, w jakiej... - zaczął Komandor, ale głos mu zamarł. Zgasł nowy monitor. Podgląd korytarza na siódmym poziomie przy kabinach. Nie od razu zrozumiał co to oznacza. Dopiero gdy zgasł następny, obejmujący sąsiednią cześć korytarza, interpretacja stała się oczywista.
- Samson - powiedział nie swoim głosem - on idzie korytarzem.

Reakcja Hewela była chłodna:
- Widzisz go?
- Nie. Gaśnie podgląd. Głos Hewela tym razem zadrżał:
- Wypuść mnie.

Komandor sięgnął do klawiatury.
- Nie reaguje - oznajmił.

Hewel schował wolno notes do kieszeni na piersi i zapiął zamek. Wyprostował się przed drzwiami wyjściowymi.
- Podejdź do sekcji szesnastej - polecił. Kalpern wykonał to natychmiast.
- Już?
- Tak.
- Zielony przycisk trzy razy.
- Jest trzy razy.
- Teraz kolejno na koderze cyfry: siedem, cztery, trzy, zero, zero, pięć.
- Jest.
- Co na monitorze?
- Żółta strzałka zwrotem w górę i cyfra trzydzieści jeden.
- To kanał sterowania. Wciśnij klawisz z napisem „indukcja".
- Tak.
- Gdzie on? - przerwał Hewel.
- Na czwartym... chwile... wraca.
- Wróć na poprzednie miejsce i uruchom drzwi.
Szczelina miedzy płytami drgnęła i obie połowy rozeszły się bezszelestnie.
- Nie widzę cie na monitorze - powiedział Cybernetyk - mam przebitkę kasety w czarno-zielonym kolorze.
- Wraca w twoją stronę. Weź nóż z mojej kabiny - Kalpern nacisnął kilka klawiszy - jest otwarta. A potem spróbuj przyjść tutaj.
- Dobrze, prowadź mnie dźwiękowo. Jeżeli stracisz łączność rób to co uznasz na konieczne.
Wyszedł z kabiny i biegiem przebył kilkanaście kroków. Kalpern zmienił obraz na wnętrze swojej kabiny w chwili, kiedy wpadł do niej Cybernetyk.
- Lewa szuflada - powiedział Kalpern. Kiedy w ręce Hewela błysnęła polerowana stal, krzyknął:
- On biegnie! Śpiesz sie!
Było za późno. Do Sali Operacyjnej trzeba było biec korytarzem okrężnym. Podgląd jego łuków znikał właśnie zmieniając się na widniejący już na dziesiątkach monitorów znany wizerunek.
- Nie zdążysz! Przeciął ci drogę,! - krzyk Kalperna dopadł Cybernetyka na załamaniu korytarza. Hewel zatrzymał się rekami na ścianie. Dysząc pobiegł w drugą stronę. Kalpern na coraz mniejszej liczbie monitorów widział biegnącą postać Hewela. O sześć monitorów za nim gasły podglądy. Goniący był szybki. Odległość malała w oczach tak jakby nie obowiązywały go fizyczne prawa. Kiedy Hewel wpadł przez drzwi kończące poziom, Kalpern zamknął je i zablokował. Cybernetyk biegł dalej przed siebie. Kiedy dzieliło go od zamkniętych drzwi już kilkanaście ekranów, podgląd śluzy zgasi.
- Uporał się z drzwiami - krzyk Komandora rozległ się w korytarzach Statku. Chciał dokończyć, ale na ekraniku pojawił sie tekst:

„H-C" MA NADZIEJĘ, ŻE BAWISZ SIĘ DOBRZE. PO UCIEKAJĄCYM PRZYJDZIE KOLEJ NA CIEBIE. GRA DAŁA CI OSTATNIĄ MOŻLIWOŚĆ INGERENCJI POPRZEZ OPÓŹNIENIE POŚCIGU. PROGRAM ZABEZPIECZYŁ PRZED TWOJĄ INGERENCJĄ PAMIĘĆ AUTONOMICZNĄ. „H-C" ŻYCZY DALSZYCH EMOCJI.

Podbiegł do czternastego stanowiska i wykonał polecenia Hewela. Na monitorku pojawiło się zdanie:

PAMIĘĆ AUTONOMICZNA ODCIĘTA.

Uderzył pięścią w kwarcową szybę z bezsilną wściekłością.
- System obronił się przed moją ingerencją! - krzyknął. Hewel zatrzymał się.
- To dobrze - odkrzyknął - teraz biegnij do siebie i włóż kasetę w swój pokojowy czytnik! Tego system nie przejmie! Drzwi są otwarte, zaklinowałem je nożem!
Kolejne obrazy korytarzy zaczynały znikać w takim tempie jakby goniący miał skrzydła. „Najlepszy zawodowiec" - przypomniał sobie Kalpern fragment instrukcji i wcisnął polecenie otwarcia drzwi, modląc się by się otworzyły. Drgnęły i rozeszły. „A wiec Gra zezwoliła i na to" - pomyślał. Rzucił się do czytnika i uruchomił mechanizm wyrzucający kasetę. Nie drgnęła, a na monitorze zapłonęło zdanie:

USZKODZENIE WYRZUTNIKA KASETY.

- A wiec to tak. Tyyyyy... - wycharczał. Zawahał się na moment i sięgnął do kieszeni. Wyjął kule. Była wystarczająco długa. Wcisnął miedzy kasetę, a białe szczeki minigniazda. Ugięły się elastycznie. Pchał z całej siły. Palce stały się białe jak kreda. Zacisnął zęby i czując jak schodzą mu paznokcie dojrzał, że Hewel dobiegł końca pokładu i odwrócił się plecami do ściany. Wrzasnął z bólu i w tym momencie obudowa gniazda trzasnęła. Trąc zerwanymi paznokciami o pulpit wyrwał kasetę i rzucił się do drzwi. Wypadła mu z reki i potoczyła się w głąb korytarza. Schylając się w biegu poczuł niemal dotykalnie, jak upływają bezcenne ułamki sekundy. Bieg przez korytarze przypominał lot pocisku. Tłukł rekami o ściany zmieniając kierunki na rozwidleniach korytarzy. Do swojej kabiny wpadł uderzając boleśnie obojczykiem o sterczący z drzwi nóż. Wpadł do drugiego pomieszczenia. Z daleka dobiegł go stłumiony odległością, ale straszny wrzask Hewela. Wbił niemal kasetę w czytnik... i w tym momencie wszystko zgasło. Światło, punkty kontrolek na minipulpicie. Monitor pokojowy. Nawet wieczny ognik systemu medycznego. Przez cały Statek szedł dreszcz. Stawały wszystkie urządzenia, krążące płyny hydraulicznym uderzeniem niosły drgania poprzez ściany i podłogi. Dyszał płytko i poprzez migotanie serca usiłował zaczerpnąć więcej powietrza. Uspokajał się bardzo wolno. Czuł ból nóg i rąk. Omdlewająco bolał obojczyk. Paliły potwornie palce dłoni. Powoli, po omacku dotarł do szafki i wyją) z niej kieszonkowy komputerek. Wystukał ósemki wypełniając nimi wszystkie okienka. Skierował monitorek w stronę pokoju. Oświetlał podłogę na dwa metry. Wyszedł na korytarz. Długo stał zbierając się w sobie. Potem ruszył. W takiej ciemności nieoczekiwanie poczuł Przestrzeń. Wszechobecny Kosmos, w którym wybili ponadmaterialną dziurę, by dotrzeć do dalekiego gwiezdnego systemu. Kosmos był za cienkimi ścianami, tuż. Nie chroniły przed nim żadne pola energetyczne, czyniąc ekspedycje całkowicie bezbronną, Kalpern mijał milczące, czarne jak kosmiczna pustka otwory odgałęzień, otwartych drzwi. Czas płynął w zwolnionym tempie. Kiedy dotarł do końca, zobaczył na krawędzi zielonkawego światła znieruchomiałą na podłodze postać. Zbliżył się. To był Hewel. Stał w bezruchu czując jak przestaje oddychać, a czas zatrzymuje sie całkowicie.
Powoli, jak na zwolnionym filmie Hewel podniósł głowę i spojrzał w górę.
- Zdążyłeś, Alan - powiedział i twarz wykrzywił mu grymas uśmiechu.
- Gdzie on jest? - zapytał szeptem Kalpern.
- Nie wiem, chyba zniknął, bo nie słyszałem jak odchodził - odpowiedział również szeptem Cybernetyk.
- Co ty mówisz? - Kalpern pomyślał przez chwile, że Hewel zwariował.
- Po prostu. Czy żywy człowiek przerwałby zadanie w takim momencie?
Komandor osunął się po ścianie na podłogę zaciskając z bólu zęby.
- W kabinie Carginiego powiedziałeś, że wiesz kto to jest.
Hewel roześmiał się ponownie nerwowo i sucho.
- To był blef. Powiedziałem to po przeczytaniu notatek Carginiego. Gra nie mogła zarejestrować zapisków. Program zadziałał wiec tak jak w sytuacji zagrożenia - zdemaskowaniem. Maszyna nie wie co to jest blef... głupia maszyna nie wie co... to... blef.
- A zobaczyłeś go?
- O sekundę za wcześnie wyłączyłeś iluminacje - syknął Hewel.
Milczeli.
- Można było tego uniknąć i znaleźć mordercę - powiedział z wyrzutem Kalpern, ale w jego głosie nie było przekonania.
- Tak? To dlaczego przedłużyłeś Grę?
Patrzyli przez chwile na siebie w zielonym półmroku.
- Może to rzeczywiście ktoś z załogi - powiedział Cybernetyk - a może nie... Pamięć jest wyczyszczona jak mój mózg, Komandorze. Będziemy mieli co robić przez najbliższe lata. Jak teraz poradzimy sobie ze świadomością... - nie dokończył. Zdał sobie sprawę, że ma ich przed sobą dwadzieścia.
- Co tam jest? - zapytał Kalpern wskazując głową notatnik Carginiego. Hewel podał. W świetle komputerka otworzył zdrową ręką ostatnią stronę i przeczytał: *„Środa. Od miesiąca kusi mnie, żeby wypróbować tę kasetę. Handlarz zapewniał, że to najnowszy rynkowy szlagier. Lubię gry „Heine - Comtronic". Są trochę jak dobry staroświecki narkotyk. Lubię to odczucie. O jej posiadaniu dowiedzą się dopiero po powrocie, a taki drobiazg będzie wtedy bez znaczenia. Taka drobna cząstka dalekiej Ziemi. Przekroczyliśmy dzisiaj drugą nadprzestrzenną. Trajektoria kontrolowana na bazie czasowej. Załoga w normie".* Odłożył notatnik i włączył komputerek. Wsłuchiwali się w narastające dalekie głosy, zaskoczonych i porozumiewających się okrzykami ludzi. Usiłowali te głosy liczyć. Zapamiętać. Ale kiedy ktoś zawołał Carginiego, przestali.
- Wszystkie drzwi do kabin były otwarte - powiedział Kalpern.
- Tak, wszystkie były otwarte - powtórzył jak echo Hewel. Mała garstka ludzi nie za długo szukała Komandora i Cybernetyka.
A ziemski statek tymczasem rozpoczynał swą wielką podróż do gwiazd.

Marek Baraniecki

O autorze: patrz „Fantastyka" nr 1/83.

Grabiński Stefan

(1887-1936)

Literat, nauczyciel, teoretyk gatunku „weird fiction”

Stefan Grabiński urodził się 26 lutego 1887 r. w Kamionce Strumiłowej nad Bugiem. Jego ojciec był sędzią powiatowym, matka - Eugenia z Czupków, nauczycielką gry na fortepianie. W 1905 r. otrzymał Grabiński świadectwo dojrzałości i w tym samym roku wstąpił na wydział filozoficzny Uniwersytetu Lwowskiego. Studiował pod kierunkiem Wilhelma Bruchnalskiego i Józefa Kallenbacha literaturę polską i filologię klasyczną. Po złożeniu egzaminu nauczycielskiego w 1911 r. rozpoczął długotrwałą pracę w państwowych i prywatnych gimnazjach lwowskich, trwającą aż do 1931 r. W latach 1914-1915 przebywał w Wiedniu, w 1927 r. odbył podróż do Włoch, a w 1929 do Rumunii nad Morze Czarne. W ostatnich latach życia, z powodu zaawansowanej gruźlicy został zwolniony na emeryturę i zamieszkał w miejscowości kuracyjnej Brzuchowice (koło Lwowa) skazany na powolną, nieodwołalną śmierć. Zmarł 12 listopada 1936 r. we Lwowie i tam też został pochowany.

Debiutował w 1909 r, pod pseudonimem Stefan Ż a l n y wyborem nowel „Z wyjątków. W pomrokach wiary” (zawartość: Puszczyk, Wampir, Szalona zagroda, Pomsta ziemi, Klątwa, Podzwonne). Następny tomik: „Na wzgórzu róż” (1918; zawartość: Na wzgórzu róż, Szalona zagroda, Po stycznej, Zez, Cień, W willi nad morzem) został przyjęty z życzliwością przez takich krytyków jak Wiłam Horzyca i Karol Irzykowski (zob. „Fantastyka” 1/83). W latach dwudziestych opublikował Grabiński kolejne tomy nowel: „Demon ruchu” (Warszawa - Kraków 1919; zawartość: Głucha przestrzeń, Smoluch, W przedziale, Wieczny pasażer, Fałszywy alarm, Demon ruchu, Maszynista Grot, Sygnały, Dziwna stacja, Błędny pociąg, Ślepy tor, Ultima Thule), „Szalony pątnik” (Kraków 1920; zawartość. Szary pokój, Nocleg, Znak, Problemat Czelawy, Saturnin Sektor, Kruk, Osada dymów, Wezwanie, Dziedzina), „Księga ognia” (Łódź 1922; zawartość: Czerwona Magda, Biały Wyrak, Zemsta żywiołaków, Pożarowisko, Pirotechnik, Gebrowie, Muzeum Dusz Czyśćcowych, Płomienne gody, Zielone Świątki), „Niesamowita opowieść” (Lwów 1922; zawartość: Kochanka Szamoty, Podzwonne, Zez, W domu Sary, Szalona zagroda, Przed drogą daleką, Na tropie, Spojrzenie). W 1921 r. pisze Grabiński dramat sceniczny „Ciemne sity” („Willa nad morzem”), wydany w Przemyślu, a wystawiony na deskach Teatru Małego w Warszawie, Krakowie i Lwowie, oraz misterium dramatyczne „Zaduszki”. Jedna z jego nowel: „Kochanka Szamoty” zostaje sfilmowana przez Leona Trystana. W latach dwudziestych powstaje również kilka fantastycznych powieści Grabińskiego: „Salamandra” (Poznań - Lwów 1924), „Cień Bafometa” (Lwów-Warszawa-Kraków 1926), „Klasztor i morze” (Warszawa 1928), a u schyłku życia zbiór opowiadań „Namiętność (L'Appasslonata). 0powieść wenecka” (Stanisławów 1930; zawartość: Namiętność, Przypadek, Pojednanie, Zmora, Projekcje, Strych) oraz powieść - utopia „Wyspa Itongo” (Warszawa 1936). Grabiński pozostawia nie ukończone rękopisy powieści „Motywy docenta Ponowy” i dramatu „Larwy” („Manowiec”). Ogłasza również prace teoretyczne: „Z mojej pracowni. Opowieść o maszyniście Grocie. Dzieje noweli. Przyczynek do psychologii tworzenia” („Skamander”, 1920), „Zagadnienie oryginalności w twórczości literackiej” („Pamiętnik Literacki” 1925/26), „O twórczości fantastycznej. Jej geneza i źródła” (Wstęp do szkicu; Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie 1928/10). W roku 1931 otrzymuje Grabiński nagrodę literacką miasta Lwowa. Nowele i powieści tego autora zostają wznawiane w reprezentatywnych wyborach jego twórczości. Do najważniejszych należą: „Niesamowite opowieści” (Czytelnik, 1958), „Opowieści niesamowite” (seria: „Stanisław Lem poleca”, Wydawnictwo Literackie 1975), trzytomowa edycja pod red. A. Hutnikiewicza (t. 1 - „Nowele”, t. 2 - „Salamandra. Cień Bafometa”, t. 3 - Wyspa Itongo; Wydawnictwo Literackie 1980).

Stefan Grabiński zajmuje w literaturze dwudziestolecia międzywojennego pozycję szczególną i odosobnioną. Jest uznawany za mistrza „weird fiction”, klasyka i najwybitniejszego przedstawiciela „thrill story” - opowiadania z dreszczem. I rzeczywiście - na tle romantycznej i modernistycznej fantastyki polskiej, która zbyt często przybiera postać ornamentacyjną, baśniową, paraboliczną (Dzierzkowski, Wolski, Zmorski) - prozatorska działalność Grabińskiego, mimo zauważalnych niekonsekwencji w planie narracyjnym, uproszczeń fabularnych i psychologicznych, budzi szacunek niespotykaną autonomią „cudowności” rozszerzoną do rangi swoistego programu artystycznego. Zdaniem autora świat widzialny jest skutkiem zmaterializowanej idei, a nasza rzeczywistość stanowi realizację intelektu jakiejś istoty duchowej. „Myśl stwarza ciało i jego fizyczne predyspozycje” - twierdzi Grabiński rozwijając tezy platońskiej metafizyki, romantycznego idealizmu magicznego (zwłaszcza genezyjskiej filozofii Słowackiego) i dwudziestowiecznych hipotez naukowych pojmujących istotę świata na kształt aktu myśli (Jeans, Eddington). W ciągłym, heraklitejskim ruchu, wirowaniu materii dokonują się wieczne procesy ewolucji, przemiany idące ku coraz wyższym, doskonalszym formom istnienia. Punktem wyjścia jest tu filozofia Henri Bergsona, w której „materia czy duch - rzeczywistość objawia się jako wiekuiste stawanie się, życie niczym nieokreślone, tworzone z własnego, immanentnego pędu” Pluralizm świata polega na wielopłaszczyznowym przenikaniu różnych sfer bytu odznaczających się względną niezależnością i indeterminizmem, a zatem wolnością działań i zachowań (znać w tej koncepcji wpływy pluralistycznego spirytualizmu amerykańskiego filozofa, pragmatyka - Williama Jamesa). Obok ludzkiego świata istnieje jakaś inna, odmienna rzeczywistość, na co dzień niewidzialna, dająca o sobie znać w gestach i ruchach tajemnych, włączająca się w nasze życie systemem wirów i zakłóceń, rozbijając nagłym przypadkiem uświęcony porządek rzeczy. Stąd też jedynym, niepodważalnym zadaniem sztuki - najdoskonalszej formy twórczości - staje się rozszerzenie wiedzy o te obszary zjawisk, których nie obejmuje świadectwo sensorycznego poznania. Te postulaty może spełnić jedynie sztuka na wskroś oryginalna. W mniemaniu Grabińskiego istnieją trzy rodzaje oryginalności :1) absolutna („pomysły bezwzględnie świeże i fikcje dziewiczo nowe i niespodziane”) twórczość Poego, Hoffmana, Wellsa, Meyrinka, Stevensona;2) polegająca na swoistym i odrębnym ujmowaniu zjawisk życiowych, przekształcaniu „rzeczywistości eksperymentalnej życia”, pełnym jej naświetlaniu i interpretacji (Balzac, Byron, Dostojewski, Słowacki, Mickiewicz, Krasiński, Ibsen, Strindberg, Conrad); 3) tradycyjnaczerpiąca swoje tematy z mitologii, przeszłości, historii. Najwyższa forma realizacji ideału oryginalności możliwa jest tylko poprzez fantastykę. To właśnie ona wybiega w stronę niewiadomego przerzucając mosty między rzeczywistością a marzeniem, jest poszukiwaniem absolutu, spełnieniem „niepokoju metafizycznego”, consolatio cierpiących, stwarzaniem świata wolnego od przemocy, niesprawiedliwości i krzywdy, odpowiedzią na niepokojącą zagadkę zła. Pomijając fantastykę bezpośrednią, czysto ornamentacyjną, zwraca się Grabiński w stronę fantastyki psychologicznej, naukowo-filozoficznej, zwanej przez niego psychofantastyką lub metafantastyką. Animatorem tego pisarstwa staje się wolna, nieposkromiona, tajemnicza dusza człowieka. Twórca wychodzi od kreacji zdarzeń prostych, zrozumiałych, które w pewnym momencie ukazują swe drugie oblicze, tajemnicę wkraczającą w realia naszego życia. Obserwacja niezwykłych, niedostatecznie przez naukę zbadanych fenomenów psychologicznych staje się dla autora punktem wyjścia do snucia śmiałych hipotez i treści filozoficznych. Te spostrzeżenia dowodzą nader wymownie dla: czego twórczość Grabińskiego (podobnie jak E. A. Poego) bywa niekiedy bliska założeniom fantastyki racjonalnej, naukowej. „Nie wyjaśnione do końca sprawy hipnozy, telepatycznego rozdwojenia jaźni - pisze Antoni Smuszkiewicz - spowodowały, że pogranicze między nauką a wiedzą było dogodnym terenem do snucia fantastycznych wizji. Z drugiej strony przeczą takiemu pojmowaniu własne poglądy Grabińskiego, który uprawianie fantastyki wiązał nierozerwalnie z antyrealistycznym, metafizycznym światopoglądem twórcy”. Pogodzenie ostro zarysowujących się opozycji staje się jednak możliwe wobec zjawiska stopniowego „urealniania” założeń fantastyki. Fantastyka XX stulecia wchłania najnowsze zdobycze wiedzy o człowieku: psychiatrii i psychopatologii, doświadczenia spirytyzmu i okultyzmu: staje się prozą unaukowioną, lecz jednocześnie zachowującą autonomiczny status quo w sposobach korzystania z dorobku wiedzy ścisłej. Twórczość Stefana Grabińskiego, przyjmowana z dużą dozą rezerwy już w okresie dwudziestolecia międzywojennego, nie wyszła prawie nigdy poza granice naszego kraju Jako autor „weird fiction” był Grabiński ostro atakowany za nadmierny „dydaktyzm”, przeładowanie informacyjne niektórych utworów, będących akademickim wykładem ideologii okultystycznych (np. „Salamandra”, „Cień Bafometa”). Dziś koncepcie Grabińskiego mocno się zestarzały, a Stanisław Lem, oddając sprawiedliwość jego erotyczno-psychologicznej nowelistyce, określa niektóre opowieści mianem „magicznych produkcyjniaków”. Ta, dość surowa ocena, nie przeczy faktom, że wieloznaczna proza Grabińskiego, będąca wykładnią jego systemu literackiego, budzi nadal zainteresowanie, a w coraz powszechniejszym odwrocie od rygorystycznych motywacji „neukowych” staje się inspiracją dla wielu autorów sięgających do odwiecznych zagadek bytu, podświadomych pragnień i dążeń człowieka

Bibliografia wybrana:

- J. Brzostowski: O twórczości S. Grabińskiego. (w) „Pamiętnik Warszawski”, 1931/10-12.
- K. Czachowski: Obraz współczesnej literatury polskiej 1884-1934. T. III. Warszawa-Lwów 1936.
- K. Krobicki: Stefan Grabiński i /ego opowieści fantastyczne- (w) „Kurier Literacko-Naukowy” 1936/49.
- K. Irzykowski. Stefan Grabiński, (w) „Pion” 1936/47.
- W. Horzyca: Stefan Grabiński, (w) „Krytyka i Życie”, 1936/47
- A. Hutnikiewicz: Twórczość literacka Stefana Grabińskiego (1887-1936). Toruń 1959, -Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Prace Wydziału Filologiczno Filozoficznego, t. VIII, z. 2.
- J. E. Płomieński: Suweren polskiej fantastyki literackiej, (w) „Twórcy bez masek”, Warszawa 1956.

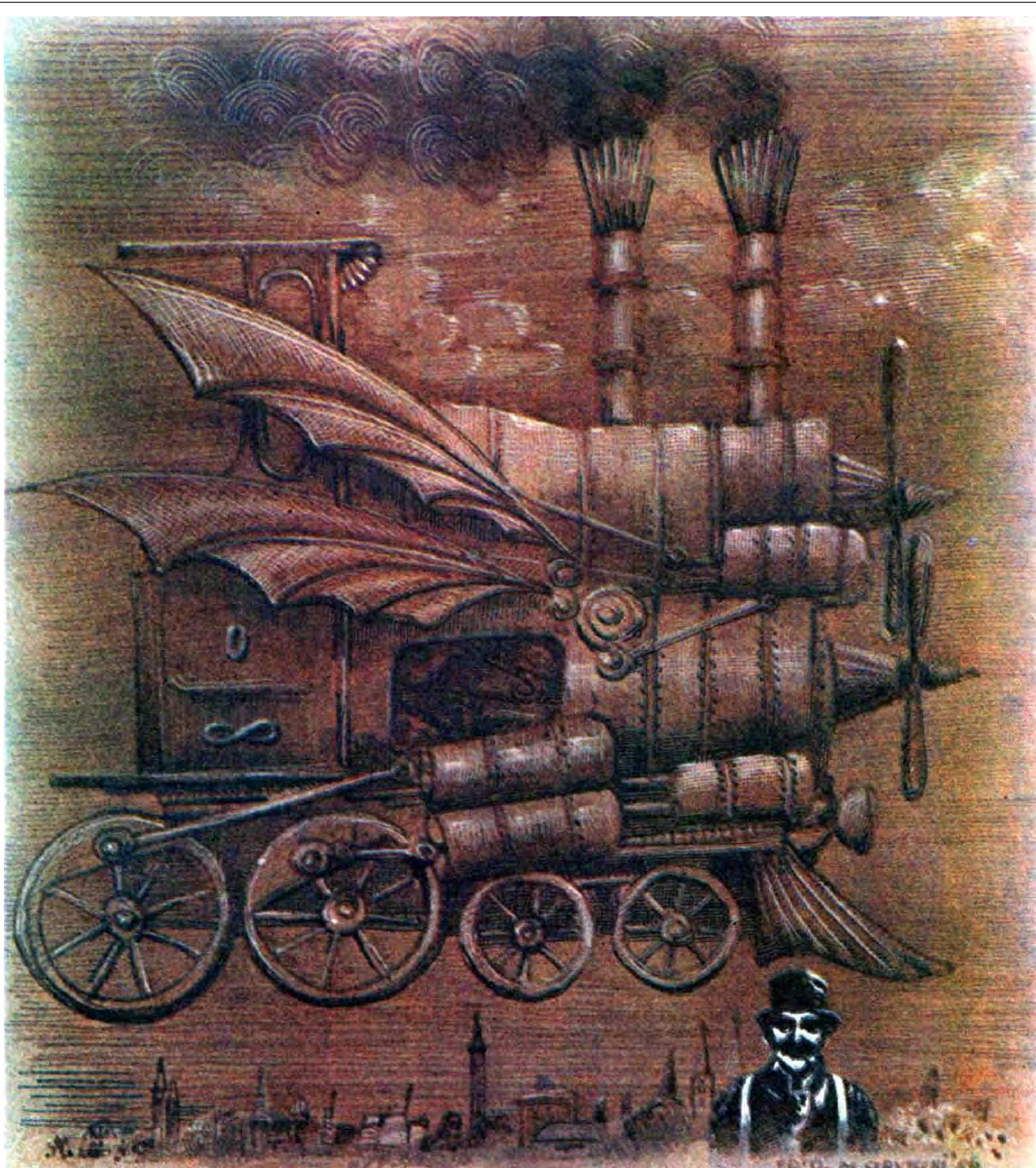
Z urzędu ruchu stacji Brzana nadeszła do naczelnika Podwyża depesza następującej treści:
- Baczność na pośpieszny nr 10! Maszynista pijany lub niepoczytalny. Urzędnik, wysoki kościsty blondyn z rudawymi baczkami, odczytał rulon raz i drugi, odciął długą, białą taśmę, wysnutą z bloku i zwinąwszy w pierścień dookoła palca, wsunął do kieszeni (...) Pora była przecudna. Gorące, czerwcowe słońce przeszło już zenit i rozlewało po świecie złotą siejbę promieni. Migały w przelocie ukwiecone jabłonią i czereśnią wsie i przysiółki rzucały się wstecz zielonymi płachtami łąki i sianożecia. Pociąg pędził to nadane mu zresztą wcale nie w złośliwej intencji, zrosło się jakoś tak dokładnie z osobą maszy nisty, że nawet władze tolerowały je w rozkazach i rozporządzeniach. W ten sposób chcieli ludzie zaznaczyć jego odrębność...
Na chwile Grot ocknął się z zadumy i spojrzał na manometr. Wskazówka zakreśliwszy łuk, zbliżała się ku fatalnej trzynastce...
- Puść pan parę!
Palacz wyciągnął rękę i szarpnął wentyl; rozległ się przeciągły, dojmujący gwizd, a równocześnie z boku maszyny wykwitła cieniutka mlecznobiała tulejka. Grot skrzyżował ramiona na piersiach i zapadł cze plany: został maszynistą. Odczuwał kompromis, rozumiał karykaturę myśli, lecz nie miał już sił, poprzestał na miniaturze. Wkrótce surogat zastąpił zupełnie poprzedni ideał, przesłonił swą ciasną, szarą ramą, szerokie niegdyś horyzonty: zdobywał przestrzeń na nową, małą skale. Lecz wyprosił u władz jazdę wyłącznie pośpieszną - pociągów zwyczajnych nie prowadził. Tym sposobem, zyskując na terenie, zbliżał się choć w części do pierwowzoru. Upajał się szaloną jazdą na sze roko rozpiętych liniach, odurzał pokonywaniem w' krótkim czasie znacznych odległości (...)
Nie cierpiał tylko jakiejkolwiek mety. Od

MASZYNISTA GROT

Stefan Grabiński

całą siłą pary: tu go chwytał w szumiące chwiejbą sosen i świerków ramiona las, tam wynurzone z objęć drzew witały przetowłosym pokłonem zbożne pola. Daleko na horyzoncie siniała mglistą wstęgą linia gór...
Grot oparty o skrzydło maszyny wbił poprzez owalne okienko nieruchome spojrzenie w przestrzeń, która snuła się długim szarym traktem ujętym w czarne pasy szyn. Pociąg wślizgiwał się na nie lekko, drapieżnie okraczał żelaznym układem kół i zgarniał skwapliwie pod siebie. Maszynista czuł niemal fizyczną rozkosz tego ciągłego zdobywania, co nigdy niesyte wypuszcza lekceważąco połknięty już łup i mknie dalej na nowe podboje. Grot lubił pokonywać przestrzeń!...
Zawód swój kochał ponad wszystko i nie zmieniłby go za nic w świecie. Wstąpił do służby stosunkowo późno, bo dopiero w trzydziestym roku życia, lecz mimo to od razu okazał tak pewną rękę w prowadzeniu parowozów, że prześcignął wkrótce starszych kolegów...
Chodziły o nim i jego przeszłości pogłoski przeróżne, często wzajem sprzeczne, lecz na dnie wszystkich spoczywało zgodne przekonanie, że Krzysztof Grot był jednostką tzw. zwichniętą, czymś w rodzaju spadłej gwiazdy, jednym z tych, którzy mieli pójść górnym szlakiem, a dzięki fatalizmowi życia osiedli na mieliźnie. Z przeszłości Grota zdołano wyłonić i ustalić tylko dwa fakty: jeden ten, że służył w wojsku podczas kampanii francusko.-pruskiej, drugi, że wtedy stracił ukochanego brata. Bliższych szczegółów mimo wszelkich wysiłków ciekawców wydobyć zeń nikt nie potrafił. W końcu dano za wygraną, zadowalając się skąpą wiązanką biograficznych danych „inżyniera Grota". Tak bowiem bez określonej przyczyny nazwali z czasem kolejarze małomównego towarzysza. Przezwisko powtórnie w marzenia.
- „Inżynier Grot" - cha, cha! Nader trafny przydomek! Ludzie nawet nie przypuszczają, jak bardzo trafny!..: Maszynista ujrzał nagle gdzieś w dalekiej mglistej perspektywie lat ubiegłych cichy, skromny domek na przedmieściu stolicy. W jasnej środkowej izbie duży stół, zarzucony stosem planów, dziwacznych rysunków, technicznych szkiców. Nad jednym pochylona płowa główka Olesia, młodszego brata. Obok stoi on, Krzysztof, i wodzi palcem wzdłuż szafirowej linii okrążającej eliptycznym zgięciem jakąś płaszczyznę. Oleś przytakuje, coś poprawia, tłumaczy... To ich pracownia - to tajemnicze wnętrze, z którego wylągł się śmiały pomysł latawca, który swobodnie bujając po przestworzach, miał podbić atmosferę, poszerzyć myśl ludzką i ponieść ją w zaświaty, w nieskończoność. Niewiele już brakowało do ukończenia dzieła: miesiąc, dwa, trzy najwyżej. Wtem przyszła wojna, branka, pochód, bitwa i... śmierć.. Pamięta ten moment jedyny, okropny moment wdzierania się na szczyt „czerwonego fortu". Olek pomknął bohatersko naprzód, widny z dala na czele oddziału. Już wyciągnięta jego szabla muskała brzeszczotem skraw barwnego proporca, już męska ręka ujmowała zwycięskim chwytem jego drzewce... Wtem błysnęło coś z bastionu, kurzawa dymu bluznęła z fortecznych wyziorów, piekielny huk rozkołysał blanki... Oleś zachwiał się, zawahał pod migotliwą tęczą wypuszczonego pałasza i runął w dół - na progu bojowych zamierzeń, w samym momencie żołnierskich ziszczeń, w chwili docierania do celu...
Śmierć te odchorował Krzysztof: długie miesiące przeleżał w malignie w polowym lazarecie. Potem wrócił do codziennego życia na pół złamany. Zarzucił dawne pomysły, świątoburcze idee, zdobyw- czasu tragicznej śmierci brata wytworzył sie szczególny uraz psychiczny, objawiający się w leku przed wszelkim celem, przed wszelkim dowolnego rodzaju końcem, kresem. Ukochał całą mocą wieczystość dążenia, znojność zasięgów, znienawidził realizacje napięć, drżał przed momentem spełnienia z obawy, by w owej ostatniej rozstrzygającej chwili nie zaskoczył go zawód, nie pękła napięta struna, by nie stoczyć się w przepaść, jak wtedy jak Oleś przed laty...
Stacja stała się dlań z czasem symbolem znienawidzonego końca, plastycznym urzeczywistnieniem wytkniętych celów wędrówki, ową przeklętą metą, przed którą zdejmował go wstręt i trwoga.
A ratunku na razie nie widział nigdzie: z natury rzeczy pociąg musiał co jakiś czas zawijać do obmierzłych przystani. I gdy już na widnokręgu wynurzały się kontury zabudowań stacyjnych, rysowały czerwonym lub żółtym ekranem rozpięcia ścian, opadał go nieopisany lek i obrzydzenie: podniesiona ku korbie ręka mimo j woli cofała się i musiał używać całej siły woli, by stacji nie minąć.
W końcu, gdy sprzeciw wewnętrzny wzrósł do niebywałego napięcia, wpadł na szczęśliwy pomysł. Postanowił wprowadzić pewną dowolność w zakresie mety przez uruchomienie jej punktów granicznych. Dzięki temu pojecie stacji, tracąc dużo z wyrazistości, stawało sie czymś ogólnikowym, czymś tylko z lekka naszkicowanym i nader elastycznym. Owa przesuwalność granic użyczała pewnej swobody ruchów, nie krepowała bezwzględnie kagańcem hamulca. Punkty postojowe, nabrawszy charakteru płynności, przetworzyły nazwę stacji w termin nieokreślony, sobiepański, niemal fikcyjny, z którym nie trzeba się było już tak liczyć: słowem stacja w tak szerokim znaczeniu, poddana dowolnej interpreta-

cji maszynisty, była teraz mniej groźną, chociaż mimo to wstrętną.
Chodziło wiec przede wszystkim o to, by nigdy nie zatrzymywać pociągu w miejs cu oznaczonym przez przepis, lecz zawsze wychylać się o jakiś kawałek za lub przed.
Grot postępował zrazu bardzo ostrożnie, by nie budzić podejrzeń urzędników; odchylenia były początkowo tak nieznaczne, że nie zwracały uwagi. Chcąc jednak wzmocnić w sobie poczucie dowolności wprowadził maszynista pewne urozmaicenie: raz stawał za wcześnie, drugi raz za późno - drgnienia wahały się to w jedną, to w drugą stronę.
Lecz z czasem ta ostrożność zaczęła go drażnić, swoboda wydawała się iluzoryczną, pozorną, czymś w rodzaju samooszukiwania sie; nie zamącony zdziwieniem spokój rozlany na twarzach kierowników stacji irytował, budząc ducha przekory i buntu. Grot rozzuchwalał sie: wychylenia stawały się z każdym dniem coraz silniejsze, diapazon rósł, wzmagał się.
Już wczoraj naczelnik ruchu w Smagłowie, szpakowaty z wiecznie przymrużonymi jak u starego lisa oczkami jegomość, dziwnie zezował w stronę pociągu zatrzymanego spory kawał przed stacją. Grotowi zdawało się nawet, że coś mruczał, wskazując ręką w jego stronę. Lecz jakoś uszło na sucho.
Maszynista zacierał ręce i cieszył sie:
- Przecież zauważyli!
Wyjeżdżając dziś nad ranem z Wrotycza, postanowił podwoić stawkę.
Ciekaw jestem - pomyślał puszczając kurki w ruch - w jakim też stosunku wzrośnie irytacja tych panów? Przypuszczać by należało, że do kwadratu odległości. Jakoż domysł nie zawiódł. Cała dzisiejsza tura miała być nieprzerwanym pasmem awantur.
Zaczęło się w Zaszumiu, pierwszej większej przystani na linii, którą zamierzał przebyć. Uśmiechając się złośliwie pod wąsem, zatrzymał pociąg kilometr przed stacją. Oparłszy się o parapet maszyny, zapalił Grot fajeczkę i pykając z niej powoli przypatrywał się z zajęciem zdumionym minom konduktorów i kierownika pociągu, który nie umiał sobie wytłumaczyć postępowania maszynisty. Kilku pasażerów wychyliło strwożone głowy i rozglądało się na prawo i lewo, zapewne przypuszczając jakąś przeszkodę w ruchu. Nadbiegł wreszcie i urzędnik stacyjny, zapytując o powód:
- Czemu pan nie zajeżdżasz przed peron? Przeszkody żadnej nie sygnalizowano, wszystko w porządku.
Grot wypuścił spokojnie duży, zwarty kłąb dymu i nie wyjmując fajki z ust, wycedził flegmatycznie przez zęby:
- Hm... tak? A mnie się zdawało, że zwrotnica źle nastawiona. Nie opłaci się już podjeżdżać ten kawałeczek: moja staruszka trochę się zadyszała.
Tu uderzył pieszczotliwie w bęben kotła.
- Zresztą goście i tak już sami wysiadają niech pan naczelnik popatrzy - o jeden, dwóch, tam cała rodzina.
Istotnie: zniecierpliwieni czekaniem pasażerowie zaczęli opuszczać wagony i piechotą, uginając się pod ciężarem tobołów i pakunków, zdążali ku stacji. Grot przeprowadzał ich ironicznym uśmiechem i ani myślał zmieniać taktyki.
Urzędnik lekko zmarszczył się dając za wygraną, upomniał na odchodnym:
- Na przyszłość wytężaj pan lepiej oczy!
Maszynista zbył uwagę pogardliwym milczeniem. W parę minut potem pociąg poszybował w dalszą drogę.
Na najbliższym z kolei przystanku Brzana powtórzyła się niemal identyczna historia. (...) Grot ujął krzepko korbę, nastawił dźwignie, zakręcił hamulec; maszyna wydała żałosną skargę niby jęk, niby świst, wypluła potężną siklawę pary i osadziła sie na miejscu: pociąg stanął dobre półtora kilometra przed stacją.
Grot odjął ręce od kurków i studiował efekt. Nie zawiódł oczekiwania. Uprzedzony już naczelnik wysłał w roli parlamentariusza niższego kolegę.
Młody człowiek miał minę surową, niemal skupioną. Wyprostował się, naciągnął sztywnie służbową bluzę i wstąpił uroczyście na platformę maszyny.
- Zajeżdżaj pan na stacje!
Grot milcząco zawinął korbę, puścił w ruch heble: pociąg ruszył.
Dumny z odniesionego triumfu asystent skrzyżował po napoleońsku ramiona i odwrócony lekceważąco od maszyny i kotła, zapalił papierowa.
Lecz sukces był tylko pozorny. Bo oto pociąg przeleciał z szumem mimo peronu i zamiast zatrzymać się przed stacją ujechał znaczny kawał poza nią, by tam dopiero przystanąć na odpoczynek.
Urzędnik zrazu nie orientował się, dopiero spostrzegłszy w lewo poza sobą budynek stacyjny, rzucił się groźnie ku maszyniście:
- Czyś pan zwariował? Zatrzymywać pociąg w czystym polu! Albo masz pan bzika, albo piłeś dziś za dużo! Proszę natychmiast zawracać!
Grot ani drgnął, nie ruszył się z miejsca. Wtedy urzędnik odsunął go gwałtownie od kotła i zająwszy jego stanowisko puścił kontrparę; po chwili pociąg dysząc zajechał przed peron.
Grot nie przeszkadzał. Jakaś szczególna apatia obezwładniła mu ruchy, spętała ręce... Patrzył tępo na twarz służby, funkcjonariuszy i urzędników, którzy gromadnie otoczyli jego maszynę; bezwolnie dał sie ściągnąć z platformy, jak automat poszedł za wzywającym go za sobą naczelnikiem. (...)
Kierownik stacji poddał go przesłuchaniu. Siedzący obok protokolant umoczył pióro i w natchnieniu czyhał na pytania, które miały paść z ust zwierzchnika.
Jakoż padły.
- Pańskie nazwisko?
- Krzysztof Grot.
- Wiek?
- Trzydzieści dwa lata.
- Kiedy pan wyjechał z Wrotycza?
- Dziś o 4.54 nad ranem.
- Czy oglądał pan maszynę przed objęciem pociągu?
- Oglądałem.
- Czy pamięta pan numer i serie maszyny?
Po twarzy Grota przemknął dziwny uśmiech.
- Pamiętam. Seria zero, numer: nieskończoność (...).
- Dlaczego pan dzisiaj cztery razy z rzędu nie zatrzymał pociągu na właściwym miejscu przed stacją?
Grot milczał. Nie mógł, nie chciał za nic w świecie tego powiedzieć.
- Czekam na odpowiedź. Maszynista ponuro zwiesił głowę. Wtedy urzędnik podniósł się uroczyście od biurka i zawyrokował:
- Teraz pójdzie się pan wyspać. Zastąpi pana inny kolega. Zawieszam pana na razie w służbie, być może wezwie się pana z powrotem w swoim czasie, kiedyś później. Tymczasem radze panu jak najrychlej poddać się oględzinom lekarskim. Pan jesteś poważnie chory.
Grot pobladł, zachwiał się. Historia przybrała charakter tragiczny. Z wyrazu twarzy, tonu i treści słów poznał, że uważają go tutaj za wariata. Zrozumiał, że stracił posadę, że przestał być maszynistą.
- Panie naczelniku - jęknął załamując ręce - zdrów jestem zupełnie. Mogę dalej jechać.
- To wykluczone panie Grot. Nie mogę panu powierzać losu kilkuset osób. Czy wiesz pan, że omal nie stałeś się dzisiaj sprawcą katastrofy? Zajechałeś za daleko, docierając do punktu, w którym miało nastąpić skrzyżowanie z osobowym z Czerniawy. Gdyby pan asystent nie był cofną] w porę pociągu, nastąpiłoby niechybne zderzenie. Sygnalizowany już pociąg nadjechał w dwie minuty potem. Pan się nie nadaje do służby panie Grot. Trzeba sie wpierw leczyć. Poza tym skończyliśmy. Proszę opuścić lokal.
Ciężkim, ołowianym krokiem wyszedł Grot z pokoju, przemierzył peron, poczekalnie i zataczając się jak pijany, powlókł sie wzdłuż magazynów kolejowych. Czaszkę rozpierał głuchy ból, w duszy łkała rozpacz. Stracił służbę (...). Targany dławiącym krtań bólem minął magazyny, most, tunel, i machinalnie wszedł na tory. Było już daleko za stacją. Potykając się co krok o drewniane podkłady skrzyżowanych szyn, zaczepiając o zwrotnice, błąkał się pomiędzy lśniącym zimno żelaziwem.
Wtem usłyszał za sobą ciężki stek, poczuł pod nogami drżenie ziemi. Odwrócił się i spostrzegł powoli szybującą, luźną maszynę. Objął ją wzrokiem znawcy, stwierdził zasobność jaszczyka, zauważył radośnie nieobecność palacza.
Postanowienie szybkie jak błysk, jak mgnienie oka, zalśniło w skołatanym mózgu i dojrzało w momencie.
Krokiem ostrożnym, drapieżnym, krokiem czającego się lamparta podkradł sie pod bok żelaznego potwora i jednym susem wskoczył na platformę. Ruch był tak nagły i niespodziewany, że maszynista osłupiał. Grot wyzyskał chwile. Zanim zdumiony kolega zorientował sie w sytuacji wytworzonej przez nieoczekiwanego gościa, napastnik zakneblował



mu chustką usta, spętał ręce na krzyżach i powaliwszy na spód maszyny, zepchnął z pomostu na ziemie. Załatwiwszy się z tym w przeciągu kilku minut. Grot zajął przy kotle miejsce swojego poprzednika. Tytaniczna radość rozsadzała mu serce okrzyk triumfu rozpierał piersi. Był znów u steru!

Pocisnął korki, zatoczył młyńcem korbę. Maszyna, jakby odczuwszy rękę mistrza, zadrżała w posadach, zaniosła się krzepkim, pożegnalnym gwizdem i ruszyła w szeroki świat.

Grot szalał z upojenia. Wyszedłszy z labiryntu szyn, wpadł na główny, mknący prosto przed siebie jak strzała tor i runął w przestrzeń!

Rozpoczął się wichrowy pęd, nie krepowany niczym, nie przerwany przystankami, nudą postojów. Bez przerwy czerpał szuflą węgle, wrzucał je w palenisko; sycił ogień, zagęszczał parę. Jak opętany biegał od jaszczyka do kotła, od kotła do jaszczyka, stwierdzał stan wody w wodomierzu, badał ciśnienie pary.

Nie widział nic, nie myślał o niczym - upajał się tylko pędem, żył tylko ruchem. Zatracił rachubę czasu, nie widział jak długo już trwa piekielna jazda, czy dzień, czy dwa, czy tydzień...

Maszyna rozpętała się. Obłąkane chyżością koła wykonywały nieuchwytne, fantastycznie szybkie obroty, uznojone tłoki cofały się, to znów parły w przód. Wskazówka na manometrze szła wciąż w górę rozżarzony do czerwoności kocioł zionął skwarem, przepalał skórę, parzył dłonie...

Nowy dorzut węgla zniknął w czeluści pieca i prysnął snopem krwawych iskier...

Wtem... zakotłowało coś, zawyło szatańskim skowytem - rozległ się huk jak z tysiąca armat, zaryczał grzmot jakby stu piorunów... Wytrysnął w górę ognisty, splątany kłąb, zgmatwany słup odłamków, żelaznych skorup, pogiętych blach...

Maszynista Grot (w.) „Demon ruchu". Warszawa - Kraków - Lwów 1922.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Stefan Grabiński był uważnym komentatorem własnej twórczości. W szkicu, który przedrukowujemy z niewielkimi skrótami próbował odtworzyć proces kompozycji noweli o „Maszyniście Grocie" zdradzając niektóre tajniki swojego warsztatu. Wypowiedź Grabińskiego, będącą rzadkim przypadkiem autodemaskacji krytycznej, pod wieloma względami przypomina słynną „Filozofie kompozycji" (1846) Edgara Allana Poego.

Stefan Grabiński

Z mojej pracowni

(Opowieść o „Maszyniście Grocie". Dzieje noweli. Przyczynek do psychologii tworzenia)

Skreślić mam historię swojej noweli, dzieje jej powstania, perypetie myśli wlewającej się Stopniowo w formę. Zadanie to o tyle trudne, że podjęte w rok niemal po napisaniu utworu, gdy pamięć pierwszych dreszczy pomysłu zbladła już, przymglona złożami czasu. Proces tworzenia nabiera powoli rozwianych światłem rana, konturów snu - obrazy niegdyś gorące, rozżarzone krwią narodzin, płowieją mętne, wątłe i porywane: sny zwyczajnie ulatniają się szybko, skwapliwie stroniąc od chłodnej krytyki jawy.

Podobieństwo sięga głębiej. Embriologia pomysłu, jego początkowe stadia zdradzają często śmieszny, dziecięco-naiwny charakter marzeń sennych. Niejedna koncepcja podziwiana po przejściu przez alembik pracy artystycznej, przez surową kontrolę mózgu, obrobiona wprawną ręką szlifierza, przedstawia się w stanie zaczątkowym w sposób nikły, błahy, niegodny twórczych trudów; jakiś szczegółik, jakaś drobnostka, jakiś irracjonalny splot zdarzeń, niepozornych obrazów - pstrokata, bezmyślna jak kaprys, śmieszna do rozpuku mozaika snu.

Historia pisania utworu skreślona ręką autora to przyczynek do psychologii tworzenia, dokument ważny i ciekawy, byle tylko szczery, bezwzględnie szczery i sumienny.

Pragnę, aby i moja opowieść była taka... „Maszynista Grot" powstał w ciągu marca roku 1917. Pomysł urodził się znacznie wcześniej, bo w ciągu wakacji roku 1916. Geneza utworu była dla mnie poniekąd niespodzianką, daleką od źródeł, z których zwykłem czerpać tematy. Bo przeważnie, niemal z reguły, biorę z siebie, z wewnętrznych przeżyć. Tu podnieta przyszła wyjątkowo z zewnątrz, z opowieści kolegi z lat szkolnych Zygmunta Artura Augustyna. Kolega mój posiada urodzony dar opowiadania przygód, które lubi ilustrować dość żywą gestykulacją. Jako urzędnik kolejowy, ma niejednokrotnie sposobność obserwowania ciekawych typów wśród towarzyszy zawodu, którzy przesuwają się jak w kalejdoskopie na dworcu, w magazynach, na przestrzeni. Pewnego sierpniowego wieczora opowiedział mi ciekawe zdarzenie, którego był naocznym świadkiem, jako kierownik ruchu na małej, galicyjskiej stacji.

Wśród monotonii codziennych funkcji nagle, jak bomba spadło nań telefoniczne doniesienie z większej stacji sąsiedniej, nakazujące zwrócić baczną uwagę na maszynistę sygnalizowanego pociągu. Jakoż alarm okazał się słuszny: podejrzany osobnik zatrzymał pociąg spory kawał (jeden kilometr, czy nawet więcej) poza stacją. Ponieważ podobny manewr zdarzył się już parę razy na innych stacjach, należało zbadać przyczynę. Ściągnięto maszynistę z parowozu i poddano zaraz na miejscu przesłuchaniu. Indagację prowadził, jako kierownik stacji, mój kolega. Wynik wypadł niekorzystnie dla maszynisty, który nie umiał czy też nie chciał wytłumaczyć .swego zagadkowego postępowania. W ogóle człowiek ten sprawiał wrażenie niepoczytalnego, na pół wariata. Władze musiały go usunąć. - Co się z nim później stało, nie wiadomo. Dalsze losy nieszczęśliwego były kolejarzowi nieznane. Historia sprawiła na mnie silne wrażenie. Zastanawiała mnie forma zboczenia, upór względem władz, odporna postawa wobec prób śledczych. Od razu wyczułem ponętny temat. - Maszynista nie chce zatrzymać pociągu przed stacją, lecz staje znaczny kawał przed nią lub za nią. - Oto skrót, w który zamknąłem opowieść kolegi i przechowałem staranniej - na później. W ciągu zimy r. 1916/17 pochłonęły mnie różne zajęcia: obowiązki zawodowe, realizowanie innych pomysłów, trzymiesięczna praca nad dramatem pt. „Odmęt". Lecz o maszyniście nie zapomniałem. Temat nęcił, pociągał, niepokoił. Należało go przedyskutować - ze sobą. Zdarzenie przedstawiało się jak zagadka psychologiczna. Nasunęło się zasadnicze pytanie: dlaczego?

Miałem przed sobą wyniki tajemniczych założeń, skutki nieznanych przyczyn. Chodziło o pobudki postępowania, o motywy ruchów. Że maszynista miał swoją rację, że w swoim ruchu postępował logicznie, nie wątpię. Trzeba tylko było wejść w labirynt obłąkania, zapuścić się bez uśmiechu „wyższości" zdrowego w jego kręte, dziwne, w półmroku wijące się krużganki. Wyprawa wydała się godna trudu. Obłąkańcy miewają nieraz wielką, smutną rację. Czyny i słowa wariatów sprawiają niekiedy wrażenie zastygłych symbolów, pod których sztywną powłoką bije życie swoiste, oryginalne a straszne zarazem. Obłąkanie - jak wszelka anomalia - to jakby protuberancja życia wyrzucona z jego nieprzeniknionych tajni nadmierną prężnością soków. Zazdrosne o swe tajemnice pandemonium bytu uchyla od czasu do czasu rąbka tajemnicy, na moment odsłaniają się przed zlęknionym okiem skłębione w dzikim chaosie wiry, rozwierają otchłanie bez dna, lub zionie chłodem bezbrzeżna, rozpaczliwa pustka. I znów kotara zapada z powrotem i wszystko układa się pod równą, gładką powierzchnią codzienności. Obłąkani to często geniusze uczucia lub myśli. Przepotężna namiętność lub ideał rozsadzają kruchą formę, pozostawiając smutno-śmieszną karykaturę (...). Problemat maszynisty, lubo przyszedł z zewnątrz, leżał w płaszczyźnie moich ulubionych zagadnień: dlatego zająłem się nim i postanowiłem go rozwikłać. Dlaczego maszynista nie chciał zatrzymać pociągu przed stacją? Pierwszym motywem, jaki nasunął mi się z chwilą wszczęcia analizy, byt motyw strachu. Lęk przed stacją?

Może był kiedyś w życiu świadkiem katastrofy stacyjnej? Może odniósł ciężką ranę, której ślady odbiły się nie tylko na organizmie fizycznym? Tu myśl skłaniała się ku rozwiązaniu w duchu klinicznym - obłąkanie Grota nosiłoby w takim razie cechy „traumatyczne". Po namyśle odrzuciłem motyw, aby przejść do przedyskutowania pojęcia stacji.

- Czym jest stacja?

Rodzajem celu, mety, której pociąg ma dosięgnąć.

Więc? - Więc strach przed celem, przed metą, przed momentem spełnień. W oddali zarysował się potężny kontur Budowniczego Solnesa na szczycie budowli z wieńcem i jego tragiczny upadek. Budowniczy Solnes - maszynista Grot... Analogia?

Stop! Nie tędy droga.

Stacja jest metą? Bezsprzecznie. Lecz z pojęciem stacji - mety może kojarzyć się uczuciowo jakiś wypadek, który zaszarpnął duszę na całe życie. Więc uraz psychiczny w rodzaju teorii Freuda z „Traumlehre"? Dobrze!

Na horyzoncie zaświtała sylwetka ukochanego brata - żołnierza i tragiczny moment zdobywania fortu-mety. O wyborze motywu postanowiła widocznie chwila, nastrój czasu, tempus belli i mimowolnie złożyłem hołd bohaterowi miecza. Potem śmierć i choroba mózgu; uraz psychiczny na tle chorobliwych przemian. Spłaciłem haracz motywowi klinicznemu.

- I to wszystko? Czy na tym poprzestać?' Za banalne, za łatwe, za płytkie.

Więc pogłębić, podnieść go na wyżyny myśli! Tu zaczęła rozwijać się ideologia Grota. Motyw pierwszy, strachu, motyw czysto uczuciowy, zawarł w sobie etiologię obłędu, stał się podstawą fizycznego zboczenia, jedną składową jego treści. Miała przyłączyć się druga i podnieść obłąkańca o całą skalę wyżej. Podłoże uczuciowe powoli przekształcało się w rodzaj trampoliny do skoku wzwyż, na górny poziom. Maszynista urósł mi w oczach.

Środowisko kolejowe, któremu zawdzięczałem temat, zaczęło domagać się swych praw. Wyczułem wpływ środowiska, w którym ważyły się losy mojego bohatera.

Grot był przecież maszynistą, kierował żelaznym potworem, który zmaga się codziennie z przestrzenią, przelatuje jak huragan po wstęgach w dali ginących szyn! Moment skupienia... mam!

- Grot lubił zdobywać przestrzeń! Problemat rozwiązany.

- Jak to? Ależ stacja? Jak powiązać ten nowy motyw ze stacją?

- Całkiem po prostu. Stacja będzie właśnie przeszkodą w urzeczywistnieniu ideału ruchu - tą wieczną kulą u nóg kolejowego Pegaza. Stop! Dobrze! Więc?

- Więc drugie uczucie wstrętu kojarzone ze strachem. Lęk i wstręt odpychają Grota od przystani kolejowych. Pozostawało ustalenie stosunku czasowego obu uczuć: które rozwinęło się wcześniej?

Trzeba było cofnąć się w przeszłość, w lata młodzieńcze maszynisty i tam szukać źródeł późniejszego obłędu. Zrodził się pomysł końcowy: Grot był jednostką zwichniętą, Lucyferem, który runął z obłoków. Dzisiejszy maszynista miał być aeronautą, miał pokonywać przestrzeń w szeroki, orli sposób. A współpracownikiem i współtwórcą jego będzie brat Oleś - ten sam, który na miesiąc przed ukończeniem dzieła zginął na blankach for tu. Wstrząs spowodowany jego śmiercią stanowić będzie wybuch (declanchement) obłędu, który przybierze formy uwarunkowane ideałami przeszłości. Grot nadal zechce zdobywać przestrzeń, lecz w miniaturze postanie maszynistą. Wielki ideał młodości ściągnie się do ram kompromisu - karykatury. A stacje - hamulce myśli, lotu, będą wiecznym memento o zaszłych zmianach, ohydnym przypomnieniem, że się zrezygnowało z czegoś co górne było i wzniosłe.

Maszynista urósł do symbolu. Grot łamiący przepisy władz, wróg konwenansu - to bojownik pędu i ruchu, nieśmiertelnego dążenia w modne dale nieskończoności. Grot z uśmiechem pogardy mijający stacje - to pielgrzym wieczysty na drogach bytu, to pątnik szalony, pijany przestrzenią, wędrowiec samotny, co się trudzi przy blaskach



gromu z okiem utkwionym w siniejące hen, hen, na krańcach świata widnokręgi...
Zasadnicze ogniwa powieści zwarły się i zamknęły w jednolity pierścień. Problemat był rozwiązany. Nasunęła się kwestia finału.
Pierwotnie chciałem zakończyć w miejscu, w którym urywała się relacja kolegi: maszynista wydalony ze służby, z rozpaczą w sercu, gubi się gdzieś w szarym tłumie zapomnianym. Po namyśle odrzuciłem tę formę jako zbyt wygodną i trochę sentymentalną. Lubię pointę na końcu utworu - jestem zwolennikiem silnych finałów. Logika utworu nasunęła mi obecne rozwiązanie. Zwolniony z-obowiązków Grot opanowuje przypadkiem szybującą maszynę i wyrusza w świat w ostatnią swą wędrówkę, z której już nie wróci. Urzeczywistniając nareszcie ideał jazdy bez postojów, runie w paszczę śmierci - najwyższej realizatorki ideałów...
Nowela była gotowa. Pozostawało rzutowanie na papier, forma, styl.
Postanowiłem mieć jeszcze wywiad u kolegi kolejarza i zapytać go o szczegóły przesłuchania. Szczęście mi sprzyjało: w parę dni potem spotkałem go w tramwaju. Na notesie, wśród podrzutów wagonu, naszkicowałem dość bezładny szereg pytań, których porządek wypadł mi już z pamięci.
Dossier historii o Grocie zdobyłem w ciągu paru minut. Z kolei zwróciłem się o poradę fachową do mego szwagra, Wiktora Sankowskiego, technika z zawodu. Narysował mi dokładny model maszyny i wyjaśnił funkcjonowanie jej części składowych. Wchłaniałem uważnie wykład, przyswajając sobie na miejscu wyrażenia techniczne.
Wreszcie kazałem się zaprowadzić znajomemu kolejarzowi w labirynt szyn i zwrotnic przed dworcem dla wywołania potrzebnego nastroju.
Zdobywszy w ten sposób tworzywo i nieodzowny materiał, przystąpiłem do pisania utworu.
Ta ostatnia część pracy poszła już łatwo, gdyż nie napotykam zwykle w ciągu pisania większych trudności. Najcięższe zadanie było już poza mną. Architektonikę noweli miałem w głowie, wykończoną w szczegółach. Realizacja na papierze nie wniosła nic nowego, prócz drobnych przestawek i zmian w scenie przesłuchania. Tak więc humorystycznie fikcyjne nazwiska kierownika pociągu i palacza podane przez Grota są moją własnością, podobnie jak seria i numer maszyny: 0 i ∞ owiązane z ideą utworu.
Przebieg całej indagacji przedstawiłem samodzielnie, stylizując celowo pytania i odpowiedzi. Układ noweli wynikł z jej treści i na ogół utrzymany jest w porządku chronologicznym zajść. Stosunkowo dłużej zastanawiałem się nad uwerturą utworu, by wreszcie zacząć depeszą zwracającą uwagę na maszynistę. W ten sposób – sądzę zyskał utwór na poincie, budząc od razu zaciekawienie czytelnika. Lecz przejdźmy do kwestii stylu.
Zdaje mi się, że tętnią w nim dwa naczelne motywy, na których bardzo mi zależało: motyw ruchu wartki, wichrowy i drugi, operujący abstrakcjami biały, geometrycznie ścisły motyw ideowy. Może wyrażam się niejasno, lecz subtelności stylu tkwią zbyt głęboko, konieczne jest wyczucie osobiste. Czytałem po raz pierwszy nowelę w gronie przyjaciół i spotkałem się z uwagą.
- Utwór sprawia wrażenie wizji.
Jeśli tak jest istotnie, właściwość tę zawdzięcza „Maszynista Grot" właśnie motywowi ruchu, którym przepoiłem go od początku do końca. Pęd płynący z utworu udziela się czytelnikowi, który widzi wszystko w tempie przyspieszonym, niby błyskawicę. Ruch wywiązuje się z podłoża ideowego i z terenu, ze środowiska, w którym rozgrywa się tragedia maszynisty. Samo nazwisko jego krótkie i cięte przeszywa lotem prującego przestrzeń pocisku.
Spowiedź skończona. Chyba nadmienię jeszcze, że kolej lubię bardzo i jeżdżę z upodobaniem: swego czasu nosiłem się nawet z zamiarem wstąpienia w jej służbę. Była dla mnie zawsze symbolem życia i jego ogniście pulsujących tętn - symbolem demonizmu - ruchu, przepotężnej siły, znikąd rodem, co pędzi światy przez międzyplanetarne przestworza w kręgach wirów bez początku i końca - symbolem nikłym wprawdzie i miniaturowym w stosunku do pierwowzoru, lecz nie mniej drogim, bo swoim, bo ludzkim, bo ziemskim.
„Maszynista Grot" uświadomił mi go w pełni i zachęcił do stworzenia cyklu pt. „Demon ruchu", w którym zajął miejsce poczesne.

Druk za: „Skamander" 1920, zesz. 1-3, ss. 196-112

Włodzimierz Majakowski. Twórca oratorskiej poezji, która zaskakuje oryginalnością rymów, dynamiką, łatwością w dotarciu do słuchacza. Autor poematów „Dobrze!", „Włodzimierz Iljicz Lenin", „Obłok w spodniach". Poeta - marzyciel, rewolucjonista. Dziś - klasyk. Bohater 13-tomowej edycji „Dzieł zebranych". Recytowany w szkołach na uroczystych akademiach. Człowiek - pomnik. Jakiś daleki, obcy, jakby nie z tej epoki.

Pisarz spotykający się z otwartą wrogością ze strony prasy, toczący walkę z chorobą grożącą utratą głosu, uwikłany w tragedie osobiste. „Towarzysze nie posądzajcie mnie o brak charakteru. Serio - nic się nie da zrobić" napisze w pożegnalnym liście na dwa dni przed samobójczą śmiercią 14 kwietnia 1930 roku. Wiktor Szkłowski porówna go później do „stalowego mostu, który załamał się, kiedy przeszła po nim miarowym krokiem kolumna mrówek"...

EKSPERYMENT MAJAKOWSKIEGO

Majakowski mniej znany, „odbrązowiony"; po prostu inny niż w podręcznikowych portretach, czytankach i antologiach to człowiek zmagający się z tysiącem przeciwieństw, napaści o charakterze osobistym, atakowany przez kolegów ze środowiska literackiego, którzy otwarcie napiętnowali jego anarchizm i indywidualizm. Człowiek pokonujący rozliczne trudności w wydawnictwach, gdzie kierownicze stanowiska zaimowali jego przeciwnicy oburzeni niezależną postawą i odwagą cywilną poety.

Majakowski mniej znany to także dramaturg, autor „komedii fantastycznych", m.in. „Pluskwy", której wznowienie ukazało się właśnie nakładem Wydawnictwa Literackiego w tłumaczeniu nieżyjącej już reżyserki Lidii Zamków. Majakowski prekursorem radzieckiej utopii naukowej? Ależ tak! . Można dowodzić, że fantastyka jest u niego rodzajem literackiego kostiumu, a sam utwór pełni wyłącznie funkcje satyryczne piętnując relikty mentalności mieszczańskiej, które siłą przyzwyczajenia przenikają do nowo powstającego społeczeństwa radzieckiego. Jest to prawda, ale tylko częściowa. Akcja drugiej części komedii rozgrywa się w roku 1979 demaskując postawę Prysypkina „byłego robotnika (...) przeniesionego z woli autora do ustroju przyszłości, gdzie zostaje przyjęty jako odrażający eksponat dawno minionej epoki". „Pluskwa" to całkiem realna próba prognozy literackiej, wymodelowania losów świata ogarniętego historią zbiorowych wojen, w którym mimo wszystko triumfuje sprawiedliwość, a opamiętani w swej zapalczywości ludzie ustanawiają Federację Ziemi i dekretem z 7 listopada 1965 roku gwarantują wzajemną nietykalność życia. N Majakowski - dramaturg to postać szczególna. Posłuchajmy, co pisze o nim słynny reżyser radziecki Wsiewołow Meyerhold, który wystawił „Pluskwę" na deskach teatru moskiewskiego w roku 1928: „Spotykałem się często z zarzutem, że mam jakąś słabość do Majakowskiego, ze Majakowski nie ma powołania do dramaturgii. Tymczasem autor „Pluskwy" drażnił po prostu swoją niepospolitością, drażnił dlatego, że naprawdę opanował żywioł wielkiej sztuki. Był człowiekiem o głębokiej kulturze. Świetnie władał językiem, kompozycją, kapitalnie wyczuwał prawa sceny. Rozumiał co to teatr. Umiał nim rzą-

---

PISARZ, PISARZ!

Przyjdzie mi kiedyś to zrobić - napisać traktacik o tym jak w młodej polskiej prozie SF przeglądają się cechy osobiste, doświadczenia, nawet zawód uprawiających ją autorów. Dlaczego właśnie młodych? Znam ich lepiej, a poza tym to dla młodych, nie starych, stała się fantastyka sposobem (okrężnym, czasem i zastępczym) spisywania pokoleniowej biografii. Starsr wyśpiewują się przy pomocy innych technik, poetyk, konwencji.

Czasem, przed zaśnięciem, wyobrażam sobie quiz dla fanów, którzy rozpoznają autorów tekstów po lekturze parunastu zaledwie linijek ich prozy. Teksty wyniosłego, barwnego, chadzającego własnymi ścieżkami Oramusa. Intrygującą, choć częściej jeszcze irytującą prozę nieco gruboskórnego - Krzepkowskiego. Wypolerowane warsztatowo pisarstwo eleganta - Sawaszkiewicza. Brawurowe, chciałoby się rzec, zachodnie, fabularne szarże entuzjasty Baranieckiego. Barokowe wizje Żwikiewicza, który, jako jedyny zresztą z tu wymienionych, nie przypomina pisanej przez siebie literatury. Jest Żwikiewicz człowiekiem rzeczowym, podobnie jak na przykład logiczny i precyzyjny Zajdel, ale - w przeciwieństwie do Zajdla - w prozie wypowiada się przez formy splątane, bogate, duszne i mimo że smakowite, to jednak trudne w czytaniu.

I wreszcie gdzieś wśród tych, których pisanie jest jak ich osobowość i życie, znalazłby się wcale nie trudny do zidentyfikowania, znany publiczności z opowiadań drukowanych w prasie, Andrzej Zimniak. Fanowie poznaliby go właśnie po opowiadaniach - dyskretnych, ciepłych, unikających rewolwerowej akcji, po powstającej najwyraźniej w odosobnieniu życzliwej refleksji nad światem. Takiej jakiej może się oddawać doktor nauk chemicznych, naznaczony marzeniem o uprawianiu literatury, wiodący blady żywot młodego polskiego naukowca.

Zatrzymajmy się przy Zimniaku, przy „Szlakach istnienia", wydanym właśnie zbiorze jego trzynastu opowiadań, powstałych między sierpniem-79 a majem-81. Jest to proza interesująca, osobista, ale chwilami jest to ściszone mówienie tylko do siebie o problemach może i ważnych, lecz podanych nieefektownie. „Porządek i prawidłowość w zjawiskach, które nazywamy przyrodą, wprowadzamy sami, to znaczy wprowadza je} natura naszego umysłu" - takim oto mottem z Kanta otwiera Zimniak swój zbiór. Motto jest dobre, rzeczywiście tropi Zimniak nową, prawdziwą chciałoby się powiedzieć, naturę materii i ducha, szuka tego, co w naszej dotychczasowej interpretacji/natury umyka. I tam gdzie prowadzi swą grę ze znanym i nieznanym za pomocą opowieści fabularnych („Zręby władzy", „Pojedynek", „Kuracja", „π = 3,13", „Tchnienie szaleństwa", a nawet „Baśń o błędnych ognikach" czy może „Schronisko") - tam odnosi sukces. Natomiast gdy próbuje nakłonić czytelnika do sennej kontemplacji statycznych wizerunków materii, oglądanej jakby pod elektronowym mikroskopem, gdy wprowadza na scenę stwarzających materię nieokreślonych demiurgów - wtedy, wydaje mi się, zostaje sam, a czytelnik odkłada opowiadania w znużeniu.

Kiedy wykłada nam Zimniak w barwnie opowiedzianej historyjce o walce o władzę duchów hibernowanych ludzi, kiedy buduje z narastającym napięciem opowieść o buncie roślin usuwających ludzkość z powierzchni ziemi w podobny sposób, w jaki nasze białe ciałka radzą sobie z bakteriami, kiedy tropi klimatyczne kataklizmy wywołane rozładowaniem ludzkich emocji - skłonni jesteśmy pójść na pasku jego pisarskiej fantazji. Więcej, mamy wrażenie, że coś nam Zimniak z codzienności przypomniał, że puścił na nią światło pod nowym kątem, czyniąc widzialnymi kształty i kontury dotąd zatarte. Natomiast gdy rozprawia o materii jak nawiedzony kosmolog, ukazując ją gniecioną paluchami nieokreślonych bogów, gdy w opowiadaniu tytułowym nadmienia unikowo o „bytach odrażających, pełnych okrucieństwa i wyuzdania" - nie wytwarza się żadna magia, czar nie działa. Niejasna jest na dodatek, nie przemyślana pozycja narratora w tych tekstach kosmologicznych. Kto to mówi? I komu? I przez kogo jest wysłuchiwany? I tak w czytelniku co bardziej świadomym możliwości, ale i ograniczeń literatury, narasta westchnienie: „Mniej chemika, więcej pisarza..." Kibicujmy więc w Zimniaku pisarzowi, bo kiedy wygrywa chemik, bywa nie najlepiej.

Zwłaszcza, że podobne kosmologiczne opowiadanka można było parę lat temu znaleźć w każdym niemal tomiku. Ostatnio - „Element ryzyka" w zbiorze „Kosmiczny kalejdoskop" Boba Shawa. U Shawa jest to przynajmniej dowcipnie zakończone, ale i tak pozostaje historyjka największym w jego książce nudziarstwem. Problem polega na tym, że niby jest to wizja, niby poszukiwanie, niby zadawanie pytań i tropienie najgłębszych tajemnic bytu, ale jednocześnie jest to typowa robota i poru-

dzić. Technikę budowy jego sztuki charakteryzowały właściwości, które trudno było opanować reżyserom wychowanym na Czechowie, Tołstoju, Turgieniewie. Jestem głęboko przekonany, że gdyby Majakowski żył. byłby najwybitniejszym dramaturgiem współczesnym właśnie dlatego, że sztuka sceniczna chce rozwiązywać problemy dnia dzisiejszego przesycone przyszłością. Teatr nie znosi bowiem zastoju i bezruchu". Tyle Meyerhold. A my dodajmy, że problematyka fantastyczna dominowała we wszystkich sztukach Majakowskiego, począwszy od groteskowego „Misterium buffo", kończąc na „Łaźni", gdzie pojawia się znamienny rekwizyt - maszyna czasu kierowana przez „kobietę przyszłości" dobierającą najwartościowszych ludzi XX stulecia, aby przenieść ich w erę nadziei i wolności... Czy eksperyment zakończy się powodzeniem? Na scenie - tak. A w życiu? W życiu bywa różnie. Niekiedy ci najwartościowsi właśnie przegrywają.

Andrzej Niewiadowski

W. Majakowski: *Pluskwa,* (komedia fantastyczna w dziewięciu obrazach). Przełożyła L. Zamków, posłowie R. Szydłowski. Wydawnictwo Literackie Kraków 1983. Cena 80 zł.

---

szanie się szlakiem przetartym. Krótko mówiąc - szu kanie pod latarnią nie dlatego, że tam się zgubiło, albo że ma się nadzieję znaleźć, ale dlatego, że jasno i wszyscy tam właśnie szukają.
Jest w zbiorku parę opowiadań, które robią wrażenie i dają się polubić mimo uzasadnionych zastrzeżeń. W sympatycznej historyjce o n, które zmienia wartość, cały świat poczyna płynąć, materia zmienia parametry i właściwości, ale - uwaga! - pisarz-narrator i jego bohaterowie mówią językiem, który nie zmienił geometrii ani brzmienia. Fakt, opowiadanie jest dzięki temu bardziej czytelne, ale logiczne to nie jest.
Wyszła ocena trochę surowa. Na szczęście zbiór „Na szlakach istnienia" nie stanowi ostatniego słowa Zimniaka. Na przykład Czytelnicy „Fantastyki" znają dwa jego nowsze opowiadania („Umarł w butach" i „List z Dune"). Jest to już bardzo sprawna proza. Autor nie tracąc tego, co najlepsze w jego tonie, a co ujawnione w „Szlakach istnienia", nie tracąc więc swej nieco jakby zadumanej i smutnej powagi - zmierza do sedna, do stawiania pytań o naturę naszego świata i światów, które nas otaczają ale czyni to krokiem pewniejszym i bardziej wdzięcznym. A literacko i intelektualnie „List z Dune" na przykład swobodnie wytrzymuje porównanie z każdym tekstem z wcześniejszego okresu Zimniaka, a także z tym co robią najlepsi autorzy jego generacji. Pisarz i chemik nareszcie sprawiedliwie rozdzielili strefy wpływów - może być dobrze.

Maciej Parowski

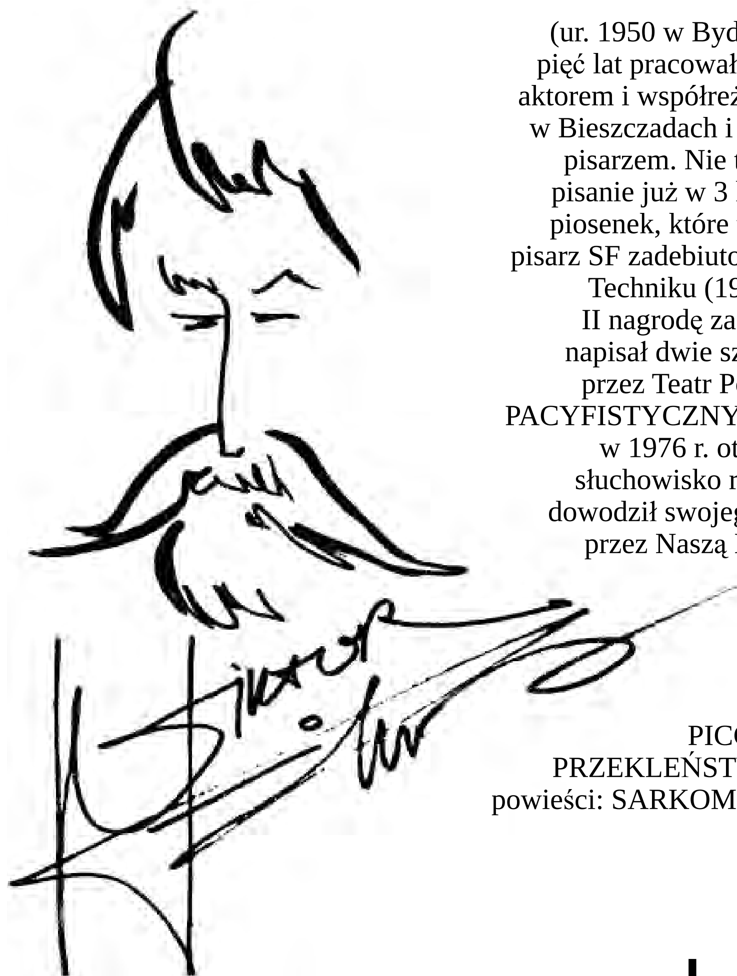
Andrzej Zimniak: *Szlaki istnienia.* Sera „Stało się jutro". Nasza Księgarnia, Warszawa 1984. Cena 60 zł

Nie tylko dobra zabawa

Przygotowujmy, czytamy i krytykujemy tysiące przeróżnych wykazów i zestawień Klasyfikujemy i sami jesteśmy klasyfikowani. Przyzwyczailiśmy się do list i przestaliśmy dostrzegać nonsens ich samych i kryteriów, które nimi rządzą Nikogo nie powinna więc dziwić książka Maxima Jakubo wskiego i Malcolma Edwardsa „The Complete Book of Science Fiction and Fantasy Lists". Warto poświęcić nieco czasu jej omówieniu, tym bardziej, że jest to książka pozornie bardzo zwykła. Ot, po prostu rodzaj encyklopedycznego przewodnika po literaturze fantastyczno-naukowej, nieco chaotycznego, ale pouczającego. Przewodnik taki może być przydatny krytykowi, który bez wysiłku odnajdzie w nim 20 definicji literatury SF podanych przez pisarzy i wydawców: Briana Aldissa, Kingsleya Amisa, Isaaca Asimova, Hugona Gernsbacka i in. Studiując te definicje jesteśmy jednak coraz bardziej dalecy od zrozumienia pojęcia „science fiction". Najpełniejsze i najbardziej fascynujące określenie podaje chyba Frederik Pohl, mówiąc: „To ta rzecz, którą ludzie nomicznych dochodów, a o honoraria polskich wskazując na coś i mówiąc to właśnie jest fantastyka naukowa".
Teoretyka interesować będą definicje, krytyka filmowego - lista stu najbardziej kasowych filmów dwudziestolecia z wyszczególnieniem dochodów, jakie przyniosły (stan na grudzień 1981). I tak „Wojny Gwiezdne" zarobiły dla swego producenta 185 min 138 tys. dolarów zajmując pierwszą pozycję, na drugim miejscu znalazł się film „Imperium kontratakuje" (przeszło 135 min dolarów), na trzecim „Poszukiwacze zaginionej Arki" (90 min dolarów) „Młody Frankenstein" Mela Brooksa zajmujący miejsce 11 (niemal 39 min) wyprzedził „The Shining" Kubricka (nieco ponad 30 min), lecz przegrał o jedno miejsce z „Obcym" Ridleya Scotta... Co prawda lista ta po ukazaniu się „ET" i „Poltergeist" straciła nieco na aktualności, cieszy jednak fakt, że na ekranach polskich kin obejrzeliśmy wszystkie najlepsze i najbardziej kasowe filmy, za to żadnego z „czarnej listy klęsk", na której dość nieoczekiwanie znalazły się - szeroko reklamowane i obsadzone gwiazdami - „Xanadu" (pozycja szósta, strata 3 mln dolarów).
Książka Jakubowskiego i Edwardsa wydaje się przy pierwszej lekturze zwykłym katalogiem informacyjnym. Ale to tylko złudzenie. Książkę tę czyta się lekko, wręcz znakomicie. Zwyczajem amerykańskim (Wańkowicz nazywał to „odśmianiem") w jej punktach strategicznych umieszczone zostały dowcipy. I tak na przykład kilka klasyfikacji ma wyłącznie zabawowy charakter Jest wśród nich znakomita kłótnia na punkty dotycząca „książek nieczytelnych i przechwalonych", na którą Malcolm Edwards wpisał m.in. „The Gods Themselves" Asimowa i „Valis" Dicka, prowokując pełną oburzenia i ironii replikę Jakubowskiego, rewanżującego się powieścią Ursuli Le Guin - „The Disposessed" Podobny charakter nosi, ułożona przez Maxima Jakubowskiego, lista „dziewięciu ulubionych rozbieranek filmowych", świadcząca - nawiasem mówiąc - o znakomitym guście autora. Znalazła się na niej Julie Christie (podglądana przez komputer podczas kąpieli w filmie „Demon Seed"), Sigourney Weaver z „Obcego'1 i Jessica Lange z „King Konga". Każda scena została dokładnie i zabawnie opisana.
W pewnym momencie lektury tej zabawnej, pełnej przygód 350 stronicowej książki zaczynamy jednak myśleć. O ile lista kasowych filmów ma sens, bo w końcu na całym świecie powodzenie tomu mierzy się długością kolejki pod kinem, o tyle podsumowanie dochodów najlepszych autorów science ftction może budzić niejakie wątpliwości. Co nam po informacji, że Asimov sprzedał najnowszą książkę „Foundation Edge" (czwartą część cyklu „Foundation") za 500 tys dolarów, że najlepiej zarabiający pisarz SF Arthur C. Ciarkę jako pierwszy w tej dziedzinie zainkasował honorarium siedmiocyfrowe (okrągły milion za tandem „2001 -Odyseja kosmiczna" - „2010-Odyseja druga"), czy też fakt, że najwyższy do tej pory jednorazowy dochód osiągnął Frank Herbert za 5 powieści z cyklu „Dune" (1,5 mln dolarów + milion za prawa filmowe do pierwszej powieści cyklu) i za te pieniądze kupił sobie wyspę. W końcu arcydzieła literatury nie przynoszą jednak astronomicznych dochodów, a o honoraria polskich autorów science fiction lepiej nie pytać, r. I w tym momencie dochodzimy do sedna sprawy. Trafiamy na ślad rzeczy oczywistej, o której istnieniu jakże często zapominamy. Chodzi o miejsce fantastyki naukowej we współczesnej kulturze. Nie mam zamiaru rozstrzygać skomplikowanych kwestii socjologicznych Nie roszcząc sobie prawa do szczególnej oryginalności chciałbym jednak przypomnieć: fantastyka naukowa należy do literatury popularnej jako gatunek i nic nie jest w stanie zmienić tego stanu rzeczy. Zapomnijmy przez chwilę o wszelkiego typu klasyfikacjach. Literatura bowiem nie dzieli się na fantastykę naukową, kryminał, powieść psychologiczną, społeczną czy jakąkolwiek inną. Literatura nie dzieli się nawet na dobrą i złą. Pomiędzy tymi biegunami istnieje wiele książek średnich, przeznaczonych dla czytelnika masowego, wydawanych w formacie pasującym do zewnętrznej kieszeni marynarki, czytywanych w metrze i w pociągach. Losem literatury fantastyczno-naukowej jest masowy nakład, kiepski druk, krzycząca okładka, banalność fabuły, schlebianie publiczności. Z drugiej strony - ironiczny stosunek do świata i samej siebie, kpina z „typowego czytelnika", dość komfortowe poczucie władzy („ mam wielki nakład") i idące w parze przekonanie „wszystko mi wolno, byłem zarobiła pieniądze". Wszystko to pomaga uświadomić na nowo książka Jakubowskiego i Edwardsa Można pisać tomy o artyzmie prozy Wiliama Goldinga, lecz któż wpadnie na szatański pomysł wytykania mu błędów rzeczowych? A jednak właśnie książka Goldinga - „Władca Much", trafiła na listę tychże błędów z powodu... okularów Prosiaczka, które służyły do zapalania ogniska (szkła korekcyjne dla krótkowidzów rozpraszają przecież promienie słoneczne!). Jest to zupełnie niezła ilustracja faktu, że powieść fantastyczno-naukowa będzie zawsze powieścią popularną, jeśli zaś staje się arcydziełem (przykład Goldinga) przestaje być fantastyką naukową, bo ocenia się ją na podstawie innych zupełnie kryteriów. Inna rzecz, że w Polsce trudno to zauważyć. Brak nam właśnie książki przeciętnej. I z zupełnie zrozumiałych względów szukamy arcydzieł, przechodząc do porządku dziennego nad zalewającą nas masą tandety. Fakt, że bez książki „średniej" nie urodzi się arcydzieło, zupełnie nas nie martwi. Mało kto zdaje sobie w pełni sprawę z tego, że stwierdzenie Lema z posłowia do „Ubika" Dicka jest odwracalne: nie tylko arcydzieła demaskują książki przeciętne, lecz także książki przeciętne demaskują arcydzieła. Tymczasem, niezależnie od kryzysu poligrafii, braku papieru i rozpadających się maszyn jedynemu polskiemu „paperback writerowi" - Bohdanowi Peteckiemu niemal wcale nie poświęcamy uwagi Sytuacji nie są w stanie uratować nawet przekłady, skoro brak wśród nich (z wyjątkiem Boba Shawa) - przyzwoitej konfekcji.
I w ten sposób książka Edwardsa i Jakubowskiego nabiera znaczenia zgoła nieoczekiwanego. Autorom nie śniło się zapewne, że piszą wielką pochwałę literatury science fiction Za jej bogactwo - i za jej tandetność. Jedną z bardziej pouczających list jest obszerny zbiór cytatów zatytułowany „Milowe kamienie złej science fiction". Jakże nudny byłby świat, gdyby istniały w nim same tylko arcydzieła.

Krzysztof Sokołowski

M. Edwards i M. Jakubowski: The Complete Book of Science Fiction and Fantasy Lists. Granada, London 1983.



Wiktor ŻWIKIEWICZ
(ur. 1950 w Bydgoszczy) jest z wykształcenia technikiem geodetą. Przez pięć lat pracował w swoim zawodzie, potem był plastykiem zakładowym, aktorem i współreżyserem sztuk w teatrze studenckim, tragarzem, drwalem w Bieszczadach i archeologiem-zwiadowcą. Przede wszystkim jednak jest pisarzem. Nie twierdzi, że był cudownym dzieckiem, lecz zaczął ponoć pisanie już w 3 klasie szkoły podstawowej. Pisywał wiersze oraz „teksty piosenek, które teraz zdarza mu sie wykorzystywać w powieściach. Jako pisarz SF zadebiutował opowiadaniem „ZERWANE OGNIWO" w Młodym Techniku (1971). W 1973 r. otrzymał w konkursie Młodego Technika II nagrodę za opowiadanie „WOŁANIE NA MLECZNEJ DRODZE", napisał dwie sztuki teatralne nagrodzone w konkursie zorganizowanym przez Teatr Polski w Bydgoszczy („TANIA JATKA CZYLI SMĘTEK PACYFISTYCZNY" oraz „BIJCTE BRAWO, OBYWATELE"), a następnie w 1976 r. otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie ogólnopolskim za słuchowisko radiowe „W CIBNIU SFINKSA". W latach 1976, 77 i 78 dowodził swojego literackiego istnienia tomikami, wydawanymi kolejno przez Naszą Księgarnie: PODPALACZE NIEBA", „HAPPENING W OLIWNYM GAJU" oraz „SINDBAD NA RQM 57".
Po długiej, aż czteroletniej przerwie, w Wydawnictwie Poznańskim ukazała się „DRUGA JESIEŃ". W wydawnictwie Pomorze złożył książki: „DELIRIUM W THARSYS" (przew. 1984) i „KOSMODRAM MACHU PICCHU" (przew. 1985), w Naszej Księgarni ‚BALLADĘ O PRZEKLEŃSTWIE". Obecnie dopracowuje równocześnie dwie kolejne powieści: SARKOMA II" oraz „UNTWERSUM DLA SYNÓW BRUEGLA" (tyt. roboczy)

Człowiek, którego nie ma

Z Wiktorem Żwikiewiczem rozmawia Andrzej Krzepkowski

Andrzej Krzepkowski: *- Dlaczego twierdzisz, że właściwie Ciebie wcale nie ma?*

Wiktor Żwikiewicz: - Przesada. Jem, piję, oddycham, czasami myślę. Nie ma mnie tylko dla czytelników.' To, co dawno napisane teraz się prawie nie liczy. Nie ma nowych książek, więc nie ma i autora.

- Piszesz przecież cały czas.

- Od pisania do wydania... Na przykład kiedy rozmawiam z kimś o „Drugiej jesieni" czuję się trochę tak, jakbym rozmawia* ze sobą sprzed siedmiu lat. Bo przecież napisałem tę książkę w 1976 roku. Z sobą t e raz zawsze jestem sam. Zdany przede wszystkim na autorecenzje i autoanalizy. To w dużej mierze wynika z naszego systemu wydawniczego, w którym funkcjonuję jako prywatna, od nikogo niezależna oficyna, wydająca maszynopisy w jednym egzemplarzu. Taki maszynopis czeka potem na oceny większej liczby ludzi przez parę lat.

- W jaki sposób wpływa na ciebie pisarza - świadomość tej samotności, ciągłego wyprzedzania czasu „oficjalnego zaistnienia przez twój czas prywatny?

- W żaden.

- Mówisz o autorecenzjach. Wiadomo też, że nie wystarczy czytać SF, żeby ją pisać. Trzeba sięgać po książki autorów spoza gatunku, znać krytykę...

- Nawet jeżeli istnieje krytyka literacka i opracowania naukowe dotyczące SF, to mało mnie to obchodzi.

- Świadomość własnej siły czy kokieteria?

- Ani jedno, ani drugie. Raczej szukanie luzu psychicznego. Gdyby człowiek bezustannie koncentrował się na procesie trawienia, dostałby obstrukcji, albo i jeszcze gorzej. Należy po prostu robić swoje nie pytając, o wytyczne.

- Rozumiem, że pisanie fantastyki jest dla ciebie synonimem warsztatowej swobody.

- Tak. Tutaj czuję się zupełne swobodnie. Za to w literaturze rozumianej ogólnie jest mi raczej ciasno. Mądre literaturoznawstwo stwarza kanony zbyt sztywne. I na domiar złego produkuje wciąż nowe. Bez przerwy. Ciężko jest się wyrwać z takiej klatki.

- Wiec można zaryzykować twierdzenie, że pisanie SF uważasz za swoje prywatno-literackie wariacje na ściśle określony temat?

- Co do wariacji, zgoda. Jeżeli mam pisać fantastykę, to muszę być zdolny do świadomego szaleństwa, do paradoksalnie logicznego modelowania problemów nie tylko nie istniejących, ale i wręcz niemożliwych. Zgodzę się z tobą również, jeżeli za ten „ściśle określony temat" uznasz cały Wszechświat. Oczywiście wcale nie marzę o zawarciu całego universum w jednej opowieści. Takich rozwiązań nie lubię. Przypominają konstruowanie gigantycznych symfonii na instrumenty dęte. A przecież starczy sobie ot, cichutko zaświergotać, zakwilić...

- Biedactwo... Hm, znaczy, odstępujesz od zasady stwarzania światów spójnych pod każdym względem na rzecz. lokalnej ciągłości tego fragmentu prima-universum, który w danej chwili opisujesz? To przecież żadna nowość.

- Dla ciebie na pewno. Ale nie o to mi chodzi, nie jestem eksperymentatorem za wszelką cenę. Te wizje szczegółowe i dopieszczone w każdym calu uważam za puste. Autorom pełnym inwencji w stwarzaniu rekwizytów i w ich wzajemnym dopasowywaniu rzadko wystarcza sił na dopracowanie osobowości. Na tworzenie bohaterów, którzy nie byliby tylko rekwizytami w te| gigantycznej rupieciarni. Cała współczesna SF jest nastawiona na produkcję bezludnych klatek wyobraźni, skorup przyszłości, reprintów sfery Dysona

- Ostro! Praktycznie zaprzeczasz wszystkiemu, co do tej pory zostało napisane. A Bradbury i Vonnegut? A Strugaccy? A wieloznaczność i niedookreśloność światów Dicka ?

- Zgoda. Ale zajrzyjmy teraz do literatury w ogóle. Możesz ze wszelkich zapisków wymazać w tej chwili nazwisko Homera. Czy to w czymkolwiek przeszkodzi Odyseuszowi? Wykreślisz nazwisko Szekspira. Ale Hamlet nadal będzie wygłaszał swój monolog ze wszystkich scen świata, ale Lady Makbet nadal będzie uprawiać swój zyskowny proceder. Własnym, od autorów już niezależnym bytem są postacie Winnetou i kapitana Nemo, żyją Trzej Muszkieterowie i doktor Faust, Kmicic, Rewizor, Raskolnikow, Bracia Karamazow... Tymczasem w polskiej SF - o paradoksie! najwięk-

szą i właściwie jedyną osobowością rozporządza ocean z Solaris.

- Chyba tylko przy stosowaniu kryteriów objętościowych.

- Nie! Reszta bohaterów nie została skrojona nawet na miarę Winnetou.

- Spostrzeżenie bardzo ciekawe i z rodzaju tych, z którymi nie zgadzać sie trudno. Wydaje mi się jednak, że zbytnio generalizujesz problem, a jednocześnie usiłujesz wepchnąć go w zbyt ciasne ramki. Może wcale nie chodzi o stwarzanie pojedynczego superbohatera ?A ponadto nawet nie wiemy, jak przeciętny czytelnik w innym kraju odbiera osobowości bohaterów książek. Ba! Może nawet wielu polskich czytelników zamiast Winnetou czy Raskolnikowa woli Froda Bagginsa ?

- A któż to jest!?

- Główny bohater opowieści Tolkiena. Od niego zależą przecież losy całego świata zawartego w Trylogii.

- Właśnie! Świata Tolkiena! Każdy miłośnik SF w Polsce zna nazwisko-symbol: Tolkien. A ilu z nich zna samego Froda Bagginsa? Tymczasem każdy czytelnik literatury klasycznej zna przede wszystkim Don Kichota, choć nie każdy pamięta, kto tę książkę napisał. A ja mam w życiu jedno ciche pragnienie: stworzyć kiedyś taką O SOBOWOŚ.Ć, przy której można byłoby zapomnieć o niejakim Żwikiewiczu.

- Już dwa razy zdarzyło ci się mówić o SF i o literaturze „w ogóle". Czy uważasz ten podział za słuszny?

- Dzisiaj tak. Jutro będę się z tego śmiał. Literatura „w ogóle" zostanie zmuszona do popełnienia mezaliansu, do przyswojenia sobie pozytywnych cech fantastyki naukowej. A SF musi się nauczyć jeszcze bardzo wielu rzeczy z tradycji literatury. Zawsze tak jest, że przyszłość należy do mieszańców. Są inteligentniejsi.

- Każdy człowiek - choćby i podświadomie - pragnie siebie gdzieś umiejscowić. Czy sam siebie lokujesz w gronie literackich „mieszańców"?

- Nie wiem. Wszystko, co mam - ewentualnie mądrego - do powiedzenia, po prostu zapisuję. Nie uważam, że posiadam jeszcze jakieś ukryte głębie, z których coś mi zostaje po napisaniu powieści. Ja istniejący - to książka przed czytelnikiem. Jestem uczciwy, wypruwam z siebie wszystko. Ale na razie moje dzieci są w biurku, w drukarni, w cenzurze - czyli nigdzie. Będą, to i ja będę. Czy to, co piszę, jest „pełnym głosem" oceną czytelnicy. Lecz nie na podstawie wywiadu. A poza tym każdy powinien znać swoje miejsce: skoczek skacze, wróbel fruwa, uczony myśli, działacz gada, polityk też robi swoje. Pisarz powinien pisać.

- Wróćmy do literatury „w ogóle". Co w niej cenisz?

- Głębię Dostojewskiego, ostrość Czechowa, męskość i siłę opowieści Hemingwaya, potoczystość fabuł Sienkiewicza.

- Zbyt konsekwentny nie jesteś. Wymieniłeś ludzi znanych miedzy innymi i dlatego, że pisali jeżykiem pięknym, ale prostym. Sam używasz jeżyka aż przebogatego, zawiłego, wręcz barokowego. Łatwo się w takiej opowieści zagubić, jeszcze łatwiej posądzić autora, że sam nie wie, czego chce.

- Słusznie. Ale ja odgraniczam to, do czego dążę od tego, co już poroniłem. Znam wspaniałe ideologie, zasady moralne plany i programy, które w praktyce nie są nawet funta kłaków warte. I dlatego ja osobiście jestem w o wiele, lepszej sytuacji niż jakikolwiek dogmat. Posiadam świadomość. A ta jest elastyczna i sama siebie organizuje. Jeżeli zarzuty pod swoim adresem przemyślę i choć w części uznam za celne, to mam przecież natychmiastową moc sprawczą. Wystarczy długopis i będzie lepiej. Z drugiej strony: zawsze będę pisał tak, jak mi pasuje. A więc przede wszystkim plastycznie.

- Plastyka jest cacy. Tu chodzi o dygresje, o „motanie" logiki.

- I co ja poradzę na to, że mam tylko 171 centymetrów wzrostu? Mogę podskoczyć. Fakt. I na pewno podskoczę wyżej, niż na to wyglądam. W mojej naturze leży tworzenie węzłów gordyjskich, świadomość podpowiada, że najlepiej rozwiązywać je brzytwą. Usiłuję znaleźć sposób pisania, który •pozwoli mi nie zakładać temu co robię żadnej pętli na szyję. Chcę istnieć, czyli pisać. Chcę pisać dla siebie. Ale to wcale nie znaczy, że nie wiem o paru tysiącach czytelników zaglądających przez moje ramię w tę wypisywaną intymność.

- Ot, i doszliśmy do twórczego credo. Chciałbyś klarowność myśli i wehikularność jeżyka godzić w jednym zdaniu z jego poetyckim brzmieniem. Nie ty pierwszy. A sam siebie stawiasz w sytuacji gorszej, niż spece od zamykania wyobraźni w klatkach. Twój sposób pisania zdecydowanie utrudnia porozumienie czytelnika z autorem. Nie twierdze, że SF powinna być literaturą lekką, łatwą i przyjemną, ale...

- ... ale Żwikiewicz jest krnąbrny. Dobrej woli potrzeba z obu stron. Staram się o klarowność, od czytelnika pragnę w zamian odrobiny zaufania. Naprawdę nie piszę tylko dlatego, że nic innego robić nie potrafię. Mogę rąbać drewno i też będzie mi dobrze. A jeżeli mam chamską śmiałość usiąść przy maszynie to znaczy, że chcę w tej pracy zawrzeć jakiś komunikat. Czytelnik niech rozszyfrowuje. Jeżeli mnie ktoś nie zrozumie, to dla mnie jeszcze pół biedy. Ale kiedy mój czytelnik stwierdzi, ?e plotę bzdury, to będzie mój koniec, Czytelnikowi zawsze pozostaną lepsze książki. Trzecie wyjście to zachowanie obecnego status quo. Czyli kompromis.

- Klarowność jeżyka w twoim wydaniu ma wiele odcieni i półtonów. Nie chodzi o to, żeby jeżyk stał się tylko narzędziem wypowiadania myśli. Ale jego funkcjonalność wcale nie wyklucza piękna.

- Sęk w tym, że rozwiązania sprawdzające się w literaturze „w ogóle" są piekielnie trudne do wyregulowania w ramach SF. Czyli tego gatunku, który dla mnie na zawsze pozostanie nierozłączny ze scientyfizmem. Gdybym pisał fantasy, to na takie pytanie wzruszyłbym tylko ramionami. Pierwiastek „science" do czegoś zobowiązuje. Muszę dojrzeć - zawsze sobie obiecywałem, że pierwszą powieść napiszę po czterdziestce, kiedy mi się przestanie wszystko pienić po czerepem. Nie wyszło. Ale temperament nie jest wieczny. Zresztą - nie noszę świadomości wpiętej w klapy garnituru.

- Mimo to nadal intryguje mnie twoja wielosłowność zdań i dygresyjność każdej opowieści. Czy nie za wiele chciałbyś zrobić naraz?

- Taki już jestem dzielny. Może spokornieję.

- I jeszcze coś. Zaczyna być swoistą regułą wzrost objętości tego, co piszesz. „Kosmodram Machu Picchu" ma, jak wieść niesie, ponad tysiąc stron. A zdarzyło ci się kiedyś napisać naprawdę krótkie opowiadanie?

- Oczywiście. Wymyśliłem kilka dowcipów. A poza tym „Kosmodram" ma tylko 952 strony maszynopisu.

- Wróćmy jeszcze do jeżyka. Uniknąłeś częstego błędu wielu autorów: prymitywnego stwarzania słów na doraźne potrzeby, każdy twój neologizm sprawia wrażenie bardzo starannie wyważonego. Jak to robisz? Skąd bierzesz nazwy i imiona własne? To ważne przecież, bo indywidualizuje świat każdego pisarza. Pod tym względem - tylko nie pękaj z dumy - porównywałbym cie z Aleksandrem Grinem.

- Neologizmy tworzę raczej z zestawień znanych słów. Oczywiście imiona bohaterów też muszą mieć swoje genealogie. Z powietrza można wziąć tylko powietrze. Na przykład w ostatniej powieści zatytułowanej „Ballada o przekleństwie" występują komandosi: Marmaross, Daun, Zocher, Specht, Pazgrat, Lizuraj. Skąd te imiona i również - charaktery? Z półki na książki. Znalazłem kronikę Poznańskiego Pułku Kawalerii, biorącego udział w kampaniach lat 1918 i 1939. Są to więc postacie prawdziwych żołnierzy polskich. Postacie przeze mnie odnalezione, zrekonstruowane i zaszczepione w SF.

- Pomysł doskonały, choć ogólnie i prywatnie nie do końca się z metodą zgadzam. Od tego już blisko do cytowania książki telefonicznej. Twoja wola. Ale nie wystarczy coś przeczytać, coś „oczyma duszy" zobaczyć, coś ze szczerej chęci opisać. Co z motywacją pisania?

- Uwielbiam kobiety, śpiew i SF. Poza tym mam jedną - i chyba jedyną - cechę pozytywną. Nie cackam się ze słowami, nie lituję się nad tym, co napisałem. Potrafię przerabiać coś i po dziesięć razy: przepisywać, szlifować, kastrować i doskrzydlać. Dlatego mam odwagę brać się i za rzeczy nowe. Przecież kiedy coś będzie do niczego, to po prostu wyrzucę.

- Migasz się od odpowiedzi. Dokonałeś kiedyś w życiu wyboru. Teraz spróbuj uzasadnić, dlaczego piszesz SF, a nie na przykład kryminały?

- Czytam Chandlera i Mac Leana. Lubię Borghesa i Fuentesa. Szopen jest wspaniały. Chętnie słucham zespołów Lady Pank i Republika. Bardzo lubię płyty Charlie Parkera. Nie potrafię żyć bez słodyczy. Moje hobby to biologia i archeologia. Więc gdybym miał robić to wszystko, co lubię, przetarłbym się już dawno jak stare dżinsy. Dlatego ograniczam się do pisania SF mieści się w niej to, co lubię w stężeniu dla mnie bezpiecznym. Ponadto: piszę SF z wrodzonego optymizmu - przeszłość jest do poznawania, teraźniejszość do doskwierania, przyszłość wszystkiemu daje szanse. Kokietuję przyszłość. Może mnie uzna za swojego pradziadka.

- A jak sądzisz, czego w twoim pisaniu brakuje?

- Na pewno dużo jest Lema, Strugackich, Dicka, Ballarda, Ursuli Le Guin, Bradbury'ego, Wellsa. A przecież chciałoby się do tego dorzucić i kawałek siebie.

1952 (dokończenie)

Utopia (U):

103. BIELICKI Marian L[ech]: Bakteria 078. Wyd. II. Warszawa. Wyd. MON [na zlecenie RSW „Prasa"] 8° ss 223, nlb. 1. 50 000 egz. Biblioteka Gazety Robotnicze], nr. 10.
104. [BOLDYRĚV Sěrgěj]: Igła 2 [wspólwyd.]: [DOLGUŠIN Urijj: Niewidzialny człowiek. Tłum. z ros. Wanda Broniewska. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 149, nlb. 2. 5 000 egz Nauka-Fantazja-Przygoda. - Na k. tyt. i okł. tylko sam tytuł pierwszego utworu - Igła 2 -ASF/ Utopia, Niewidzialny człowiek - Utopia
105. [ĚFRĚMOV Ivan]: Biały róg. Ttum. z ros. Maria Kowalewska. Wyd. IV. [w notce mylnie III]. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 256, nlb. 3. 10 000 egz. Niektóre opowiadania fantast. - Na k. tyt. aut.: I. Jefriemow.
106. FRANCE Anatole: Wyspa pingwinów. Tłum z tranc. Jan Sten. Wyd. VI. powój. IV Warszawa, Książka i Wiedza. 8° ss. 250, nlb. 1. 5 000 egz
107. (?) MELCER Wanda: Statek 1092. Warszawa. Wyd MON. 8° ss 203, nlb 1 10 000 egz. Książka realistyczna z elementami fantast.
108. [NĚMCOV Vladimir]: Siedem barw tęczy. Powieść naukowo-fantastyczna. Tłum. z ros. Maria Kowalewska. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 605, nlb. 3. 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: W. Niemców.
109. [PLATOV Lěonid]: Archipelag znikających wysp. Wyd. II popr Tłum z ros J[erzy] B[ohdan] Rychliński. Posłowie W Nazarów. Warszawa Nasza Księgarnia 8° ss. nlb. 2,184, nlb. 2. 10 000 egz Utopia/CJSF - Książka realistyczna z elementami fantastyki. - Na k. tyt aut.: Leonid Płatów.
110. SWIFT Jonathan. Podróże Guliwera. Tłum. [z ang.] Anonim z r. 1784. Oprać, i wstęp Jan Kott. Wyd. III. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss XXII, nlb. 2. 462, nlb. 2. 10 000 egz.
111. [VOLTAIRE Francois Marie Arouet de]: Tak toczy się światek Tłum. z franc. Tadeusz Boy Żeleński Wyd III powój. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 215, nlb 2. 10 000 egz. Woltera Powiastki Filozoficzne T II. - Na k. tyt. aut : Wolter.

Fantazja dła dorosłych/Horror (AF/W):

112. POLSKA nowela fantastyczna. Aut.: Józef Maksymilian Ossoliński [i in.]. Red.: Julian Tuwim. Wyd. II znacznie rozszerzone Warszawa Państw. Inst. Wyd. 8° T. 1 ss. 241, nlb. 3; T. II ss. 285, nlb 3. 10 000 egz. AF/Weird.

„Zagadki nauki" (MS):

113. [ŠMIDT Otto]: Cztery wykłady o teorii pochodzenia Ziemi. Tłum z ros. Jan Rościszewski. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 138, nlb. 1. 3000 egz. Na k tyt. aut.: O. Szmidt.
114. [VORONCOV-VĚLIAMINOV B.]: Czy jest życie na planetach? Tłum. z ros. J. B. Wyd. III. Warszawa. Lud Spółdz. Wyd. 8° ss. 31, nlb. 1. Biblioteka Popularno-Naukowa Na k. tyt. aut.: B. Woroncow-Weljaminow.

1953

SF dla dorosłych (ASF):

ĚFRĚMOV I.: Biały... - zob. Utopia.
115. (?) [ĚFRĚMOV Ivan]- Księżycowa skała. Tłum. z ros M[aria] Kowalewska. Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss 116, nlb 3 140 000 egz. Biblioteka Ruchu. - Opowiadania z elementami fantastyki - Na k. tyt. aut.: I. Jefremow.
116. LEM Stanisław: Astronauci. Powieść fantastyczno-naukowa. Wyd. III Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 383, nlb. 1. 20000 egz.
OBRUČĚV V.: Plutonia. - zob. CJSF.
117. SAPARIN [Viktor]: Nowa planeta Tłum. z ros Ludwik Chomiński. Warszawa Iskry. 8° ss. 145, nlb. 2. 10 000 egz. Cztery opow. w tym trzy fantast. - Opow. „Dzień Zoi Winogradowej było wydawane osobno pt. „Tajemnicze zniknięcie inż. Bobrowa". - Na k. tyt. aut.: W. Saparin

SF dia dzieci i młodzieży (CJSF):

LUKIN N.: Dzieje... - zob. Utopia.
118. [OBRUČĚV Vladimir A.]: Plutonia. Powieść naukowo-fantastyczna. Tłum z ros. Dawid Jarząbek. Warszawa. Iskry. 8° ss. 331, nlb. 1. 10 000 egz. CJSF/ASF. - Na k. tyt. aut.: W.A. Obruczew.
PLATOV L: Archipelag... -zob. Utopia.

Utopia (U):

119. [ĚFRĚMOV Ivan]: Biały róg. Tłum. z ros Maria Kowalewska. Wyd. V [w notce mylnie: IV], skrócone. Warszawa. Iskry. 8° ss. 164, nlb. 3. 10 000 egz. Niektóre opowiadania fantast. - Na k. tyt. aut.: I. Jefremow.
120. FRANCE Anatol[e]: Wyspa pingwinów. Tłum. z franc. Jan Sten. Wyd. VII, powoj. V. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 222, nlb. 1. 10 000 egz.
121. KRASICKI Ignacy: Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki -fragmenty. Oprać. Irena Maciejewska. Wyd. i w tym oprać. Wrocław. Ossolineum. 8° ss. 142, nlb 2. 10 000 egz. Nasza Biblioteka.
122. [LUKIN Nikołaj]: Dzieje pewnego wynalazku. Tłum ? ros. Alicja Maliniak Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 612, nlb. 2. 15 000 egz. Utopia/CJSF. - Na k tyt. aut.: Mikołaj Lukin.
123. (?) MELCER Wanda: Statek 1092. Wyd. II. masowe i. Warszawa Wyd. MON, 8° ss. 167, nlb. 1. 30 000 egz Książka realistyczna z elementami fantast.
124. MIKSZÁTH Kálmán: Nowa Zriniada Tłum. z węg Baoul Kamil Porges i Marta Okołów-Podhorska. Warszawa. Czytelnik. 16° ss 234, nlb. 2 6 000 egz.
125. [PLATOV Lěonid]: Archipelag znikających wysp. Tłum. z ros. J[erzy] B[ohdan] Rychliński Wyd III popr. Warszawa Nasza Księgarnia. 16° ss 230, nlb. 2. 140 000 egz. Utopia/ CJSF. - Biblioteka Ruch. - Książka realistyczna z elementami fantastyki. - Na k. tyt. aut.: Leonid Płatów.
126. RABELAIS [Francois]: Gargantua i Pantagruel. Tłum. z franc. Tadeusz Boy Żeleński. Wstęp Mieczysław Brahmer. Wyd. II powój Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° T. I ss. XXVII, nlb 1, 550, nib 1; T. II ss. 427, nlb. 1. 10 000 egz.
127. [SALTYKOV-ŠČĚDRIN Michail]: Dzieje pewnego miasta. Tłum. z ros Seweryn Pollak. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 249, nlb. 2. 10 000 egz. Na k. tyt aut.: M. Sałtykow_Szczedrin.

cdn. Przygotował J**acek Izworski**

Moim zdaniem, w 1985 r. - no, może w 1986 r. - będzie można wybierać płeć przyszłego dziecka"- oświadczył doktor Rihaczi Izuka z Uniwersytetu w Keio w Japonii. Biolog Izuka ma racje, nawet jeśli myli się co do daty. Planowa regulacja płci u ludzi jest zapowiadana z wielu poważnych ośrodków naukowych, kolejny temat literatury SF staje się rzeczywistością. Nie jest ważne czy stanie się to za rok, czy za parę lat - istotne, że w ogóle coś takiego będzie na pewno wkrótce możliwe. I dobrze - pomyśli wielu ludzie rozwiążą kolejny problem, który ich nurtował niemal od początków świadomego istnienia. Bowiem od czasów najdawniejszych możność wpływu na płeć potomka była marzeniem rodziców. Czy jednak sterowanie płcią będzie dla ludzkości korzystne czy nie? Pytanie wydaje się dość ważne, ale czy w świetle dzisiejszej wiedzy można na nie odpowiedzieć?

Hodowcy zwierząt nie mają wątpliwości Na farmach, specjalizujących się w produkcji mleka, najkorzystniej byłoby uzyskiwać cielęta płci żeńskiej. W farmach, produkujących wołowinę, jest to raczej obojętne. W hodowlach licznych gatunków ryb korzystniejsza jest przewaga samic, bo rosną szybciej. Ale odwrotnie w-hodowlach na przykład cienkowełnistych owiec - samce dają dwa razy więcej wełny niz samice Podobnie u norek - samce maią większe i piękniejsze futra. U jedwabników - samce produkują o jedną trzecią więcej jedwabiu. Nie należy mieć jednak złudzeń: w świecie zwierząt hodowlanych opłacalność samic jest na ogół znacznie większa niż samców, tych ostatnich może się rodzić o wiele mniej niż się rodzi, bo potrzebne są tylko do rozrodu. Jak zaś wiadomo jeden samiec w hodowli w zupełności wystarcza dla sporej liczby samic. Istoty rodzaju męskiego są jakby „mniej potrzebne" i to nie tylko z punktu widzenia potrzeb hodowcy. Podobnie bowiem bywa w przyrodzie: płeć męska potrzebna jest gatunkom zazwyczaj tylko do jednego celu, po to, by możliwe było rozmnażanie płciowe. Istnieją gatunki, rozmnażające się w ogóle bez udziału samców, ostatnio znaleziono nawet taki gatunek wśród kręgowców (pewne długoogoniaste jaszczurki, zamieszkujące ciepłe kraje). U bardzo wielu gatunków rolę reproduktora pełnią zresztą tylko nieliczne samce; cała ich reszta pojawia się na świecie tylko po to, by istniał wybór, by w rozrodzie mogły brać udział tylko osobniki najsilniejsze, najzdrowsze i w swoim gatunku „najdoskonalsze". Można powiedzieć, że jeśli istnieje pewna równowaga w ilości rodzących się istot męskich i żeńskich, to głownie dlatego, żeby istoty żeńskie miały w czym wybierać...
Jeśli w ogóle można sprawę tak ujmować, to wydaje się, ze główną, podstawową w przyrodzie płcią jest płeć żeńska -1 niestety (niestety z punktu widzenia męskiego, bądź co bądź, z punktu widzenia istotnej połowy ludzkości) potwierdza to pewien znamienny fakt biologiczny. Otóż w przyrodzie regułą jest pierwotność płci żeńskiej, w tym sensie, iż rozwój organizmów bez interwencji „czynnika męskiego" (czyli np. u ssaków tzw. chromosomu Y) przebiegałby zawsze w kierunku żeńskim To znaczy, że pierwotna gonada jest zawsze żeńska i dopiero udział chromosomu Y z plemnika powoduje jej przekształcenie się w męską, z kolei zaś hormony wydzielane przez męską już gonadę powodują ukształtowanie się cech płci męskiej w pierwotnie żeńskim organizmie. Bez interwencji chromosomu Y - z komórki wyjściowej zawsze ukształtowałaby się istota płci żeń-

Z tamtej strony lustra

NIEPOTRZEBNA PŁEĆ

Maciej Iłowiecki

skiej. Wedle pewnych embriologów z Oxfordu większość ssaków rodzi się z mózgiem, który - niezależnie od płci! - warunkuje żeńskie zachowanie się nowo narodzonej istoty. Dopiero rozwój gonad (jeśli są męskie), zmusza niejako mózg do przestawienia się na tory zachowań męskich. Za tem pierwsze wrodzone sposoby zachowania się ssaków odpowiadają płci żeńskiej. Nie ma rady, w świecie biologicznym pierwotna i „wyjściowa" jest płeć żeńska. Zanim pojawił się Adam, musiała już istnieć Ewa (pozostaje ciekawą kwestią, dlaczego w Starym Testamencie jest właśnie odwrotnie, najpierw Bóg stworzył Adama, a dopiero z jego żebra Ewę). Wiemy więc już jedno: komórka żeńska (jajowa) jest zawsze potencjalną istotą żeńską. Dlatego przy dzieworództwie (partenogenezie), rozmnażaniu bez udziału komórki męskiej, plemnika - zawsze powstają samice. Dopiero udział plemnika może zmienić ten pierwotny kierunek rozwoju. Plemniki ssaków, więc i ludzi, dzielą się na dwa rodzaje. Jedne zawierają chromosom żeński X, drugie - męski Y. Komórki jajowe mają tylko chromosom X. Jeśli więc jajo zostaje zapłodnione plemnikiem X, powstaje istota żeńska. Jeśli do jaja dotrze plemnik Y - narodzi się istota męska.

Nawiasem mówiąc, znów mężczyźni są nieco upośledzeni: płeć żeńska jest „pełniejsza", jakby bardziej „żeńska", bo zawiera dwa chromosomy żeńskie X. Płeć męska ma zestaw XY, więc żeńsko-męski... Inne zestawy, które na szczęście rzadko się zdarzają, powodują ciężkie dziedziczne anomalie i nie będziemy ich tu omawiać. Zatem wiemy już coś więcej: płeć jest zdeterminowana przez rodzaj plemnika, który dotrze do komórki jajowej i zapłodni ją. Co pewien czas ogłaszane są recepty: jak postępować, by w momencie zapłodnienia wpłynąć na zahamowanie plemników X albo Y, zależnie od tego, jakiej płci potomka chciałoby się mieć. Od dawna zaobserwowano (zresztą zanim w ogóle odkryto chromosomy X i Y), że w uzyskaniu określonej płci potomka odgrywają rolę różne czynniki, na przykład czas poczęcia albo rodzaj diety. Dziś nie wydaje się to już tak tajemnicze jak dawniej. Wiadomo bowiem, że na przykład znaczenie matu wskaźnik kwasowości środowiska wewnętrznych dróg rodnych kobiety. I właśnie ten wskaźnik jest zmienny w czasie, a odczyn kwaśniejszy nie sprzyja męskim plemnikom Y. Na przykład tuz przed owulacją zmniejsza się właśnie kwasowość wewnątrz dróg rodnych kobiety wówczas więc istnieje większa szansa na poczęcie chłopca. Naturalnie, nie sprawdza się to w pełni - nie znamy wszystkich czynników, warunkujących aktywność plemników, czy też - jak raczej trzeba powiedzieć - różnicujących aktywność plemników X i plemników Y. W ZSRR i we Francji opublikowano swego czasu dietę dla rodziców, która miałaby wpływać na płeć; stwierdzono, że potrawy „ostrzejsze", zawierające dużo soli kuchennej i potasu - zwiększają prawdopodobieństwo urodzenia chłopca. Potrawy „łagodniejsze", mleczne, zawierające dużo wapnia (i także manganu) - sprzyjają narodzinom dziewczynek. Przepisów tego rodzaju było oczywiście więcej, wśród nich zdarzały się i w ogóle bzdurne, nie oparte na żadnych badaniach, ale tak bywa zawsze, kiedy brakuje dobrego rozeznania w jakiejś sprawie.

Ostatnio uczeni japońscy wykryli zjawisko, które w omawianej kwestii może mieć znaczenie decydujące. Otóż zespoły z uniwersytetów w Keio i Tokio wykryły, że plemniki X i plemniki Y mają różne własności elektryczne i zatem można je rozdzielić w polu elektromagnetycznym. Odpowiednio przygotowane nasienie (plemniki) daje przy zapłodnieniu 80 procent pewności, że narodzi się potomek oczekiwanej płci. (Oczywiście chodzi tu o sztuczne zapłodnienie). Uczeni spodziewają się, że wkrótce uda się zwiększyć tę pewność do 100 procent wobec płci żeńskiej, zaś do 95 proc. wobec płci męskiej i zarazem, że uda się opracować metody wyboru płci skuteczne przy zapłodnieniu naturalnym. Uczeni amerykańscy z Uniwersytetu Kalifornijskiego odkryli inną metodę, opartą na różnej szybkości poruszania się plemników X i Y w roztworze pewnych białek. Metodę wypróbowano w praktyce i stosuje się ją z dobrym skutkiem w coraz częstszych przypadkach sztucznego zapłodnienia u ludzi. Właściwie więc można już „zamówić sobie" potomka odpowiedniej płci. Bardzo niedługo zostaną opracowane metody, pozwalające wybierać z góry płeć dziecka w normalnych warunkach zapłodnienia. Czy możliwość taka mogłaby zachwiać proporcje płci wśród ludzi? Wedle obecnego stanu wiedzy odpowiedź brzmi: tak. Otóż większość ludzi żyjących dziś na Ziemi znajduje się pod wpływem takich nacisków obyczajowych i kulturowych, które preferują chłopców (istnieją nawet społeczności, niekoniecznie nawet zupełnie prymitywne, w których uchodzi zabijanie niemowląt płci żeńskiej). W niektórych społecznościach narodziny dziewczynki bywają smutną koniecznością, narodziny chłopca są wydarzeniem radosnym. Gdyby społeczeństwom o takim nastawieniu dać możliwość wyboru, z pewnością wybierano by płeć męską. Proporcje płci zostałyby naruszone - aż do czasu zmiany nastawień, zmiany, wywołanej być może właśnie naruszeniem proporcji. Być może jakiś czas mielibyśmy do czynienia z „męskim społeczeństwem" w sensie biologicznym. W sensie kulturowym społeczeństwa Ziemi od bardzo dawnych czasów są właśnie męskie, patriarchalne - mężczyźni odgrywają rolę sterującą i wcale nie wiadomo, czy dziś jest to społecznie korzystne. Z drugiej strony wielu ekspertów uważa, ze właśnie teraz nadchodzi era kobiet (matriarchat), że to one przejmą przewodnictwo ludzkości. Jeśli to nawet przesada, to na pewno przesadą nie jest przekonanie o stałym zwiększaniu się roli kobiet we współczesnych społeczeństwach rozwiniętych, a nawet wniosek o pewnej feminizacji tych społeczeństw. Nie wiemy co będzie i nie wiemy, co przyniesie ludzkości możliwość wyboru płci potomstwa. Wszakże interesujący jest i taki aspekt tego problemu. Społeczeństwo, złożone w większości z mężczyzn nie może po prostu istnieć - natychmiast radykalnie zaczęłaby się zmniejszać jego liczebność. Natomiast społeczeństwo kobiece mogłoby doskonale istnieć bez mężczyzn, teoretycznie bowiem (a zawsze w praktyce w końcu może spełnić się to, co możliwe jest w teorii) można zmusić jajo, żeńską komórkę rozrodczą, do rozwoju bez udziału plemnika. Innymi słowy, w miarę rozwoju różnych technik medycznych możliwe będzie dzieworództwo kobiet (to znaczy rodzenie dzieci bez udziału mężczyzn), ale nigdy nie będzie możliwe dzieworództwo mężczyzn. Czyli kobiety mogą same żyć na Ziemi, ale sami mężczyźni wymarliby po pierwszym pokoleniu. Istoty płci męskiej nie są więc ani potrzebne, ani niezbędnie dla rozwoju ludzkości, a być może świat bez nich byłby łagodniejszy i spokojny, bo zostałaby wyeliminowana z niego agresja. Mężczyźni i tak nie mają łatwego życia, są mniej odporni i umierają wcześniej (to fakty dawno stwierdzone!), a być może, nie mają i przyszłości. Możemy się pocieszać tylko jednym - świat bez mężczyzn byłby chyba przeraźliwie nudny (dla kobiet!), a ponadto rozmnażanie przez dzieworództwo, bez udziału mężczyzn, nie jest zapewne największym marzeniem kobiet.



CZYTELNIK taki jak inni

mówi Danuta TOMERSKA, redaktor naczelny Redakcji Wydawnictw Nieperiodycznych Polskiego Związku Niewidomych

***Paweł Tomczyk:** - Czy rosnący ostatnio popyt na literaturę fantastyczno-naukową i również - o dziwo! - rosnąca podaż książek, znajduje odzwierciedlenie w planach tak nietypowego wydawnictwa, jakie pani reprezentuje?*

Danuta Tomerska: - Specyfika naszego wydawnictwa polega przede wszystkim na tym, że jest ono jedyne w kraju. Wydajemy wszystko - oczywiście w ograniczonym wyborze - ponieważ nasi odbiorcy nie mają po prostu innych możliwości zapoznania się z książką. Drukujemy więc beletrystykę dla dorosłych i młodzieży, poradniki, literaturę faktu, podręczniki szkolne. Druga sprawa! Nasze książki są bardzo drogie, koszty ich produkcji są wysokie i niewielu ludzi stać jest na gromadzenie księgozbiorów. Głównymi nabywcami są zatem biblioteki: nasza centralna i jej filie w całym kraju, niektóre publiczne i szpitalne. Oczywiście, podręczniki są kierowane przede wszystkim do szkół. Tylko czasem sprzedajemy indywidualnym odbiorcom książki typu poradnikowego, czyli kucharskie, o robótkach ręcznych itp.

- Używane przez nas pojecie „książka", jest dla laika nieco mylące. Jak to wygląda naprawdę?

- Są dwie metody publikacji. Wydawnictwa brajlowskie - do czytania palcami - które obecnie stanowią około jednej piątej naszej produkcji oraz książki mówione, czyli zestawy kaset z nagranym głosem aktora czytającego tekst. Mozę dla ilustracji powiem, że przeciętna średnio gruba książka licząca około piętnastu arkuszy druku, w wydaniu brajlowskim zajmuje pięć, sześć tomów o znacznie większym formacie. Kiedyś wydawaliśmy dużo więcej w brajlu, ale obecnie mamy kłopoty z maszynami, papierem, drukarzami...

- Odbiorcy też jest pewnie łatwiej wysłuchać tekstu pięknie interpretowanego przez dobrego aktora, niż czytać zmęczonymi pracą - na ogól przecież ręczną palcami?

- Z tym też bywa różnie. Ludzie znający biegle brajla, którzy zaczęli korzystać z książek mówionych, obecnie często powracają do starej meto dy. Bo co jest najważniejsze w książce? Cisza, atmosfera kontaktu, możliwość pogrążenia się w swoistym dialogu z autorem. Książka mówiona burzy ten intymny nastrój. Aktor jest przecież człowiekiem mającym własną wizję czytanego tekstu, nie zawsze zgodną z odczuciem słuchacza.

- A czy polscy niewidomi mają możliwość podziwiania ilustracji?

- Niestety, jesteśmy w stanie wykonywać w brajlu jedynie proste rysunki w podręcznikach na przykład do matematyki. Owszem, widziałam niedawno japońską książkę dla niewidomych dzieci, z ilustracjami, gdzie wypukły zajączek w dotyku przypominał futerko, a trawa trawę. Dla nas jest te sprawa przyszłości. Wprowadziliśmy natomiast „ilustrowanie" muzyczne niektórych książek mówionych na przykład ostatnio „muzyką Debussy'ego - Claire de la Lunę:

- W programie radiowym nadawane są często powieści w odcinkach, między innymi właśnie fantastyczno-naukowe. Niedawno czytano „Drugą planetę słońca Ogg" Petera Lengyela i „Cieplarnię" Briana Aldissa. Rozumiem, że te powieści nagrane przez Polskie Radio niemal automatycznie trafią na wasze kasety...

- Ta sprawa nie jest taka prosta, bo nas interesują całe powieści, a radio często nagrywa jedynie fragmenty. Wolimy raczej nagrywać u siebie. Natomiast interesowałyby nas słuchowiska - na przykład dramaty z kanonu lektur szkolnych których sami nie jesteśmy w stanie nagrać. I oczywiście lekcje języków obcych. Zresztą radio jest naszym naturalnym sprzymierzeńcem - jako jedyny z publikatorów dociera bezpośrednio do ludzi niewidomych.

- Dość konsekwentnie uciekamy od fantastyki, którą zamierzałem uczynić głównym tematem rozmowy. Czy zainteresowanie ludzi niewidomych tym gatunkiem naprawdę nie zwiększyło się w ostatnich latach?

- Raczej nie. Może dlatego, że większość niewidomych to ludzie starsi, niełatwo ulegający szaleństwom i modom. To naturalne bo wypadki utraty wzroku w dużej części są skutkami wojny. Fantastyką interesują się natomiast ludzie młodzi. Mozę dlatego że dużo słuchają radia, a nawet „oglądają" telewizję, oczywiście w specyficzny słuchowy sposób. Starają się być na bieżąco. A my musimy spełniać rolę niemal wszystkich wydawnictw. Dlatego staramy się wybierać pozycje najbardziej wartościowe, głośne, poszukiwane...

- Przecież takie tytuły jak „Władca pierścieni" czy „Ogród czasu" bez wątpienia można zaliczyć do bestsellerów. O wartościach książek Lema piszą rozprawy znani krytycy. „Bajki robotów" i „Opowieści o pilocie Pirxie" weszły na listę szkolnych lektur...

- Ależ ja wcale nie twierdzę, że my w ogóle fantastyki nie wydajemy. Nie jest to literatura uprzywilejowana w naszych planach. Wydaliśmy już kilka książek Lema. Ostatnio „Katar" i właśnie „Pirxa", wyszedł u nas „Ubik" Dicka, „Rzeźnia nr 5" Vonneguta, „Robot" Wiśniewskiego-Snerga, „Piknik na skraju drogi" Strugackich. Poza tym leszcze Swift, Daniken, Mostowicz... Na bieżący rok planujemy wydanie „Wyzwania naturze" Cooka z Piwowskiej serii Biblioteki Myśli Współczesnej, „Kowbojów oceanu" Clarke'a, „Przenicowanego świata" Strugackich, „Budowniczego ruin" Rosendoriera i „Smutnego kosa". To może jest mało jak na 150 pozycji, ale jeszcze raz podkreślam, że musimy „zastępować" wszystkie wydawnictwa.

- Taka ostra selekcja musi być bardzo trudna?

- Pomaga nam fakt, że w pewnym sensie „powielamy" pracę normalnych wydawnictw, a więc przygotowuje książkę wiemy już, że jest ona poszukiwana, chętnie czytana. Musimy także uwzględnić różne gusty, zainteresowania, poziom intelektualny naszych czytelników. Tak więc mamy „Lot nad kukułczym gniazdem", „Ulissesa", Faulknera, Bellowa, obok tego „Psy wojny" i „Tylko dla orłów", a także kryminały, książki podróżnicze.

- Przyznam się Pani, że przyszedłem tu z pewną prawie gotową tezą naszej rozmowy. Wydaje mi się bowiem, że literatura fantastyczna, opisująca często światy niewidzialne, niesprawdzalne wzrokiem, a wiec będąca w dużej mierze sztuką wyobraźni, jest chętnie przyjmowana przez ludzi niewidomych; że jest to literatura „wyrównanych szans"...

- Nie zauważyłam tego. Oczywiście na pewno istnieje grupa naszych odbiorców, którzy pragną fantastyki, ale nie jest to specjalnie widoczne. Tak samo liczne - podejrzewam! - są grupy ludzi poszukujących powieści historycznych albo podróżniczych; dużym wzięciem cieszą się sagi rodzinne, takie jak na przykład „Pogoda dla bogaczy".

- Może najnowsza fantastyka jest jeszcze zbyt świeżym gatunkiem, budzącym nieufność czytelników?

- Chyba tak, bo na przykład dużym powodzeniem cieszą się klasyczne już dziś powieści Julesa Verne'a. Z drugiej strony, gdy panował boom na literaturę iberoamerykańską, to trochę molestowano nas o te książki i kilka bardzo dobrych pozycji wydaliśmy; ale dziś już tego zainteresowania nie widać. W takich książkach część czytelników może się zakochać, a część - mam wrażenie - czyta je, bo są akurat modne, ze snobizmu... Tak samo jak ludzie widzący. Nasz odbiorca jest przecież zupełnie normalnym człowiekiem.

- Wymieniła Pani powieści podróżnicze, sagi rodzinne, historyczne; książki będące literaturą „ucieczkową", odrywającą ludzi od codzienności świata, pełnego zmartwień i kłopotów, których lektura jest odpoczynkiem, głębszym oddechem. A właśnie fantastyka wydaje się być dla wielu czytelników takim azylem.

- Ale zawiera też - przyzna pan! - wizje katastroficzne, duży ładunek pesymizmu. A naszym czytelnikom - mam wrażenie - w dużej części chodzi o literaturę pogodną: żeby najbardziej nawet dramatyczne przygody, przeżycia dobrze się kończyły. A o takie książki jest teraz bardzo trudno. Poza tym, książki fantastyczno-naukowe wymagają od czytelnika pewnego zasobu wiedzy, pewnego przygotowania. Często przesycone są techniką, fizyką...

- Właśnie w tej najnowszej fali, fantastyka ucieka od techniki w stronę psychologii, socjologii; coraz częściej zamiast w gwiazdy patrzy w głąb ludzkiej psychiki, duszy człowieka...

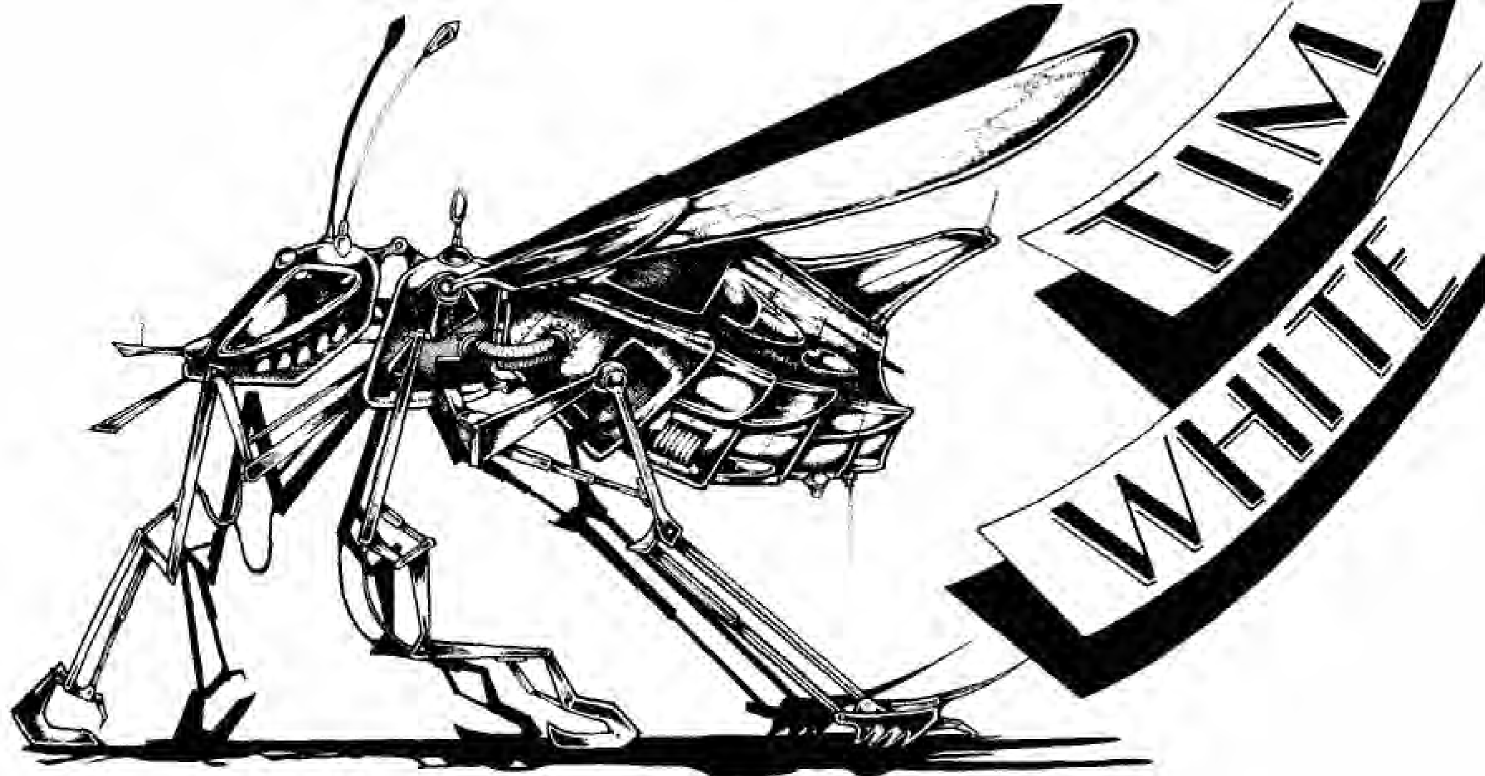
- Jeżeli mógłby pan polecić kilka tytułów to bardzo chętnie zanotuję i rozważymy...

- Proszę bardzo. „Senni zwycięzcy" Marka Oramusa, „Limes inferior" Janusza Zajdla, „Druga jesień" Wiktora Żwikiewicza, „Retrogenetyka" Kiryła Bułyczowa, „Słoneczna loteria" Philipa Dicka. Zresztą szczegółową i fachowo skonsultowaną listę obiecuję dostarczyć później. Polecam również lekturę krytyki w miesięczniku „Fantastyka", która może być bardzo pomocna przy wyborze książek. Ale a propos! Państwo, przecież nie macie działów tematycznych, a w Polsce - mimo wszystko - ukazuje się co roku sporo książek. Jak się w tym połapać, jak przebierać, by nie uronić nic cennego. He osób do tego potrzeba?

- Pracują w naszej redakcji trzy osoby. Oprócz tego jest jeszcze kilkanaście współpracujących. Przeglądamy plany wydawnictw, zbieramy prasowe zapowiedzi wydawnicze, recenzje, dostajemy informacje z czytelni i bibliotek publicznych. 0trzymujemy też oczywiście trochę listów i telefonów z sugestiami. Wychodzimy z założenia, że to co jest chętnie czytane przez ludzi widzących, zaakceptują również nasi czytelnicy. I tu muszę panu powiedzieć, że z tym fantastycznym szaleństwem też lekko się przesadza. Ludzie czytają różne książki. Przede wszystkim chcą czytać dobre!

- Dziękuję Pani za rozmowę.

Notował **Paweł Tomczyk**



Przedstawiamy kolejne prace grafika, który poświęcił swój talent głównie tematyce SF i fantasy - Tima White'a. Jako pierwszą zamieściliśmy na okładce nr 5/84 jego pracę z 1976 r. „Expedition to Earth". Tim White urodził się w 1952 r. w Kent (Wielka Brytania). W 1968 r. rozpoczął naukę w Medway College of Art na wydziale grafiki. Mówi o sobie: „Zawsze staram się nie poddawać presji klienta, tak powszechnej w dziedzinie sztuki komercyjnej. Atmosfera panująca w szkole pozwoliła mi na wypracowanie własnego stylu". Już w czasie studiów White rozpoczął współpracę z czasopismami zamieszczającymi literaturę typu fantasy, pracując głównie piórkiem i tuszem. W 1972 r. Tim White ukończył college i przez pierwsze dwa lata pracował jako ilustrator w dużym studiu graficznym. Następnie postanowił się usamodzielnić i poświęcić wyłącznie ilustracjom z dziedziny fantastyki i fantasy, a więc takim, które nie narzucają ograniczeń wyobraźni. W 1974 r. opublikował pierwszą swoją okładkę książkową do książki Arthura C. Clarkea „The Other Side of The Sky" wydanej przez wydawnictwo Corgi Books. Od tej pory namalował ponad sto okładek do książek. Projektuje również okładki do płyt, plakaty, rysuje ilustracje do czasopism. Wszystkie ilustracje na okładkach tego numeru „Fantastyki" pochodzą z albumu „The Science Fiction and Fantasy World of Tim White", wydanego przez New English Library w 1982 r.

A. Brzezicki





TIM WHITE